

MARTWY BŁĘKIT OD PIERWSZEJ  
DO OSTATNIEJ STRONY PORYWA I WCIĄGA  
NICZYM MORSKA FAŁA.

RYSZARD ĆWIRLEJ

# Martwy błękit



KRZYSZTOF  
BOCHUS

KRZYSZTOF  
BOCHUS

Martwy  
blekit



MUZA

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Mojej pierwszej wnikliwej Czytelniczce,

żonie Urszuli,

z wdzięcznością poświęcam

## Prolog

**Środa, 10 kwietnia 1933**

Serce biło mu jak oszalałe. Czuł, jak oblepia go zimny pot. Starał się uspokoić oddech. Na próżno. Nie pozwalał na to straszliwy ból. Nie do wytrzymania, przyprawiający o szaleństwo, rozdzierający i trawiący ogniem jego trzewia. Przez głowę przebiegła mu myśl, że to niesprawiedliwe. I że ten ból będzie ostatnim odczuciem, jakie zabierze z tego świata. Nie modlił się od lat, ale teraz nagle odnalazł w pamięci z dawna zapomniane wersy psalmu Dawidowego:

*Boże w gniewie Twoim nie karć mnie*

*W oburzeniu Twoim nie karaj mnie*

*Bo strzały Twoje utkwily we mnie*

*A tknęła mnie ręka Twoja*[1].

A więc tak wygląda ten ostatni moment, ta ostatnia sekunda darowana przez Pana? Rodziło się pytanie: czym on sam, Saul Rottenberg, będzie jutro: wspomnieniem, zapachem, obłokiem na niebie? Gardził swoją słabością, ale nie mógł powstrzymać uczucia ulgi. Niech to się wreszcie skończy! Podobno w ostatniej sekundzie przed śmiercią człowiek widzi całe swoje dotychczasowe życie. Saul Rottenberg zacisnął powieki, ale zobaczył tylko nicość. O ułamek sekundy wcześniej, nim padł strzał.

## **Rozdział I**

### **Wierzchołek góry**

## 1.

Radcy kryminalnemu Christianowi Abellowi przez głowę przebiegła myśl, że śmierć jest w jakimś sensie przereklamowana. Fakt, była doświadczeniem ostatecznym, ale jednak przeraźliwie powtarzalnym. Teraz było podobnie. Stał w progu gabinetu Saula Rottenberga i natychmiast napłynęły do niego skojarzenia i zapachy, które nieodmiennie zwiastowały czyjś koniec. Martwa cisza, słodki odurzający zapach krwi, ledwie wyczuwalna woń, jaką wydziela ciało, z którego wyciekło życie. Te doznania natychmiast oplotły go kokonem przeczuć i smutku.

Ogromny gabinet pogrążony był jeszcze w półmroku. Grube kotary skutecznie powstrzymywały światło rodzącego się dnia. Pod ścianami majaczyły kontury bibliotecznych regałów i mebli. Przez story przenikał tylko jeden wąski promień słońca. Padał dokładnie na zwłoki spoczywające przy biurku. Gdyby nie absurdalność tego skojarzenia, powiedziałby, że był to światłocień prawie równie doskonały, jak na obrazach Rembrandta.

Z uwagą przyglądał się ciału nieboszczyka. Przekrzywiona głowa Saula Rottenberga spoczywała na blacie biurka, tak jakby on sam zasnął znużony podczas podpisywania rachunków. Nawet z tej odległości Abell widział ciemną dziurę jamy gębowej. Dał znak Kukulce i ten jednym ruchem szarpnął zasłony. Ostre promienie słońca natychmiast poraziły mu źrenice. Abell zamknął oczy. Gdy je po sekundzie otworzył, ducha Rembrandta już w pokoju nie było. Leżąca bezwładnie głowa wyglądała teraz wręcz banalnie. A ciało przypominało korpus szmacianej lalki wciśnięty w fotel.

Począł cierpliwie, aż fotograf zrobi swoje, a następnie podszedł do ciała, wciągając po drodze rękawiczki na dłonie. Towarzyszący mu policjant o nazwisku Gurtel, z VII Okręgu Kripo[2] przy Schulstrasse, którego jurysdykcji podlegał Sopot, spojrzął na niego pytająco, ale radca osadził go w miejscu ruchem ręki. Było jasne, że śledztwo poprowadzi centrala gdańskiej Kripo, a nie chłopcy z tutejszego okręgu. Tym razem nie chodziło o kradzież kasy z gospody, a o śmierć szanowanego i bardzo zamożnego członka sopockiej społeczności. Dlatego właśnie to jego tu wysłali.

Rottenberg ubrany był w ciemny garnitur i śnieżnobiałą koszulę z jedwabiu. Spod rękawów wystawały mu bursztynowe spinki, oprawione w srebro. Wyglądał tak, jakby wybierał się na bal w Kasino Hotel. Na pewno nie zrobił tego w afekcie, pomyślał policjant, lustrując czujnym spojrzeniem zwłoki. I zapewne przykładał wagę do pożegnań. Nawet tych ostatecznych.

Zmarły nie miał semickiej urody. Przypominał raczej pruskiego junkra o twarzy ogorzalej od wiatru i słońca. Długie bokobrody dochodziły aż do mocno zarysowanej szczęki. Strzecha siwych nastroszonych włosów okalała szerokie

czoło porane bruzdami. Symetrię tej wyrazistej twarzy psuł jedynie otwarty, zakrwawiony otwór gębowy. Abell rozchylił delikatnie usta trupa, przyświecając sobie miniaturową latarką. Tak jak się spodziewał, wewnątrz przypominało krwawy krater. Zmasakrowane tkanki tworzyły amorficzną ciemną pulpę złożoną ze strzępów skóry, języka i odłamków protezy zębowej. Wypływający z ust krwawy zygzak, zanim zakrzepł na brodzie, utworzył purpurowe jezioro na blacie biurka. Uniósł ostrożnie głowę trupa i znalazł otwór wylotowy po kuli. Następnie przyklęknął pod biurkiem. Lewa ręka nieboszczyka spoczywała na blacie. Prawa zwisała bezwładnie wzdłuż ciała. Podniósł kończynę i przez dłuższą chwilę przyglądał się paznokciom ofiary. Zegarek na rękę, złoty Patek, miał strzaskane szkiełko. Wskazówki zatrzymały się na godzinie 22.13. Na dywanie leżał pistolet P08 Parabellum kal. 7,65 mm. Włożył broń do koperty i podał ją wachmistrzowi.

– Strzelił sobie w usta? A przedtem napisał list pożegnalny? – Kukulka wskazał oczami na zapisaną kartkę papieru listowego, leżącą na biurku.

Abell pokiwał niechętnie głową.

– Chyba tak. Gdzie doktor Martens?

– Już jestem – doleciał ich od progu głos zdyszanego doktora. – Ledwie skończyłem sekcję zwłok. Jakiś wariat zaszlachtował żonę rzeźnickim tasakiem. Nerki zbieraliśmy na szufłę, panowie. A temu co się stało? – Urwał na widok zwłok. – Kolejny samobójca? Dopiero co kroilem naszego nieodżałowanego burmistrza Lauego[3]. Szlag! Co się dzieje z tym świątobliwym miastem?

– Max, wiem, że mógłbyś tak długo, ale weź się na Boga do roboty – przerwał mu chrapliwie Abell. – Oczekuję raportu jutro po południu. Spotkamy się u ciebie, w zakładzie medycyny sądowej.

Po wczorajszym wieczorze w restauracji Danziger Ratskeller potylicę ścisnęła mu ognista nieubłagana obręcz. Czuł suchość w ustach i kołatanie serca. Za dużo likieru goldwasser, za mało rozsądku. Potrzebował spokojnego dnia, a ten, jak na złość, zwiastował same kłopoty.

Ciszę przerwało nagle bicie zegara ściennego. Abell wysłuchał w skupieniu dziewięciu uderzeń gongu, po czym machinalnie sprawdził czas na swojej omedze. Dopiero teraz wziął do ręki i zaczął czytać list leżący na biurku.

*Najdroższa Adel, Kochana Rodzino, Najbliżsi!*

*Za chwilę pociągnę za spust i ten koszmar się skończy. Nie martwcie się o mnie. Zwłaszcza – nie teraz. Odchodzę, aby odpokutować winę i zapłacić za grzechy, które ciążyą na moim sumieniu. Zaufajcie mi, tak trzeba. Mam krew na rękach. To krew dobrego, choć słabego człowieka – Ericha Lauego. Jego samobójcza śmierć mną wstrząsnęła. To ja jestem winien tej niepotrzebnej tragedii. Sprowadziłem na złą drogę porządnego człowieka. Wiem, każdy jest kowalem swojego losu. Ale bez moich pieniędzy nie uległby pokusie. Wybaczcie, że szczegóły*

*zabiorę za sobą do grobu. Nie dostarczę zeru skandalizującej prasie. Rodzina burmistrza wycierpiała już wystarczająco wiele. Was także tylko w ten sposób mogę ochronić. Wystarczy powiedzieć, że Kasino Hotel jest naszym wspólnym grobowcem.*

*Kochani! Jeśli mi czegoś żal, to nie życia, które tak bezmyślnie zmarnowałem. Żal mi Waszych łez i cierpienia. Przepraszam za wstyd, jaki niechybnie na Was spadnie. Przynajmniej oszczędzę Wam hańby policyjnych przesłuchań i procesu, do którego, prędzej czy później, by doszło. Reszta w rękach Pana. Adel, wybacz mi Najdroższa!*

*Szalom alejchem!*

*Saul*

Abell złożył dokładnie list i schował do policyjnej koperty. Dopiero teraz rozejrzał się dokładniej po gabinecie. Drgnął wyraźnie zaskoczony. Dawno nie widział równie oryginalnego wnętrza. Sopot podlegał jurysdykcji gdańskiej policji kryminalnej i chociaż Abell dobrze znał miasto, nie miał dotychczas zbyt wielu okazji, by bywać w okazałych rezydencjach tutejszych patrycjuszy. W Sopocie swoje letnie wille miało wielu bogaczy, zwłaszcza niemieckich fabrykantów i żydowskich kolekcjonerów sztuki. Ale niezależnie od dzielących ich różnic w jednym byli podobni – potrafili zadbać o swoją prywatność. I ukryć swoje skarby przed wzrokiem postronnych.

Abell spodziewał się więc, że gabinet tak znanego kolekcjonera jak Rottenberg przypominać będzie jaskinię Ali Baby. Tymczasem pokój był dziwnie opustoszały. Sądził, że zastanie wysmakowane wnętrze wypełnione obrazami dawnych mistrzów, miśnieńską porcelaną i wyczyszczonymi na błysk srebrami z Augsburga. Tymczasem o zamożności właściciela przypominały jedynie perskie dywany, tłumiące teraz kroki policjantów, i kunsztownie rzeźbione biurko w stylu boule, przysłonięte nieco zwłokami.

Mebli w ogóle było niewiele. Prawie wyłącznie komody i serwantki z orzechowego drewna. Wszystkie utrzymane w stylu art deco. Ich proste geometryczne kształty pozostawały w wyraźnej opozycji do biurka, którego esowate nóżki zwieńczały u góry roślinne ornamenty. Nawet przepastna biblioteka odsłaniała – niczym ubytki w uzębieniu – puste miejsca, w których świetnie wyglądałyby cenne księgi i starodruki. Ale najbardziej zadziwiające wrażenie robiły puste ściany. Wisiał na nich tylko jeden okazałych rozmiarów obraz. Abell



podszedł bliżej. Namalowane soczystymi barwami płótno musiało powstać w okresie włoskiego odrodzenia. Świadczył o tym typowy renesansowy krajobraz, który wyłaniał się zza pleców przedstawionych na obrazie postaci. Jedna z nich, w antycznej todze, malowała motyle na blejtramicie, jakby wyciętym z otaczającej ją chmury. Niewątpliwie było to mistrzowskie dzieło. Ale tylko jedno. Widocznie Saul Rottenberg przechowywał swoją słynną kolekcję gdzie indziej. Abell pomyślał, że to bardzo prawdopodobne. Ostatecznie nie trzyma się wszystkich jajek, zwłaszcza jajek Fabergé, w jednym koszyku.

W przedpokoju wiodącym do gabinetu czekała już na niego zapłakana służąca. Rozpaczliwie próbowała wziąć się w garść, ale efekty były mizerne. Odnosiło się wrażenie, że gdyby nie sztywność wykrochmalonego czepka – jej zrozpaczone oblicze rozsypałoby się na tysiąc kawałków. Miała kształtne ciało i przedwcześnie postarzałą twarz. Filigranową figurę opinał granatowy fartuszek typowy dla pokojowej z bogatych domów. Była zwyczajna. Nietypowe były jedynie jej kolczyki, jakby nieadekwatnie piękne w stosunku do tak pospolitej urody. Ciemne, prawie czarne kamienie oprawione w stare srebro opalizowały w świetle poranka.

– Jestem radca kryminalny Christian Abell. Zanim zaczniemy... – policjant usiadł naprzeciw niej przy małym stoliku z marmurowym blatem. – Czy mógłbym dostać filiżankę mocnej czarnej kawy?

– Ależ oczywiście, panie oficerze – kobieta szybko wydała stosowne dyspozycje.

– Jak się pani nazywa i w jakim charakterze pracuje pani w rezydencji państwa Rottenbergów? – Abell rozsiadł się wygodniej w fotelu.

Odpowiedział mu głośny spazm.

– Nazywam się Charlotta Monk. Panna Monk. – Zarumieniła się lekko. – U państwa pracuję jako główna służąca. Odpowiadam za cały personel.

– Od jak dawna?

– Od czterech lat. To znaczy, od kiedy państwo zbudowali tu letni dom. Poprzednio byłam służącą u pana Basnera przy Wäldchenstrasse<sup>[1]</sup>.

– Ach, ten dom przypominający malborskie zamczysko, który mijaliśmy po drodze – dorzucił policjant z VII Bezirku, który nie mógł pogodzić się z tym, że ważniak z centrali zostawił go za progiem.

– Tak, to ten dom. Miałam dobre referencje od pana Basnera. Nie mógł mnie już zatrzymać. Przyszedł kryzys i wszystkim się pogorszyło. Jemu także. Pochodzę z Sopotu, a państwo Rottenbergowie chcieli, żeby jak najwięcej produktów spożywczych kupować tutaj, na lokalnym rynku.

– Ale przecież to nie dlatego pan Rottenberg panią wybrał?

Młoda kobieta po raz pierwszy lekko się uśmiechnęła.

– Ma pan rację, nie dlatego. Miałam doświadczenie w obchodzeniu się

z dziełami sztuki. Pan Basner był znanym kolekcjonerem, podobnie jak pan Rottenberg. Trzeba umieć sprzątać w willach wypełnionych antykami, kruchą porcelaną i srebrem wymagającym nieustannego czyszczenia. Potrzeba do tego uwagi i staranności.

Młody chłopak w czarno-białej liberii wniósł filiżankę kawy na srebrnej tacy i z namaszczeniem postawił ją przed radcą. Już pierwszy łyk aromatycznego napitku przyniósł Abellowi ulgę.

– Rozumiem, że to pani wezwała policję? Proszę opowiedzieć nam wszystko dokładnie.

Panna Monk poruszyła się niespokojnie. Abell obserwował pobielełe knykcie jej palców, kurczowo zaciśniętych na poręczu fotela.

– No więc... Zawsze wstaję o szóstej rano, tak aby ze wszystkim zdążyć. Pan wcześniej się budził. O równej siódmej pukałam do drzwi gabinetu, niosąc filiżankę kawy i maślanego croissanta. Dopiero o dziewiątej, gdy wstała już także pani Adele, szykowałam główne śniadanie na werandzie domu.

– Ale tego dnia stało się inaczej, prawda?

– Tak, rzeczywiście. – Wspomnienie feralnego poranka ponownie ścisnęło jej gardło. – Mam swój własny pokój w przybudówce dla służby, w ogrodzie. To jakieś sto metrów od domu. Przyszłam do rezydencji, otworzyłam drzwi kluczem i weszłam do kuchni.

– Chwila, czyli nocą państwo Rottenbergowie pozostawali w domu sami, bez służby?

– Takie było wyraźne życzenie pana. O godzinie dwudziestej pierwszej cała służba opuszczała dom. Oczywiście, kiedy odbywały się przyjęcia, wszyscy byliśmy na swoich stanowiskach do późnych godzin wieczornych.

– Czy poza panią ktoś jeszcze dysponował kluczem do drzwi wejściowych?

– Nie, klucz mam tylko ja. No i oczywiście państwo Rottenbergowie. I to ja wchodziłam pierwsza do domu. Nicolas pojawiał się koło siódmej, Steffen różnie.

– Kto jeszcze oprócz pani zajmował się rezydencją?

– Boy pokojowy, Nicolas May, to on przyniósł panu kawę. W razie potrzeby zajmował się także ogrodem. Kucharz Steffen Rothke, ale on dojeżdża codziennie z Oliwy.

– Jaki był zakres pani obowiązków?

– Do moich codziennych obowiązków należało utrzymywanie domu w czystości, robienie zakupów, obsługiwanie państwa podczas posiłków i generalny nadzór nad pozostałą służbą. W przypadku większych przyjęć miałam do pomocy jeszcze dwóch kelnerów zamawianych na mieście. Do dyspozycji państwa był jeszcze szofer, ale on także mieszkał poza rezydencją.

– Powróćmy teraz do tego feralnego poranka. Zostawiliśmy panią w kuchni, po szóstej rano. Co działo się dalej?

– Przygotowałam jak zawsze dzbanek z kawą i croissanta. Równo o siódmej zapukałam do drzwi. Nikt nie odpowiedział. Zdziwiło mnie to. Pan nigdy nie pozwalał mi czekać. To był bardzo miły człowiek, naprawdę... – kąci jej ust znowu zaczęły niebezpiecznie drżeć.

– Proszę się uspokoić. Nic już nie wróci życia panu Rottenbergowi. – Abell spojrział tęsknie na pustą filiżankę. – Ale jeśli opanuje pani nerwy i opowie nam dokładnie, co pani wie, może szybciej zamkniemy tę przykrą dla wszystkich sprawę. Pan Rottenberg na pewno pochwaliby takie podejście. Rozumie mnie pani?

Odpowiedziało mu ledwie dostrzegalne skinienie głowy.

– No więc zapukałam ponownie, potem jeszcze raz. Ale nie było odzewu. Wtedy pomyślałam, że musiało się stać coś złego. Zwłaszcza że pani Adele od dwóch dni przebywa poza domem, na wczasach w Karlsbadzie. Przestraszyłam się. Przemknęło mi przez głowę, że może pan zasnął. Wiem, że czasami skarżył się na serce. Nacisnęłam klamkę. I dalej już pan wie.

– Dla pewności spytam: niczego pani nie dotykała?

– Broń panie Boże! Upuściłam tacę... – stojący w milczeniu Kukulka wskazał radcy wzrokiem ciemną plamę na dywanie przy wejściu do salonu. – Zaczęłam krzyczeć. Przybiegł Nicolas, potem Steffen...

– Która to była dokładnie godzina?

– Dokładnie siódma piętnaście.

– No tak... – Abell poruszył się w niewygodnym fotelu. – A o której godzinie widziała pani pana Rottenberga poprzedniego dnia?

– Kilka minut przed dwudziestą pierwszą. Wychodząc z domu, zajrzałam jeszcze do pana, aby zapytać, czy nie przygotować mu herbaty na wieczór, czasami o to prosił. Ale podziękował mi i życzył dobrej nocy. Jeszcze schodząc po schodach, usłyszałam chrobot zamykanego zamka w drzwiach. To wtedy widziałam go żywego po raz ostatni. – Obtarła kolejną łzę.

– Rozumiem, panno Monk. Jeszcze jedno pytanie. W gabinecie znajdują się na pewno zwłoki pana Saula Rottenberga?

– Niestety, tak. – Panna Monk była bliska omdlenia. To był straszny poranek. Modliła się w duchu, aby skończył się wreszcie ten koszmar, w którym cały znany jej świat odchodził właśnie w przeszłość. A przyszłość była jedną wielką niewiadomą. Po latach udręki i upokorzeń odnalazła w tym domu bezpieczną przystań. A teraz wszystko legło w gruzach. Adele... Ta jęcza na pewno jej podziękuje. Nigdy nie przepadała za gojkami, do tego młodymi... Ale ona nie będzie wtedy milczała, nie będzie dłużej chroniła tej popapranej rodziny.

– Czy pani Adele Rottenberg została już powiadomiona o tym, co się stało? – głos policjanta przywrócił ją do rzeczywistości.

– Tak, dzwoniłam już do recepcji hotelu Excelsior. Pani przed wyjazdem

zostawiła mi numer. Najpóźniej jutro rano będzie z powrotem w domu. Pojechała z kierowcą, samochodem pana Rottenberga.

– Proszę jej przekazać, że odwiedzimy ją po jej powrocie. Teraz to już wszystko. Bez pozwolenia nikt ze służby nie może opuszczać rezydencji. Nie wolno także nikomu, powtarzam – nikomu, opowiadać o tym, co tu zaszło. Czy to jasne panno Monk?

– Tak, oczywiście. – Pokojowa uniosła zapuchnięte powieki. – Ale co właściwie mamy robić?

– To, co zwykle. Pucować dom, czyścić srebra, panno Monk.

Odpowiedziało mu spojrzenie pełne niemego wyrzutu. Było w tej kobiecie coś, co go niepokoiło. Nie była ładna, ale miała w sobie ten rodzaj godności, który rzadko widuje się u służby. Zastanawiała go jednak intensywność rozpacz widoczna w głębi jej ciemnych oczu. Panna Monk cierpiała jakby nieadekwatnie do całej sytuacji. Odszedł jej pracodawca, zapewne dobry pan, zgoda. Ale to jeszcze nie koniec świata, przynajmniej dla służby. Nie przeoczył jej historycznego zachowania. Obgryzionych do krwi paznokci. A także nagłej niechęci w głosie, gdy mówiła o Adele Rottenberg. Tak, panna Monk wymagała dodatkowej uwagi. Wszystko w swoim czasie.

– Linge, zabezpieczcie ślady – zwrócił się do towarzyszącego mu technika z policyjnego laboratorium. Małomówny dryblas cieszył się opinią wybitnie skrupulatnego i dokładnego pracownika i Abell zawsze w podobnych sytuacjach starał się go mieć do swojej dyspozycji. – Zwróćcie szczególną uwagę na tkankę pod paznokciami prawej ręki. Pobierzcie próbki i zbadajcie w naszym laboratorium. A my, Kukulka, przede wszystkim poszukamy kuli. – Abell podniósł się energicznym ruchem z fotela. – Gurtel – przywołał policjanta – teraz się przydadacie, przesłuchajcie pozostały personel. Co robili od momentu wejścia do domu, co widzieli, wszystko. Oczekuję zaprotokołowanej notatki. Potem obejrzymy teren.

W dwie godziny później wyszedł na podjazd. Czekał tu już na niego policyjny adler z kierowcą. Za plecami Abell zostawiał śmiertelną ciszę, przyczajoną w gabinecie Saula Rottenberga. Histerię panny Monk. Lepką kałużę na blacie. I czarną dziurę w twarzy trupa, przez którą wyciekło życie.

Ale rozciągająca się przed nim ulica należała już do innego świata. Ernststrasse wyglądała młodo, świeżo i światowo. Zupełnie jakby wycięto ją z turystycznego folderu reklamującego Sopot jako Monte Carlo Północy. Wszystkie domy okalały trawniki i opaski gazonów. Ich symetrię podkreślały równo przystrzyżone kule bukszpanów i cisów. Eleganckie wille rywalizowały ze sobą liczbą wykuszy, oszklonych werand, kaskadowych dachów i neogotyckich wieżyczek, krytych miedzianymi hełmami. Zza wpółotwartych okien dobiegały go dyskretne odgłosy budzącego się życia: brzęk roznoszonej porcelany, szmer

poleceń wydawanych służbie, hurgot przesuwanym na tarasach leżaków i krzeseł. Z neogotyckiej willi naprzeciwko doleciał go zapach świeżo parzonej kawy i dobrego cygara. Jedno z okien rozbrzmiało melodią puszczoną z patefonu.

Tak, Sopot był zdecydowanie świetnym miejscem do życia.

## 2.

Był czwartek, 11 kwietnia. Nieśmiałe wiosenne słońce przedzierało się przez ciężkie chmury nisko zawieszane nad Gdańskiem. Było chłodno. Porywisty wiatr metodycznie trząsał niepozamykanymi okiennicami domów. Abell nie przepadał za wiosną nad morzem. Pogoda bywała kapryśna. Często lało.

Teraz porywisty wiatr właczał zrudziałe dymy do kominów domów. Pierwsze krople deszczu spadły mu za kołnierz. Przebiegł kilka ostatnich kroków i wpadł do bramy. Wylegitymował się strażnikowi i wszedł do gmachu prezydium policji w centrum Gdańska, przy Karrenwall.

Nigdy nie lubił tej monumentalnej siedziby wybudowanej jeszcze na potrzeby policji cesarskiej. Ale jako członek grupy specjalnej prezydium policji nie miał wyboru. Tylko nieliczne wydziały Kripo, takie jak policja obyczajowa, czy grupa do spraw zwalczania lichwy znalazły cichą przystań przy Fleischergasse. Reszta skazana była na ten klaustrofobiczny budynek, w którym zawsze panował półmrok i nieodmiennie śmierdziało lizolem.

Mikroskopijny gabinet Abella miał przynajmniej tę zaletę, że położony był na parterze. Wiosną przez otwarte okno dobiegał go odurzający zapach kwitnących magnolii. Dzięki temu przynajmniej o tej porze roku mógł otwierać okno z nadzieją, że woń krzewów przytłumi śmierdzące wyziewy z kantyny. Rzucił notatnik na masywny stół, który odziedziczył po poprzednim lokatorze pokoju 107. Usiadł w fotelu i spojrzał na poszarzały herb Wolnego Miasta Gdańska wiszący na ścianie. Dwa pionowo ustawione krzyże wieńczyła królewska korona. Podobała mu się swojska archaiczność tego znaku. Symbolizowała to, co w Gdańsku było najlepsze: królewskie aspiracje i przywiązanie do tradycji, dumną przeszłość i hanzeatyckiego wolnego ducha. Pomyślał, że wkrótce krzyże zastąpi pewnie hakenkreuz, lepiej oddający sens nadchodzących czasów. Dla większości jego kolegów Wolne Miasto Gdańsk było bękartem traktatu wersalskiego, tworem poronionym i niechcianym. To mikroskopijne państwo miało swój herb, hymn, walutę, rząd, a nawet paszporty. Ale nie miało wyznawców. Abell należał do przegrywającej mniejszości. Dawno już pogodził się ze zmierzchem starego świata. Rozpadał się on na jego oczach każdego dnia. I każdej nocy pełnej pochodów, werbli i krwistych sztandarów. Nie miał dokąd uciec. Jego jedyną zbroją była praca. Jedynym schronieniem – ta cela o łuszczących się ścianach, przesiąkniętych zapachem kapusty i smażonego mięsa.

Spojrzał na zegarek. Musiał już iść. Szef Kripa, komisarz Adolf Mohl wezwał go na dwunastą do swego gabinetu na pierwszym piętrze. Był jednym z nielicznych ludzi w tym ponurym gmachu, których Abell szanował. Dlatego nie zamierzał się spóźnić choćby o minutę.

W drzwiach gabinetu komisarza minął się z radcą Alexem Plaskowitzem. Przywitali się mocnym uściskiem dłoni. Od pewnego czasu spędzali ze sobą więcej czasu. Abell pomyślał, że gdyby miał wskazać tu kogoś, z kim łączyły go nie tylko służbowe więzi, zapewne zdecydowałby się właśnie na niego. Plaskowitza wyróżniała inteligencja i żelazna logika w rozumowaniu. Zawsze też pachniał dobrą wodą kolońską.

Komisarz nie wyglądał na nadzorcę Kripa. Był wysoki, szczupły i zawsze schludnie ubrany. Miał twarz wiejskiego nauczyciela, tylko przypadkiem rzuconego przez los do walki z portowymi dziwkami, wciągaczami kokainy, szmuglerami i oszalałymi rzeźnikami, wypruwającymi flaki swoim niewiernym kobietom. Zachowywał się powściągliwie i nigdy nie tracił nad sobą panowania.

Ale tylko sam Mohl wiedział, że to jedynie pozory. W rzeczywistości nienawidził swojej pracy i otaczających go ludzi. Po powrocie do domu długo mył ręce. Szorował do bólu, do krwi wysuszone ciało, aby pozbyć się oblepiającego go wymaginanego smrodu ludzkiego potu, wymiocin i krwi, przywierającego do niego natychmiast po wejściu do ponurego gmachu przy Karrenwall. W nocy śnił ciągle ten sam sen. Ohydny węgorz wślizgiwał mu się przez usta i wędrował przez wnętrzności, kłusząc boleśnie zawsze wtedy, gdy on usiłował uwolnić się od koszmaru. Rano budził się rozbity i zlany potem, brzydząc się własnej niemocy.

Wcześniej był prokuratorem i dobrze czuł się w tamtej roli. Ludzką menażerię oglądał jak zza szyby, z wysokości swego prokuratorskiego urzędu. Teraz codziennie musiał taplać się w szambie, które napawało go odrazą.

Jego gabinet wyglądał równie poprawnie jak właściciel. Ciężkie meble gdańskie sąsiadowały z biblioteczką z dykty. Na ścianie wisiał portret prezydenta Hindenburga. Gdańsk nie należał do Rzeszy, ale komisarz najwidoczniej nie przyjmował tego do wiadomości. Dla niego świat, z którym się utożsamiał, skończył się w roku 1918.

W skupieniu wysłuchał krótkiej relacji Abella z porannych wydarzeń. Tylko raz podniósł swe zmęczone oczy, gdy radca zacytował treść pożegnalnego listu samobójcy.

– No tak, znałem go. I jego żonę Adele też. Spotkałem ich na jakimś przyjęciu. Wiedziałem, że prowadzi dużą firmę budowlaną. I że jest w Sopocie posiadaczem najcenniejszej kolekcji obrazów i dzieł sztuki. Bardziej wartościowej niż niegdysiejsze zbiory Ernsta Claaszena[4]. Wydawał mi się porządnym obywatelem. Ale, jak widać, nigdy nie wiadomo, co siedzi w drugim człowieku.

Abell odpowiedział nieokreślonym skinieniem głowy. Szanował komisarza

Mohla, ale nie spodziewał się po nim zbyt wiele. Jak po większości swoich przełożonych, z którymi przyszło mu pracować.

– Kiedy wraca pani Rottenberg? – Mohl wyciągnął w jego kierunku pudełko cygar, ale Abell odmówił uprzejmym ruchem ręki. Nie palił od kilku lat. Gdyby jeszcze nie to upodobanie do jałowcówki i likieru goldwasser... Na wspomnienie wczorajszego wieczoru ponownie poczuł tępy ból w głowie.

– Służąca twierdzi, że jutro w południe.

– Sprawa wydaje się oczywista, ale nie możemy jej zamknąć przed pańską rozmową z panią Rottenberg. Prokurator jest podobnego zdania. Tyle jej się od nas należy. Proszę stawić się na odprawie u mnie w sobotę o dwunastej w południe. Oczekuję, że do tego czasu porozmawia pan z panią Rottenberg, przesłucha, kogo trzeba, odbierze opinię od doktora Martensa i sporządzi końcowy raport. Z pewnych względów, o których nie teraz, nie możemy przeciągać sprawy, zwłaszcza tak oczywistej. To wszystko, Abell. Niech się pan bierze do roboty.

### 3.

Dochodziła godzina siedemnasta. Strugi deszczu bezlitośnie smagały korony drzew przy Nordstrasse. Blade niebo miało kolor repusowanej miedzi. Wyczuwał bliskość morza zwiastowaną przez zapach zgniłych wodorostów, słonej wody i skrzek mew wirujących na ołowianym niebie. Podniósł kołnierz płaszcza i przyspieszył kroku. Ulewa miała lada chwila rozszaleć się na dobre. W bramie wiodącej do Kakadu strząsnął z palta krople deszczu i pchnął drzwi wejściowe.

Lubił tę restaurację. Miała swój klimat i świetnego kucharza, który przybył do Sopotu aż z Alzacji. Natychmiast uderzyła w niego woń tytoniowego dymu i nieprzetrawionego alkoholu. Z głębi lokalu dobiegała kakofonia podnieconych głosów, brzdęku sztucców i konwulsyjnie granego charlestona. Kakadu brało swoich gości w jasyr od pierwszego momentu, odcinając ich niewidzialną zasłoną od świata pozostawianego za drzwiami. Na zewnątrz pozostawały zimne obiady podawane przez mało apetyczne małżonki, karciane długi i prześladowcy z pracy w pancernych kołnierzykach *vatermoerder*. Tu można było na kilka godzin zapomnieć o nocnych koszmarach, zgubić codziennego pecha i wszechogarniające małe nieszczęścia. W Kakadu dawano nie tylko dobrze zjeść i wypić. Główną atrakcją były występy renomowanych kabaretów i popisy długonogich tancerek.

– Witamy pana radcę w naszych skromnych progach. – Louis Ernst, właściciel lokalu, wyrósł nagle na drodze Abella. Ernst ważył dobre sto pięćdziesiąt kilogramów i miał małe świdrujące oczka. Umiał się odpowiednio ustawić i podobno znał każdego, kogo trzeba. Miał jeszcze kilka innych lokali w Sopocie, w tym tłumnie odwiedzany Indra Palast naprzeciwko kasyna, i dbał o dobre stosunki z władzą. – Stolik dla stróża prawa?

Nie czekając na odpowiedź, skinął na kelnera i po chwili Abell zasiadł przy stoliku z dobrym widokiem na scenę, na której wirowały roznegliżowane tancerki.

– Butelka goldwassera na koszt firmy dla pana radcy.

– Nic z tego, Ernst. Jestem na służbie. Dobrze pan wie, że nie przyjmuję takich podarunków.

– Pan każe, sługa musi. – Ernst rozłożył ręce w geście udawanego rozczarowania. – Moje tancerki są wprawdzie nietykalne, a goście mogą pożerać je tylko wzrokiem – wskazał grubym paluchem na parkiet – ale dla pana zawsze możemy zorganizować jakąś panienkę z miasta. Jestem do dyspozycji.

I oddalił się, torując sobie swoim potężnym cielskiem drogę w tłumie.

Abell zamówił czwartą już tego dnia filiżankę kawy i omiół wzrokiem wypełniający się powoli lokal. Martin się spóźniał. Przy stoliku naprzeciwko zawzięcie dyskutowało trzech mężczyzn. Temperatura dyskusji była wprost proporcjonalna do ilości wypitego machandla.

– Kurwa, Hansi, czy ty nigdy tego nie przyswoisz? Pijesz machandla jak baba. – Jeden z biesiadników o bordowej twarzy nałogowego pijaka usiłował wytłumaczyć towarzyszowi, jak prawidłowo należy pić kultowy gdański trunek. – Jesteś z Brombergu, zgoda, kurwa, nie stąd, ale nie rób nam wstydu. Liczy się kolejność, Hansi, jebana kolejność. *Eins, zwei, drei!* Patrz, do kurwy nędzy, i ucz się!

Chwiejnym ruchem zademonstrował rytuał dobrze znany nad Motławą.

– Patrz, Hansi, nie spuszczaaj ze mnie tych swoich pedalskich oczek. Ostatni raz ci tłumaczę.

Do pustego kieliszka włożył suszoną śliwkę nabitą na wykałaczkę, a następnie zalał wszystko likierem. Beknął potężnie i powrócił do pokazu.

– Teraz trzeba zjeść śliwkę, wkładając sobie pestkę pod policzek, o tak. W lewej dłoni trzymasz wykałaczkę, w lewej, nie w prawej. W prawej trzymasz kieliszek. A potem najprzyjemniejsze: duszkiem wypijasz wódkę. Ale uwaga! Nie możesz połknąć pestki! Następnie wypluwasz pestkę do pustego kieliszka, tak jak ja teraz. I kończymy, przełamujemy wykałaczkę i zostawiamy ją w pustym kieliszku. Proste? Teraz ty, od początku.

Na scenie wirowały trzy tancerki. Jedna z nich co chwilę spoglądała na Abella taksującym wzrokiem. Widywała go już w tym lokalu, ale raczej rzadko. Na pewno nie należał do stałych bywalców. Zapewne był kimś. Zauważyła powitalne umizgi szefa. Zapamiętała, że nigdy nie wychodził z żadną z dziewczyn. A mógłby, gdyby tylko skinął palcem. Elegancko ubrany, wysoki blondyn. Wyczuwała sprężystość mięśni i czujnie napięte ciało. Raz spojrział na nią przeciągle swoimi jasnymi szarymi oczami, ale zobaczyła w nich tylko rozbawienie. Na pewno nie namiętność.

– Przepraszam za spóźnienie. Mam nadzieję, że mnie za to nie aresztujesz.



– Jego spóźniony towarzysz dotarł wreszcie do stolika.

– To zależy od tego, kto płaci rachunek. Ale na wszelki wypadek zabrałem ze sobą kajdanki. – Christian przywitał się serdecznie z przyjacielem.

Lubił towarzystwo Martina Becka. Znali się jeszcze z czasów studiów w Monachium. Abell przez kilka semestrów zgłębiał tajniki historii sztuki. Beck wybrał architekturę. Po latach spotkali się nad Bałtykiem. Cenili swoje towarzystwo, chociaż trudno byłoby ich nazwać parą nierozłącznych przyjaciół. Spotykali się rzadko. Ale obaj kultywowali tę znajomość. Niegdyś głównie na tenisowym korcie, teraz w lokalach. Wzajemnie ciekawiły ich odmienne światy, w których przebywali. Beckowi imponowała inteligencja i wewnętrzna uczciwość kolegi. Od czasu rozstania z żoną Abell był bardziej zgorzkniały, ale nie cyniczny. Martin nie zawsze rozumiał decyzje i życiowe wybory przyjaciela. Wiedział jednak, że w godzinie próby mógłby na nim polegać. Nie znał nikogo, o kim mógłby powiedzieć to samo.

Z kolei Abella wyraźnie interesowały architektoniczne projekty Becka. Cenił jego talent i kibicował sukcesom. Zawsze po alkoholu podkreślał, że w przeciwieństwie do niego Martin tworzy i buduje coś trwałego. On jako policjant pozostawia po sobie tylko emocje: nienawiść jednych i satysfakcję drugich. Ale Martin wiedział, że jego przyjaciel w rzeczywistości nie zamieniłby swojej pracy na żadną inną. Często Abell powtarzał mu: „W mojej branży jest wina i jest kara. To czytelne reguły. Pozwalają rano wstać z łóżka i żyć dalej na przekór wszystkiemu”.

– Ile to już miesięcy od naszej ostatniej popijawy, Christian? Trzy, cztery?  
– Beck pstryknięciem palców przywołał kelnera. – Moja żona się w tobie skrycie kocha, ale zapowiedziała mi stanowczo, że jeśli jeszcze raz wrócę do domu o szóstej rano, to rozejrzy się za kimś młodszym.

– Ja jestem młodszy od ciebie. Obiecuj, że jej o tym przypomnisz  
– uśmiechnął się Abell. Zapowiadał się miły wieczór. Akurat to było mu dzisiaj potrzebne.

Zamówili zupę z raków, cielece klopsy po królewiecku w sosie koperkowym i cienkie paprykowe kiełbaski na zagryzkę. Do tego tradycyjnie – karafkę goldwassera na lodzie.

– Prosit, Christian, za spotkanie! – Martin Beck uniósł w górę kryształowy kieliszek, oglądając pod światło wirujące drobinki złota. – Ucieszył mnie twój dzisiejszy telefon. Pewnie masz do mnie jakiś interes?

Przez następnych kilka minut Abell opowiadał przyjacielowi o wydarzeniach dzisiejszego poranka w pewnej secesyjnej willi przy Ernststrasse. Był pewien jego dyskrecji, ale i tak pominął drastyczne szczegóły. Beck słuchał z wyczerpaną uwagą.

– Powiem szczerze, samym faktem korupcji nie jestem zaskoczony  
– stwierdził, gdy Abell skończył. – Sopot rośnie jak na drożdżach. Jeszcze dziesięć

lat temu był tylko dużą letniskową wsią. Teraz mieszka tu ponad dwadzieścia tysięcy ludzi! Z reguły zamożnych fabrykantów, bankierów, adwokatów i rentierów. Dlaczego lecą tu jak pszczoły do miodu? Rozejrzyj się: sensownie zaplanowane ulice, Kurhaus<sup>[5]</sup>, Łazienki Południowe i Północne, kasyno, komfortowe hotele i pensjonaty... A także restauracje, gdzie podają zupę z raków, machandla i goldwassera. Do tego parki, Opera Leśna, półkilometrowe molo i czyste plaże... A nawet hipodrom i tor saneczkowy. – W oczach Becka widać było blask. – Czy wiesz, że dziewięćdziesiąt procent sopockich mieszkań ma czystą wodę z wodociągu? W waszym średniowiecznym Gdańsku możecie o tym tylko pomarzyć! Tak, to miasto to perła. I w dodatku przyciąga jak magnes. Gdybyś spojrział na Sopot z lotu ptaka, ujrzałbyś równą siatkę ulic wiodących ku morzu. Poprowadzono je krawędziami wzniesień i dolinami, tak aby jak najpełniej wykorzystać walory przyrody. Ujrzałbyś zróżnicowaną, ale harmonijną zabudowę mieszkaniową. Składają się na nią eleganckie rezydencje, wille, czynszowe kamienice, pensjonaty, a także budynki wielorodzinne. Wyobraź sobie, że pierwszy plan urbanistyczny Sopotu powstał już w tysiąc dziewięćset dziewiątym roku! Wymyślono sobie miasto ogród i dzięki moim wybitnym kolegom architektom, takim jak Wilhelm Lippke<sup>[2]</sup> czy Paul Puchmüller<sup>[3]</sup>, w dużym stopniu udało się zrealizować to założenie. Sopot ma swój architektoniczny styl. Spójrz na historyzujące dekoracje z wysokimi ceramicznymi dachami, asymetrię brył, lukarny i wieżyczki. Na tę romantyczną, często baśniową kompozycję fasad! Ta malownicza odmiana historyzmu jest do dzisiaj znakiem rozpoznawczym miasta!<sup>[4]</sup> – Beck podniósł palec wskazujący do góry. – Ale jednocześnie to dżungla. Kwitnie spekulacja działkami. Rozbudowa miasta przyciąga wielkie pieniądze. Wszyscy są zainteresowani podtrzymaniem tego boomu: spekulanci gruntami, firmy budowlane, projektanci, nabywcy nieruchomości, wreszcie sami urzędnicy magistratu. Dobrze wiesz, stary, że tam, gdzie chodzi o pieniądze, pojawia się pokusa. Burmistrz Laue widocznie jej się nie oparł. Ale jedno mnie dziwi... – Beck pokiwał w zadumie głową. – Znałem starego Rottenberga. Projektowałem dla niego kilka domów. Zawsze płacił na czas. Miał artystyczną duszę. Erudyta, znawca sztuki. Bardzo kulturalny pan... Ta kolekcja, przecież słyszałeś... Jestem zaskoczony, że to właśnie on skorumpował burmistrza. Myślałem, że to raczej któryś z tych typów spluwających na podłogę i podpalających cygara guldenami.

– Sam się przyznał – odpowiedział mu Abell i machinalnie spojrział na parkiet. Rudowłosa tancerka nadal nie spuszczała z niego wzroku. Była atrakcyjna i świadoma swojej urody. Uzmysłowił sobie, że już dawno nie miał kobiety. Trwał w dziwnej ascezie i sam nie potrafiłby wyjaśnić jej przyczyny. Martin powiedziałby mu zapewne, że jest zbyt wymagający. Może... Zmusił się, aby powrócić do rozmowy. Jego towarzysz był kopalnią wiedzy o Sopocie i jego znajomość tematu mogła się niebawem bardzo przydać. – Co więcej – dodał

– firma Rottenberga dostawała kontrakty na rozbudowę Kasino Hotel. To pewnik. Komisja śledcza senatu nie ma wątpliwości, że przy budowie hotelu doszło do ogromnych nieprawidłowości.

– To nie fakt samej korupcji mnie szokuje, aż taki naiwny nie jestem. – Beck uniósł do góry kolejny kieliszek. – Ale powtarzam, byłem lepszego zdania o Rottenbergu.

– O nim później. Użyłeś określenia „dżungla”. To twój świat. Jakieś konkrety?

– No, Christian, nie spodziewasz się chyba, że podam ci teraz nazwiska łapówkarzy? Oczywiście dociera do mnie to i owo. Ale nie biorę udziału w tym procederze. Być może dlatego nie zaprojektowałem niczego wielkiego dla miasta. Jak wiesz, aktualnie mam fioła na innym punkcie.

Abell znał idée fixe przyjaciela. Było nią projektowanie tanich domów dla mniej zamożnych mieszkańców Sopotu. Jakiś czas temu odwiedził architekta na budowie takiego osiedla przy Grosse Katzenstrasse i był przyjemnie zaskoczony jakością i wyglądem osiedla. Trzypiętrowe domy z nieotynkowanej cegły, z dwuspadowymi ceramicznymi dachami wyglądały jak marzenie niemieckiej klasy średniej. Wszystkie miały idealne proporcje i niewielkie przydomowe ogródki. Beck kazał zasadzić w nich drzewka wiśni i czereśni – „żeby złamać pruski sznyt odrobiną domowego ciepła”. Ale aby zarobić na to „hobby”, jak mawiał, projektował także luksusowe wille i rezydencje dla zamożnej klienteli. Beck należał do sopockiej śmietanki towarzyskiej i Abell zamierzał to wykorzystać.

– Nie chodzi mi o nazwiska, ale o mechanizmy. – Abell przywołał kelnera i zamówił kolejną karafkę goldwassera. – Jestem policjantem i niewiele rzeczy mnie już dziwi. Ale, szczerze mówiąc, skala tej korupcji, o której wspominasz, trochę mnie zaskakuje. Mamy w Kripo obyczajówkę, ludzi do zwalczania kradzieży grupowych, a nawet lichwy<sup>[5]</sup> – ale nie do zwalczania korupcji. Wydawać by się mogło, że to takie przyjemne, spokojne miasteczko.

– Człowieku, nie widzisz, w jakim świecie ty żyjesz? – Na policzki Becka wypełzł ceglasty rumieniec, znak, że alkohol zaczął działać. – Myślisz, że szczytem ludzkiej niegodziwości jest zaszlachtowanie człowieka jak wieprza? Albo ucięcie tasakiem kutasa niewiernemu mężowi przez rozeżloną żonę?! Czytałem ostatnio o takim przypadku w „Zoppoter Zeitung”<sup>[6]</sup>. Jezu! No nie! Większym kurewstwem jest system oparty na łapówkarstwie i niejasnych koneksjach! Erich Laue miał wszystko – dokonania, wizję, społeczny poklask i szacunek. Ale w pewnym momencie uznał, że to za mało. Postanowił się jeszcze nachapać! Ci ludzie zbudowali cały system korupcji i zależności. Myślisz, że urzędnicy z magistratu brali pieniądze pod stołem, w grubych wypchanych kopertach? No nie! Te czasy już minęły! Grube ryby dostające od miasta kontrakty budowlane rewanżowały się

swoim dobroczyńcom w inny, bardziej wysublimowany sposób.

– Tak? A w jaki? – zainteresował się Abell.

– Wiesz, jak umarł radca budowlany Mienicke, odpowiedzialny w mieście za przebudowę Łazienek Południowych? W hotelu w łóżku na zawał serca.

– To w czym problem? Też bym tak chciał.

– Ano w tym – Beck uniósł pod światło kryształowy kieliszek – że w łożu miał luksusową kurwę, zafundowaną mu przez sponsora. Zajeżdżała staruszka, za dużo ruchu, za dużo emocji. Dogadzała mu co tydzień, w tym czasie gdy, jak sądziła pani Mienicke, jej zapracowany mąż doglądał inwestycji w mieście. Nie muszę ci dodawać, że na damę z takimi umiejętnościami pana radcy nie byłoby stać, nawet gdyby przebudował to miasto na Wenecję Północy.

– Prosit! – Beck wypił i wytrząsnął z kieliszka na podłogę ostatnie krople trunku. – A inne sposoby bezpiecznego transferu pieniędzy? Proszę bardzo! Sekretarz burmistrza Laue miał niebywałe szczęście w kasynie. Pewnego szczęśliwego wieczoru wygrał w ruletkę siedemnaście razy pod rząd! Tak przynajmniej wynika, z zapisów księgowych kasyna. Co za fart! Jak myślisz, do kogo później trafiły te pieniądze? Dobrze pan kombinuje, panie radco, do naszego nieodżałowanego burmistrza! Laue miał też działkę w Jelitkowie, formalnie należąca do jego kuzyna Manfreda. Tyle tylko, że Manfred to słup. Narkoman nieśmierdzący groszem. Złapali go kiedyś na przyjęciu dobroczynnym, jak patroszył torebkę żony wysokiego komisarza. Smród był na całe miasto! I taki leszcz miałby środki na zakup dwudziestu arów ziemi naprzeciwko zajazdu w Jelitkowie? Skąd, na litość boską?! – Pochylił się ku Abellowi. – Wierz mi, korupcja jest gorsza niż rak. A najgorsze jest to, że ryba psuje się od głowy. Nasi rządzący zbyt szybko zapomnieli o wielkim kryzysie. Jeszcze wczoraj ludzie żarli korę z drzew i gotowali zupę z pokrzyw. Wiesz, jaka do niedawna była najbardziej popularna potrawa w naszym kochanym hanzeatyckim Gdańsku? Woda po parówkach gotowanych w gospodach i zajazdach! A teraz Laue i jemu podobni fundują sobie nowe Bizancjum! Już Spengler prorokował upadek Zachodu, pamiętasz? Niech cię nie zmyli ten błogostan na sopockich plażach. Nie wszędzie pachnie fiołkami, Christian. Zwyczajni ludzie, którym żołądki nadal przywierają do kręgosłupa, są coraz bardziej umęczeni i zdesperowani. To dlatego wybrali człowieka znikąd. Aby wypalił żelazem cały ten trąd.

– Masz na myśli nowego kanclerza?

– Wiesz, dlaczego Hitler wygrał? – Beck uderzał teraz miarowo kantem dłoni w stół. – Bo jako pierwszy zrozumiał, że kluczem jest pogodzenie kapitału i pracy! Danie robotnikom ojczyzny, niemieckiej ojczyzny! Marks tego nie rozumiał. Nigdy nie powąchał tak naprawdę smrodu slumsów. Engels tym bardziej. Obaj pisali o robotniczym raju, ale nigdy nie zakosztowali proletariackiego piekła. Komuniści oferowali ludziom wszechświatową wspólnotę. Co to, kurwa, znaczy?

A ludzie potrzebują czegoś namacalnego. W głębi duszy są patriotami, niektórzy wręcz nacjonalistami. Chcą być Niemcami, dumnymi ze swojego kraju! I ten austriacki kapral im to dał. Odczytał ich myśli i pragnienia lepiej niż ci mądrale z pince-nez[6] w oku. On przywraca ludziom dumę, symbole, armię. A Thyssenowi, Kruppowi i spółce powiedział wprost: „Niemcy was potrzebują, waszych pieniędzy, talentów i technologii. Ale musicie się samoograniczyć. Zadbać o ludzi pracy. Kto to zrozumie – nie ma się czego bać. Kto tego nie pojmie – wyląduje na śmietniku historii”. Erich Laue najwidoczniej tego nie ogarniał. No ale ciebie chyba nie przekonam. – Odgarnął niesforny kosmyk włosów opadający mu na czoło. – Z tego, co pamiętam, nie przepadasz za nazistami.

– Powiedzmy, że jestem krytycznie nastawiony. – Abell położył sobie na talerzu kraba, którego doniósł kelner. – Widziałem raz Hitlera na wiecu u nas w Gdańsku. To szaleniec. To, co proponuje, jest chore. Ale nie lekceważę go. Przeciwnie. Bóg jeden raczy wiedzieć, czym to się skończy. No i ta otaczająca go świta, te typy w mundurach SA. Tępe ryje, sami neandertalczyki. Widziałeś głowę szefa SA, Ernsta Röhma?

– Dajmy z tym spokój, napijmy się. – Beck poprawił się w fotelu. – Ja tak naprawdę też się ich obawiam. Ale myślę, że mają trochę racji...

Abell pomyślał, że jego kompan zmienił się od ich studenckich czasów. Nadal miał regularne rysy, prosty nordycki nos i grzywę gęstych włosów. A także przyjemne usposobienie, dzięki któremu z takimi sukcesami emablował niegdyś monachijskie panny. Ale na jego czole pojawiły się pierwsze bruzdy, a cera nabrała ziemistego koloru. Kiedyś regularnie grywali w tenisa na kortach Zoppoter Lawn przy Annestrasse. Od pewnego czasu jednak Becka coraz bardziej pochłaniała praca, co skutkowało wyraźnie widocznym na brzuchu wałkiem tłuszczu.

– Wspomniałeś o Rottenbergu. Dobrze go znałeś? – Abell rozpiął guziki w kołnierzyku i dolał przyjacielowi wody Selters do szklanic.

– Jak mówiłem, kilka razy miałem z nim styczność. Oczywiście nie należałem do jego kręgu towarzyskiego, jeśli o to ci chodzi. Wiadomo, to Żyd. Ale z tego, co do mnie dotarło, chyba niezbyt prawowierny. Raczej kosmopolita. Człowiek wolny, obywatel świata. To o tyle dziwne, że część rodziny Rottenbergów to prawdziwi ortodoksi. Niegdyś nie żalowali pieniędzy na synagogę przy Roonstrasse<sup>[7]</sup>. Podobno obok Königsfeldów, Bossów i Mendelsohnów<sup>[7]</sup> należeli do głównych darczyńców. Potem jeszcze sfinansowali budowę domu modlitewnego dla ortodoksów przy Seestrasse. Zabezpieczyli się u swego Jahwe na wszystkich frontach. – Wykrzywił twarz w sarkastycznym grymasie.

– Poznałeś jego żonę, Adele? – zapytał Abell.

– Tak, spotkałem ich nawet ostatnio w Operze Leśnej na festiwalu wagnerowskim. Pani Adele była zachwycona dyrygentem, Rogerem Hegerem<sup>[8]</sup>. Bardzo uprzejma, ale trochę zimna, taka królowa lodu. Stary był bardziej ludzki.

Gdy opowiadał o swojej kolekcji, zapominał o bożym świecie. Miał ogromną wiedzę na temat historii sztuki. Kiedyś mi powiedział, że ma firmę budowlaną tylko po to, by zarabiać na swoje cymelia. I wiesz co? Wierzę mu.

– A relacje pomiędzy nimi? – Abell pomyślał o czekającej go jutro rozmowie. Z reguły wzbraniał się przed rolą posłańca złych wiadomości. Najczęściej w takich sytuacjach wyręczał się Kukulką. Wachmistrzowi było najzupełniej obojętne, czy powiadamia o czyjejs śmierci, czy o końcu świata. Ale nie tym razem. Chciał spojrzeć głęboko w oczy Adele Rottenberg, aby odnaleźć w nich... No właśnie, co? Polarny chłód, rozpacz rozszerzającą źrenice czy może obojętność?

– Myślę, że byli dobrym małżeństwem. – Beck zabrał się za pałaszowanie krabów. – Ale bez ostentacji. Bardziej w anglosaskim niż żydowskim stylu, jeśli wiesz, co mam na myśli. Nie widziałem nigdy jakiegokolwiek gestu czułości, niczego... Lepiej porozmawiajmy teraz o pięknych kobietach. Wiesz, że ta dziewczyna z nogami do samej ziemi pożera cię wzrokiem? – Wskazał szczypcami do kraba tancerkę na parkiecie.

– Być może... – Abell obrzucił przelotnym spojrzeniem dziewczynę.

– I co?

– A co ma być?

Beck machnął zrezygnowany ręką, jakby odganiał uprzykrzającą się muchę.

– Nigdy nie mogłem za tobą nadażyć w tych kwestiach. Czy ty aby czasami nie jesteś zanadto wybredny? À propos, co u Evy?

– A skąd mam wiedzieć?

– Nie interesujesz się losem swojej byłej żony?

– Eva dokonała wyboru, Martin. Ma teraz swoje życie. Ja swoje.

– Nadal jest z tym bogatym dentystą z Monachium?

– Zlituj się, Martin. – Abell żartobliwym gestem zamknął przyjacielowi usta.

Eva... Minęło pięć lat, a ta rana ciągle jeszcze była świeża. „Za dużo tajemnic, Christianie, za mało słów” – to była jej ostatnia kwestia. Kiedyś obudził się w nocy i zobaczył, że żona przygląda mu się podparta na łokciach. „Jesteś teraz cały mój – wyszeptwała. – Tylko kiedy śpisz, nie boję się o ciebie. Należysz wtedy wyłącznie do mnie”.

Nie. Nigdy więcej nie da się zranić.

Ból ustąpił. Czuł przyjemny szum w głowie. Pomyślał o pustym łóżku w swoim mieszkaniu i mróz ścisnął mu serce. Za długo już jest sam. Stanowczo za długo. Stawał się coraz bardziej gruboskórny i powoli dziwaczał. Pracował bardzo intensywnie. Codziennie do późnego wieczora siedział w swojej celi owiewanej smrodem z kantyny. Myśli kierował wyłącznie ku zmasakrowanym zwłokom i okaleczonym ciałom, których tożsamość przechowywał w służbowych teczkach ze sparcałymi tasiemkami. W nocy, ale tylko czasami, śniły mu się kobiety, które

zniechęcił i odtrącił. Wilgotne usta Evy. Jej niecierpliwe palce wędrujące po jego podbrzuszu. Ciężkie piersi Karin... Gdy żegnał się z nią w Marienwerder[9], zostawił jej najcenniejszą rzecz, jaką posiadał – obraz Anselma Feuerbacha. Wiedział, że opuściła męża i kupiła sobie małe mieszkanie gdzieś na wyspie Helgoland. Raz dostał od niej kartkę pocztową z widokiem mlecznobiałych skał kredowych. Na odwrocie napisała: *Żyję od nowa. Na swój sposób jestem szczęśliwa. Ale gdybyś kiedyś...* Może jednak czynił jakieś postępy w swoich skomplikowanych relacjach z kobietami?

– À propos pięknych kobiet, bracie – z zamyślenia wyrwał go głos przyjaciela. – Przypomniałem sobie, że poznałem kiedyś u Rottenberga jego współpracownicę. Niejaką Gabrielle Morel. Po historii sztuki na Uniwersytecie Fryderyka Wilhelma. Katalogowała kolekcję Rottenberga. Do tego specjalistka od Kabały. Młoda, zjawiskowa. Na pewno mogłaby ci dużo o nim powiedzieć. Z tego, co się zorientowałem, często bywała w jego domu. Wymieniliśmy się numerami telefonów, bo ciekawił ją mój nowy projekt w Sopocie.

– To dobry pomysł. Mógłbyś mnie z nią umówić na przykład na przyszły wtorek?

– Może lepiej na środę rano na korce w Sopocie? Gabi tam będzie. Raz w tygodniu, o dziewiątej rano, razem ze swoją koleżanką, niejaką Hildebrandt, wysoką jak tyka do fasoli, grywa w tenisa. A i my możemy przy okazji trochę się poruszać. Dawno nie graliśmy i czuję, że teraz nie miałbyś szans. Może się wreszcie zakochasz, bo dziewczyna ma piękne nogi. Gdyby nie moja Trudi... – westchnął żałośnie.

– Chciałbyś. Ale nie ma sprawy. Jesteśmy umówieni, Martin.

Przy ich stoliku wyrósł jak spod ziemi Kukulka.

– Szefie, już jestem, wedle rozkazu. Jeśli pan sobie życzy, możemy już jechać.

Abell pomyślał, że wachmistrz jest nieoceniony w takich sytuacjach. Będzie go wiózł przez uśpione miasto i nie zada ani jednego zbędnego pytania. Łączyły ich wspólne tajemnice i więzy, o których nie potrzeba było przypominać. Wystarczy, że były.

Kiedy wychodzili, przepuścił lekko zawianego Becka przodem, a sam odwrócił się w stronę parkietu. Rudowłosa piękność ciągle tam była... Zawahał się i zatrzymał w progu.

Kiedy rano otworzył ciężkie powieki, pierwsze, co zobaczył, to zgrabna kobieca noga oparta o brzeg łóżka. Spod wółprzymkniętych powiek śledził, jak kobieta leniwym ruchem naciąga pończochę. Podniósł wzrok i ujrzał burzę włosów i dziwnie znajomą twarz o murzyńskich napuchniętych ustach.

– Muszę lecieć. Jestem Angela. – A widząc jego nierozumiejący wzrok, dodała cicho, jakby usprawiedliwiając swą śmiałość: – Kochaliśmy się tej nocy

kilka razy. Byłeś niezmordowany. Ale ani razu nie zapytałeś, jak mam na imię. No więc jestem Angela. – Była już przy drzwiach, ale nagle się zawahała. – Spotkamy się jeszcze?

Odpowiedział jej, nie otwierając oczu.

– Słuchaj, jestem ci wdzięczny za tę noc. Oboje tego chcieliśmy. Ale na pewno nic ci nie obiecywałem.

– To prawda. Niczego nie obiecywałeś. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Nie wiem, może... – Odwrócił głowę w jej stronę i uniósł powieki.

Ale w pokoju nie było już nikogo.

#### 4.

Wstał i otworzył okno. Piątkowy poranek był równie dżdżysty jak wszystkie poprzednie w tym wyjątkowo mokrym kwietniu. Szare niebo przeciekało niczym dziurawy durszlak, zmywając wszystkie brudy położonego pod nim miasta. Krople wody z nieubłaganą zaciekłością bębniły w blaszany parapet. Na podwórku gromadka dzieci taplała się w kałuży, rozbryzgując bosymi stopami fontanny wody. Przejeżdżający ulicą konny furgon z trudnością pokonywał śliskie nierówności bruku. Stropiony woźnica smagał batem utrudzone zwierzę. Gdańsk budził się do życia.

Wszedł do łazienki. Na lustrze zauważył wypisany szminką numer telefonu. Angela... Zaciskając zęby, wziął zimną kąpiel. Potem stanął nagi i ociekający wodą przed otwartym oknem, pozwalając, aby osuszyło go to powietrze przesycone wilgocią i solą. Po drugiej stronie ulicy drgnęła firanka. Pani Witte była na stanowisku. Zapewne oglądała go teraz przez swoją lornetkę teatralną. Kiedyś zdradził ją błysk soczewki. Koniec przedstawienia, droga pani Witte – zasunął zasłony w oknie. Czasami mijał na ulicy jej męża, opasłego buldoga wciśniętego w brązowy mundur SA. Mężczyzna kłaniał się niechętnie, odsłaniając w wymuszonym uśmiechu zepsute zęby. Ciekawe, czy wiedział o nietypowych zainteresowaniach swojej żony, kształtnej czterdziestolatki nadużywającej karminowej pomadki do ust.

Godzinę później Abell był już w pracy. Kukulka spojrzał z uznaniem na jego śnieżnobiałą koszulę i grafitowy garnitur z angielskiej wełny.

– Jedziemy na bal, szefie?

– Przeciwnie Kukulka, na stypę.

Policyjny adler z łagodnym westchnieniem zatrzymał się na podjeździe domu Rottenbergów. Wczorajszego poranka Abell był zbyt zaaferowany, aby przyjrzeć się dokładnie domostwu. Teraz postanowił nadrobić to zaniedbanie.

Równy przystrzyżony dwuszereg ligustrowych krzewów wyglądał jak



kompania honorowa strzegąca wejścia do tego komfortowego domu. Nieśmiałe słońce ożywiało zielen trawnika.

Dwukondygnacyjną willę cechowała prostota. Gołym okiem można było zauważyć wysoką jakość wykonania. Rezydencja utrzymana była w modernistycznym stylu, co korzystnie wyróżniało ją spośród bogato zdobionych eklektycznych domów po obu stronach Ernststrasse.

Do głównego wejścia wiodły kamienne schody zakończone szerokim tarasem przed samymi drzwiami wejściowymi. Duże okna bez szprosów podkreślały prostą kubistyczną formę domu. Całość spinał ceramiczny dach w kolorze zgniłej pomarańczy. Architekt prostotę formy zrekompensował użyciem najszlachetniejszych materiałów: grenlandzkiego granitu, naturalnego kamienia, jasnego piaskowca i brązu, z którego odlana była kratownica drzwi wejściowych. Państwo Rottenbergowie na pewno mieli dobry gust. I nie lubili ostentacji.

Nie zdążył nacisnąć klamki, gdy drzwi bezszelestnie się otworzyły. Panna Charlotta Monk dygnęła przed nim na powitanie i bez słowa wskazała mu drogę do salonu. Tym razem w jej podkrążonych oczach dostrzegł nie tylko rozpacz, ale także coś na kształt złośliwej ciekawości.

Pani Rottenberg jeszcze nie było w salonie. Rozejrzał się po wnętrzu. Nie było wątpliwości, że to dom bogatego fabrykanta, właściciela zbioru dzieł sztuki, które śmiało mogły konkurować z najbardziej uznanymi kolekcjami.

W przeciwieństwie do surowego gabinetu pana domu salon przytłaczał bogactwem i klasą zgromadzonych tu przedmiotów. Pod wszystkimi ścianami stały masywne kredensy w gdańskim stylu. Wypełniały je porcelanowe serwisy z manufaktury Rosenthala i z Miśni. Obok nich – przeszklone witryny i gabinety eksponujące zbiór medali i morskich muszli oprawionych w srebro i szlachetne kamienie. Naprzeciwko drzwi pod dużym oknem stała długa ława, otoczona skórzanymi fotelami i zgrabnymi gueridonami[10]. Podłogę z wędzonego dębu, ułożonego we wzór wersalski[11], pokrywały perskie dywany w łososiowo-purpurowe romby i szachownice. Prawie wszystkie ściany zdobiły kryształowe lustra odbijające blask wyczyszczonych sreber, porcelany i mosiężnych okuć. Na jednej rozpościerała się tapiseria. Podeszedł bliżej: scena ukazywała damę z jednorożcem. Zwierzę złożyło kopyta na kolanach damy, skłaniając swój róg w wiernopoddańczym geście. Wokoło powiewały brabanckie proporce wyszywane złotą nicią.

– To ulubiony gobelin mojego męża – dobiegł go cichy głos od drzwi wejściowych. – Z manufaktury w Arras. Chętnie bym panu opowiedziała o nim coś więcej, ale... może nie teraz.

Abell odwrócił się i ujrzał wpatrzona w siebie oczy Adele Rottenberg. Wdowa ubrana była w czarną skromną sukienkę. Nie miała na sobie żadnej biżuterii. Także – na co zwrócił uwagę – nie miała ślubnej obrączki. Nie była

pięknością. Z biegiem lat, jak u wielu Żydówek, jej rysy się wyostrzyły, nadając wyrazowi twarzy pewnej drapieżności. Zapewne traciła włosy, co ledwie maskowała ciemna ażurowa chusta, upięta na czubku głowy. Wyglądała na swoje lata. Dłonie obsypane cielistymi plamami przypominały o przemijaniu. To, co było niegdyś witalne i świeże w tym ciele, odchodziło w przeszłość. Ale nadal trzymała się prosto. Nie skrywała rozpaczy malującej się na twarzy. Z godnością starała się pełnić honory pani domu. Sztywny gorset wewnętrznej dyscypliny, wychowania w sferach wyższych i zakodowanych powinności, trzymał w ryzach tę filigranową postać o wielkich smolistych oczach. Adele Rottenberg cierpiała i umierała tego dnia. Ale robiła to w sposób niekłopotliwy dla innych.

– Jestem radca Christian Abell z policji kryminalnej – przedstawił się uprzejmie. – Wyjaśniam sprawę śmierci pani męża. Proszę przyjąć wyrazy współczucia, pani Rottenberg.

Odpowiedziała mu ledwie widocznym skinieniem głowy.

– Czym mogę pana poczęstować?

– Poproszę filiżankę czarnej kawy, bez cukru i śmietanki.

Zasiedli w głębokich fotelach przy podokiennej ławie o intarsjowanym blacie. Abell z pewnym zdziwieniem zauważył, że intarsja powtarza motyw z gobelinu. Tym razem to dama pochylała się nad jednorozcem, głaszcząc go po długim świetlistym rogu.

Adele Rottenberg zauważyła jego spojrzenie.

– To pomysł Saula. Chciał mieć w salonie swoisty pendant, dopełnienie do gobelinu ze ściany. Lubił takie gry i rebusy.

Panna Monk wniosła srebrną tacę z parującym dzbankiem i zniknęła równie dyskretnie, jak się pojawiła.

– Pani Rottenberg... – Abell uznał, że czas już przystąpić do pracy. – Wiem, że zaraz po powrocie dokonała pani identyfikacji zwłok w obecności prokuratora Taubego i doktora Martensa. Domyślam się, że są to dla pani trudne chwile. Ale muszę zapytać, gwoli formalności. Czy mąż kiedykolwiek wspominał w pani obecności o samobójstwie? Czy zwierzał się, że ma jakieś kłopoty?

– Mój mąż miał swoje tajemnice, ja miałam swoje – odpowiedziała mu po kilku sekundach milczenia. – Nigdy nie zwierzał mi się ze sposobu, w jaki prowadził swoje interesy. Ale wiem, ku czemu pan zmierza... Nie, nie było żadnych znaków. Jego śmierć jest dla mnie absolutnym zaskoczeniem.

– Rozumiem, że o swoich relacjach biznesowych z burmistrzem Erichem Lauem również nie wspominał?

– Z Erichem i jego żoną byliśmy na stopie towarzyskiej. Bywaliśmy u siebie. Spotykaliśmy się na wyścigach konnych, balach charytatywnych i w Operze Leśnej. Nigdy nie słyszałam, aby rozmawiali o interesach.

– W takim razie o czym panowie rozmawiali, jeśli mogę spytać?

– O czym? O niczym ważnym – ściągnęła gniewnie brew. Po raz pierwszy odniósł wrażenie, że jest zirytowana jego pytaniami.

– Czy mam rozumieć, że w ogóle nie interesowała się pani sposobem, w jaki mąż zarabiał na to wszystko? – Abell zatoczył ręką krąg.

– Byliśmy małżeństwem, panie Abell. Ale każde z nas miało swoje własne, zastrzeżone tylko dla siebie terytorium. Nie wkraczaliśmy na ten teren bez zaproszenia. Może dlatego tak długo jesteśmy... byliśmy – poprawiła się, zagryzając wargę – zgodną parą.

– Czy mieliście państwo intercyzę majątkową? – Abell odstawił delikatnie porcelanową filiżankę z sygnaturą Rosenthala.

– Czy naprawdę muszę odpowiadać na te wszystkie pytania, panie Abell? I czy to ma jakikolwiek związek ze śmiercią mojego męża?

– Mamy do czynienia z największą aferą korupcyjną w historii naszego miasta, pani Rottenberg. Mamy już dwa trupy – burmistrza i pani męża, a w tle ogromne łapówki i niejasne powiązania. A pani mąż przyznał się w swym pożegnalnym liście, że to on był spiritus movens całego tego procederu. Nadal się pani dziwi, że pytam o pieniądze?

– Ma pan rację – odpowiedziała po chwili zmęczonym głosem. – Po prostu nie spodziewałam się, że to przesłuchanie będzie miało taki przebieg. Rzeczywiście mieliśmy podpisaną intercyzę małżeńską.

– Jak dokładnie wygląda podział majątku?

– Firma należała do męża. Ja zachowałam majątek wniesiony w chwili zawarcia małżeństwa. Pochodzę z zamożnego domu, panie Abell – powiedziała z nieskrywaną ironią. – Byłam już bogata, gdy mój mąż nie miał pieniędzy nawet na jeden ciepły posiłek dziennie.

– A słynna kolekcja dzieł sztuki? – odnotował w pamięci, że Adele wcześniej o niej nie wspomniała.

– Należała wyłącznie do męża.

– Byłem zdziwiony, że mąż nie eksponuje przynajmniej części zgromadzonych dzieł w swoim gabinecie.

– Kolekcja znajduje się w innej części domu. Stanowiła zawsze prywatne sacrum męża. Nie lubił pokazywać jej obcym, a w gabinecie przyjmował różnych ludzi.

– Rozumiem – Abell pokiwał głową. – To najzupełniej zrozumiałe. Pani Rottenberg, czy pani mąż miał w domu jakąś broń palną?

– Tak, od kiedy pamiętam. Chyba parabellum.

– Gdzie ją trzymał?

– Z tego, co wiem, po prostu w biurku.

A widząc jego zdziwione spojrzenie, dodała pospiesznie: – Nie mamy już w domu małych dzieci. Mieszkamy sami.

– Czytała pani list pożegnalny swojego męża. Proszę powiedzieć, czy zauważyła w nim pani coś dziwnego?

– Dziwnego? – Spojrzała na niego uważnie.

– Tak. Coś, co przy całej grozie tej sytuacji wydało się pani zastanawiające.

– Tak, ma pan rację. Zdumiało mnie użycie przez męża zwrotu „Szalom alejchem”. Czuł się Niemcem, a nie Żydem. A już na pewno nie był religijny. Zdziwiło mnie to. I jeszcze coś...

– Sposób, w jaki napisał pani imię?

– Właśnie – spojrzała na niego pociemniałymi oczami, w których wyczytał rozpacz i smutek. – Napisał dwukrotnie Adel, zamiast Adele... Nie potrafię tego pojąć. Tak, jakby dawał mi do zrozumienia, że to nie dzieje się naprawdę...

Indagował ją jeszcze pół godziny, wypytując głównie o służbę i zwyczaje panujące w tym opustoszałym wielkim domu. Na koniec poprosił o kilka listów napisanych odręcznie przez Rottenberga i zaczął zbierać się do wyjścia. Zegar wybijał godzinę trzynastą, gdy wsiadał na podjeździe do adlera. W jednym z okien na parterze zauważył nieruchomą postać w czepku zsuniętym na czoło. Charlotta Monk lubiła wiedzieć, co dzieje się w rodzinie Rottenbergów.

## 5.

Szybki obiad zjadł z wachmistrzem w restauracji Maria Arke przy Südstrasse. Nie cierpiał jedzenia w policyjnej kantynie i kiedy tylko mógł, omijał szerokim łukiem hałaśliwą jadłodajnię przesiąkniętą zapachem przesmażonego tłuszczu i cebuli. Teraz delektował się zupą rybną i obserwował spod oka młode dziewczyny spacerujące po ulicy. Wiatr podwiewał im kwieciste sukienki, odsłaniając szczupłe łydki i zgrabne uda. Przez chwilę poczuł się stary, ale szybko odgonił tę myśl. Na szczęście miał jeszcze dzisiaj przed sobą wystarczająco wiele absorbującej pracy.

Zakład medycyny sądowej, do którego zwożono zwłoki samobójców, przywitał ich charakterystycznym chłodem i wszechobecnym zapachem formaliny i środków dezynfekujących. Minęła godzina piętnasta. Max Martens czekał na nich w swojej pracowni. Właśnie napoczął jedną z wielu kanapek, piętrzących się na talerzu. Obecność zwłok Saula Rottenberga spoczywających na blaszanym łożu tuż obok najwidoczniej nie odbierała mu apetytu.

– Proszę, częstujcie się. Świeżutkie, z łososiem. A te są z salcesonem.

Abell pominął zaproszenie wzruszeniem ramion. Spojrzał na zwłoki Rottenberga. Były nagie. Dopiero teraz zauważył, jak bardzo wychudzone było ciało starca. Żebra napinały niebezpiecznie skórę, uwidaczniając płaskie zapadnięte podbrzusze. Skóra nabrała niezdrowego papierowego wyglądu. Przypominała chińską bibułę powlekającą mięśnie i kości. Przez udo prawej nogi przebiegała

stara blizna w kształcie rwanego zygzaka.

– Wygląda na pamiątkę z wojny. Chyba pocałował go odłamek szrapnela – Martens przełknął duży kęs salcesonu. – Ale to nie jedyne obrażenia. Spójrz na szyję. Nie mogłeś ich wczoraj zauważyć. Schowane były w fałdach skórnych szyi. Zakrywał je kołnierzyk koszuli.

Abell pochylił się nad zwłokami. Rzeczywiście, na skórze szyi widać było wyraźne wybroczyzny i zadrapania.

– Są świeże – zauważył.

– Tak, bez wątpienia. – Martens zakończył wreszcie posiłek i zeskoczył ze stołka. – Musiały powstać w dniu zgonu. Wygląda to trochę tak, jakby sprawca nie mógł pogodzić się z nadchodzącą śmiercią i być może machinalnie, prowadząc dysputę z samym sobą, podrapał się do krwi.

– Trochę naciągane wytłumaczenie. – Abell pokręcił głową, nie kryjąc sceptycyzmu.

– Być może. Ale nie mam na podorędziu żadnego innego. – Martens rozłożył szeroko ręce.

– Zauważyłem tkankę i krew za paznokciami prawej ręki Rottenberga. Kazałem technikowi pobrać próbki i ci przekazać. I co?

– Tak, Linge to solidna firma. Za paznokciami była tkanka i krew o takiej samej grupie, jak ta, którą ma Rottenberg. Musiał sam się podrapać, zapewne już się nie dowiemy dlaczego.

– Jakies inne wątpliwości? – Abell naciągnął prześcieradło na ciało. Następnie podszedł do szerokiego blatu, na którym złożona była odzież ofiary. Dokładnie obejrzał garderobę, sztuka po sztuce, uważnie wsłuchując się przy tym w to, co mówił doktor.

– Nie, jestem zdania, że to samobójstwo. – Martens uprzątnął ze stolika talerzyk po kanapkach i sięgnął po przygotowany przez siebie protokół. – Nie znalazłem żadnych śladów wskazujących na udział osób trzecich. Z mojego doświadczenia wynika, a siedzę w tym szambie już dwadzieścia lat, że jeśli przytomna osoba jest obiektem czyjejś przemocy, mającej doprowadzić ją do śmierci – to jej naturalnym odruchem jest obrona własna. To wtedy powstają te ślady, których tak skrzętnie szukamy na ciele ofiary. Mam na myśli, używając terminologii fachowej, którą tak kochasz – dodał z ironią – obrażenia obronne powstające przez zasłanianie się rękoma przed ciosami. A także ślady w postaci podbiegnięć krwawych wynikających z urazów, które miały trafić według zamysłu sprawcy w głowę, a trafiły w inne miejsce, najczęściej w kończyny górne... No więc, na ciele Rottenberga nie stwierdzam żadnych śladów ani obrażeń, które wskazywałyby na walkę lub obronę.

– Rozumiem. – Abell pokiwał głową. – A co sądzisz o tym?

Mówiąc to, pokazał doktorowi niewielką plamkę na koszuli zmarłego

z wyraźnie zaczernionymi krawędziami.

– Masz oko. Nie zauważyłem tego. – Martens sięgnął po okulary i pochylił się nad garderobą. – To może być zwykła zabrudzona dziurka. Myślisz, że powinienem to zbadać?

– Tak sędzę. A kiedy nastąpił zgon?

– Oceniam, że w momencie znalezienia zwłok, czyli kilka minut po godzinie siódmej rano, Rottenberg nie żył już od siedmiu, dziewięciu godzin. Oznacza to, że zastrzelił się między godziną dwudziestą drugą a dwudziestą czwartą. Potwierdza to także zatrzymana na zegarku wskazówka – dwudziesta druga trzynaście. Przyczyną śmierci ponad wszelką wątpliwość był strzał oddany z pistoletu. Lufa została włożona do jamy ustnej, za zęby. Jama ustna została zmasakrowana. Z tyłu głowy widoczny jest otwór wylotowy.

– Sądziś, że sekcja zwłok jest niepotrzebna?

– Tak myślę... Jak wiesz, rano pani Rottenberg zidentyfikowała zwłoki. Był przy tym prokurator Taube. I wdowa zadała tylko jedno pytanie. Zgadnij jakie?

– Zapytała, czy jej męża trzeba koniecznie pokroić?

– Dokładnie. Powiedziała coś w tym znaczeniu, że wolałaby sobie i mężowi tego oszczędzić. Taube, jak to Taube. Odpowiedział, że o tym zdecyduje policja po końcowym raporcie śledczych. Ale że on także nie widzi takiej potrzeby.

– No tak... – Abell postukał piórem w blat stolika. – Na nas już czas. Smacznego Max. Wracaj do swoich kanapek.

## 6.

Powrót do biura zajął im mniej czasu, niż się spodziewali. Adler, wprawnie kierowany przez Kukulkę, szybko przebił się przez zatłoczone o tej porze śródmieście.

Następnych kilka godzin Abell spędził w biurze, sumiennie pracując. Na całe popołudnie zakopał się w aktach. Kilka razy donoszono mu teczki ze sprawy korupcyjnej Lauego i Doenickego. Uważnie przestudiował protokoły przesłuchań obu aresztantów, czyniąc stosowne uwagi w swoim grubym ceratowym zeszycie ozdobionym wizerunkiem gdańskiego Neptuna. Wezwał także kilku policjantów, zaangażowanych w to śledztwo. Blisko godzinę konferował z radcą Plaskowitzem, który osobiście aresztował burmistrza w jego domu. Cenił radcę za jego nieszablonowe metody śledcze. Odkrył w nim także niezłego tenisistę i już kilka niedzielnych poranków spędzili razem na korcie.

Był wieczór, gdy dotarł do biblioteki miejskiej w Gdańsku i poprosił o zszywkę „Danziger Zeitung” i „Zoppoter Zeitung” z ostatnich dwóch lat. Wyszedł z biblioteki na końcu, gdy światło ulicznych latarni odbijało się już w kałużach, uważnie wymijanych przez ostatnich przechodniów. Na dworze nagle

się ochłodziło. Podniósł kołnierz marynarki. Poczuł wieczorny chłód, przenikający aż do szpiku kości. Długi pracowity dzień dobiegał końca.

Leżąc już w łóżku, próbował przywołać wspomnienie jędrnych piersi Angeli. Niespodziewanie przed oczami stanęła mu postać Saula Rottenberga. Właśnie pochylał się nad jego rozwartymi ustami, gdy stary nagle otworzył swoje zimne wygasłe oczy. Następnie chwycił go kurczowo za ramiona, tak jakby chciał mu coś powiedzieć, wciągnąć za sobą w tę czeluść, z której kiedyś wypływały słowa o pięknie, sztuce i miłości, a dzisiaj zionął jedynie trupi odór. Abell walczył rozpaczliwie, próbując oswobodzić się z uścisku, aż nagle zapadł się w senną otchłań, która ukoiliła wreszcie jego myśli i ciało.

## 7.

Sobota nie przyniosła zmiany pogody. Abell od rana ślęczał nad aktami sprawy. Gdy je odstawił, było już po godzinie jedenastej. Mimo przedpołudniowej pory miasto spowite było szarym woalem, utkanym z deszczu i mgły. W salce posiedzeń przy gabinecie komisarza Mohla na Abella czekał już doktor Martens, radca Plaskowitz oraz zastępca Mohla, komisarz o nazwisku Kellerman.

Franz Kellerman był ogólnie lubiany – bezpośredni, zawsze odpowiadał na powitanie i nie miał problemu ze skracaniem dystansu nawet z policjantami niższymi rangą. W kantynie często siadał z wachmistrzami, a nie z oficerami. Zaskarbiało mu to popularność wśród niższego personelu z Karrenwall. Uchodził za przenikliwego, metodycznego i sprawnego. Miał wyniki i komisarz Mohl powierzał mu najpoważniejsze sprawy.

Komisarz Adolf Mohl wszedł do sali równo w południe. Uważał, że punktualność była jedną z niewielu cnót, które można było jeszcze swobodnie kultywować. Poczucie obowiązku, honor, dobre obyczaje – wszystko to odeszło bezpowrotnie wraz z abdykacją cesarza.

– Panowie! Wezwałem was w sprawie śmierci Saula Rottenberga. – Komisarz przywołał na swoje oblicze wyćwiczoną minę skupienia i zdecydowania. – To poważany członek tutejszej społeczności. Dobroczynca wielu inicjatyw charytatywnych. Osoba ustosunkowana i wpływowa. To prawdziwa tragedia dla jego rodziny. Ale jego śmierć wstrząśnie naszym miastem nie tylko z tego powodu. To kolejne takie – przez chwilę szukał właściwego słowa – zdarzenie... I to w przeciągu miesiąca. No ale o tym za chwilę. – Mohl przerwał, odchrząknął i wypił łyk wody z oszronionej karafki. – Odebrałem wiele telefonów w jego sprawie od członków senatu – kontynuował. – Przebiegiem śledztwa interesuje się sam prezydent Ziehme. Musimy, co oczywiste, szybko wyjaśnić wszystkie okoliczności tej śmierci. Abell, był pan na miejscu. Z tego, co wiem, wszystko wskazuje na samobójstwo?

– Nie mam powodów, aby sądzić inaczej, przynajmniej na razie – powiedział ostrożnie Abell. – Ciało zostało znalezione przez pokojówkę kilka minut po siódmej rano. Drzwi były zamknięte od wewnątrz. Służba zwyczajowo spała poza domem w oddalonej o sto metrów przybudówce. Nie znaleźliśmy żadnych śladów wskazujących na udział osób trzecich. Rottenberg zostawił list, w którym tłumaczy motywy swojego czynu. Jego treść przekazałem panu telefonicznie w porannym meldunku. Bez wątpienia przyczyną śmierci był strzał z pistoletu P08 Parabellum kaliber 7,65 milimetrów.

– Z przyłożenia? – odezwał się dotychczas milczący Kellerman.

– Nie, strzał oddano w jamę gębową. Zabezpieczyliśmy spłaszczoną łuskę kaliber 7,65 we framudze okna.

– No i pięknie – komisarz potarł w skupieniu policzek. – Czas na pańską opinię doktorze.

– Panie komisarzu, panowie... – Martens rozłożył przed sobą fiszki zapisane równym charakterem pisma. – Zasadniczo mogę potwierdzić słowa radcy Abella. Śmierć nastąpiła w nocy, pomiędzy godziną dwudziestą drugą a dwudziestą czwartą. Sądząc po zatrzymanej wskazówce zegarka – być może dokładnie o dwudziestej drugiej trzynaście. Bezpośrednią przyczyną zgonu był strzał z pistoletu. Pocisk spenetrował język i gardło, a następnie kręgosłup szyjny w jego górnym odcinku oraz kanał kręgowy z rdzeniem. Do zgonu doszło natychmiast. Lufa została włożona głęboko, za zęby. Skąd to wiemy? Ano stąd, moi panowie, że jeśli lufa zostaje włożona za zęby, proch lub sadzę odnajdujemy na języku i podniebieniu. Tak właśnie było w przypadku Rottenberga. Natomiast gdyby samobójca wprowadził lufę do przedsionka jamy ustnej lub między wargi, odnaleźlibyśmy ślady powystrzałowe na zębach, błonie śluzowej dziąseł oraz wargach, a w mniejszej ilości – na języku i podniebieniu. W takim przypadku powstałyby także podbiegnięcia krwawe i drobne pęknięcia. Niczego takiego nie zauważyłem. Nie mam wątpliwości. To było samobójstwo.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza. Przerwał ją odległy sygnał syreny strażackiej. O tej porze roku w biedniejszych dzielnicach Gdańska często wybuchały pożary.

– Sprawa wydaje się oczywista – Abell zauważył, że Kellerman zabrał głos, nie pytając o zgodę komisarza. – Spodziewaliśmy się tego. Są dobre i złe aspekty tej sprawy.

Kellerman podszedł do tablicy w rogu pokoju i zaczął ją zapełniać swoimi kaligraficznymi znakami.

– Zaczniemy od złych. Pozornie samobójstwo upraszcza nam sprawę. Nie ma morderstwa, nie ma zbędnego śledztwa. Przynajmniej w tej konkretnej kwestii. Ale zamyka nam się w ten sposób pewna droga. Zapewne nigdy nie dowiemy się, jak Rottenberg korumpował burmistrza. Nie poznamy szczegółów tego procederu. Nie



dowiemy się, jak przepływały pieniądze ani jakie sumy były w grze.

– A dobre aspekty? – Abell nie spuszczał wzroku z Kellermana stojącego przy tablicy.

– Wiedziałem, że pan spyta. – Kellerman obdarzył Abella przeciągłym spojrzeniem. – To oczywiście, panie radco. Sam związek samobójstwa Rottenberga z aferą burmistrza Lauego. Przypomnijmy podstawowe fakty, bo nawet w tym gmachu pewne informacje były, hmm, nazwijmy to – reglamentowane. Erich Laue to legenda Sopotu. Przez ostatnich kilkanaście lat był najpierw burmistrzem, a następnie nadburmistrzem Sopotu. Od trzech lat na emeryturze. Od roku tysiąc dziewięćset dwudziestego przysługiwał mu również tytuł starosty sopockiego. Uwielbiała go prasa i sami mieszkańcy. Równie popularny wśród sopockich służących, co wśród bywalców kasyna. Określano go mianem „wielkiego budowniczego” i „ojca Sopotu”. – Komisarz skrzywił się ironicznie.

– Chyba sobie na to zasłużył? Pamiętam Sopot sprzed dziesięciu laty – przerwał mu Martens. – Po polach hasały zające, a panienki dawały bezpośrednio na plaży. Nie było nawet koszy plażowych, jak teraz.

– Doceniam pański sarkazm, doktorze, naprawdę – uśmiechnął się krzywo Kellerman. – Ale Erich Laue oszukał wszystkich. To prawda, rozbudował Sopot. To za jego rządów przebudowano molo, rozbudowano dom zdrojowy, Operę Leśną oraz korty tenisowe. To on ściągnął do miasta inwestorów i wielkie pieniądze. Wszystko po to, aby – jak mawiał – „uczynić z Sopotu bałtyckie Monte Carlo”. Ale niestety, nie robił tego bezinteresownie.

Kellerman podszedł ponownie do tablicy i wskazał palcem na wypisaną na niej nazwę. – Kasino Hotel! To jest właśnie klucz do sprawy Lauego! Przypomnę, że w dwudziestym pierwszym kasyno, będące dotychczas przedsięwzięciem prywatnym, zostało przekształcone w spółkę Zoppoter Kasino GmbH. Większościowe udziały objęło w niej miasto, ale liczącym współudziałowcem stał się też Związek Gmin Wolnego Miasta Gdańska. Burmistrz uzyskał dostęp do konfitur. Wielkiego słoja konfitur, panowie. – Obrzucił obecnych przeciągłym spojrzeniem. – Od tej pory to on decydował o wszystkim, co dotyczyło kasyna, czyli sopockiej kury znoszącej złote jaja. I kiedy pojawił się concept, aby przy kasynie zbudować elegancki hotel, Laue i jego wspólnicy byli już gotowi.

– Wspólnicy? Kogo pan ma na myśli? – przerwał mu Abell, uważnie śledzący tok rozumowania swego zwierzchnika.

– To oczywiście, Abell. – Kellerman spojrzał na policjanta z pewną przyganą. – Laue nie działał sam. Najłatwiej kradnie się za cudze pieniądze. A burmistrz miał władzę, ale nie miał środków. Dlatego otoczył się ludźmi skorumpowanymi, takimi jak radca budowlany Sopotu, profesor Doenicke<sup>[8]</sup>. Ludźmi o lepkich rękach, którzy zapewnili mu dostęp do przedsiębiorców, gotowych zapłacić za kontrakty na budowę hotelu.

Kellerman podniósł głos o jeden ton. Na policzki wystąpił mu ceglasty rumieniec. – Sprzedajni urzędnicy, tacy jak Laue i Doenicke, chodzili na pasku pozbawionych skrupułów przedsiębiorców – grzmiał. – Takich jak Rottenberg i inni. Wszystko to potwierdza, że mamy do czynienia z największą aferą w historii naszego miasta. Ale to właściwie wierzchołek góry lodowej. Duma Sopotu, luksusowy Kasino Hotel zbudowany jest na kłamstwie i korupcji. Na przekrętach i lewej forsie! – Uderzył blatem dłoni w stół. – Znamienne, że Laue „honorowo” pozbawił się życia, ale nie pisnął ani słowa, ile i od kogo wziął. Ci ludzie mają długie ręce. Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że już na drugi dzień po aresztowaniu był w stanie popełnić samobójstwo? Kto dostarczył mu do celi truciznę, chociaż więzień był pilnowany dwadzieścia cztery godziny na dobę?!

– Nadal nie rozumiem, dlaczego związek samobójstwa Rottenberga z aferą korupcyjną w magistracie nazywa pan korzystnym – powiedział Abell. – Korzystnym dla kogo?

– Być może faktycznie użyłem niezbyt fortunnego określenia. – Kellerman przerwał i spojrzał wymownie na komisarza Mohla, jakby spodziewając się odsieczy z tamtej strony. Ale komisarz nawet nie drgnął.

Skurwysyn, tchórzliwy skurwysyn, pomyślał mściwie Kellerman. Zawsze potrafi zadbać o to, aby nie ubrudzić swoich czystych rączek.

– Chodziło mi o to, że śledztwo po samobójstwie Lauego stoi w miejscu – kontynuował już spokojniej. – Wiedzieliśmy, kto brał w łapę, ale nie wiedzieliśmy od kogo. A opinia publiczna domaga się nazwisk! Oskarża policję o nieudolność! Prasa szaleje, wypisuje bzdury i snuje najbardziej księżycowe hipotezy. Także takie, że burmistrz był kokainistą i polskim szpiegiem! Senat niemal codziennie domaga się wskazania winnych. Dlatego na polecenie komisarza Mohla przejąłem osobisty nadzór nad śledztwem. A jednak mimo naszych usilnych starań i mimo że od śmierci burmistrza upłynęły trzy tygodnie – Kellerman otarł spocone czoło – śledztwo mające na celu wykrycie jego mocodawców, nie posunęło się do przodu nawet o centymetr. Do dzisiaj. Teraz już wiemy, kim są ci ludzie. To przełom. Burmistrz sprzedał się Rottenbergowi. Zapewne także innym, takim jak on. Będzie z tego duży smród. Jak to się mówi w policyjnym żargonie – wielowątkowy smród.

– Dziękuję, komisarzu – komisarz Mohl był wdzięczny losowi, że ma do pomocy kogoś takiego jak Kellerman. Jego zastępca był energiczny i zdecydowany. Wymuszał posłuch. Na pewno z przyjemnością przychodził do pracy. Słowem – był tym, kim nie był sam Adolf Mohl. – Teraz pan rozumie, Abell, dlaczego udowodniony związek Rottenberga z aferą Lauego jest tak ważny – powiedział. – Rozumiem, że zamykamy sprawę Rottenberga. Kellerman, przygotowuje pan komunikat dla prasy. Ja spotkam się z przedstawicielami komisji śledczej senatu.

– Potrzebuję jeszcze trochę czasu – powiedział wolno Abell, oblizując spierzchnięte wargi. – Chciałbym dokładniej obejrzeć trupa w prosektorium, razem z doktorem Martensem.

W pokoju zapanowała cisza.

– W jakim celu? – przerwał ją Kellerman, nie kryjąc zdziwienia. – Przecież z opinii doktora wynika, że samobójstwo jest ewidentne. Mamy list, przyznanie się do winy. Czego panu jeszcze brakuje? Obyśmy zawsze mieli do czynienia z tak ewidentnymi przypadkami.

Kellerman trzymał nerwy na wodzy, ale irytował go ten arogancki oficer. Wyczuwał w nim jakąś niepokorność, nie za bardzo pasującą do formacji opartej na dyscyplinie i posłuchu. Abell miał opinię przenikliwego i inteligentnego oficera. O jego wyczynach w Marienwerder[12] pisała nawet gdańska prasa. Ale chyba nie potrafił słuchać. Cały ten wykład, który Kellerman wygłosił przed chwilą, przeznaczony był właśnie dla niego. Miał wysłuchać argumentacji przełożonego i zamknąć sprawę. Do tego absolutnie oczywista. Ale ten mądrała jak zawsze musiał mieć swoje zdanie.

– Przede wszystkim chodzi o kanał postrzałowy. Konkretnie, o jego kierunek – powiedział Abell.

– Nie bardzo rozumiem, co z tym kanałem. – Komisarz Mohl uświadomił sobie, że odprawa jeszcze się nie zakończyła.

Abell miał wrażenie, że obaj nie tyle patrzą na niego, ile usiłują przejrzeć go na wylot.

– Rzecz w tym – nieproszony podniósł się z miejsca i podszedł to tablicy – że w większości przypadków, po strzale samobójczym w usta, kierunek kanału postrzałowego przebiega od przodu ku tyłowi. Mówiąc konkretnie – od dołu do góry. Dlaczego tak się dzieje? Ponieważ wykonanie takiego strzału jest możliwe tylko w przypadkach samobójstwa. Aby tak kogoś postrzelić, trzeba to zrobić podczas snu albo w stanie braku przytomności ofiary. Tymczasem Rottenberg zginął od kuli, której kanał przelotowy przebiegał dokładnie odwrotnie – od góry do dołu. To dziwne, że ktoś, siedząc w fotelu, wprowadza nienaturalnym, niewygodnym ruchem lufę w usta, tak aby skierować ją w dół, w stronę krtani, zamiast lekko w górę, ku potylicy.

Mohl spojrział zmęczonym wzrokiem na doktora. Martens skinieniem głowy potwierdził słowa Abella.

– I co z tego wynika? – Kellerman zaczął uważnie wsłuchiwać się w to, co mówił Abell. – Taki sobie wybrał sposób. Mógł się otruć, powiesić pod molo, pociąć w wannie, położyć na szynach. Mógł wszystko! Ale zdecydował tak, a nie inaczej. Niewygodnym ruchem? Życie też sobie wybrał niewygodne!

– Ma pan rację, komisarzu, to może niewiele znaczyć – powiedział niespodziewanie ugodowo Abell. – Ale z tego, co pan sam przed chwilą

powiedział, to nie jest byle jakie samobójstwo. Dlatego wszystkie okoliczności tej śmierci muszą być bezstronnie i gruntownie wyjaśnione. Tego na pewno oczekiwać będą nie tylko media, ale i komisja śledcza senatu. Ale to nie wszystko.

– Jak to nie wszystko – komisarz Mohl poruszył się nerwowo w fotelu. – Co pan ma na myśli?

– Mam jeszcze kilka innych wątpliwości – kontynuował niewzruszenie Abell. – Na koszuli Rottenberga zauważyłem małą wypaloną plamkę. Skąd i kiedy się wzięła? Trzeba to zbadać. Jama gębowa ofiary jest zmasakrowana. Bez dokładniejszego badania nawet doktor Martens nie jest w stanie stwierdzić, czy Rottenberg przed śmiercią pił jakiś żrący płyn. Jeśli tak – to w jakim celu to zrobił, skoro zdecydował się na samobójczy strzał z pistoletu? Zdarzają się oczywiście tak zwane samobójstwa podwójne, kiedy samobójca strzela sobie na przykład w skroń, jednocześnie przegryzając ampułkę z trucizną. Ale jeśli tak było w tym przypadku, to należy to wyjaśnić. Dalej, na szyi doktor odnalazł świeże zadrapania i wybroczyny, dokonane własnymi rękami denata. Tak zachowują się ludzie, których coś boli i niekoniecznie chodzi tu o cierpienie duszy. Wreszcie listy...

– Co masz na myśli? – zapytał milczący do tej pory Plaskowitz.

– Porównałem charakter pisma z listu pożegnalnego z odręcznymi listami napisanymi ręką Rottenberga. Jestem prawie pewien, że pożegnanie napisał Rottenberg.

– No to przynajmniej w tym przypadku nie mamy sensacji – skrzywił się ironicznie Kellerman.

– Nie do końca, panie komisarzu. Rottenberg kończy list tradycyjnym pożegnaniem żydowskim – *shalom alejchem*, co w języku hebrajskim, znaczy „pokój wam”! Rozmawiałem z żoną ofiary. Rottenberg był człowiekiem niewierzącym, agnostykiem. Nigdy nie kończył swoich listów takim zwrotem. Nigdy też nie używał hebrajskiego. Dla niej także było to dziwne. Oczywiście jest możliwe, że, zaglądając śmierci w oczy, powrócił do korzeni. Ale to zastanawiające. Podobnie jak dwukrotne napisanie z błędem imienia własnej żony. Rottenberg napisał „Adel”, zamiast „Adele”. Tak zachowują się czasem osoby działające pod przymusem. Albo chcące pozostawić znak, że tak właśnie się dzieje.

– Albo działające w dużym stresie – skontrował Kellerman. Z niechęcią pomyślał, że chyba nie docenił tego oficera w garniturze wartym więcej niż jego miesięczna pensja. Wiedział, że jest to inteligentny i wnikliwy śledczy. Teraz zorientował się, że jest także arogancki i uparty.

– Być może, panie komisarzu, być może. – Abell nie dawał się zbić z tropu. – Ale kilka małych niejasności w takich sprawach, to już jeden duży pytajnik. Dlatego uważam, że aby pozbyć się wszelkich wątpliwości, należy wystąpić do prokuratora Taubego o zgodę na sekcję zwłok. – Abell przerwał i spojrzał komisarzowi Mohlowi prosto w oczy. – Moim zdaniem jest to niezbędne i rozsądne

także z punktu widzenia interesów policji, panie komisarzu. Sekcję zwłok możemy przeprowadzić nawet dzisiaj. I jeszcze dzisiaj możemy mieć pewność, jaki był rzeczywisty przebieg wypadków w domu Rottenberga. Im więcej faktów poznamy obecnie, tym mniej będzie pytań w przyszłości. Także ze strony mediów i senatu. Wszystkim nam przecież zależy na dojściu do prawdy, czyż nie?

Abell skończył i w gabinecie zapadła cisza. Kellerman już miał coś powiedzieć, gdy zaskoczyły go słowa komisarza Mohla.

– Dobrze, Abell. Załatwię zgodę prokuratora Taubego. Jeden dzień nas nie zbawi. Nie potrzeba nam zarzutów o pochopne czy zbyt pospieszne działanie. Nie wszyscy w senacie nas kochają. Macie dwadzieścia cztery godziny na przeprowadzenie sekcji zwłok. Potem nieodwołalnie zamykamy sprawę.

## 8.

Po wyjściu z sali odpraw Abell powrócił do swojego gabinetu. Zapewne Martin Beck nazwałby to pomieszczenie niegodną oficera policji mysią norą. Ale Abell nie narzekał. Zawsze uważał, że jego spartańska celnia sprzyja koncentracji i skupieniu myśli. Przez kilka następnych godzin uważnie studiował notatki przygotowane przez Kukulkę i Plaskowitza. O godzinie siedemnastej uznał, że na dziś wystarczy. Odchylił krzesło do tyłu i wyciągnął nogi na stole.

Na dworze zapadał już zmierzch. Przez szeroko otwarte okno napływało rześkie powietrze, tak jakby deszcz splukał już wszystkie toksyczne wonie i smród tego nieodgadnionego miasta. Nie miał złudzeń co do tego grzęzawiska ludzkich zbrodni i namiętności. Gdańsk był bogobojny i *gemütlich*[13] tylko na pocztówkach. W rzeczywistości krwiobiegim metropolii była podskórna rzeka spermy i lewych pieniędzy. Jako mały chłopiec lubił oglądać od spodu polne kamienie. Nigdy nie było wiadomo, co zobaczy z drugiej strony: wijące się dżdżownice, ziemię czy ciemne wżery. Podobnie jak tutaj.

Często zdarzało się, że wracał do domu nocą. Mijał schludne domy i rezydencje zatopione w złudnej ciszy i spokoju. Patrzył w rozświetlone prostokąty okien i wyobrażał sobie, w którym właśnie rozgrywa się jakiś dramat.

Tam na piętrze pijany buhaj katuje swoją żonę tylko dlatego, że nie mogła przemóc obrzydzenia i uprawiać z nim seksu. Obija jej głowę o ścianę w nieprzytomnym szale i nie zauważa, że „ta sucha kurwa” już nie oddycha. Rano obudzi się w zakrwawionej pościeli i widząc nieruchome ciało, znienawidzi ją jeszcze bardziej. Co za podstępne kurwiszczki! Zawsze chciała się zemścić i wreszcie się francy udało!

A w tej białej rezydencji na rogu upadły armator zwija banknot i wciąga ostatnią dawkę kokainy. Zaraz otworzy się niebo! Poczekaj, aż błogostan rozleje się po jego ciele i wtedy podniesie roziskrzony wzrok na kilkunastoletnią dziewczynkę,

którą sprowadził sobie na noc. Tak patrzy wąż na swoją ofiarę. Będzie ją dusił i chlastał pejczem do krwi. A potem wejdzie w nią tak, jak lubi najbardziej. Zaraz otworzy się niebo! Zaraz będzie cudownie!

Z kolei w willi na końcu ulicy trzech panowie o pospolitych twarzach przekonują do czegoś pana senatora. Chodzi chyba o coś ważnego, bo na stole łądają kolejne paczki banknotów. Pan senator jest blady. Zaciska wąskie wargi i kręci głową: Nie, nie, moi panowie! To jakieś nieporozumienie, źle mnie oceniliście! Senator Wolnego Miasta Gdańska nie bierze łapówek! A potem, gdy goście wychodzą dyskretnie z domu, wchodzi do sypialni i napotyka pytające spojrzenie swojej żony. Skłania potakująco głowę, a ona oddycha z ulgą. Stary dureń! Nigdy nie potrafił się targować. Ona wyciągnęłaby od tych pachciarzy dwa razy tyle...

Abell ocknął się z zamyślenia.

– Ciekawe, co przyniesie najbliższy dzień – westchnął i podszedł do okna. Miał zaufanie do swojego instynktu. A ten podpowiadał mu, że sekcja zwłok Rottenberga może bardzo zaskoczyć komisarzy Mohla i Kellermana.

Zamknął okiennicę i zmierzał już ku wyjściu, gdy niespodziewanie do drzwi zapukał oficer dyżurny.

– Panie radco, wiadomość dla pana. Jakiś młody chłopak zostawił ją przed kilkoma minutami w dyżurce.

Abell zatrzymał policjanta i wziął kartkę do ręki. Kilka krótkich zdań napisanych było na maszynie:

*Christian! Mam dla ciebie ważne informacje! Temat – burmistrz, kolekcjoner i spółka! Czekam w Sopocie na budowie pensjonatu przy Heimstrasse 4 o godzinie 19. Będę z ciekawym informatorem! Nie dziw się, wszystko wyjaśnię na miejscu!*

*Martin Beck*

– Jak wyglądał ten chłopak? – zapytał policjanta, ponownie czytając kartkę.

– Pytałem – policjant zafrasowany wzruszył ramionami – ale dyżurny niewiele może powiedzieć. Chłopak miał kaszkiet na głowie. Zostawił tylko wiadomość i szybko zniknął. Poza tym, panie radco, na dyżurce był akurat Biermann. Umówmy się, do orłów to on nie należy...

Abell wahał się tylko przez chwilę.

– Odnajdźcie radcę Plaskowitza i przekażcie mu tę kartkę. Powiedzcie, że jadę na Heimstrasse cztery. Niech się tam pojawi jak najszybciej. Zrozumieliście? Możecie odejść.

Wziął służbowego adlera i już po kilku minutach mijał dworzec kolejowy, kierując się na północ, w stronę Sopotu. Ulice o tej porze były pełne ludzi.

Gromady podchmielonych gdańszczan okupowały ogródki piwne i restauracje. Zatrzymał się przy samym skrzyżowaniu. Musiał poczekać na przejście oddziału SA, maszerującego przy biciu werbli z rozwiniętymi sztandarami. Prowadzący ich wysoki truppführer z pasją uderzał podeszwami podkutych buciorów o bruk. Wyglądał jak archetyp idealnego Aryjczyka z plakatów propagandowych: wysoki blondyn, sprężysty jak trzcina, gotowy na wszystko:

*Deutschland erwache!*

*Sturm! Sturm! Sturm! Sturm! Sturm! Sturm!*

*Läutet die Glocken von Turm zu Turm!*[14]

Ich spojrzenia na chwilę się spotkały. Policjant wyczytał w oczach truppführera całą głębię pogardy dla takich jak on: dobrze ubranych, sytych mieszczuchów, rozpartych w limuzynach więcej wartych niż roczny żołąd całego tego plutonu nędzarzy, chcących obudzić Niemcy. Stojący na chodnikach ludzie bili brawo maszerującym. Jakaś matka w zielonej sukience biegła wzdłuż przemarszu z kilkuletnim brzdącem, jakby nie chciała nic uronić z tej demonstracji męskiej tężyzny i brutalnej siły. Stojący obok staruszek w pocerowanej marynarce nie ukrywał łez płynących mu z oczu. Że też jeszcze tego dożył! Niemcy znowu stają się wielkie!

Abell odwrócił wzrok. Od dawna nie miał już wątpliwości, że Gdańsk, który znał, powoli odchodzi w przeszłość.

Po kwadransie dojechał do Sopotu. Ulica, której szukał, biegła od stacji kolejki w górę, ku wzgórzu porośniętemu sosnowym lasem. Okolica wyglądała dość ponuro. Sopot zamożnych willi i równo przystrzyżonych klombów znajdował się dobre dwa kilometry stąd. Blisko było za to do granicy z Polską. Z tego, co pamiętał, w tej części Sopotu wyrastały raczej osiedla niedużych domków dla rzemieślników i niższych urzędników, a nie pensjonaty. Początkowo nie zauważył żadnej rozgrzebanej budowy. Pojechał wolno pod górę, aż do skrzyżowania z Kameradschaftweg i zawrócił. Dopiero teraz dostrzegł w zapadającej ciemności smukły kształt budynku, którego rozmiary sugerowały przeznaczenie pod pensjonat. Nie mylił się. Ulica na tym odcinku pogrążona była w mroku. Reflektorami adlera oświetlił przekrzywioną tablicę z napisem: „Budowa. Pensjonat Villa Helena”. Wysiadł z samochodu i rozejrzał się dokładnie. Nigdzie nie zauważył żadnych śladów życia. Martin Beck musiał znajdować się w drugiej części budynku, od strony podwórza.

– Martin! Już jestem! – zawołał, ale odpowiedziała mu tylko martwa cisza.

Pozostawił włączone światła w samochodzie i ruszył ostrożnie w tamtą stronę. Podwórze zavalone było stosami cegieł, szalunków i drutów zbrojeniowych. Wymijał zwaliste pakunki przykryte brezentem, starając się nie nadziać na jakiś drut czy pręt. Poruszał się ostrożnie, przeklinając w myśli przyjaciela za wybór tak konspiracyjnego miejsca spotkania. Jednocześnie

narastała w nim ciekawość połączona z lekkim podnieceniem. Dobrze znał Martina i jego uporządkowaną racjonalną naturę. Jego przyjaciel lubił się w życiu dobrze zabawić, ale takie konspiracyjne podchody na pewno do takich zabaw nie należały.

Świadomość tego faktu wyostrzyła jego czujność. Wymacał ręką zimną stal pistoletu. Poczuł, jak pot zrasza mu skronie. Niedomknięta okiennica z trzaskiem uderzyła o framugę. Zimne światło księżyca zaczęło wydobywać z ciemności wierzchołki drzew. Jakiś ptak ostrzegawczo zatrzepotał w ciemnej gęstwinie i odleciał, szeroko rozpościerając skrzydła. Abell zwolnił kroku i w momencie, gdy zatrzymał się, aby zdecydować, co dalej, dostrzegł wątle światelko w suterenie budynku. Martin widocznie postanowił poczekać w środku.

Zszedł ostrożnie po kilku schodkach i pchnął niewielkie drzwiczki wiodące do podziemi budynku. Przed nim rozpościerał się prosty korytarz. Z wnętrza śmierdziało wapnem i szczynami. Źródło światła musiało znajdować się za załomem muru. Żałował, że nie wziął ze sobą latarki. Doszedł prawie po omacku do zakrętu i wkraczał już w strefę światła, gdy niemal instynktownie wyczuł jakiś ruch skierowany w swoją stronę. Uchylił się natychmiast i zarejestrował jedynie podmuch powietrza. Czyjaś ręka przedłużona metalowym prętem, ze świstem, dosłownie o milimetry, minęła jego głowę. Wyuczonym ruchem chwycił tę kończynę i przyciągnął do siebie. To wystarczyło, aby przeciwnik stracił przewagę wypływającą z zaskoczenia. Chwycił oburącz tę wraźną kończynę i z całej siły uderzył nią o swoje wysunięte kolano. Kość chrupnęła, dał się słyszeć przeraźliwy ryk wściekłości i bólu niewidzialnego przeciwnika. Pochylił się do przodu, aby zobaczyć twarz napastnika. I wtedy usłyszał kolejny świst. Światło nagle zgasło, tak jakby ktoś wyłączył prąd w całej jego głowie.

Kiedy odzyskał świadomość, kilka rzeczy dotarło do niego w tym samym momencie. Przede wszystkim żył. Ale to była jedyna dobra wiadomość. Nie mógł się poruszyć. Palcami wyczuł węzły szorstkiego sznura. Miał zakneblowane usta. Rozpoznał zapach eteru. Co na Boga? Uśpili go? Głowę rozsadzała mu od środka rozżarzona powiększająca się kula. Wyczuł strużkę krwi, spływającej mu z ciężkiej jak ołów potylicy. Nagle przeniknął go chłód. Wszechobecny, docierający do trzewi. Zmrażający jego rozpalone obolałe ciało. Poruszył się konwulsyjnie i zrozumiał, że znajduje się w jakiejś metalowej niszy czy szufladzie. Szarpnął głową i uderzył nią w metalowy sufit. Sam przytwierdzony był pasami do czegoś w rodzaju noszy. Eter, zimno... W okamgnieniu zrozumiał, gdzie się znajduje. Jezusie Nazareński! Kostnica! Może prosektorium! Uśpili go, skrępowali jak bydlę na rzeź i zamknęli w metalowej trumnie na wieki wieków!

W sekundę później przyszedł atak wszechogarniającej paniki. Nie mógł się poruszyć. Natychmiast zaczęło brakować mu powietrza. Cały był zlany zimnym potem. Boże! Boże! Znowu? Uśpiona klaustrofobia, z którą zmagał się od lat, znowu została obudzona, paraliżując go trudnym do opanowania lękiem i niemal



namacalnym podświadomym bólem. Pot zalewał mu oczy. Przez kilka minut walczył z dławiącą go paniką. Krzyczał i uderzał miarowo najpierw pięściami, a potem głową w stalową pokrywę, dopóki nie zrozumiał, że z tej pułapki nie ma wyjścia. I że z każdym oddechem w jego metalowej puszcze ubywa tlenu. Postanowił pomyśleć o czymś przyjemnym, tak aby odciągnąć myśli od wizji czekającej go upiornej śmierci. Jeden, dwa trzy... Mama Franziska... Miała taką łagodną twarz... Cztery, pięć sześć... Tylko ona kochała go miłością bezwarunkową i pełną. Teraz dźwiga za matką zakupy zrobione na targu w rodzinnym Marienwerder... Musiał śmiesznie wyglądać w tym marynarskim ubranku. Siedem, osiem, dziewięć...

Czuł, że powoli traci świadomość i zapada się w jakąś przepastną lepłą czeluść. Niedotleniony mózg pracował na coraz wolniejszych obrotach. Widział teraz wyraźnie siebie z matką i ojcem na spacerze nad Liwą. W oddali rysował się masyw krzyżackiej katedry. Ale dlaczego katedra znika, tak jakby wessała ją ta żarłoczna chmura zawieszona nad miastem? I dlaczego ta łąka, tak lazurowa przed chwilą, nagle zamieniła się w purpurowe jezioro pełne krwi? Dziesięć, jedenaście, dwanaście...

Doliczył do dwudziestu i nagle się uspokoił. Widocznie tak musiało być. I tak miał w swoim życiu wiele szczęścia. Mógł zginąć w podobnych męczarniach przynajmniej kilka razy. Widocznie Pan wybrał dla niego to miejsce. Tę chwilę.

Momentami tracił już świadomość, ale nadal widział wyryte w pamięci twarze wszystkich, których kochał. Dlaczego było ich tak mało?

Nagle wszystko zgasło. Odplynęły wszystkie obrazy, wszystkie zapachy dzieciństwa. Uśmiechnął się. A więc to tak wygląda pożegnanie? Wcale nie bolało. Ale nie zdążył zamknąć oczu, gdy nagły hurgot wybudził go z odrętwienia. Oczy boleśnie poraził blask ogromnej żarówki dyndającej niczym mleczny balon pod łuszczącym się sufitem. Poczul powiew świeżego powietrza. Chwytał je łapczywie, jak ryba wyciągnięta na brzeg.

– Christian, żyjesz? – Z zaświatów dobiegł go głos Plaskowitza. – Ten adres na Heimstrasse to była pułapka. Zapuszkowali cię do prosektorium jako żywego trupa. Zdążyłem w ostatniej chwili. Na Boga, dosłownie w ostatnim momencie...

## 9.

Dwie godziny później, opatrzony przez doktora Martensa i odziany w nowy garnitur, który wyciągnął z szafy, wysłuchiwał relacji Plaskowitza.

– Oficer dyżurny przekazał mi polecenie od ciebie i adres. Wstyd się przyznać – Plaskowitz zakłopotany potarł czoło – ale trochę pobłądziłem... Wiesz, Sopot to nie mój rewir.

– Streszczaj się, do rzeczy – Abell powoli dochodził do siebie. Oddychał

teraz pospiesznie, głęboko, jakby z podświadomej obawy, że znowu zabraknie mu powietrza. Najbardziej dokuczał mu ból głowy i ucisk w piersiach, ale poza tym miał wrażenie, że nic mu specjalnie nie dolega.

– Jasne. – Plaskowitz popatrzył na niego z troską. – Jak docierałem na miejsce, już z daleka zobaczyłem naszego adlera z zapalonymi reflektorami. Zatrzymałem się u wlotu ulicy. Miałem już ruszyć dalej, gdy usłyszałem odgłos uruchamianego silnika samochodowego. To był grafitowy albo raczej ciemny DKW FA[15]. Numerów, niestety, nie zdołałem odczytać. Wóz wytoczył się z głębi podwórza i ruszył w górę. Potem skręcił w lewo, z tabliczki wynikało, że to była Kameradschaftweg. Zrozumiałem, że coś jest nie tak. Przecież nie odjechałbyś z tymi ludźmi, pozostawiając policyjny samochód z włączonymi światłami.

– Słusznie, nigdy bym tego nie zrobił. – Abell uświadomił sobie nagle, że zawdzięcza życie temu dobrze wychowanemu policjantowi, dziwnie niepasującemu do gmachu przy Karrenwall. Gdyby nie jego zimna krew, pomyślał, miałbym ogromne problemy z powrotem pomiędzy żywych.

– Ilu ludzi zauważyłeś w samochodzie? – zapytał

– Trzech. Jeden z nich, sądząc po figurze niezły wyrwidąb, był chyba ranny. Nawet z takiej odległości słyszałem jego jęki.

– I co było dalej?

– Śledziłem ich całą drogę. Nie zorientowali się. Podjechali pod kostnicę na Górze Gradowej[16]. Musieli mieć klucz. Weszli bocznymi drzwiami... Podkrađłem się pod zarośla przy wejściu. Byłem o pięć metrów od nich.

– Jak wyglądali?

– Trudno powiedzieć, naprawdę. – Plaskowitz zmarszczył czoło... – Jednak było ciemno. Wszyscy słusznego wzrostu. Jeden wydawał rozkazy. O wyrwidębie już ci mówiłem. Powiedziałbym, że mieli w sobie coś wojskowego. W sposobie poruszania się, w postawie.

– Co było dalej?

– Zobaczyłem, że taszcą jakieś ciało. Domyśliłem się, że twoje. W pierwszej chwili przeraziłem się, że niosą już trupa. Chciałem nawet ich zaskoczyć i postawić pod ścianą, chociaż podejrzewam, że bez strzelaniny by się nie obeszło. Ale wtedy usłyszałem, że żyjesz. Jęknąłeś głośno, a jeden z tych typków powiedział, rechocząc: „Będzie się skurwiel ładnie mroził w lodówce”. I dodał coś niezrozumiałego, jakby nie po niemiecku: „Zojne!”. Tak powiedział. W tym momencie zrozumiałem, że nie chcą cię wykończyć od razu. Domyśliłem się, że zamierzają cię zamknąć w szufladzie jak nieboszczyka. A to była szansa dla mnie.

– Dla mnie też, Alex, dla mnie też. – Abell dotknął ostrożnie rozbitej skroni.

– Ciąg dalszy już znasz. Poczekaj, aż odjadą. Otworzyłem swoim wytrychem zamek w drzwiach. Tak jak się spodziewałem, w całym gmachu nie

było nikogo. Przez chwilę się denerwowałem, bo nie wiedziałem, gdzie cię szukać. Ale wtedy usłyszałem jakieś stuki, dobiegające z sali na pierwszym piętrze. Tam była zamrażarka dla bezdomnych trupów. To tam cię wsadzili, pomiędzy bezdomnych wszarzy. Nigdy byśmy cię tam nie znaleźli – westchnął bezradnie i obtarł usta mankietem marynarki.

Abell wstał z wysiłkiem i podszedł do otwartego okna. Blade światło latarni rozlewało się po podwórzu gmachu. Wartownik stojący przy wejściu do odwachu we wschodnim skrzydle zasalutował, widząc go. Ten gest niespodziewanie sprawił mu przyjemność. Był jak sygnał, że życie toczy się dalej. Może czasami parszywe i wredne, ale jedyne w swoim rodzaju. Postanowił, że całą nadchodzącą niedzielę przeleży w łóżku. Musiał wylizać swoje rany. A przede wszystkim dobrze się wyspać.

## 10.

Komisarz Mohl nie lubił poniedziałków. A tego ranka niechęć ta jeszcze się pogłębiła. Czuł się, jak zdjęty z krzyża. Ostatnio coraz gorzej znosił złe wiadomości, a ten poranek wystawiał jego stargane nerwy na ciężką próbę. Zamach na życie oficera policji będącego na służbie nie zdarzał się w Gdańsku zbyt często. Wieści o przymusowej wizycie radcy Abella w prosektorium szybko stały się głównym tematem rozmów na korytarzach siedziby prezydium. Wyobrazenie sobie oficera policji zamkniętego w metalowej puszcze obok dziesiątków bezimiennych umarłaków działało na wyobraźnię policjantów. Do tej pory świat przestępczy raczej przestrzegał niepisanej zasady, aby policjantów nie ruszać. Tym razem zasada ta została złamana i otoczenie komisarza Mohla domagało się jego zdecydowanej reakcji. Ale w którą stronę skierować karzący miecz sprawiedliwości? Kto dybał na życie Abella?

Jakby tego było mało, doktor Martens przedstawił mu zaskakujące wyniki sekcji zwłok Saula Rottenberga. Wywróciły one do góry nogami cały misterny plan, mający przywrócić dobre imię policji w oczach senatu. A przecież Kellerman wymyślił go nie dalej jak przed dwoma dniami. Kellerman... Pewnie wyczuwa jego brak zdecydowania. Podobnie jak pozostali policjanci zgromadzeni w sali odpraw: Abell, Plaskowitz, Bromke i Martens. Komisarz podniósł ociężałe powieki i spojrzał na ludzi siedzących przy stole. W sali odpraw panowała cisza. Zacinający deszcz miarowo bębnił w szyby. Warkocz tytoniowego dymu piał się ku górze, gubiąc swą eteryczną konsystencję dopiero w zetknięciu z poźółkłym sufitem. Pachniało świeżo zaparzoną kawą Meinla i wilgocią przenikającą przez zamknięty, ale nieszczelny lufcik.

– Panowie – komisarz Mohl postanowił zmierzyć się ze stojącym przed nim wyzwaniem – mamy dzisiaj do omówienia dwie ważne kwestie. Pierwsza dotyczy

zamachu na policję kryminalną. Tak panowie, dobrze słyszeliście – podniósł głos o jeden ton. – Zamach na jednego z nas jest wypowiedzeniem wojny całej Kripo. Abell, doszedł pan już do siebie?

– Tak, panie komisarzu. Nic mi nie jest. – Abell mimowolnie wzruszył ramionami. Usilnie starał się wyprzeć z pamięci zdarzenia z sobotniego wieczoru. I prawie mu się to udało.

– To dobrze, swoje pan przeszedł. Plaskowitz, proszę zreferować dotychczasowe ustalenia w tej sprawie.

– Radcy Abellowi w ubiegłą sobotę przekazano fałszywą wiadomość. Miał się stawić o godzinie dziewiętnastej na budowie pensjonatu Villa Helena w Kamiennym Potoku. – Plaskowitz rozłożył przed sobą kartki meldunków, które do niego spłynęły. – Budowa leży odłogiem od kilku miesięcy z braku funduszy. Inwestor, niejaki Hans Puttkammer, nigdy nie był karany. Zarzeka się, że o niczym nie ma pojęcia. I jestem skłonny mu wierzyć. Rzekomo zapraszający na spotkanie inżynier Martin Beck, znajomy radcy, także zaprzecza. Nie wysyłał żadnej wiadomości na komendę. Oczywiście brakuje świadków zdarzenia. Było dość późno, a okolica nie należy do najbardziej uczęszczanych. – Policjant przełożył kolejną kartkę.

– Popytajcie sąsiadów, ktoś przecież mieszka w tej dziurze – wtrącił się Kellerman.

– Oczywiście, panie komisarzu, właśnie wysłałem tam dwóch ludzi – kontynuował Plaskowitz. – Przebieg dalszych zdarzeń mogę sam przedstawić. Abella najpierw ogłuszyli, a potem prawdopodobnie uspili eterem. Z tego, co zaobserwowałem, przestępcy mieli wojskowy sznyt. W naszym półświatku nie brakuje spauperyzowanych podoficerów i żołnierzy bez przydziału. Poruszali się samochodem marki DKW FA. Niestety, z powodu ciemności nie byłem w stanie zapisać numerów rejestracyjnych. Wydawało mi się, że wóz był koloru grafitowego, a to nie ułatwia nam sprawy. Dekawka to najbardziej popularny samochód w Wolnym Mieście, a co drugi z nich jest ciemny lub grafitowy. Ale nie rezygnujemy, sprawdzamy. Następnie sprawcy przewieźli nieprzytomnego Abella do kostnicy miejskiej na Górze Gradowej. To dawny obiekt wojskowy, bardzo rozległy. Kostnica mieści się w budynku byłej galerii strzeleckiej. Nocami nie ma tam nawet stróża. Panowie wiedzą, oszczędności senatu – skrzywił się z niechęcią.

Przez kolejny kwadrans Plaskowitz przedstawiał zeznania pracowników kostnicy. Abell nie mógł się oprzeć wrażeniu, że przeżywa swoiste déjà vu. I tak jak w przeszłości: nikt nic nie widział i nikt nic nie słyszał. Sprawcy nieznan.

– Dziękuję, Plaskowitz. – Komisarz Mohl doceniał referującego oficera za zwięzłość i precyzję wypowiedzi. – Proszę dalej prowadzić energiczne śledztwo w tej sprawie. Pociągnijcie za język naszych informatorów. Ktoś musi coś wiedzieć. Nie co dzień zamyka się oficera policji w umarlaku. Oczekuję raportu

pod koniec tygodnia. Panowie, czytaliście wszyscy raport radcy Abella. Jakieś sugestie dla Plaskowitza?

Niespodziewanie odezwał się Bromke. Mohl nie lubił tego śledczego, prostaka, który przeszedł do nich z obyczajówki. Krążyły wieści, że zabawiał się w alfonsa i wykorzystywał dziewczyny z półświatka. Podobno jego kumple zawsze mogli liczyć na najlepsze kurwy w promocyjnych cenach.

– Moim zdaniem winnych trzeba szukać w sprawach, które prowadził ostatnio pan radca. – Bromke podwinął rękaw koszuli, odsłaniając mocarne przedramiona. – Komu ostatnio tak bardzo nadeptałeś na odcisk, Abell? Swoją drogą, pan radca słynie z talentu do wplątywania się w kłopoty, o których my, policyjne szaraki, możemy tylko poczytać w gazetach – uśmiechnął się, smakując swoje szyderstwo.

Abell zignorował zaczepkę.

– Wielu ludzi może życzyć mi śmierci. Jak każdemu z was. Ale najbardziej jestem przywiązany do myśli, że to, co mi się przydarzyło, ma związek ze śmiercią Rottenberga.

W sali zapadła cisza. Mohl wyglądał na skonsternowanego.

– Co chce pan przez to powiedzieć? Przecież o tym, że wersja o samobójstwie Rottenberga jest nieaktualna, wiemy zaledwie od sobotniego wieczoru. Przystępcy musieliby znać... – Dopiero teraz do komisarza Mohla dotarła istota wypowiedzi Abella. Ceglasty rumieniec wypełznął na jego policzki.

– O sprawie Rottenberga porozmawiamy po krótkiej przerwie. Bromke, panu już dziękuję. Kellerman, Abell, Martens, wy zostajecie – uciął sucho i majestatycznie opuścił salę.

Bromke, wychodząc, nie krył irytacji.

Pieprzeni jajogłowi, panicyki, pomyślał mściwie. Nie pasuję do nich, bo nie piluję paznokci i nie byłem oficerem w cesarskiej armii. Ale to ja żarłem brukiew na froncie pod Sommą, kurwa, i to mnie żabojad rozorał bagnetem całą rękę aż po obojczyk! A oni wpierdalali sardynki w oficerskiej kantynie i polowali na Francuzki. Na szczęście idą lepsze czasy. SA maszeruje! *Sturm, Sturm, Sturm!*

Po wyjściu Bromkego w sali odpraw zapanowało zauważalne odprężenie. Ale tylko do powrotu komisarza Mohla.

– Do pańskiej zaskakującej uwagi powrócimy na koniec, Abell – powiedział Mohl z marsowym wyrazem twarzy. – Teraz oddaję głos panu, doktorze Martens. Wyniki sekcji zwłok są jednoznaczne?

– Niestety, tak. – Doktor poprawił binokle na nosie. – Ponad wszelką wątpliwość stwierdzam, że Saul Rottenberg nie popełnił samobójstwa.

– A więc został zamordowany – odezwał się dziwnie nieobecny tego dnia Kellerman.

– Wszystko na to wskazuje. – Martens sięgnął po protokół z sekcji.

– Dziurka na koszuli ofiary zauważona przez radcę Abella została wypalona przez kroplę kwasu siarkowego. Ślady tego samego kwasu odnaleźliśmy w przełyku i żołądku ofiary. Przepraszam za krótki wykład, ale jest on niezbędnym. Przypomnę, że generalnie trucizny można podzielić na: żrące, mięszone, krwi i układu nerwowego. Stężone kwasy nieorganiczne i organiczne, takie właśnie jak kwas siarkowy, należą do tej pierwszej grupy.

Jest oczywiste, że zabójstwa z użyciem tych kwasów należą do rzadkości. Dlaczego? Ano dlatego, że każdy dorosły człowiek potrafi odróżnić te substancje, które są tak charakterystyczne ze względu na swoje właściwości. A już, gdy do zatrucia dochodzi nie w jakimś laboratorium czy fabryce chemicznej, a w gabinecie wieczorową porą – Martens spojrzął wymownie na zebranych – przypadkowe zatrucie jest wręcz wykluczone. Ale kontynuujmy, typowe objawy zatrucia truciznami żrącymi to dotkliwy ból brzucha, wymioty, a także pieczenie w jamie ustnej i przełyku. Ślady znalezione na ciele nieboszczyka potwierdzają, że te cierpienia były udziałem zmarłego. Świadczą o tym silne zadrapania na szyi i tkanka skórna zgromadzona pod paznokciami. Bez dwóch zdań, panowie, w chwili agonii, już po wypiciu kwasu, Rottenberg musiał straszliwie cierpieć. Podświadomie darł paznokciami szyję, wszystko w środku musiało go potwornie boleć. – Doktor przerwał i powiódł zmęczonymi oczami po zebranych. – Co jednak najistotniejsze – kontynuował po chwili – treść wymiotna znaleziona w jamie gębowej, miała barwę czarno-czerwoną, typową dla obrażeń wywołanych przez kwas siarkowy. Wniosek? Ktoś zmusił Rottenberga do wypicia żrącej substancji, zanim oddany został strzał, kończący tę męczarnię.

– Ale po cóż miałyby to robić, skoro i tak zamierzał zastrzelić Rottenberga?  
– zapytał bezradnie Mohl.

– Myślę, że nie chodziło tylko o egzekucję – odezwał się Abell. – Z jakichś nieznanych nam powodów ta śmierć miała boleć. Chodziło o przysporzenie ofierze maksimum cierpień. Dlatego morderca, czy mordercy, najpierw zmusił Rottenberga do wypicia kwasu, a dopiero później oddał strzał. Mówiąc obrazowo, sprawca stał nad ofiarą siedzącą w fotelu, wepchnął mu lufę pistoletu do ust i pociągnął za spust. Stąd ten nietypowy kierunek kanału postrzałowego, który niepokoił mnie od pierwszego momentu. Gdyby nie wypalona dziurka na koszuli, zapewne nigdy nie domyślilibyśmy się, że oprawcy użyli także kwasu. Spustoszenie, jakie wywołała kula w jamie gębowej, zacierało ślady i obrażenia po wypiciu żrącej substancji. Pewne jest jedno. Rottenberg nie popełnił samobójstwa, a został z zimną krwią brutalnie zamordowany. Oznacza to także, że list pożegnalny napisał pod przymusem, a wymienione w nim pobudki czynu, rzekomo samobójczego, są wyssane z palca.

– To błyskotliwa hipoteza, ale czy w kwestii tych pobudek nie wysuwa pan zbyt pospiesznych wniosków? – zaoponował Kellerman. – Może rzeczywiście

Rottenberg zginął w sposób inny, niż to zakładaliśmy, ale przecież z jakiegoś powodu go sprzątnięto, prawda?

– Zginął w inny sposób, niż zakładaliśmy? Z całym szacunkiem, przecież to eufemizm, panie komisarzu – ciągnął niewzruszenie Abell. – Powtarzam, Rottenberg nie popełnił samobójstwa. Ktoś zadał sobie wiele trudu, aby podrzucić nam jak najbardziej wiarygodną wersję o samobójstwie. A co do tego nadawało się najbardziej? Co policja, krytykowana przez prasę i senat, łyknęłaby najchętniej? Oczywiście, powiązanie trupa Rottenberga z aferą burmistrza Lauego! I nie omylił się, prawda? Prawie im się udało.

– Zgoda, to nie było samobójstwo. – Kellerman, choć niechętnie, musiał uznać siłę argumentacji tego oficera o szarych hipnotyzujących oczach. – Ale nadal otwarte pozostaje pytanie o rzeczywiste motywy tego morderstwa.

– To dopiero musimy zbadać – odpowiedział spokojnie Abell. – Kluczem do rozwiązania sprawy będzie, jak sądzę, wyjaśnienie, dlaczego Rottenberg musiał tak cierpieć przed śmiercią. Gdyby to był mord na zlecenie, jakieś porachunki, odstrzelono by mu głowę i po sprawie. A jednak ktoś czerpał sadystyczną przyjemność z zadawania mu bólu.

– Przestałem za panem nadążać, Abell – komisarz Mohl nie krył rosnącej irytacji.

– Pan radca chce przez to powiedzieć – włączył się do rozmowy Plaskowitz – że agonię Rottenberga przedłużano z jakiegoś istotnego powodu. Na przykład karząc go za jakieś przewiny albo próbując wydobyć od niego przed śmiercią jakieś istotne dla sprawców informacje.

– Dziękuję panie radco – uśmiechnął się Abell. – Dokładnie to miałem na myśli. Dlatego musimy zacząć od tego zagadkowego listu, w którym nieboszczyk dwa razy mylnie podał imię własnej żony. A także powracał do religii, chociaż był agnostykiem do szpiku kości. Słowem, musimy zacząć od pani Adele i rodziny Rottenbergów.

– Kellerman, chyba będziemy zgodni – Mohl poszukał wsparcia u swego zastępcy. – Abell, to pan poprowadzi dalej śledztwo w sprawie Rottenberga. Odpowiada pan bezpośrednio przede mną. Dostaje pan radcę Plaskowitza do pomocy.

– Dziękuję za zaufanie panie komisarzu. Chętnie skorzystam z doświadczenia radcy Plaskowitza. Aha, proszę oddelegować do mojej dyspozycji także wachmistrza Kukulkę.

– W porządku. Niech się pan bierze do roboty. Jeszcze jedno, proszę nam wyjaśnić, co pan miał na myśli, wiążąc swoje nocne przygody w kostnicy ze śmiercią Rottenberga.

– To proste, panie komisarzu – odpowiedział radca, patrząc prosto w oczy swemu zwierzchnikowi. – Ktoś zaczął się na mnie w kilka godzin po tym, jak

przeforsowałem decyzję o sekcji zwłok. Może to przypadek, a może nie? Było oczywiste, że tym sposobem odkryjemy prawdziwą przyczynę śmierci starego Saula i cały misterny plan morderców weźmie w łeb. To nie mogło się im spodobać. O przewidywanej sekcji zwłok wiedziało zaledwie kilka osób w tym gmachu, może kilka w prosektorium. A jednak ta wiadomość dotarła tam, gdzie nie powinna dotrzeć. Pytań jest zresztą więcej. Użyto nazwiska mojego dobrego znajomego Martina Becka. Ktoś musiał wiedzieć o naszej zażyłości. Skąd? Spotkałem się z nim raptem dwa dni temu. Czy ktoś mnie śledził? Przypadkowo nas zauważył i postanowił użyć jego nazwiska jako wabika?

Żaden z mężczyzn obecnych w sali odpraw nie odpowiedział. Zresztą żaden z nich od dawna nie wierzył w przypadki.



## **Rozdział II**

### **Iskierki Izaaka Lurii**

## 1.

Wtorek, 16 kwietnia, przywitał miasto wściekłą nawałnicą. Grzmiało i wiało. Ciężkie chmury, niczym brudna postrzępiona wata, zawisły nad dachami domów i wieżami kościołów. Masy spadającej z nieba wody sparaliżowały całe śródmieście i okolice portu. Ulicami, rozbryzgując kałuże, pędziły na sygnale wozy strażackie, spieszące wypompowywać wodę z zalanych piwnic i suterren.

Na Salzstrasse wichura zerwała blaszany dach i rolując go niczym harmonijkę, roztrzaskała o jedno z kamiennych podproży. Rwąca rzeka płynąca ulicami porywała dziecięce wózki, martwe szczury, kawiarniane stoliki i skrzynki z owocami.

W Świątej Brygidzie proboszcz podczas porannej mszy przyrównał trwające od początku miesiąca deszcze do biblijnego potopu, zesłanego z góry, aby zmyć wszystkie grzechy tego niewdzięcznego miasta.

Abell wspólnie z Plaskowitzem postanowili przeczekać ten dopust Boży w gospodzie Der Lachs<sup>[9]</sup> przy Breitgasse. Obaj lubili ten lokal nie tylko z uwagi na goldwassera, który wytwarzany był tu na miejscu w wiekowej manufakturze. Zasłużoną renomą cieszyła się także tutejsza kuchnia.

Usiedli przy stoliku obok wielkiego majolikowego pieca z mennonickich kafli, podkreślających przywiązanie właścicieli do dawnej holenderskiej ojczyzny. Mimo południowej pory lokal powoli wypełniał się ludźmi szukającymi schronienia przed zimmem i wszechogarniającą wilgocią.

Zamówili zupełną rybą z łososia oraz sandacza z szyjkami rakowymi jako danie główne. Do tego półmisek sałat mieszanych z marynowaną gruszką, serem pleśniowym i orzechami w miodzie. Obiadowe menu uzupełniała karafka goldwassera na lodzie i dzban zimnej wody. Czekać na zamówione potrawy, Plaskowitz pożywiał się swoimi ulubionymi dropsami malinowymi firmy Anglas, które były przedmiotem żartów i docinków w całej komendzie. Plaskowitz pozostawał jednak niewzruszony. „Przepadam za młodymi dziewczynami i dropsami Anglas – mawiał – bo smak jest podobny”.

Abell ceniał sobie towarzystwo starszego o kilka lat oficera. Alex Plaskowitz pochodził z arystokratycznej rodziny, której wielu prominentnych przedstawicieli pełniło wysokie funkcje w pruskiej armii i administracji. Jakby na przekór tym rodzinnym tradycjom nie skrywał swojej niechęci do wojska. „Wojna to zbyt poważna sprawa, aby powierzyć ją wojskowym”<sup>[17]</sup> – powtarzał z lubością zasłyszana gdzieś maksymę.

Z tego, co sam opowiadał, stanowczo odrzucił karierę w mundurze. Ulegając naciskom ojca, zdecydował się na służbę w policji, ale tutaj także potrafił zaznaczyć swoją odrębność. Był wysoki, jak wszyscy jego czterej bracia,

wysportowany i miał profil jak z greckiej kamei. Lubił wszystko, co angielskie, i cytował z pamięci poezje Tennysona. Podobnie jak Abell ubierał się w markowe garnitury. Na kort zajeżdżał swoim kabrioletem Mercedes S, w białym stroju angielskiego dandysa i absolutnie nie wyglądał na lokatora ponurego gmachu przy Karrenwall. Bywał złośliwy, nieznośny i kapryśny. Ale przede wszystkim był inteligentnym, doświadczonym śledczym o czystych – Abell miał takie przekonanie – rękach. Sprawa Rottenberga wyglądała na rozwojową i ktoś taki był mu bardzo potrzebny.

Wypili po kieliszku goldwassera i przez kilka minut w milczeniu oddawali się degustacji parującej zupy rybnej.

– Odwiedziłeś panią Rottenberg, tak jak cię prosiłem? – zapytał Abell, odsuwając talerz i ocierając usta śnieżnobiałą chusteczką.

– Oczywiście, zrobiłem to, jadąc tutaj. Uprzedzając pytanie, tym razem naprawdę wyglądała na wstrząśniętą. Jednak ma jakieś ludzkie uczucia. Morderstwo to jednak nie to samo, co samobójstwo. Ale przy tym wszystkim chyba poczuła ulgę, że mąż nie okazał się łapownikiem.

– Uprzedziłeś, że chcę ją odwiedzić?

– Tak, będzie czekała na ciebie jutro przed południem.

– Porozmawiajmy teraz o pozostałych Rottenbergach. Czego się dowiedziałeś?

– Trzeba przyznać, że to dość pokręcona i temperamentna rodzinka.

– Plaskowitz wyciągnął zza pazuchy gęsto zapisany brulion.

– Temperamentna? – zdziwił się Abell. – Rozmawiałem z Adele Rottenberg. Bardziej przypominała mi królową lodu, która przyjechała tu z któregoś z norweskich fiordów.

– Do Adele jeszcze wrócimy. Musisz wiedzieć, że Rottenbergowie to właściwie dwa klany. Tak różne od siebie jak ogień i woda. Albo lepiej: jak goje i ortodoksi.

– Co masz na myśli?

– Chcę przez to powiedzieć – Plaskowitz nałożył sobie na talerz kopiastą porcję sałaty – że ta rodzina jest pęknięta na pół. Senior rodu, bezdziejny Saul Rottenberg, i jego żona to agnostycy, w pełni zasymilowani i kosmopolityczni Żydzi, jakich pełno teraz w Gdańsku i całych Niemczech. Ich jedyną ojczyzną jest kultura niemiecka. Co więcej, z naszych informacji wynika, że Saul wraz z żoną unikali synagogi, ale oddawali się namiętnie praktykom kabalistycznym.

– To rzeczywiście zaskakujące, będziesz mnie jeszcze musiał oświecić w tym względzie. A druga połowa?

– Na przeciwległym biegunie. Są ortodoksyjnymi i prawowiernymi Żydami. To młodszy brat naszego truposza, Salomon, i jego prawdziwie żydowska żona, Rachela, z chasydzką peruką na głowie. A także ich córka – Rebeka. Podobno

Salomon nie mógł wybaczyć starszemu bratu wyparcia się wiary ojców. Bracia nie przepadali za sobą. Nigdy się nie odwiedzali. Mówią, że Salomon szczególnie nie cierpiał żony brata, naszej lodowatej Adele. Uważał, że to ona, neofitka z bogatego wiedeńskiego domu, sprowadziła jego brata na manowce.

– To fakt, odniosłem wrażenie, że Adele jest całkowicie zasymilowana.

– Pęknięcie w rodzinie Rottenbergów jest charakterystyczne dla niemieckiego żydostwa. Od czasów żydowskiego oświecenia, czyli haskali, rozpoczął się marsz wielu naszych Żydów ku pełnej, czy choćby tylko częściowej, asymilacji. Jak wiesz, zwolennicy haskali zwani maskilami opowiadali się za ideałami oświeceniowymi i za „wyjściem z getta” poprzez wtopienie się w społeczeństwo, na którego uboczu żyli od wieków. Rottenberg to przykład takiego oświeconego maskila. Jego brat Salomon wolał pozostać w getcie. Dla Saula zapewne bohaterami byli zasymilowani Rotszyldowie, czy chociażby Heinrich Heine, który pisał o „trzech strasznych plagach: biedzie, bólu i byciu Żydem”[18]. Dla Salomona najwyższym autorytetem pozostał miejscowy rabin.

– A propos, czym zajmuje się Salomon Rottenberg?

– W tym rzecz, że niczym – Plaskowitz wzruszył ramionami. – Podobno więcej czasu spędza w synagodze niż w domu.

– W takim razie z czego żyje? – Abell przywołał kelnera i zamówił kolejną karafkę goldwassera.

– No i to właśnie jest zagadką. Salomon nie mieszka może w pałacu, ale wierz mi, jego obszerny dom przy Strandweg w Sopocie niejednemu przypadłby do gustu. Nie wiadomo, skąd bierze na to środki. Nasi informatorzy twierdzą, że wydawał resztki ojcowizny. I tu – Plaskowitz podniósł do góry nożyk od sera – rozpoczyna się opowieść numer dwa. Zgodnie z nią Salomon uważał, że został oszukany przez starszego brata podczas podziału rodzinnego majątku, po śmierci ich ojca.

– Adele mówiła mi, że jej mąż w chwili ożenku nie śmierdział groszem.

– Miała prawo tak uważać. Jej rodzina należała do śmietanki wiedeńskiej. Przy jej posagu niewielka fortuna zgromadzona przez starego Rottenberga mogła nie robić specjalnego wrażenia – odpowiedział Plaskowitz. – Ale Salomon miał inną perspektywę. Jego starszy bardziej uzdolniony, światowy brat zagarnął wszystko. Jemu pozostała Tora i baba w peruce. Krążą plotki, że Saul go dyskretnie wspomagał. Ale to tylko mogło podsycać poczucie upokorzenia i krzywdy. Zresztą nie ma się co dziwić, jeszcze raz zacytuję Heinego: „Jest tylko jeden Bóg: Mamona. A Rotszyld jest jego prorokiem”.

– Chyba nie przepadasz za naszymi starszymi braćmi w wierze?

– Christian, na Boga, daj spokój! – Plaskowitz spojrział na niego roziskrzonymi oczami. – Nie jestem jakimś endemicznym antysemitą, jak ci troglodyci z NSDAP! Ale nie pozostaję też ślepy na to, co się dzieje! Żydzi czują

się u nas jak u siebie. Przeniknęli do samego jądra niemczyzny! Do naszego języka i kultury! Imitują nas, naśladowają tak doskonale, że nie sposób odróżnić kopii od pierwowzoru! Wiesz, kto stworzył najwspanialsze strofy w języku niemieckim od czasów Goethego? Właśnie Heine w *Lorelei* i *Auf Fluegeln des Gesanges* (Na skrzydłach pieśni). Kto skomponował najczystsze dźwięki w niemieckiej muzyce? Mendelssohn, zresztą wnuk starego Mojżesza. Dodaj do tej listy Offenbacha czy Johanna Straussa na jednym biegunie – i Arnolda Schönberga na drugim! I magiczne batuty Otto Klemperera czy Gustawa Mahlera! Kto bryluje na uniwersytetach i w nauce? Spójrzmy: teoria względności – Albert Einstein, bakteriologia – Ferdinand Cohn, antropologia kulturowa – Franz Boas, psychoanaliza – Sigmund Freud! I tak dalej, i tak dalej! Czy wiesz, że technika interpretowania snów u Freuda przypomina metodę używaną w księdze *Zohar*? Na litość boską, Christian, zażydzili nawet nasze sny! A polityka? Od lewa, do prawa! Od Marksa i Lassala po Rathenaua i Eberta! Lista jest długa! Nie starczyłoby nam czasu, aby ich wszystkich wymienić!

– O czym niby to świadczy? – wzruszył ramionami Abell. – Tylko o tym, że są pracowici, kreatywni i nowatorscy. I optymalnie wykorzystują możliwości stworzone im przez Rzeszę. Tak czy owak, pracują na nasz niemiecki rachunek.

– Jezu, Christian, otwórz wreszcie szerzej oczy! – Plaskowitz uderzał teraz miarowo dłonią w stół. – Jeszcze raz powtarzam, nie jestem antysemitą! Brzydzą mnie te nazistowskie napisy na murach! *Juden raus!*[19] Gdzie niby mieliby wyjechać? Na biegun północny? I całe to gadanie o wyższości rasy germańskiej, mierzenie czaszek, nosów i tym podobne bzdury. Przecież to ponura parodia! Ale jest faktem, że oni ukradli naszą duszę, naszą kulturę! Są zbyt doskonali, a przez to niebezpieczni! Jak kameleony w ludzkiej skórze! Wiesz, że język niemiecki odgrywa rolę lingua franca nawet w wielu żydowskich osiedlach w Palestynie? Nie hebrajski czy jidysz, a niemiecki! Zacytuję ci jeszcze Kafkę, ich Kafkę, żeby była jasność. To leciało mniej więcej tak: „To, co robią Żydzi, to zawłaszczenie cudzej własności, która pozostanie nadal cudzą własnością, nawet jeśli nie da się wskazać choćby jednego błędu językowego”. My popełniamy błędy językowe, Christianie, oni nie. I w tym problem, w tym problem, niech mnie szlag!

– Zobacz tylko, co wyprawiają naziści w Rzeszy – Abell pokręcił z dezaprobatą głową. – Hitler wprowadził już bojkot towarów żydowskich i ogłosił: „Wierzę, że działam zgodnie z wolą Wszechmogącego Stwórcy: zwalczając Żydów, walczę za Pana!”. Nawet Boga ubrali w brunatny mundur!<sup>[10]</sup>

– Żeby był jasność, nie popieram tego. Ale to tylko polityka, Christianie. Hitlerowi chodzi tak naprawdę o przestraszenie Żydów ze Wschodu, jego prawdziwym celem jest judeobolszewia, a nie Żydzi niemieccy.

– Zostawmy to. – Abell stwierdził, że zamówienie drugiej karafki likieru było jednak błędem. Jego kompan najwidoczniej nie miał zbyt mocnej głowy, a nie

skończyli jeszcze rozmowy. – Wspomniałeś o kabalistycznych praktykach w domu Saula Rottenberga.

– To prawda. – Jego lekko podpity kolega szybko porzucił temat spisku żydowskiego. – Przycisnęliśmy tę Monk. Chyba nieźle z niej ziółko. Najwidoczniej nie przepada za swoją panią. Twierdzi, że małżeństwo Rottenbergów było wręcz owładnięte jakąś kabalistyczną obsesją.

– Doprawdy? – Abell nie skrywał zaskoczenia. – Nie podejrzewałbym zwłaszcza starszego pana o takie dziwactwa. Niewiele wiem o Kabale. To jakiś rodzaj żydowskiego mistycyzmu. Z tego, co pamiętam, pierwotnie Kabała przekazywana była tylko wybrańcom jako ustny komentarz do Tory. Kabaliści wierzyli, iż litery świętej księgi i symbolizowane przez nich liczby umożliwiają bezpośredni dostęp do Boga. To nieodłączna część spuścizny judaizmu. Ale ortodoksi podkreślali, że dla prawidłowego studiowania i odczytywania Kabały trzeba być człowiekiem bogobożnym, zakorzenionym w judaizmie i jego tradycji. Inaczej będzie to tylko zabawa w okultyzm. Domyślam się, że z tego powodu prawowierny Salomon kosym okiem patrzył na powierzchowne w jego mniemaniu i oderwane od prawdziwej wiary fascynacje Saula i Adele.

– To i tak dużo wiesz. Co ty robisz w policji, Christian? Jak dla mnie to wszystko czarna magia, okultystyczna papka i tyle. Ale Kabała, jak wszystko, co żydowskie, na pewno zawojuje świat – mrugnął porozumiewawczo Plaskowitz. Abell pomyślał z ulgą, że jego towarzysz najwyraźniej odzyskiwał swe sarkastyczne poczucie humoru. Nie zdziwiła go zbytnio namiętna filipika, której wysłuchał przed chwilą. Wiedział, jakie nastroje panują w Rzeszy i samym Gdańsku. Żydzi byli na indeksie nowych władz i nic nie wskazywało, aby to się miało w najbliższym czasie zmienić. Także policjanci z Kripo z zasady byli im niechętni. Aksamitny antysemityzm Plaskowitza był tu raczej pozytywnym wyjątkiem od reguły.

– Kto jeszcze należy do tej szczególnej rodzinki? – zapytał i spojrzał na swoją omegę. Dochodziła szesnasta. Goldwasser był najlepszym złodziejem czasu.

– Jest jeszcze parszywa owca, czarny Piotruś, jak wolisz – jego towarzysz przyłożył otwartą rękę do lodowatego dzbanka, a następnie schłodził rozpalone policzki. – Bratanek Saula i Salomona. Jedyne dziecko ich zmarłego, a właściwie poległego trzeciego brata Alberta. Podobno to on, a nie Saul był kiedyś oczkiem w głowie ich ojca. Prymus na wydziale chemii Politechniki Gdańskiej. W wieku dziewiętnastu lat był autorem trzech patentów. Piękny jak cherubinek. Na dwa dni przed zakończeniem działań wojennych na froncie zachodnim nieprzyjacielski szrapnel odciął mu głowę. I to tak, że nigdy jej nie odnaleźli w tym morzu frontowego gówna i błota. Osierocił żonę, która skończyła w zakładzie zamkniętym. Takie życie...

Abell rozejrzał się po sali. Przy mahoniowym barze, otoczonym

oksydowanym metalowymi poręczami jak na statku jakiś otyły mężczyzna sączył alkohol ze swoją młodą towarzyszką. Wyglądał na komiwojażera w delegacji. Cały czas mówił coś do kobiety, a z tej odległości jego usta przypominały dziób ryby nieustannie ruszającej pyszczkiem i łapiącej powietrze. Ten słowotok nie robił jednak wrażenia na siedzącej obok damie. Co chwila zmieniała pozycję długich nóg. Abell miał wrażenie, że słyszy elektryzujący szelest jej pończoch. Pomyślał, że dla takiej kobiety tacy biedni durnie jak człowiek ryba strzelają sobie w łeb. Nieznajoma zauważyła zainteresowanie Abella. Spojrzała mu prosto w oczy. Niespodziewanie dla siebie poczuł przypływ podniecenia. Martin ma rację. Już najwyższy czas skończyć z tą ascezą.

– Dlaczego Piotruś jest czarny? – zapytał, próbując odwrócić uwagę od długonogiej pokusy przy barze.

– Hazard i karty – Plaskowitz rozłożył ręce. – Czysty banał. Made in Zopott. Wieczny kawaler. Stały bywalec kasyna. Przerznął tam podobno fortunę. Do tego, jak mówią, ma paskudny charakter. Podejrzewano go o spowodowanie kilku ciężkich uszkodzeń ciała, ale poszkodowani zawsze, dziwnym trafem, wycofywali zeznania. Aha, lubi dziwki o wielkich cychach. Jak ta Lorelei przy barze, która chętnie dla ciebie rozłożyłaby nogi. A to kosztowne hobby. Bogaty Saul kilka razy wyciągał go z kłopotów. Podobno Chaim Rottenberg był zadłużony u stryja na wielkie sumy. A teraz nagle dobroczyńca jest już zimny. Ciekawe, jak myślisz, to dobra czy zła wiadomość dla naszego niegrzecznego chłopca?

– Okaże się – odpowiedział z namysłem Abell. – W tej rodzinie jest wiele sekretów i tajemnic.

– Dlaczego właściwie tak interesujesz się Rottenbergami? Nie wydaje ci się, że morderców należałoby poszukać jednak wśród biznesowych partnerów Saula? Zgoda, ktoś mu pomógł odejść z tego świata. Zapewne Saul nie miał nic wspólnego z aferą burmistrza. Ale bardzo prawdopodobne, że robił ciemne interesy. Łowił ryby w mętnej wodzie. Sam mówiłeś, że kiedyś nie był specjalnie zamożny. Wzbogacił się zbyt szybko. Skąd miał pieniądze na tę osławioną kolekcję?

– Nie lekceważę tych pytań, przeciwnie – odpowiedział poważnie Abell. – Ale instynkt mówi mi, że Rottenbergowie coś ukrywają. Adele nie była ze mną do końca szczerą. Jej relacje z mężem były co najmniej dziwne. Do tego odtrącony, przepelniony niechęcią brat i młody utracjusz, zadłużony u stryja na wielkie sumy. Religia to ogromna siła, Alex, zwłaszcza u Żydów. Potrafi podzielić nawet kochającą się rodzinę. Może nawet popchnąć do zbrodni. Saul zginął w okrutny sposób. Dlaczego? Gdyby ktoś chciał go ukarać za jakiś przekręt budowlany, czy zadałby sobie tyle trudu, aby zamordować go w tak – przez chwilę szukał właściwego określenia – dramatycznych okolicznościach? Kwas siarkowy? Jak wielkie emocje, jak ogromna czysta nienawiść kierowała mordercą? Wygląda to tak, jakby ktoś chciał go ukarać jak heretyka w średniowieczu. I jeszcze jedno

– twierdzisz, że jeden ze zbirów przed kostnicą powiedział coś dla ciebie niezrozumiałego. Usłyszałeś słowo *zojne*. Sprawdziłem, wiesz, co to znaczy? To w jidysz. Przekleństwo, oznacza tyle, co nasze „kurwa”. Jeden z tych drabów był Żydem, Alex.

Piękność przy barze, niby machinalnie, musnęła krocze swojego partnera. Co ciekawe, zrobiła to, ignorując zaskoczonego szczęśliwca i nie spuszczać przy tym swoich wielkich oczu z radcy Abella. To popołudnie mogłoby zakończyć się ciekawie, pomyślał zrezygnowany. Mogłoby, gdyby on sam nie był tak zgorzkniały i wypalony jak tartaczny wiór.

## 2.

Było już po godzinie piętnastej, gdy opuszczali lokal. Smoliste espresso wypite na pożegnanie Kakadu, w połączeniu z deszczem i z porywistym wichrem, szybko otrzeźwiło Abella.

Dom Salomona Rottenberga stał na samym końcu Strandweg. Był niewielki, ale zadbane. Suche jeszcze o tej porze roku macki winorośli oplatały żarłocznie ściany domostwa. Ulica nie należała jednak do najelegantszych. Wściekły wiatr porozrzucał po całym bruku rybie ości i odpadki wygrzebane przez bezpańskie koty z jakiegoś śmietnika. Kukulka zatrzymał adlera przy podjeździe. Wóz zahamował z cichym jękiem resorów.

Przy schodach zauważyli mniej więcej dziesięcioletnią dziewczynkę. Ze skupioną miną rysowała coś kredą na chodniku. Była ubrana w grube rajtuzy i czarną sukienkę z wyświeconymi rękawami. Miała chorobliwie bladą twarz i niepokojąco wielkie ciemne oczy. Nie podniosła wzroku nawet wtedy, gdy Abell stanął tuż obok. Niemal nie widywał ortodoksów w Gdańsku, a tym bardziej w bardziej światowym Sopocie, zamieszkanym głównie przez Żydów należących do synagogi zreformowanej.

– Ty pewnie jesteś Rebeka? – zapytał. Nie odpowiedziała. Przyjrzał się wykonanemu przez nią malunkowi. Na pierwszym planie widniała realistycznie odmalowana czaszka z długim robakiem, wypełzającym z pustego oczodołu. W tle widać było dziwny pojazd, podobny do egipskiego rydwanu, otoczony morzem płomieni. Abell obejrzał się i spojrzał porozumiewawczo na wachmistrza. – Niezwykła wizja jak na dziecko.

Stanął przed drzwiami i zastukał mosiężną kołatką. Obejrzał się za siebie. Rebeka właśnie poprawiała białą kredą krawędzie oczodołu.

Drzwi otworzyła Rachel. Policjant zmusił się, aby nie spojrzeć na jej archaiczną perukę przyprószoną grubą warstwą pudru. Kobieta przypominała manekina, poruszającego się wolno i mechanicznie. Była gruba i na pewno nie należała do piękności. Jedyne oczy, wielkie jak u Rebeki, dodawały życia jej



nalanej twarzy. Abell przedstawił się i poprosił o widzenie z Salomonem Rottenbergiem. Odniósł wrażenie, że spodziewano się jego wizyty. Rachela wprowadziła policjantów do małego pokoju na wprost wejścia.

Pomieszczenie było niewielkie i zavalone po sufit stosami książek i gazet w języku niemieckim i hebrajskim. Abell domyślił się, że to gabinet Salomona. W pomieszczeniu unosił się ledwie uchwytny zapach szarego mydła, którym zapewne była wyszorowana podłoga, i woń starego papieru. Podeszedł do niewielkiego prostego biurka stojącego pod oknem. Tylko w tym miejscu było trochę wolnej przestrzeni. Na biurku zauważył stos starodruków w drogocennych skórzanych oprawkach. Nie był w stanie odczytać hebrajskich tytułów. Jego uwagę przykuły jednak wczesne daty wydań, widoczne na stronach tytułowych. Dwie książki leżące u góry stosu pochodziły z 1653 i 1698 roku. Obie wydrukowano w Królewcu. Salomon najwidoczniej kochał stare książki. Obok leżały grube tomy wydane po niemiecku, w tym *Przewodnik błędzących* Majmonidesa i kroniki Józefa ben Izaaka Sambariego. Jedna z książek miała włożoną zakładkę z papieru. Salomon musiał ją czytać w ostatnim czasie. Było to dzieło Izaaka ben Salomona Lurii – komentarze do Księgi Ukrycia z *Zoharu*. Gruba mosiężna menora dopełniała obrazu pokoiku żydowskiego skryby, jakby żywcem przeniesionego z jakiegoś galicyjskiego sztetlu na polskich kresach. Abell uświadomił sobie, że jest w tym martwym domu już od dobrych kilku minut, ale nie doleciał go ani jeden dźwięk. Jakby na zawołanie usłyszał szuranie czyichś stop. Odwrócił się i ujrzał na progu pokoju wysoką pochyloną postać w czarnym garniturze.

Z tej odległości Salomon Rottenberg nie wyglądał na młodszego brata Saula. Ale gdy podeszedł bliżej i przywitał się powściągliwie, uwagi policjanta nie uszedł krzepki uścisk jego dłoni i muskularne bary, rysujące się pod tkaniną garnituru. Fizycznie nie przypominał brata. Był wyższy, miał semicki nos i wychudłą twarz o zaciętym wyrazie. Bardziej przypominał jednego z tych żylastych bojówkarzy z KPD[20] niż pobożnego Żyda kontemplującego komentarze Majmonidesa do świętej księgi.

Abell uprzedził gospodarza, że ich rozmowa ma charakter formalnego przesłuchania.

– Czy pańska bratowa Adele Rottenberg powiadomiła pana o wynikach sekcji zwłok pańskiego brata? – zapytał, nie spuszczać oczu ze swego rozmówcy.

Salomon zaprzeczył ledwie widocznym ruchem głowy.

– Nie mam żadnego kontaktu z tą kobietą. I nie chcę mieć – odpowiedział chrapliwie.

– W takim razie oficjalnie informuję, że pański brat nie popełnił samobójstwa. Został brutalnie zamordowany przez kogoś, kto chciał ofierze przysporzyć maksymalnie dużo cierpień. Saul Rottenberg umierał w strasznych męczarniach. Nikomu nie życzyłbym takiej śmierci.

Trudno było ocenić, czy ta wiadomość wstrząsnęła Salomonem.

– Bóg daje i Bóg odbiera – odpowiedział po chwili milczenia.

– Bóg nie ma z tym nic wspólnego, panie Rottenberg. Nawet wasz Jahwe, który jest podobno wyjątkowo okrutny. To nie on zmusił pańskiego brata do wypicia żrącego kwasu, który wypalił mu przełyk i wnętrzności. I to nie on przekonał go, by połknął własne wymiociny, nie on wpakował mu lufę pistoletu do gardła i pociągnął za spust.

– Nie rozumie pan wielu rzeczy, panie oficerze. I nie powinien pan mieszać do tego imienia Elokim, Boga Niewypowiedzianego. Mój brat dawno porzucił wiarę ojców, wyparł się judaizmu i całym swoim świętokradczym życiem kpił z przymierza, jakie mój naród zawarł z Jahwe na wzgórzu Synaj. Żył jak goj i zmarł jak goj.

– Nie zamierzam z panem prowadzić dysputy o wyższości Jahwe nad innymi bogami, panie Rottenberg. Nie rozmawia pan z rabinem, a oficerem policji, prowadzącym śledztwo w sprawie morderstwa. W tym dochodzeniu wszystkie możliwości są jeszcze otwarte, także taka, jak porachunki rodzinne. Z tego, co pamiętam z lekcji religii, takie przypadki często gęsto opisywane w Biblii, zdarzały się nie tylko w świecie gojów, ale także synów Izaaka. – Nie mógł sobie odmówić małego szyderstwa. – Czy to jasne?

Odpowiedziało mu gniewne spojrzenie, poparte zaciśnięciem wielkiej jak bochen dłoni. Policjant przez chwilę zastanawiał się, czy ta sękata dłoń mogłaby zabić, ale szybko porzucił tę myśl. Ze swojego policyjnego doświadczenia wiedział dobrze, że pozory rzeczywiście najczęściej mylą.

– Po tych początkowych uprzejmościach przejdźmy do rzeczy, panie Rottenberg. – Abell sięgnął po swój notes. – Co pan robił późnym wieczorem, dziesiątego kwietnia między godziną dwudziestą pierwszą a dwudziestą czwartą?

Salomon chwilę zwlekał z odpowiedzią.

– Byłem w domu, jak zawsze o tej porze.

– Czy ktoś to może potwierdzić, oczywiście poza pańską żoną?

– Owszem, tak się składa, że tego dnia omawialiśmy w moim domu projekt założenia kolejnego domu modlitwy w Sopocie. Gościłem rabina Weissberga i trzech innych członków komitetu, szanowanych członków naszej społeczności.

– Sprawdźmy to. – Abell demonstracyjnie długo zapisywał słowa Salomona w swoim notesie.

– Prowadzę dziennik, właściwie swoistą kronikę spotkań naszej wspólnoty. Poprosił mnie o to dwa lata temu rabin Weissberg. Mogę panu pokazać wpis z tego dnia – mówiąc to, Salomon podszedł do stołu i spod stosu ksiąg wyciągnął zeszyt w ceratowej oprawie. Wertując kartki, odnalazł właściwy dzień i podsunął policjantowi.

Abell obejrzał uważnie zapiski.

– Na pewno nie będzie pan miał nic przeciwko temu, abym na jeden dzień wypożyczył ten dziennik, prawda?

Salomon zmarszczył czoło, ale nie odpowiedział. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

– Panie oficerze?

– Tak... – Abell podniósł oczy na swego rozmówcę.

– Nie zabiłem mojego brata ani nie przyłożyłem do tego ręki – powiedział cicho Salomon. – Choć nie ukrywam, wielokrotnie życzyłem mu śmierci... Niech mi Najwyższy wybaczy. – Podniósł oczy ku górze.

– Dlaczego życzył pan tak źle własnemu bratu? Czyż nie mamy wspólnego przykazania, aby wielbić bliźniego swego jak siebie samego?

Oczy Salomona pociemniały.

– Saul był wybrańcem. Mógł zostać ulubieńcem Pana. Wszystko przychodziło mu łatwo, podczas gdy ja zdobywałem wiedzę w trudzie i znoju. Zawsze byłem tym gorszym, mniej zdolnym z braci. Bóg obdarzył go fenomenalną pamięcią. Gdy miał siedem lat, znał na pamięć Torę w stopniu zadziwiającym nawet rabina. Do tego grał na pianinie i znał sześć języków.

– I co się stało?

Salomon mówił teraz jak w transie, tak jakby nie dostrzegał obecności Abella.

– Opiekował się mną, był dla mnie wzorem. Jako dziesięcioletek zrobiłem coś strasznego. Nasz ojciec był bardzo surowy. Nigdy w życiu się tak nie bałem. Ale Saul wziął winę na siebie i prawie złamał ojcu serce. Oddałbym wtedy za niego życie. A potem wrócił ze studiów na politechnice i przywiózł do domu tę wiedźmę, Adele.

– Nie przepada pan za bratową.

– To zła kobieta – poczerwieniały Salomon przypominał teraz wielkiego drapieżnego sępa. Rysy jego twarzy się wyostrzyły. – Jej religią zawsze były pieniądze. Bezwstydnica! To ona wciągnęła go do tej wiedeńskiej sekty! – Zdawał się tracić panowanie nad sobą, a jego głos przybrał wysoki ton kastratów.

– Rozumiem, że mówi pan o ich praktykach kabalistycznych?

– Co goj może wiedzieć o Kabale? Wydaje się wam, że to kolejna żydowska magia, jakiś rodzaj okultyzmu, diabelskich sztuczek wymyślonych w getcie przez ciemnych zacofanych Żydków, prawda? Tymczasem Bóg dał Mojżeszowi nie tylko spisane Prawo Pięcioksięgu, ale także Prawo Ustne. W Talmudzie słowo „Kabała” oznacza po prostu „otrzymaną doktrynę” czy też „tradycję”. My, prawowierni Żydzi, uważamy, że Kabała stanowi komplementarną, wewnętrzną część objawienia danego Mojżeszowi. Przez setki lat ta tajemna wiedza przekazywana była przez kapłanów tylko wybrańcom. I tylko ustnie, aby ten przekaz nie dotarł do niepowołanych. – Oczy Salomona płonęły teraz niezdrowym blaskiem. – Kabała

ułatwiała odnalezienie drogi do Boga, dostarczała wiedzy o akcie stworzenia, o boskości i raju. Te święte komentarze do Tory spisano dopiero w Prowansji w dwunastym wieku, tak wielką otaczano je czcią i tajemnicą! Nie można studiować i zrozumieć Kabały bez więzi z całym dziedzictwem ducha żydowskiego! Bez wiary! Bez Boga! A co zrobili Adele wraz z Saulem? Uczynili z Kabały rodzaj salonowej zabawy, rozrywki dla amoralnych burżujów bez wiary i ojczyzny! Bawili się gematrią, świętymi słowami i liczbami jak rebusami z bulwarowej prasy! Hańba! To grzech, grzech śmiertelny, niezmarywalny, igranie z imieniem Niewymawialnego! Niegdyś, gdy Rzymianie wyrzynali nasz naród i burzyli Świątynię, za takie świętokradztwo zeloci karali zdrajców śmiercią. A i dzisiaj Żydzi stoją w obliczu Antychrysta... – umilkł nagle, jak gdyby dopiero teraz uświadomił sobie, że ma przed sobą oficera Kripo.

– Nigdy nie brakowało u was zdrajców, panie Rottenberg. – Abell ledwie ochłonął po tej gniewnej tyradzie interlokutora. Pomyślał, że dobrze zrobił, ślęcząc ostatnio wiele godzin nad Jewish Encyclopedia. – Nawet w czasach waszego wielkiego kabalisty Izaaka Lurii, który nie pozwalał zapisywać swoich nauk. A jednak ktoś to zrobił. Z tego, co wiem, zdrajcą okazał się brat najzdolniejszego ucznia Lurii, Chaima Vitala, który spisywał nauki mistrza. A skuszony sporą łapówką skopiował także teksty i bibliotekę brata. Od tamtej pory całe legiony zdrajców sprzedają was każdego dnia. Ze strachu, dla pieniędzy, aby przeżyć. Zapewniam pana, że dojdę prawdy i dowiem się, kto kazał zamordować Saula Rottenberga. I zrobię to nie dla Żydów. Ale dlatego, że skoro jest wina, musi być i kara.

Dygresja Abella wyraźnie zaskoczyła i usztywniła Salomona. Uświadomił sobie, że ten goj z odznaką może być niebezpieczny. Do tej pory w oczach spotykanych policjantów widział tylko nienawiść, a w najlepszym przypadku pogardę. W szarych oczach tego oficera, który – co zaskakujące – słyszał o Izaaku Lurii, dostrzegł determinację i upór. Nie wiedział, co było gorsze. W każdym razie zarówno on sam, jak i jego bracia w wierze z całą pewnością musieli się mieć na baczności. Antychryst Hitler ostrzył już na nich noże i rozpałał stos. Musieli być czujni. A we własnym obozie nie tylko ostrożni, ale i bezlitośni dla wrogów Boga! Inaczej nigdy nie doczekają raju, o którym pisał prorok Henoch w rozdziale czternastym swej Księgi. Nie ujrzą zastępu aniołów „stojących przed rydwanem”, zstąpienia ognia z nieba i momentu zbawienia przed Tronem. „*Wielki Pan nasz i wszechmogący, mądrości jego bez liku*”[21].

Słowa psalmu przywróciły mu spokój. Spojrzał na siedzącego przed nim policjanta i uśmiechnął się w duszy. Cóż znaczy ten goj, ta drobina ludzka, w obliczu potęgi Pana – Zohariela, Achtriela, Tazasa[22]? Jakie znaczenie mają jego knowania i policyjne gierki w obliczu boskiego planu, którego świadomość wprawiała w drżenie wszystkie członki rozgorączkowanego ciała Salomona.

Żadnego. Przyjdzie ten czas, ta chwila, kiedy zapłonie blask Tronu...

Policjanci wracali do Gdańska, gdy zachodzące słońce kładło się już długim cieniem na trotuarach ulic. Wjechali w wąską Töpfergasse przy kościele Świętej Elżbiety. Abell z tęsknotą pomyślał o krajobrazach młodości z rodzinnej Warmii. O polnych drogach obrośniętych szpalerem lip, zrastających się u góry koronami i tworzących ażurowe tunele utkane z gałęzi, liści i światła. Brakowało mu ceglanych kościółków kłujących niebo strzelistymi wieżami i łagodnych pagórków kojących oczy i nerwy.

Teraz jechał powoli ceglany wóz ulicy, drażniącej czerwienią wszechobecnych hasel i nazistowskich sztandarów. Długie bele tkaniny spowijały kamieniczki od dachu po przedproża. Pomyślał, że jego Gdańsk coraz bardziej przypomina teatralną dekorację, a nie żywe miasto. Przyzwyczał się do jego starczych ran, łuszczących się tynków i blizn po ciosach zadanych przez Polaków, Szwedów i Francuzów w niezliczonych bitwach i wojnach. Nawet do smrodu miejskich rynsztoków. Były prawdziwe. Ale teraz wszystko zakrywała szczelnie krwista, chamska posoka NSDAP. Była mu nie tylko obca, ale i sztuczna. Jak długo jeszcze uda mu się przetrwać w świecie, który przestawał rozumieć? Jak długo tolerować go będą nowi barbarzyńcy? Dopóki żyje stary Hindenburg, jakoś to będzie. Ale potem?

W gmachu policji złożył komisarzowi Mohlowi szczegółowy raport z dotychczasowych ustaleń śledztwa. Odniósł wrażenie, że jego zwierzchnikowi rzeczywiście bardzo zależy na szybkim wyjaśnieniu śmierci Rottenberga. Było to tym bardziej zastanawiające, że upadła już ostatecznie wygodna dla policji wersja łącząca rzekome samobójstwo przedsiębiorcy z aferą łapówkarską burmistrza.

– Zgoda, Abell, niech pan podąża tropem rodzinnym. – Mohl podniósł swe zmęczone oczy na policjanta. – Policja kryminalna nie ma ostatnio najlepszej passy. Będę z panem szczerzy. Potrzebujemy sukcesu. I to bardzo. Nie wiadomo, co chodzi po głowie nazistom. Gauleiter Forster już się odgrażał, że Kripo trzeba odzyskać w pierwszej kolejności.

– To byłby fatalny ruch. – Abell po raz pierwszy poczuł coś na kształt solidarności ze swoim przełożonym. Komisarz Mohl był zbyt miękki jak na obecne czasy, ale każdy jego następcą z legitymacją NSDAP w kieszeni mógł być tylko gorszy.

– Kiedy przesłucha pan Chaima Rottenberga? Podobno ma taką górę długów, że zasłania ona wejście do portu w Gdańsku. – Mohl szybko powrócił do swojej roli zwierzchnika.

– Rodzina twierdzi, że Chaim jest teraz w sanatorium w Szwajcarii. Wyjechał podobno w przeddzień śmierci wuja. Obserwujemy jego mieszkanie i synagogę przy Roonstrasse. Nasz informator, krupier z kasyna, ma nam dać znak, jak tylko ptaszek się pojawi.

– Dobrze, Abell, dobrze. A Salomon Rottenberg? Z tego, jak się zachowywał podczas dzisiejszego przesłuchania, można wnioskować, że ma coś na sumieniu. Podejrzewa go pan?

– Za wcześnie, by o tym wyrokować – odpowiedział ostrożnie Abell. – Ale to sfanatyzowana osobowość. Człowiek głęboko i żarliwie wierzący w swojego Jahwe. Takimi ludźmi często powodują ogromne emocje. A Saula Rottenberga na pewno zamordował ktoś, kogo przepełniała czysta, stężona nienawiść. Do tego to wyznawca Kabały, jak jego brat i bratowa. Tyle że w bardziej judaistycznej, prawowiernej odmianie. A z tego, co zdążyłem się zorientować, Kabała to niebezpieczna wiedza.

– To jakiś rodzaj czarnej magii? – zainteresował się Mohl. – Słyszałem, że kabaliści szczególne znaczenie przykładają do kojarzenia liter alfabetu hebrajskiego i liczb odpowiednio przypisanych do każdej litery.

– Tak, nazywają to gematrią. Uważają, że ponieważ Tora jest święta, to święte są także litery, którymi ją napisano. Każda z dwudziestu dwóch liter alfabetu hebrajskiego ma swój odpowiednik liczbowy. I tak liczba dwadzieścia sześć jest w gematrii liczbą imienia Boga, bowiem imię JHWH składa się odpowiednio z liter: Jud, Hej, Waw, Hej, co daje w sumie dwadzieścia sześć. A to z kolei sumuje się do cyfry osiem (dwa plus sześć), tak zwanej cyfry prawa Bożego. Przez całe stulecia zajmowali się odnajdywaniem w Biblii słów lub całych fraz, które posiadają tę samą wartość liczbową, tropiąc w ten sposób ich ezoteryczne ukryte znaczenie.

– Co niby chcieli w ten sposób udowodnić?

– Na przykład dzięki gematrii dowiadujemy się, że suma liczbowych wartości liter obozu Machnaim, wymienionego w Biblii, w którym Jakub walczył z Bożym Aniołem, ma tę samą wartość liczbową, co drugie, według Żydów, przykazanie dekalogu: „Nie będziesz miał bogów cudzych przed obliczem moim”.

– I co z tego wynika?

– Według kabalistów bardzo wiele. Odkrywając ukryty do tej pory związek pomiędzy tymi dwoma fragmentami Pisma Świętego, udowadniają w swoim mniemaniu, że księgę tę można interpretować nie tylko dosłownie lub symbolicznie – ale także ezoterycznie. To znaczy z odkryciem głębszych sensów i znaczeń. Ale ad rem. Zważywszy, że Jakub pracował u Labana, czciciela bożków – ten związek z drugim przykazaniem staje się jasny. Dzieje walki Jakuba ukazują go jako człowieka, który, starając się uciec przed mocą labanowych bożków, nie tylko przeciwstawia im siłę drugiego przykazania, ale także sam musi przezwyciężyć swoją skłonność do bałwochwalstwa. Tylko w ten sposób może doznać duchowej przemiany i zawrzeć przymierze z Bogiem. Pisma kabalistów pełne są tego typu odkryć i na nowo zdefiniowanych skojarzeń pomiędzy poszczególnymi fragmentami Tory.

– Pan wierzy w te bzdury, Abell?

– Ja wierzę jedynie w swój rozum i instynkt panie komisarzu. A takie podejście trudno byłoby nazwać postawą religijną – skrzywił się policjant. – Jest jednak coś, co mnie zastanawia.

– A mianowicie?

– Na zbitym zegarku Rottenberga wskazówki pokazywały godzinę dwudziestą drugą trzynastie. Suma tych cyfr daje dokładnie kabalistyczną liczbę osiem. A data zabójstwa zapisana na rzekomym liście pożegnalnym? Policzmy tylko wartości liczbowe, tak jak zapisał je sam Rottenberg: dziesiąty dzień kwietnia tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku. To daje...

– Liczbę dwadzieścia sześć... – dokończył komisarz, wpatrując się w niego zdumionymi oczami.

– To może być czysty przypadek – zastrzegł się Abell. Ale mówiąc to, nie mógł zapomnieć uduchowionej twarzy Salomona i jego fanatyzmu. Ani wielkich oczu dziesięcioletniej Rebeki, rysującej ognisty rydwan rodem z wizji proroka Henocha sprzed dwóch tysięcy lat. Dlatego podjął decyzję. – Potrzebuję nakazu rewizji w domu Salomona Rottenberga.

– Jakie uzasadnienie?

– Jakiegokolwiek, na przykład utrudnianie śledztwa. Byleby decyzja była szybko.

– Dobrze, załatwię to jeszcze dzisiaj z prokuratorem.

Abell był już przy drzwiach, gdy zatrzymał go głos komisarza.

– Niech pan uważa na siebie. Plaskowitz na razie niczego nie wykrył. Jeśli to rzeczywiście robota jakichś okultystów, to powinien się pan mieć na baczności. Rok temu w Oliwie jakiś świr podpalił w szopie żonę i trójkę swoich dzieci. Następnie zwęglone zwłoki wrzucił do szamba. Zeznał, że tak kazał mu Behemot. Wie pan dlaczego? Bo dzieci nie miały czarnych podniebień...

Abell wrócił do siebie do gabinetu i wezwał Kukulkę. Wachmistrz pojawił się po chwili i stanął przed biurkiem wyprostowany jak struna.

– Wedle rozkazu, panie radco.

Darzył Abella prawie zwierzęcym przywiązaniem. Wypili razem morze alkoholu i łączyły ich mroczne tajemnice z przeszłości. Ale wachmistrz nigdy nie przekraczał należnego – w jego mniemaniu – dystansu pomiędzy sobą a zwierzchnikiem. Uważał Abella za swego szefa i tak też się do niego zwracał. Nigdy nie odniósł się do niego po imieniu, mimo iż Abell już raz, świeżo po aferze w burdelu na Langfuhr, mu to proponował.

– Kukulka, przyciśnij naszych informatorów. Chcę więcej wiedzieć o rodzinie Rottenbergów. Sprawdź partnerów w interesach Saula. Weź pod lupę Chaima. Chcę wiedzieć, z czego żyje, z kim sypia. I druga sprawa. Ktoś musiał coś słyszeć o zdarzeniach w kostnicy. Plaskowitz twierdzi, że jeden ze zbirów

przeklinał w jidysz. Miał wojskową postawę. Może to jakiś weteran z Wielkiej Wojny? Popytaj naszych szpicli z armii i Freikorpsu. Musimy go znaleźć, to na razie nasz jedyny punkt zaczepienia. Może doprowadzi nas do zleceniodawców. O wszystkim melduj tylko mnie! Rozumiesz! W tym gmachu coś ostatnio brzydko pachnie. Nie ufam tu nikomu. Jasne?

– Ma się rozumieć! – Wachmistrz wyszczerzył żółte zęby w krzywym grymasie, który miał oznaczać uśmiech. – Sam sobie nie ufam, szefie.

Po wyjściu wachmistrza Abell postanowił raz jeszcze przejrzeć akta. Nie zdążył rozwiązać sparciałej tasiemki z pierwszej teczki, gdy oficer dyżurny zaanonsował mu telefonicznie gościa.

Adele Rottenberg wyglądała w jego parszywej celi jak zjawą z lepszego arystokratycznego świata. Była ubrana w długą czarną suknię i aksamitny szal owijający białą szyję. Miał wrażenie, że jest jeszcze bardziej krucha.

Wstał i uprzejmie podsunął jej krzesło. Nie skorzystała.

– Panie Abell, przyjechałam pana przeprosić. Źle pana potraktowałam za pierwszym razem. Jestem już stara i coraz mniej trafnie oceniam ludzi – powiedziała cicho, ale dobitnie. W jej oczach po raz pierwszy dostrzegł cieplejsze błyski.

– Nie ma mnie pani za co przepraszać.

– Ależ mam. Ocalił pan dobre imię mojego męża. A gdy odchodzi ktoś nam bliski, to dobra pamięć jest jedyną rzeczą, jaka nam pozostaje. Saul nie był złodziejem. Został zamordowany, a to wielka różnica. Gdyby nie pan, dla świata pozostałby łapówkarzem i kanalią, człowiekiem winnym śmierci drugiej osoby.

– I tak będę musiał jutro panią przesłuchać, pani Rottenberg.

– Wiem, nie przyjechałam tu po to, by sobie coś załatwić, panie Abell.

– Domyślam się.

– Jest pan wyjątkiem w tym wilczym stadzie – wykonała nieokreślony ruch ręką. – Saul by pana polubił.

– Być może. Ale jakie to ma teraz znaczenie?

– Cienie zmarłych nie odchodzą panie Abell. Pan teraz także nie jest sam.

– Jedno pytanie, pani Rottenberg. Czy kochała pani swego męża?

– Bardziej niż pan myśli. Nigdy nawet nie pomyślałam o innym mężczyźnie.

Wyszła prawie tak samo bezszelestnie, jak się pojawiła.

**3.**

Środa siedemnastego kwietnia przyniosła wreszcie trochę słońca. Korty tenisowe przy Annestrasse były oblegane od samego rana. Abell dobrze się czuł tego dnia. Wychodziło mu prawie wszystko, nawet backhandy, które nie były dotychczas jego najsilniejszą stroną.



– Serw, gem i mecz. – Martin Beck nie krył rozczarowania. – Nie wiem, jak ty to robisz Christian. Brałem lekcje tenisa, gdy ty jeszcze grałeś w palanta w swoim zapyziałym Marienwerder. Mam lepszą technikę, a jednak, summa summarum, zawsze pechowo przegrywam.

– To nie kwestia szczęścia, Martin – odpowiedział Abell, wycierając mokrą głowę włochatym ręcznikiem z napisem: *Tenis Club, Zoppoter Lawn*. – Po prostu wieczorami pobieram lekcje u Gottfrieda von Cramma<sup>[11]</sup>.

Czuł się odprężony po dwugodzinnym tenisowym pojedynku. Zawsze dobrze im się grało na ceglasmym korcie przy Annestrasse. Dawno już się tak nie wybiegał i nie wypocił. Pomyślał, że codzienne ćwiczenia gimnastyczne nie wystarczą. Od lat dbał o ciało, ponieważ – poza intelektem – było jego jedyną tarczą i orężem. Jak wtedy, gdy w rodzinnym Marienwerder czytał *Wielkiego Gatsby'ego* Scotta Fitzgeralda i hartował mięśnie. Był wtedy tak przeraźliwie nieśmiały. I samotny w wielkim domu przepelnionym miłością i kłótniami rodziców na przemian.

Dzień w dzień obijał bokserski worek, zdzierając skórę na knykciach do żywego mięsa. Katował się dziesiątkami pompek, aż do zupełnego wyczerpania umęczonego ciała. Leżał potem na mokrej od potu podłodze i słuchał, jak oszalałe serce wyrwa mu się z piersi. Wtedy myślał, że robi to dla Karin, młodzieńczej miłości, jedynej kobiety, która tak naprawdę zawładnęła jego wyobraźnią. Ale gdy dzięki wypracowanej sile osiągnął posłuch wśród rówieśników – zrozumiał, że robił to przede wszystkim dla siebie. Jego matka powiedziała mu kiedyś, że kobiety będą go pragnąć, ale żadna go nie pokocha. I że sam komplikuje rzeczy, które w istocie są o wiele prostsze, niż mu się wydaje. Miała rację, była mądrą kobietą. Czasami śniła mu się w nocy. Pachniała oliwkowym mydłem i szałwią, w której płukała włosy. Opowiadała mu długie bajki dziejące się w przepastnych ciemnych borach, zaludnionych przez przedziwne elfy i skrzaty. W tych baśniach Zło, choćby najsilniejsze, na końcu zawsze przegrywało. A każda zbrodnia była ukarana.

Później wyrósł, okrzepł, a na koniec zgorzkniał. Przystosował się. Miał w życiu wiele kobiet. Z reguły bardzo pięknych. Po latach robił z Karin rzeczy, o których niegdyś, gdy jego księga była jeszcze czysta i niezapisana, mógł jedynie pomarzyć. Ale nigdy nie zaznał ukojenia. Może przez kilka chwil, podczas krótkiego małżeństwa z Eve... Ale i tego nie był do końca pewien. Wiedział jedynie, że nigdy już nie da się zranic. Nauczył się brać od kobiet, ale nie był gotów dawać. Tak było wygodniej, przynajmniej dla niego. A może po prostu ciągle szukał bezwarunkowego uczucia, jakie zapewniała mu niegdyś matka? Może szukał czystego źródła w świecie, w którym wszystkie studnie były już zatrute? Pewne było jedno: nic nie było tak oczywiste, jak by się wydawało na pierwszy rzut oka.

Siedzieli już przy kawie na piętrze w klubowej kawiarni, gdy przy ich stoliku

stanęła młoda kobieta.

– O, jesteś Gabi – przywitał ją entuzjastycznie Martin, wstając energicznie z krzesła. Abell dawno już nie widział swego przyjaciela tak ożywionego. Mimo trzydziestki na karku, żony i dwójki dzieci, nadal był czuły na kobiece wdzięki. Martin dokonał prezentacji i kobieta usiadła z nimi. Abell obserwował ją kątem oka. Najwyraźniej nie była nim zainteresowana. Całą uwagę skupiała na jego przyjacielu, prowadząc z nim żartobliwą szermierkę słowną.

Wielka szkoda, pomyślał.

Ubrana była w kusy tenisowy strój odsłaniający długie smukłe nogi. Martin nie przesadzał. Była zjawiskowa. Miała ten rodzaj urody, jaki zaobserwował kiedyś u młodych Amerykanek poznanych w Berlinie. Uśmiechała się często, odsłaniając rząd równych śnieżnobiałych zębów. Miała zdrową brzoskwiniową cerę i oczy w kolorze połyskliwego malachitu. Pszeniczne włosy do ramion podtrzymywała na czole opaską ze zwykłego płótna. Ze zdziwieniem zauważył, że w ogóle nie miała makijażu. Nie musiała. Była naturalna i tak młoda, że trzydziestopięcioletni Abell poczuł się staro.

Martin najwyraźniej przypomniał sobie wreszcie o jego istnieniu.

– Gabi, to mój przyjaciel, Christian, o którym ci tyle opowiadałem. Pracuje w policji kryminalnej.

– To widać – powiedziała i po raz pierwszy spojrzała mu prosto w oczy.

– Po czym pani to poznała? – zapytał, próbując odciągnąć uwagę od jej nóg. Siedziała stanowczo zbyt blisko niego. Chyba miała tego świadomość, ale nie odsunęła się nawet o centymetr. Miał wrażenie, że bawi ją ta sytuacja.

– Jest pan taki... – przez chwilę szukała odpowiedniego słowa – ...czujny.

Rozdrażniła go tym stwierdzeniem. Wzruszył ramionami.

– Dawno nie słyszałem równie absurdalnej uwagi – powiedział oschle.

To nie był dobry początek. Chyba oboje to poczuli. Na szczęście Martin ruszył z odsieczą.

– Teraz, jak już pożartowaliśmy, każdy w swoim stylu, pogadajmy poważnie. Christian prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa Saula Rottenberga. A ty, Gabi, dużo wiesz o starym i na pewno mogłabyś pomóc. Zostawię was teraz samych. Wielka architektura czeka – podniósł oczy do góry w udawanym żalu.

Po jego odejściu przez dłuższą chwilę panowała krępująca cisza. Przerwała ją Gabrielle.

– Czego byś się chciał dowiedzieć?

Przez chwilę obracał w głowie to skrócenie dystansu, ale postanowił przejść nad nim do porządku dziennego. Zapytał o kolekcję Rottenberga. Odpowiadała krótkimi zdaniami, ale treściwie. Mówiła dobrą obrazową niemieczyzną. Na pewno była wykształcona. Zresztą Martin uprzedził go, że Gabrielle Morel należy do nowej generacji kobiet: wyedukowanych, otwartych na świat, spontanicznych.

Pracowała jako kustoszka w muzeum miejskim w Gdańsku. Dorabiała sobie jako doradca bogatych kolekcjonerów sztuki. Rottenberg był jej głównym, a od pewnego czasu jedynym klientem.

Abell słuchał jej uważnie. Starał się wygasić trawiący go niepokój. Pomyślał z pewnym smutkiem, że wyszedł w jej oczach na smutnego durnia i gburę. Na szczęście chyba i tak nie był w jej typie. I wzajemnie. Była dla niego zbyt młoda, zbyt bezpośrednia. Olśniewająco świeża i piękna, to prawda. Ale jednocześnie daleka, jak planeta krążąca po odległej orbicie. Ale dlaczego właściwie analizował jej kobiecość? Przecież to miała być rzeczowa rozmowa o Rottenbergu, a on nie wykorzystywał szansy. Jak dotąd nie dowiedział się właściwie niczego nowego. Zdusił ciche przekleństwo. Musiał coś zrobić ze swoim życiem. Wystarczyła para zgrabnych nóg, aby stracił trzeźwość umysłu. Miał nadzieję, że Gabrielle niczego się nie domyśla. W każdym razie podejrzanie szybko przerwała spotkanie. Przeprosiła, mówiąc, że musi wracać do pracy. Wygodny wykręt? Chyba jednak nie. Przecież zaprosiła go na następny dzień rano do muzeum. Obiecała, że poświęci mu wtedy więcej czasu i odpowie na wszystkie pytania. A przede wszystkim pokaże mu katalog kolekcji Rottenberga, który sama opracowywała. Miał nadzieję, że nie była to obietnica bez pokrycia. A tak poza wszystkim: musi się wziąć w garść.

Pożegnali się zdawkowo. Była zdziwiona, że ledwie musnął jej dłoń. Jakby obawiał się, że jest trędowata. Albo jakby pilnował granic osobistej przestrzeni, do której przekroczenia zapraszać mógł tylko i wyłącznie on sam. Nie przeoczyła niechętnego zdziwienia, gdy przeszła z nim na ty. Przez moment zobaczyła w nim aroganckiego bufona, świadomego swych walorów i pozycji. Ale potem, ku swemu zdumieniu, ujrzała w jego oczach cień rozpacz. Ten policjant nosił w sobie jakąś tajemnicę. Wątpiła, aby zechciał ją do niej dopuścić. To nie ten typ mężczyzny. Na pewno mógł podobać się kobietom. Miał niezwykle zniewalające szare oczy. Był trochę szorstki i małomówny. Ale przez to prawdziwy. Bardzo męski i w jakiś sposób... nieoczywisty.

Zbiegając po schodkach, zatrzymała się na chwilę. Widziała jego prostą jak trzcina wysoką postać. Zastanawiała się, czy się odwróci. Nie zrobił tego. Tak jakby zapomniał o niej w momencie, gdy odeszli od stolika.

Który to już raz w moim życiu? – pomyślała i zrezygnowana zbiegła ze schodów. Było południe, a znowu zaczynało padać. Nieźle jak na bałtyckie Monte Carlo.

#### 4.

Na dole na Abella czekał już Kukulka. Był wyraźnie poruszony.

– Chaim wrócił już ze Szwajcarii? – spytał Abell.

– Okazuje się, że nasz złoty chłopiec nie ruszył się w ogóle z Sopotu. Nasz informator twierdzi, że widziano go przed godziną w pokątnym salonie gier w jednym z czynszowych mieszkań obok cukierni przy Cecilienstrasse w Sopocie. Nie wiemy dokładnie, w którym mieszkaniu, ale na pewno na parterze.

Abell spojrzał żywo na wachmistrza. Informacja była zaskakująca. Intuicja podpowiadała mu, że także ważna. Co ciekawe, kojarzył ten dom. W okazałym budynku mieściła się otwarta parę lat wcześniej kawiarnia, choć na pewno nie tak dobra, jak jego ulubiona cukiernia Greya w kamienicy Mimosa<sup>[12]</sup>. Kripo zawsze miała problem z wykrywaniem tajnych szulerni i domów gier. Nigdy by mu nie przyszło do głowy, że trzeba ich szukać obok eleganckiej tętniącej życiem cukierni w samym centrum Sopotu. Zaiste, życie potrafi zaskakiwać. Rodzina Rottenbergów zresztą także. A zapewne nie był to jeszcze koniec niespodzianek.

W dwa kwadranse później policyjny adler parkował już u wjazdu na Cecilienstrasse. Z drugiej strony ulicy dobiegły Abella głosy dzwonów kościoła Zbawiciela, wzywających wiernych na pierwszą popołudniową mszę. Podejrzane mieszkanie mieściło się na parterze kamienicy. Stojący w bramie ubrany po cywilnemu policjant dyskretnie podniósł palec do góry. Ptaszek jeszcze nie wyfrunął. Abell kazał wachmistrzowi pilnować wejścia do budynku, tajniaka wysłał na zaplecze kamienicy na wypadek, gdyby okazało się, że hazardziści dysponują jakimś tylnym wyjściem. Pchnął dębowe drzwi i wszedł do środka. Krótki korytarz kończył się szerokimi drzwiami, wiodącymi na ogrodowy taras. Jakaś starsza kobieta zamiatała właśnie ceramiczne kafle podłogi i z niechęcią podniosła głowę znad miotły. Skórę nad górną wargą miała obsypaną męskim zarostem i z czujną uwagą śledziła kroki intruza. Gestem nakazał jej milczenie i uważnie stąpając po posadzce, rozejrzał się po korytarzu. Po każdej stronie znajdowała się jedna para drzwi. Za którymi był Chaim? Dobrze pytanie, pomyślał i wyciągając z futerału swój pistolet, spojrzał na kobietę.

Popatrzyła na niego krzywo, ale wskazała szmatą wejście po prawej. Uznał, że zareagowała trochę za szybko i odwrócił się w przeciwną stronę. Drzwi po lewej pozbawione były tabliczki z nazwiskiem lokatora i miały solidną dębową framugę. Otworzenie ich mocnym kopem nie wchodziło w rachubę. Poza tym przeszkodą był judasz, przez który na pewno zostałyby dokładnie zlustrowany. Pozostawała metoda najprostsza. Wycelował w zamek i oddał dwa następujące po sobie strzały. Przestrzelony mechanizm zgrzytnął i drzwi uchyliły się na centymetr. Po drugiej stronie usłyszał podniesione głosy. Szybkim kopnięciem otworzył wejście na oścież i wpadł do środka.

– Tu Kripo! Niech wszyscy zostaną na swoich miejscach! Nawet o tym nie myśl. – Osadził w miejscu stojącego najbliżej drzwi mężczyznę o lisiej twarzy, sięgającego za pazuchę. Podszedł do niego i z wewnętrznej kieszeni jego marynarki wyciągnął rewolwer beretta kaliber 7,65 mm. – Ty, lisowaty, kładź się

grzecznie na podłodze z rękami z tyłu głowy. Szybciej, bo inaczej będę musiał zrobić ci krzywdę. O tak, grzeczny chłopiec.

Teraz mógł zająć się pozostałymi. Było ich trzech, siedzieli nieruchomo, przy stole zarzuconym kartami. Przyjrzał im się uważnie. Pierwszy, wyglądający jak komiwojażer w delegacji, wpatrywał się w niego szeroko otwartymi zdumionymi oczami, jakby nie mógł zrozumieć, że gra już się skończyła. Drugi, opasły typ, patrzył na Abella ironicznie spode łba i nie przestawał tasować kart. Ostatni, najstarszy z nich, trwał z kurczowo zaciśniętymi powiekami, tak jakby w ten sposób chciał przetrwać policyjny nalot. Niestety, żaden z nich nie wyglądał na Chaima Rottenberga.

– Przepraszam panów, że tak bez zapowiedzi – powiedział Abell i rozejrzał się po pomieszczeniu. – W co gracie? Pewnie w pokera? I to na pieniądze? – zakreślił lufą pistoletu kółko w powietrzu i wskazał stosy banknotów na stole.

– To już w pokerka nie można sobie pograć? – odezwał się mężczyzna, leżący na podłodze. – Co to, policja kryminalna nie ma teraz nic lepszego do roboty jak trzepać takich leszczy jak my?

– W pokerka mówisz? – Abell podszedł bliżej do stołu. W tej samej chwili dotarły do niego dwa oczywiste fakty. Po pierwsze, siedzących przy stole było trzech, a na stole leżały cztery kupki kart. Po drugie, usłyszał jakiś szelest za ścianą. Toaleta! Kiedy wdarł się do tej jaskini hazardu, Chaim akurat musiał przebywać w klozecie! Rzucił się w tę stronę, ale za późno. Ubikacja była pusta. Zbieg wydostał się już na zewnątrz przez otwarte okienko małego wjazdu pod sufitem.

Abell wybiegł na zewnętrzny korytarz i w drzwiach domu zderzył się z Kukulką. Popędzili obaj na rynek. Był pełen ludzi. Abell obiegnął placyk dookoła, ale nigdzie nie było widać uciekiniera. Zrobił jeszcze kilka kroków i spojrzał w dół Seestrasse. Kazał wachmistrzowi biec w tamtą stronę, liczył, że Chaim ucieka w kierunku mola. Sam starał się uspokoić oddech i odzyskać trzeźwość umysłu. Co zrobiłby na miejscu Chaima? Obejrzał się za siebie – gdyby uciekał w górę Cecilienstrasse, z tyłu budynku wpadłby już na tajniaka. A więc może jednak w kierunku mola, tam, gdzie łatwo mógł wtopić się w tłum? Miałby na pewno szansę, ale uciekając, zwracałby na siebie uwagę. Więc gdzie? Jego wzrok padł na ewangelicką świątynię po drugiej stronie placyku. I wtedy go olśniło. Tak, ewangelicki kościół Zbawiciela! Idealne miejsce, aby wmieszać się w tłum wiernych. I kto szukałby tam zbiegłego Żyda?

Zdyszany wbiegł do kościoła. Czuł, jak mocno bije mu serce. Świątynia prawie w całości wypełniona była ludźmi. Światło przenikające przez witraże, barwiło posadzkę na kolor purpury. Poczł zapach mirry i wosku. Pastor właśnie skończył kazanie. Muszę się spieszyć, pomyślał, zaraz wszyscy wierni wstaną z miejsc. Szedł wolno środkiem nawy, uważnie rozglądając się na boki. Organy

ucichły. W całym kościele słyhać było wyraźnie jego kroki. Wielu ewangelików odwracało głowy, jakby chcąc uciszyć intruza. Mijał zdziwione lub zagniewane twarze. Doszedł do połowy nawy, gdy nagle w przednich ławkach kościoła raczej wyczuł, niż zauważył jakiś ruch. W chwilę potem zobaczył uciekiniera.

Chaim odepchnął jakąś kobietę w umajonym kapeluszu i jednym susem przeskoczył przez krawędź ławki. Wielkimi krokami pędził teraz w stronę bocznego wyjścia z kościoła. W pewnej chwili obejrzał się za siebie. Nawet z tej odległości Abell dostrzegł nieprzytomny błysk jego źrenic. Dobiegł do ołtarza i na oczach zdumionego pastora, który zastygł z wyrazem zaskoczenia na twarzy – pomknął za Chaimem, który właśnie zniknął w gotyckich odrzwiach. Wypadł na zewnątrz i nagle jaskrawe światło słoneczne poraziło mu źrenice. Kiedy odzyskał ostrość widzenia, uciekinier znowu mu gdzieś zniknął. Żyd miał nad nim przewagę, ale niewielką. Abellowi pulsowały skronie, brakowało mu tchu. Za dużo goldwassera, pomyślał. Już sama ta myśl spowodowała kolejny ucisk gorejącego imadła, napierającego na jego piersi i żebra. A może nie doszedł jeszcze do siebie po przymusowym pobycie w kostnicy?

Rozejrzał się dookoła. W grę wchodziły tylko dwie możliwości. Chaim mógł zaszyć się gdzieś w zaroślach i próbować przeczekać pogoń w jakiejś norze. Albo pognął w stronę Francuskiego Dworu, zabytkowej budowli na tyłach kościoła. Po chwili zastanowienia Abell postawił na to drugie rozwiązanie.

Już po kilku metrach, gdy dobiegł do ogrodzenia dworu, zrozumiał, że to była błędna decyzja. Zza parkanu szczyrzyły na niego oślinione kły dwa rottweilery. Biegały wściekle za ogrodzeniem, jakby nie mogły się doczekać, kiedy go rozszarpią. Stało się jasne, że Chaim nie mógł się schronić we Dworze. Abell chciał się jeszcze poderwać i pobiec z powrotem w kierunku kościoła, ale z oddali dostrzegł idącego z tamtej strony Kukulkę. Jego przeczący ruch głowy mówił wszystko. Uciekinier wyparował jak kamfora.

Abell usiadł na mokrej trawie i spojrzał na zegarek. Pomyślał, że dopiero zbliża się czternasta, a już cały dzień jest dokumentnie spieprzony. Najpierw długonoga Gabrielle Morel, teraz Chaim. Zgoda, bywają takie dni, kiedy nic nie wychodzi. Ale dlaczego ten przydarzył się właśnie jemu?

## 5.

Tak jak się spodziewał, na komendzie nie przywitano go jak bohatera.

– Na Boga, Abell, jak ten Żydek mógł wam uciec? – Kellerman nie skrywał irytacji pomieszanej z rozbawieniem. – Było was trzech, dobrze liczę? Może powinniśmy tego Rottenberga wysłać na Olimpiadę? A może powinniście chodzić czwórkami?

Abell postanowił przełknąć tę reprimendę. Właściwie Kellerman miał rację.

Zlekceważył Chaima. A powinien go złapać. Koniec, kropka. Widział w nim tylko drobnego szachraja i naciągacza. Człowieka słabego i nieumiejącego sterować własnym losem. A napotkał przeciwnika przebiegłego i zdeterminowanego. Nie mógł mu odmówić także inteligencji. Pomysł z kościołem był naprawdę przedni. Już zbiega właściwie schwytał, a jednak wymknął mu się jak piskorz i zniknął bez śladu. Ale nie ma tego złego... Po pierwsze wiedział już, że Chaim coś ukrywa. Do tego ranka właściwie nic na niego nie mieli. Chciał go tylko przesłuchać. I wyjaśnić sprawę jego zadłużenia u zamordowanego wuja. Teraz sytuacja się zmieniła. Szuler musiał mieć cholernie dobry powód, aby tak szybko uciekać. A poza tym, więcej cię nie zlekceważę, Chaimie, pomyślał uspokojony i podniósł oczy na Kellermana.

– Tu macie nakaz rewizji w domu Salomona Rottenberga. Komisarz Mohl kazał wam go przekazać. – Kellerman wyciągnął z teczki dokument i położył go na stole. – Czego będziecie szukać?

– Wszystkiego, co wiąże się z Saulem Rottenbergiem – odpowiedział lakonicznie Abell. – Broni, odzieży ze śladami prochu czy kwasu, listów, kwitów zastawnych, zapisków. Wszystkiego.

Kellerman podniósł się z miejsca, aby zamknąć okno, z którego ciągnęło wilgocią i chłodem. Chciał jeszcze udzielić podwładnemu niezbędnych instrukcji, ale gdy się odwrócił, Abella nie było już w gabinecie.

Nawet się nie odmeldował, pomyślał ze złością komisarz. Najwyższy czas nauczyć go trochę dyscypliny. I moresu wobec starszych stopniem.

Salomon Rottenberg długo studiował nakaz rewizji, jakby wystawiony był w języku, którego nie rozumiał. Nawet gdy oddał dokument, nie drgnął w proggu ani o cal. Musieli go wyminąć, przeciskając się w drzwiach. Gorzej poszło im z Rachelą. Kobieta wpadła w szal na widok obcych wkraczających do jej sypialni. Wrzeszczała i rzucała się tak bardzo, że musieli zamknąć ją w spiżarni na dole. Nawet stamtąd dolatywały ich dzikie wrzaski w języku niemieckim, przetykane – jak się domyślali – hebrajskimi przekleństwami. Tylko Rebeka wydawała się obojętna. Siedząc w wykuszu okna, obserwowała krzątających się policjantów swymi nieruchomymi ogromnymi oczami.

Dom nie był duży. Rewidowali go dokładnie, pomieszczenie po pomieszczeniu. Na parterze oprócz kuchni i spiżarni mieścił się tylko gabinet Salomona. Przeszukanie tego pokoju, który Abell poznał podczas poprzedniej wizyty, nie przyniosło nic nowego. Opukali ściany, zerwali nawet kilka desek w podłodze, ale poza trocinami i mysimi odchodami nie znaleźli niczego wartego uwagi. Przejrzeli bieliznę i odzież w szafach. Po godzinie przenieśli się na piętro. Plaskowitza wysłał do sypialni Rottenbergów, sam wraz z Kukulką zajął się biblioteką Salomona.

Pokój był zaskakująco duży i urządzony ze smakiem. Na tle siermiężnego

i skromnego domostwa Salomona i Racheli robił wrażenie pomieszczenia z innej bajki. Duże weneckie okna na przeciwległej od wejścia ścianie przesłonięte były grubymi zasłonami w kolorze starego złota. Padające przez nie światło rozpraszało cienie rzucane przez stół i wysokie krzesła ustawione na środku pokoju. Wszystkie ściany wypełniały biblioteczne regały z ciemnego drewna. Abell podszedł bliżej. Dawno nie widział równie wspaniałego księgozbioru.

Złote i srebrne obwoluty starych ksiąg i starodruków skrzyły się w promieniach światła. Zorientował się, że lewa ściana zawierała księgozbiór w języku hebrajskim, którego wartości nie był w stanie ocenić. Natomiast prawa – w języku niemieckim. Podszedł i chłonał oczami karty tytułowe białych kruków i świętych ksiąg o stronicach zatłuszczonych przez setki lat użytkowania. Górne półki zajmowały tomy *Jewish Encyclopedia* w ekskluzywnym wydaniu.

Poniżej znajdowała się cenna *Księga podróży* Beniamina z Tudeli wydana w Amsterdamie w 1611 roku i kilkanaście tomów *Miszne Tora* Majmonidesa, wytoczonych w Damaszku przed czterema wiekami. Dzieła zebrane Barucha Spinozy sąsiadowały z powieścią *Coningsby* Disraelego. Abell wziął do ręki tę ostatnią księgę. Czytał ją niegdyś i zapamiętał, że żydowski superman, o którym pisał brytyjski premier, wzorowany był na postaci Lionela Rothschilda. Ze zdumieniem odkrył, że trzyma w ręku pierwsze wydanie powieści, z roku 1844.

Spojrzał na najniższą półkę i odkrył, że stoją na niej w szeregu, jak wierni gwardziści cesarza, tomy z napoleońskiej biblioteki z Fontainebleau. Książki oprawione były w czerwoną skórę, tzw. *marocchino rosso*, na grzbiecie i obwolucie opatrzone pozłacanym „N” i herbem Napoleona.

Salomon kochał białe kruki, a one kochały jego. Zapewne zlatywały do niego ze wszystkich tych egzotycznie brzmiących stron świata: Jerozolimy, Damaszku, Elefantyny i Toledo i wiły gniazdo w tym pokoju pachnącym pszczelim woskiem, skórą i atramentem.

Uwagę Abella przyciągnął środkowy regał. Jako jedyny oszklony był kryształowymi taflami o oszlifowanych kantach. Wszystkie zgromadzone w nim dzieła poświęcone były Kabale. Zauważył kilka wydań księgi *Zohar*, Biblii kabalistów. Dzieła Szabataja Cwi sąsiadowały tu z pismami polskiego kabalisty Nehemiasza ha-Kohena i Jakuba Franka. Zauważył też dziesiątki innych skryptów i komentarzy na podłym papierze, autorstwa kabalistów, których nazwiska nic mu nie mówiły.

Tylko jedna z ksiąg była otwarta, tak jakby ktoś jeszcze niedawno wertował jej zawartość. Wziął ją delikatnie do ręki. Poczł mocniejsze bicie serca, gdy zauważył odręczne zapiski, poczynione nerwowym, nierównym charakterem pisma na marginesach. Spojrzał na okładkę. Było to dzieło Izaaka Lurii – komentarze do *Księgi Ukrycia z Zoharu*. Salomon zapewne lubił obcować z dziełami swego Mistrza, wielkiego maga kabalistów. Abell spojrzł na odręczne zapiski. Były dwa.



Pierwszy był właściwie pytaniem: „Nie zabijaj?”. Drugi był bardziej enigmatyczny: „Czy człowiek niegodny może poznać wszystkie *sefirot*? Przecież nawet *klippot* zawierają *tikkim*?”.

Dokładnie przepisał treść tych zapisków i schował do kieszeni marynarki. Gabrielle Morel obracała się w towarzystwie Saula Rottenberga: Żyda i kabalisty. Może okaże się tu pomocna bardziej niż za pierwszym razem?

Czas mijał, więc ponownie wziął się do pracy. Nigdzie nie znaleźli nawet skrawka listu czy papieru podpisanego przez Salomona Rottenberga. Szczerze mówiąc, nie znaleźli niczego: żadnej korespondencji, rachunku, faktury czy jakiegokolwiek pisma od świata żywych. Nie mówiąc już o sejfie, czy choćby szufladzie z dokumentami. To nie było normalne, zwłaszcza w żydowskim domu. I to go niepokoiło. Jak widać, w tym dziwnym domostwie, jakby zawieszonym między wiekami, prawo obywatelstwa miały tylko litery wypełniające święte księgi, opasujące ten tajemniczy pokój kordonem starożytnej wiedzy i milczenia.

Obmacali wszystkie regały, szukając ukrytych zapadni czy skrytek. Zaglądnęli nawet do paleniska kaflowego pieca. Ściągnęli ze ściany holenderski zegar i rozpruli zaklejone tekturą plecy wielkiego portretu Izaaka Lurii. Mistrz siedział pod palmą na jednej z wysp na Nilu. W rękę trzymał gęsie pióro i czystą kartkę papieru. Widocznie czekał na natchnienie, które miało nadejść z nieba. Ale za portretem wielkiego kabalisty także nie było skrytki. Ani mistycznej, ani żadnej innej.

Salomon pytany o miejsce ukrycia dokumentów odpowiadał wyniosłym milczeniem. Abell nie ustawał jednak w próbach skruszenia tego oporu.

– Panie Rottenberg, jeśli nie zacznie pan ze mną współpracować, wezwę pana na przesłuchanie na komendę, gdzie nie będzie tak miło jak tutaj. Nie wszyscy tam lubią Żydów tak jak ja. Może pan tam trochę posiedzieć. Nie obchodzimy tam szabasu, a i o kosztowną strawę będzie trudno.

Przynajmniej próbował, ale nie miał złudzeń co do powodzenia swoich zabiegów. Jeszcze nie poczuł tej swoistej iluminacji, która zazwyczaj zwiastowała przełom w prowadzonych przez niego śledztwach. Dotychczas nie potrafił zebrać w spójną całość poszczególnych kamyków mozaiki, które morderca celowo rozrzucił i przemieszał. Ale instynkt podpowiadał mu, że Salomon nosi w sobie jakąś mroczną tajemnicę. Czy nocami budził się mokry ze strachu i poczucia winy? Czy śniły mu się szepty i krzyki mordowanego brata? Czy wykuwał w kamiennej tablicy pytań w przykazaniu „Nie zabijaj”?

Zapadał już zmierzch, gdy Abell uznał, że pora kończyć. Dołączył do nich Plaskowitz, równie zmęczony, jak oni. W sypialni nie znalazł niczego godnego uwagi. Abell był zmęczony i spocony, wilgotna koszula oblepiała mu plecy. Czuł swędzenie rąk, którymi dotykał zakurzonych starodruków. Kazał kończyć swoim towarzyszom i obrzucił pożegnalnym spojrzeniem bibliotekę. Nagle wzrok jego

padł na biurko. Właśnie – biurko! Ciężki mebel stojący na środku biblioteki, otoczony kilkoma krzesłami o wysokich oparciach. Jedyne meble, którego nie obejrzeliby dokładnie. Najciemniej jest zawsze pod latarnią.

Zawrócił wachmistrza ze schodów i zabrali się do rewizji biurka. Pod blatem nie znaleźli niczego. Ostukali słoniowate nogi mebla, szukając w nich wydrążonej skrytki. Na próżno. Następnie zajęli się krzesłami. Miały tapicerowane siedzenia i grube wygięte pałkowato nogi. Abell przyglądał im się dokładnie, sztuka po sztuce. Szukał wydrążonego kanału wewnątrz nóg, ale bezskutecznie. Następnie zaczął nożem podważać tapicerkę. Oględziny trzech pierwszych krzesel nie przyniosły żadnych rewelacji. Uniósł za pomocą ostrza ostatnie siedzenie, wsadził dłoń do środka i zamarł zaskoczony. Palcami wymacał jakiś papierowy pakunek.

Powolnym ruchem rozerwał kopertę i wysypał całą zawartość na podłogę. W dół pofrunęły kartki i listy niczym białe latawce opatrzone podpisem właściciela. Znał ten charakter pisma. To były listy Saula Rottenberga.

Napotkał pełne uznania spojrzenie wachmistrza. Uniósł palec do góry, jakby chciał powiedzieć – nareszcie coś mamy! Coś, co właściciel domu bardzo chciał ukryć przed naszymi oczami!

Kazał zatrzymać Salomona na czterdzieści osiem godzin i odwieźć na odwach za mataczenie w śledztwie. To był parszywy dzień, ale wieczór należał do Abella.

Do późna wertował na komendzie dokumenty i listy, znalezione u Salomona. Była już północ, gdy dotarł wreszcie do domu. Wziął szybką kąpiel i podszedł do okna, by wpuścić trochę świeżego powietrza. Nawet w zimie nie potrafił spać przy zamkniętych okiennicach. Zauważył, że jakiś człowiek stoi na dole pod latarnią. Nie zwróciłby na niego uwagi, gdyby tamten nie oddalił się natychmiast, gdy tylko zobaczył kogoś w oknie. Mężczyzna nie spieszył się. Nie oglądał się za siebie. Miał sprężysty krok zawodowego wojskowego.

To wydarzenie wybiło Abella ze snu. Do późna w nocy przewracał się z boku na bok. W półśnie napływały do niego chaotyczne obrazy z ostatnich dni. Widział falujące jędrne piersi Angeli, czuł dotyk jej zręcznych palców na swoim podbrzuszu. Kobieta otworzyła powieki i z zaskoczeniem odkrył, że ma wielkie oczy Rebeki. Słyszał pulsowanie swojej krwi i dzikie krzyki Racheli. Mężczyzna spod latarni uniósł ku górze denko kapelusza i odsłonił trupioblada twarz Chaima...

Było już dobrze po trzeciej, gdy zapadł wreszcie w twarde sen.

Nie mógł wiedzieć, że tej parnej nocy ktoś myśli o nim bardzo intensywnie. I obdarza go czystą nienawiścią przeznaczoną tylko dla tych, którym życzy się śmierci.

**6.**

Ranek był trudny. Ledwie usłyszał nieustępliwy terkot budzika. Biczował pod zimnym prysznicem swe ciało, a następnie ćwiczył aż do rozgrzania niechętnych obolałych mięśni. Na Karrenwall zamówił dzbanek parującej, czarnej kawy i zatopił się w lekturze dokumentów. Salomona zamierzał przesłuchać dopiero w południe, ale czekało go jeszcze spotkanie z Gabrielle, czasu więc nie miał zbyt dużo.

Zaczął od dokładnego sprawdzenia wczorajszego znaleziska z domu Salomona. Zawierało głównie listy Saula do brata i – co go zaskoczyło – kopie odpowiedzi Salomona. Dwa z listów przykuły jego uwagę w sposób szczególny.

Pierwszy, autorstwa Salomona, nosił datę 11 lutego 1933 roku:

*W imię Boga nienazwanego wzywam Cię do opamiętania, bracie mój. Przynosisz hańbę całej naszej rodzinie, milej Bogu, naszemu ojcu, a przede wszystkim naszemu wielebnemu kuzynowi, świętemu mężowi, cadykowi z Ger! Wypluj to zatrute nasienie, którym obdarowała cię twoja żona, niech imię jej będzie przekłete! Wyrzygaj je z wnętrzości, jak ostry oset kaleczący ciało i duszę. Napisałeś, że nie wiesz, w jaki sposób miałbyś odpokutować. Odpowiem ci nauką rebego Izraela z Rużynia.*

*Pewien człowiek przyszedł do niego i powiedział:*

*– Jestem grzesznikiem, pragnę pokuty.*

*– Więc dlaczego nie pokutujesz? – zapytał cadyk.*

*– Ponieważ nie wiem jak – odpowiedział grzesznik.*

*– W takim razie skąd wiesz, jak grzeszyć? – spytał cadyk.*

*– Najpierw działałam, a dopiero potem wiem, że zgrzeszyłam.*

*– Więc tak samo zrób teraz – poradził mu rebe. – Odpraw pokutę, a zrozumienie przyjdzie później.*

*Przemyśl to, póki jeszcze czas.*

*Salomon*

Równie intrygująca była odpowiedź Saula z datą dwa dni późniejszą:  
13 lutego 1933 r.

*Salomonie!*

*Religijny zapal mąci ci oczy i odbiera radość życia. niesprawiedliwie oceniasz Adele. Fakt, różni się bardzo od twojej Racheli, ale swymi osądami wkraczasz w rewiry zastrzeżone tylko dla mnie i mojej żony. Nie potrafisz zrozumieć, że łącząca nas więź jest z innego metafizycznego wymiaru. To dzięki niej dokonałem odkryć w gematrii, odnalazłem związki pomiędzy świętymi literami, o jakich ci się nawet nie śniło. Podam ci w poprzednim liście z 25 stycznia tylko jeden przykład, że gematria jest rodzajem matematyki, językiem Absolutu, który mógłby obejść się bez rzeczywistości. Nic mi nie odpowiedziałeś. Odkryłem to po zastosowaniu czwartej metody Mispar Katan Mispari[23]. Czy to Cię nie przekonało, że nie param się tylko błahostkami, jak niesprawiedliwie napisałeś? I że jestem bliżej boskiej tajemnicy, niż Ty kiedykolwiek byłeś, klepiąc bezmyślnie modlitwy w języku, którego nawet dobrze nie rozumiesz?*

*Podam ci teraz kolejny przykład, mój bracie. Duże bet na początku Tory oznacza słowo „dom”. Dzieło Stworzenia, kosmogonia Tory, ma 434 słowa. Tyle samo, ile wartość liczbowa słowa „drzwi”. Czyż nie można stąd wysnuć wniosku, że dzieło Stworzenia to drzwi wejściowe do domu Tory? Odkryłem to pewnego zimowego poranka, wyczerpany po całonocnych wyliczeniach. Czy możesz sobie wyobrazić podniecenie i radość ściskające moje stare serce? Jakież możliwości zrozumienia struktury Wszechświata otwiera ta metoda!*

*Podajesz mi przypowieści świętych mężów, ale sam jesteś głuchy i ślepy na piękno tego świata. Nie rozmawiasz z ptakami jak Izaak Luria. Nie zastanawia cię kształt chmury płynącej po niebie, raz przypominającej hiszpańską karawelę, a raz psa dwugłowego. Nie wiesz, jak pachnie woda po deszczu. Nie dostrzegasz Bożej iskry w obrazach, które gromadzę. Wielu rzeczy nie wiesz. Jesteś martwy, Salomonie.*

*Odpowiem Ci przypowieścią o rabbim Elimelechu, który tak powiedział:*

*Nie wątpię, że będę miał udział w przyszłym świecie. Kiedy stanę przed Najwyższym Sądem i zapytają mnie: „Czy uczyłeś się, jak należy?”. Odpowiem: „Nie”. Wtedy zapytają: „Czy modliłeś się, jak należy?”. A ja znowu odpowiem: „Nie”. I zapytają mnie po raz trzeci: „Czy jak należy, czyniłeś dobro?”. A ja po*

raz trzeci będę musiał zaprzeczyć. A wtedy wydadzą wyrok: „Mówisz prawdę. Ze względu na prawdę należy ci się udział w przyszłym świecie”.

### *Twój brat Saul*

Abell pomyślał, że te niezwykle listy mogłyby spłonąć od buzujących w nich emocji.

Następnie wyciągnął z szuflady dziennik Salomona. Wszystkie zapiski robione były ołówkiem. Ceratowy zeszyt obejmował tylko grafik spotkań z 1933 roku. Nie było ich zbyt wiele. Być może wspólnota sopockich ortodoksów częściej obradowała w domu rabina Weissberga niż Salomona. Zauważył, że właściciel zeszytu skrzętnie odnotowuje wszystkie święta żydowskie. Ostatnie było święto Pesach, które rozpoczęło się w czwartek 11 kwietnia. W zeszycie Salomon opatrzył tę datę dopiskiem *Początek święta Pesach* i uzupełnił żydowską datą: 15 dzień miesiąca nisan roku 5694[24]. Karty obejmujące następujące potem dni świąteczne pozostawały niezapisane.

Cofnął się o jedną kartkę. Pod datą 10 kwietnia, dniem morderstwa Saula Rottenberga, widniał lakoniczny zapisek: *Rab. Weissberg+komitet. Dom modlitwy, Glettkauerstr, wieczorem.*

Poprzednia kartka z datą 9 kwietnia była zapisana od góry do dołu jakąś namiętą epistołą. Poświęcona ona była krytyce niejakiego Blankfeina, właściciela tartaku, który nie dotrzymał słowa i nie dostarczył obiecanej tarcicy na budowę domu modlitwy.

Dokładnie obejrzał zeszyt, szukając śladów jakiegokolwiek fałszerstwa z datami. Nie znalazł niczego: ani śladów wyrwanych stronic, ani odbitych pod spodem liter nie na tej stronie, co trzeba. Nie było wątpliwości: zeszyt był kompletny i niezafałszowany. Odnotował w pamięci, że, jadąc na spotkanie z Gabrielle, musi jeszcze dla pewności odwiedzić rabina Weissberga, aby potwierdzić alibi Salomona, i schował zeszyt do szuflady, zamykając ją na klucz. Strzeżonego pan Bóg strzeże.

Zbliżała się godzina jedenasta, gdy opuścił gmach prezydium. Do muzeum miejskiego przy Fleischergasse, w którym czekać miała na niego Gabrielle, miał kilka minut piechotą. Muzeum mieściło się w dawnych zabudowaniach klasztornych kościoła św. Trójcy<sup>[13]</sup>. Pamiętał tę gotycką świątynię, której korpus zwieńczony był bogato zdobionymi szczytami. Podziwiał kiedyś jej drewniane stalle i niezwykle ołtarz tryptykowy, przedstawiające Drzewo Jessego[25]. W tamtejszej kaplicy św. Anny modlił się za swoją umierającą matkę Franziskę. Patrzył w górę na żebrowane sklepienie i wdychał narkotyczną woń białych lilii, którymi zakonnice dekorowały ołtarz kaplicy, po czym wracał do ponurego

gmachu przy Karrenwall. Wszyscy święci nie pomogli. Jego matka odeszła. Tak jakby przeciąg zgasił ledwie tłącą się świecę. Nigdy więcej nie odwiedził tej świątyni.

Teraz prawie w tym samym miejscu czekała na niego pełna życia młoda kobieta. Pełna wigoru, młoda i świeża. Zapewne już świadoma jak smakuje grzech. A przy tym nieodgadniona i tajemnicza.

Zastał ją na piętrze klasztorного budynku, wypełnionego szklanymi witrynami i eksponatami. Miała na sobie długi biały fartuch zakrywający kolana. Włosy upięła wysoko w koński ogon, co zawsze działało na niego pobudzająco. Pachniała delikatnymi perfumami. Ze zdziwieniem zauważył, że ma czoło pokryte bladymi piegami. Była olśniewająca. Jeszcze piękniejsza niż wczoraj.

– O, już jesteś – uśmiechnęła się promiennie. Pomyślał, że chyba naprawdę ucieszyła się na jego widok i zrobiło mu się lżej.

– Byłem w pobliżu, pomyślałem, że wpadnę i wreszcie kogoś aresztuję.

– Dobrze zrobiłeś. Mam już dość ukrywania się. Aha, czy możesz mi mówić Gabi? Wiem, że dla ludzi w twoim wieku to trudne, ale wierz mi, tak będzie łatwiej – parsknęła zaraźliwym śmiechem.

– Z zasady nie przechodzę na ty z dziewczętami, które bawią się jeszcze lalkami, ale dla ciebie zrobię wyjątek – zrewanżował się żartem.

– O! Potrafisz nawet żartować. Myślałam, że to u was w policji zakazane.

– Żartuję tylko wtedy, gdy mam dobry dzień. A właśnie dzisiaj wsadziłem za kratki kilka dziewcząt za molestowanie dojrzałych panów.

Oprowadziła go po muzeum. Mijali sale o kolebkowych sklepieniach, często tak niskie, że podświadomie schylał głowę. Widać było, że dobrze czuła się w roli przewodnika po świecie starożytnej ceramiki, starych armat wydobytych z dna Bałtyku i starych dam o wąskich ustach, których portrety wisiały na ścianach. W pewnym momencie na chwilę ujęła jego dłoń. Poczul ciepło bijące z jej ciała.

– Muzeum powstało w tysiąc osiemset siedemdziesiątym trzecim roku w dawnym klasztorze Franciszkanów – opowiadała z ożywieniem. – Podstawą zbiorów stała się przekazana miastu testamentem kolekcja Jakoba Kabruna, złożona z cennych obrazów, grafik i rysunków. Doszło do tego w roku tysiąc osiemset czternastym. W zbiorach znalazły się także cenne darowizny i depozyty Towarzystwa Przyjaciół Sztuki. Kolejnym wartościowym uzupełnieniem galerii były dwie duże donacje: z roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego drugiego wdowy Wilhelminy Transchke – ponad dwieście obrazów i rysunków, oraz Friedricha Gotthilfa Adolfa Mundta, emerytowanego pastora z kościoła w Kiezmarku, który przekazał muzeum sześćdziesiąt cztery obrazy i dwieście czterdzieści rysunków. Zbiory stale wzbogacano dzięki kolejnym darowiznom. Wiesz, Gdańsk to bogate miasto, zawsze mieszkało tu dużo patrycjuszy i kolekcjonerów. – Poprawiła niesforną kitkę na głowie. – Eksponujemy kilkaset cennych kafli z Delft, precjoza

z bursztynu, wiele wartościowych obrazów, numizmatów, mebli i rzeźb.

Stanęli przed naturalnej wielkości gipsową figurą wielkiego Fryca[26]. Zdjęła fartuch i niefrasobliwie powiesiła go na monarszej dłoni. Miała krótką spódnicę i szafirową koszulę, luźno układającą się na piersiach. Były pełniejsze, niż się spodziewał.

– Ale ja cię tu zanudzam ramotami o muzeum, a ciebie pewnie interesuje wyłącznie Saul Rottenberg – uśmiechnęła się przepraszająco.

Pomyślał, że nie tylko Saul zajmuje w tej chwili jego uwagę, ale odpowiedział:

– To ciekawe, co mówisz. Jak w ogóle się tutaj znalazłaś?

– Skończyłam szkołę wyższą rzemiosł artystycznych, tu w Gdańsku. Trafiłam na praktykę do muzeum. Zlecono mi skatalogowanie pewnej darowizny. Zrobiłam to na tyle dobrze, że profesor zwrócił na mnie uwagę. Zaproponował mi pracę i tak to się zaczęło.

Zaprowadziła go do małego pomieszczenia wygospodarowanego w rogu sali. Pachniało tu jej perfumami. Usiadła naprzeciwko niego, krzyżując swe długie nogi. Abell poczuł uderzenie ciepła. Kobieta miała błyszczące oczy. I spierzchnięte usta, które właśnie zwilżyła koniuszkiem języka.

Przez dłuższą chwilę wypytywał ją o Saula. Odpowiadała chętnie i wyczerpująco. Widać było, że dobrze знаła Rottenberga. I chyba go lubiła. Zapytał o kolekcję. Ożywiła się.

– Saul miał niezwykły zbiór malarstwa. Wiele arcydzieł: dzieła Dürera, Holbeina. Kochał malarstwo flamandzkie. Jego zbiór niderlandzkich mistrzów ucieszyłby niejedno renomowane muzeum. Zbierał także artystów bardziej współczesnych, takich jak Caspar David Friedrich, prerafaelici czy awangardowy Marc Chagall. Wspaniały zbiór... – Rozmarzyła się. – Wyobraź sobie, że posiadał nawet obraz Rembrandta. A także dwa dzieła Pietera Bruegla Starszego: rycinę sztychowaną oraz olejny szkic do słynnego obrazu *Myśliwi na śniegu*.

– Znam ten obraz. To jeden z moich ulubionych. Może dlatego, że bardzo lubię zimę, podobnie jak Bruegel. To on odkrył tę porę roku dla malarstwa.

– Znasz się na sztuce? – Nie kryła zaskoczenia.

– Studiowałem krótko historię sztuki w Monachium. Odróżniam tarpana od terpentyny. Wiesz, dlaczego zimowy śnieg na obrazach Bruegla jak taki świetlisty? To proste. Bo jako pierwszy pokrywał zagruntowaną deskę białą ołowiową.

– Nie pomyślałam o tym.

– Cenię Bruegla także dlatego, że chyba mam z nim coś wspólnego. Zarówno Pieter jak i ja nie cierpimy kłamców. Podobno Bruegel żył ze swoją służącą i bez wątpienia by ją poślubił, gdyby nie to, że nagminnie kłamała, czego nienawidził. Umówili się więc, że Bruegel znaczyć będzie każde jej kłamstwo nacięciem na dobrej długości pałce. A pobiorą się, jeśli w wyznaczonym dniu pałka

nie będzie cała pokryta nacięciami. Ale była<sup>[14]</sup>.

– Wielka szkoda, mogła przecież zacząć kłamać dopiero po ślubie – zażartowała Gabi, zastanawiając się, czy celowo opowiedział jej tę anegdotę.

– Nazywano go Pieterem Chłopskim, a chyba powinni Pieterem Odkrywcą. Czy wiesz, że pierwotnie cały cykl *Pór roku*, w którego skład wchodzi *Mysliwi*, liczył sześć obrazów? Już w połowie siedemnastego wieku było ich tylko pięć. Jako student marzyłem o tym, że odnajdę to szóste zaginione arcydzieło.

– Może jeszcze ci się uda?

– Raczej nie. Wyleczyłem się z marzeń.

Zaskakiwał ją coraz bardziej. Był taki odmienny od mężczyzn, których dotychczas poznawała. Trudny do rozgryzienia i... dwoisty. Gdy go spotkała po raz pierwszy, wydał jej się introwertykiem, nieprzystępnym i skupionym tylko na swojej pracy. Dzisiaj zadziwiał ją luzem, poczuciem humoru i zainteresowaniami, jakich u niego się nie spodziewała. Jaki był naprawdę Christian Abell? W tym pytaniu kryła się pewna obietnica, a może to tylko kolejne złudzenie?

Zgodnie z wcześniejszym przyrzeczeniem przekazała mu gruby katalog kolekcji Rottenberga. Opracowywała go samodzielnie przez kilka zimowych miesięcy ubiegłego roku. Opowiadała, jak codziennie rano przychodziła do salonu, a Saul prezentował jej swój kolejny skarb. Ogrzewała ręce przy piecu, robiła zdjęcia, a stary Rottenberg w tym czasie opowiadał o genezie i symbolice obrazu.

W pewnym momencie Gabi przerwała opowieść i położyła rękę na dłoni Abella, ale wycofała ją, zanim zdążył zareagować.

Następnie on opowiedział jej o kabalistycznych praktykach w rodzinie Rottenbergów. Zacytował treść zapisków Salomona odnalezionych na marginesach książki Izaaka Lurii.

Słuchała go uważnie, charakterystycznie przekrzywiając głowę, jak mała dziewczynka, która boi się, że uroni coś ważnego ze słuchanej właśnie opowieści.

– Chciałabym mieć w ręku tę książkę – powiedziała. – Wiesz, to może być ważne. Izaak ben Salomon Luria rzeczywiście jest postacią niezwykle ważną dla kabalistów. To jemu zawdzięczają pierwszą kompletną i spójną teologię Kabały. Przypomnę ci tylko, że według kabalistów Jahwe na górze Synaj miał przekazać Mojżeszowi, oprócz dekalogu, także tajemniczy klucz do Tory. Dzięki niemu można było poznać istotę bytu i panowania nad mocami duchowymi. Mojżesz miał przekazać tę ustną Kabałę Jozuemu, a ten siedemdziesięciu uczonym. Całe to tajemne przesłanie przekazywano ustnie z pokolenia na pokolenie.<sup>[15]</sup> Z pewnością Izaaka Lurii można nazwać wyjątkową, nietuzinkową postacią. Miał niezwykle życie. W Egipcie dzierżawił gospodarstwo rolne, później z powodzeniem handlował pieprzem i kukurydzą. Wspaniale uosabiał żydowską tradycję, w której prowadzenie interesów nie kłóci się ze studiowaniem świętych ksiąg. Lata tysiąc pięćset sześćdziesiąt dziewięć–tysiąc pięćset siedemdziesiąt spędził na wyspie na



Nilu, rozmyślając nad *Zoharem*. Potem przeniósł się do Safed w Galilei. Zdobył niemal hipnotyczny wpływ na swoich wyznawców. Emanował nie tylko mądrością, ale także charyzmą i siłą autorytetu. Uważano go powszechnie za świętego męża. Podobno rozumiał mowę ptaków. Wielu widziało w nim Mesjasza. Nic dziwnego, że przedwczesny zgon zrodził legendę o jego pójściu do nieba.

– Na czym polegał ten hipnotyczny wpływ na wyznawców?

– Początkowo dzięki bardzo sugestywnemu nauczaniu jak osiągnąć stan skondensowanej medytacji. Luria uważał, że droga do tego stanu wiedzie poprzez koncentrowanie się wyłącznie na literach boskiego imienia.

– Taki rodzaj dzisiejszej jogi?

– A żebyś wiedział, jogi, nirwany, to trafne porównanie – roześmiała się. – Luria wierzył, że litery Tory i symbolizowane nimi liczby umożliwiają bezpośredni dostęp do Boga. Ale to nie dlatego został zapamiętany. Wypracował także kosmiczną teorię, wiążącą się bezpośrednio z wiarą w Mesjasza i stanowiącą do dzisiaj najbardziej wpływową teorię ze wszystkich żydowskich teorii mesjanistycznych. Słowem, opowiedział, jak wyglądało stworzenie wszechświata i jakie miejsce przypada w tym boskim planie człowiekowi, a zwłaszcza narodowi wybranemu.

– Bardzo się to różni od naszej chrześcijańskiej kosmogonii?

– Chyba nie aż tak bardzo, jak chcą przyznać sami chrześcijanie! – miała teraz policzki zaróżowione z emocji. – Według Lurii człowieka od Boga rozdziela prawdziwa przepaść. Z jednej strony znajduje się nasz materialny kosmos, z drugiej zaś Ein Sof, a więc nieskończoność, niepojęty i niewysłowny Bóg. W tej wizji Bóg nie jest upostaciowiony, jak w wyobrażeniach wielu ludzi, jest po prostu nieskończonością. Pomiędzy Ein Sof a światem człowieka istnieje dziesięć pośrednich światów. To są właśnie te *sefirot*, o których napisał Salomon. Wstępnym zadaniem kabalistów jest poznanie i opisanie relacji pomiędzy naszym światem a dziesięcioma *sefirot* i Bogiem. Miejsce *sefirot* w tej teologii jest kluczowe, stanowią one bowiem rodzaj duchowych pomostów ponad przepaścią dzielącą Boga od ludzi. To poprzez *sefirot*, które tworzą swoiste kanały mediacyjne pomiędzy Ein Sof a naszym uniwersum, objawia się Bóg.

– Jak należy to osiągnąć? – Abella powoli wciągała ta niezwykła teoria, łącząca w sobie odwieczne ludzkie pragnienia i pytania o sens życia i zbawienia.

– Kabaliści wierzą, że mogą wpływać na *sefirot*, by pobudzać, ułatwiać i wywoływać przejścia pomiędzy poszczególnymi światami. Uważają, że „wszystko wpływa na wszystko”. Każdy grzech, którego się dopuszczamy, ma swoje negatywne skutki w wyższych światach. I odwrotnie – każdy pobożny czyn przynosi światu pożytek, wpływając na relacje pomiędzy Ein Sof, *sefirot* i naszym materialnym uniwersum. W ten sposób w ostatecznym rozrachunku przybliża nas do zbawienia.

– Bardzo to podobne do naszej chrześcijańskiej teologii.

– Masz rację, zdziwiłbyś się, jak wielu uznanych teologów chrześcijańskich zajmowało się teologią kabalistyczną. Lista jest długa. Wystarczy, że przywołam wielkiego myśliciela, Pico della Mirandolę, dzięki któremu Kabała weszła do tradycji europejskiej. Ten filozof, znany między innymi ze swoich zainteresowań neoplatonizmem oraz alchemią, jako pierwszy powiedział głośno, że mistyka żydowska leży u podstawy zarówno religii judaizmu, jak i chrześcijaństwa. Pico della Mirandola przekonywał, że jest ona objawieniem, które Adam otrzymał w darze od samego Boga, objawieniem, dzięki któremu ludzie mogą spróbować zrozumieć samego Najwyższego<sup>[16]</sup>.

– Czy ty także... – urwał, jakby pożałował, że w ogóle chciał zadać to pytanie.

– No, nie – wybuchnęła śmiechem – nie jestem kabalistką! Raczej sufrażystką, jeśli o to chodzi. Wiele rozmawiałam z Saulem, on do tych spraw podchodził bardzo poważnie. Lubię ludzi, którzy w coś wierzą.

Mówiła prawdę. Ale przede wszystkim czekała na mężczyznę, który uwierzy w nią samą. Da jej nie tylko przyjemność, ale także odrobinę szacunku, czułości i uczucia. Miała dwadzieścia sześć lat i dość przelotnych związków, pogłębiających tylko poczucie pustki i przygnębienia. Ten policjant podobał jej się jeszcze bardziej niż wczoraj. Dzisiaj był odprężony i naturalny. Nadal wyczuwała w nim skupienie i jakiś rodzaj szczerości widocznej w tych szarych oczach, którymi ją obezwładniał. Potrafił ją zaskoczyć, a to zdarzało się coraz rzadziej, jeśli chodzi o mężczyzn, którzy stawali na jej drodze. Odróżniał odcienie śniegu na obrazach Bruegla... Miał mocne dłonie o długich palcach. Wyobraziła sobie, jak wędrują po jej ciele. Niespodziewanie poczuła przyływ podniecenia i zawstydzila się, po raz pierwszy od wielu tygodni wypełnionych samotnością i oczekiwaniami nie wiadomo na co.

– Wyjaśnij mi jeszcze, co znaczy drugi dopisek Salomona: „Przecież nawet *klippot* zawierają *tikkim*”? – zapytał, nie dostrzegając jej zmieszania.

– To pojęcia z teologii Luriańskiej zarezerwowanej wyłącznie dla Żydów – odpowiedziała. – Kabała wyszczególniała różne warstwy wszechświata. Potrzaskane skorupy świata, czyli właśnie *klippot*, są złem. Zawierają jednak drobne isierki, *tikkim*, boskiego światła. Owym uwięzionym światłem jest żydowska diaspora. Dzięki rygorystycznemu przestrzeganiu Prawa mogą uwolnić isierki światła uwięzione w kosmicznych skorupach. A kiedy to uczynią, przyjdzie kres żydowskiego wygnania i nastąpi odkupienie. Pomyśl, jaką siłę musiała mieć ta porywająca wizja w oczach przeciętnego Żyda z getta – podniosła na niego swoje roziskrzony oczy. – Jak bardzo musiała być atrakcyjna, niczym haust narkotycznego naparu!

Poprosił o coś do picia. Podając mu szklankę, przechyliła się przez stół i na

moment ich ciała się zetknęły. Gabi, jakby ulegając nagłemu impulsowi, musnęła go lekko ustami. Przyciągnął ją do siebie, aby oddać pocałunek, ale odepchnęła go delikatnie i opadła na swoje miejsce.

Miał ją właśnie zapytać, czy zostanie jego *tikkim*, iskierką światła, gdy do ich samotni wkroczył młody mężczyzna w granatowym eleganckim garniturze. Od razu wyczuł w nim rywala.

– Witaj, Herman – przywitała go, zdaniem Abella, odrobinę zbyt wylewnie.  
– Poznaj mojego gościa, Christiana Abella. Christian, to doktor Herman Neuer z naszego muzeum.

Herman Neuer nawet nie silił się na uprzejmość. Miał koło trzydziestki i stalowy uścisk dłoni. Nie wyglądał na muzealnika. Raczej na członka reprezentacji olimpijskiej w wioślarstwie.

– Z kim mam przyjemność? – zapytał chłodno. – Rzadko miewamy gości o tej porze.

– Jestem z policji kryminalnej.

– Oo... – uniósł do góry brwi. – Chyba moja Gabi nie ma kłopotów? W przypadku tak ładnych dziewczyn o to nietrudno. Ale w razie czego Gabi zawsze może liczyć na pomoc NSDAP.

Dopiero teraz Abell dostrzegł partyjną odznakę w klapie jego marynarki.

Doktor zauważył jego spojrzenie.

– Czyżbyśmy byli towarzyszami partyjnymi?

– Zależy, którą partię ma pan na myśli. Szczerze mówiąc, nigdy nie widziałem podobnej odznaki.

Herman przez chwilę przetrawiał odpowiedź, zastanawiając się, czy uznać ją za obelgę. Widocznie stwierdził, że nie warto, bo odwrócił się tyłem do Abella i powiedział:

– Gabi, nie zapomnij o dzisiejszej kolacji. Ślicznie wyglądasz, naprawdę.

Po czym wyszedł, nie zaszczyciwszy Abella spojrzeniem. W małym pokoiku zapadło milczenie. Policjant po chwili podniósł się i pożegnał, unikając wzroku Gabi. Miał wrażenie, że chciała mu coś powiedzieć, ale nie dał jej szansy. Po co? Szybko zbiegał po schodach, z trudem opanowując narastający gniew i rozczarowanie. „Moja Gabi”, „Nie zapomnij o dzisiejszej kolacji”. Co to było? Czy ona się nim bawi? Przez kilkanaście godzin ulegał iluzji, ale to minęło. Szlag! I niech nigdy nie wróci.

Dochodził już do samochodu, gdy nagle usłyszał za sobą czyjeś kroki. Odwrócił się. To była ona. Nie mógł uwierzyć, że to zrobiła. Sam nie wiedział, co teraz czuł: gniew? Zmieszanie połączone z zaskoczeniem?

– Christian, poczekaj. Proszę! – ze zdumieniem ujrzał łzy w jej oczach.

Wzruszył ramionami.

– Chyba nie mam na co czekać.

– Herman jest tylko moim kolegą z pracy. Może coś sobie uroił, ale między nami nic nie ma. I nigdy nie będzie. A ta kolacja, o której mówił... To wspólny wieczór całego zespołu, na zaproszenie profesora.

Nie wiedział, co powiedzieć. To działo się zbyt szybko. Może rzeczywiście był zgorzkniały i drażliwy?

– Wierzysz mi?

– Nie wiem.

– Coś się zaczęło dziać pomiędzy nami. Zaprzecz, jeśli to nieprawda.

– Nie jestem pewny. Może.

– Zawsze jesteś taki małowówny?

– Zazwyczaj.

Myślał, że odejdzie, ale zaskoczyła go. Podeszła bliżej, poczuł jej przyspieszony oddech. I dostrzegł małą bliznę pod jej lewym okiem.

– Wybierz się ze mną jutro wieczorem do Opery Leśnej – powiedziała.

– Zdobyłam bilety. O dziewiętnastej gra orkiestra pod batutą Furtwänglera[27]. Jeśli się zdecydujesz, mieszkam przy Wilhelmstrasse 26. Będę czekała.

Przymknął oczy. Czy to Saul Rottenberg nad nim czuwał?

7.

Ten czwartek pełen wrażeń jeszcze się nie zakończył.

Pokój przesłuchań znajdował się w piwnicy prezydium policji. Był nisko sklepiony, duszny i prawie pozbawiony wentylacji, co sprawiało, że podczas dłuższych przesłuchań ściany pokrywały się wilgocią. Wiekowy stół z nieheblowanego drewna pamiętał zapewne lepsze czasy. W jego szerokich szparach dostrzec można było okruchy pożywienia pozostawione przez śledczych, kurz, a nawet zmumifikowane odwłoki owadów. Spartańskiego wyposażenia dopełniały dwa proste biurowe krzesła i archaiczna lampka o podstawie z ciężkiego onyksu. Jedyne weneckie lustro na tylnej ścianie wskazywało, że byli w wieku XX. Starsi policjanci mawiali, że kiedyś podejrzanym łatwiej było wejść do pokoju przesłuchań, niż z niego wyjść. Po gmachu krążyła legenda, że niezmywalna ciemna plama na łuszczącej się ścianie to pamiątka po pewnym feralnym przesłuchaniu. Prowadzący śledztwo oficer stracił panowanie nad sobą i rozbił głowę pedofila o mur. Zdekapitowane zwłoki wyłowiono potem w kanale przy Wyspie Spichrzów, obgryzione do kości przez wodne szczury. Samej głowy nigdy nie odnaleziono. Podobno została zamurowana gdzieś w gmachu przy Karrenwall.

Salomon Rottenberg nie mógł tego wiedzieć. Być może dlatego nie odczuwał żadnego niepokoju. Pan czuwał na nim i jego rodziną. Wiązało go z Niewypowiedzianym przymierze, którego tajemnej istoty z całą pewnością nie mógł ogarnąć nawet ten bystry goj z policyjną odznaką, siedzący po drugiej stronie

stołu. Salomon odczuwał wdzięczność i radość, że Pan wystawia go na próbę. Właśnie jego, Salomona Rottenberga, pokornego sługę, drobinę pyłu na sandałach proroka Henocha! Najchętniej zerwałby się z miejsca i zaśpiewał: „Weselcie się sprawiedliwi w Bogu!”. Jak w ich bóżnicy, gdy osiągnęli *dewkut*[28], wpadając w trans i tańcząc ekstatycznie, gestykułując i wyśpiewując święte psalmy przy świetle szabasowych świec.

– Panie Rottenberg, dlaczego zataił pan przed policją dokumenty, mogące mieć istotne znaczenie dla śledztwa? – zapytał Abell, wykładając na stół listy i papiery znalezione podczas rewizji. – Uprzedzam, że jeśli nie uzyskam satysfakcjonującej odpowiedzi, przymknę pana na dłużej i postawię formalny zarzut o utrudnianie śledztwa i mataczenie. To na początek, później być może sformułuję poważniejsze zarzuty.

Salomon nawet nie podniósł wzroku. Ubrany był w czarny garnitur i nieświeżą białą koszulę. Jego zapadniętą twarz pokrywała ciemna szczecina zarostu. Wyglądało na to, że jest całkowicie nieobecny i pochłonięty mamrotaniem swoich świętych psalmów.

– Powiem panu, co będzie dalej – Abell nie zamierzał rezygnować. – I to zanim jeszcze sformułujemy akt oskarżenia. Przede wszystkim unieważnimy pozwolenie na budowę domu modlitwy dla pańskich ortodoksyjnych wyznawców. Tak, tego domu, na którego budowie tak zależy rabinowi Weissbergowi. Zdaje się, że to pan odpowiada za to, aby wszystkie papierki były w porządku, prawda? Otóż, zapewniam pana, że nie będą. Jestem bardzo pomysłowy, na pewno coś wykombinuję.

Miał wrażenie, że Salomon przestał szeptać psalmy. I nareszcie zaczął go słuchać.

– Następnie wyjaśnimy pańskim braciom w wierze, że powodem opóźnień na budowie były nadużycia finansowe. I że to pan brał w łapę.

– To kłamstwo, nigdy nie ukradłem choćby jednego guldena! – Salomon oddychał teraz ciężko, a na jego policzki wypełzły czerwone plamy.

– Niech pan zostawi to święte oburzenie na lepszą okazję, panie Rottenberg – ciągnął niewzruszenie policjant. – Z pańskiego dziennika wynika, że miał pan problem z wyegzekwowaniem dostawy drewna na budowę domu modlitwy. Podobno wpłacił pan pieniądze, ale nieuczciwy właściciel tartaku zaczął wymigiwać się od realizacji zamówienia. Rzekomo to z tego powodu budowa stała w miejscu, a ortodoksi zbyt pochopnie zarzucili panu bezczynność. Tyle tylko, że to nieprawda. Mój współpracownik, wachmistrz Kukulka, rozmawiał już z Blankfeinem, właścicielem tartaku z Jelitkowa. Biedaczyna już dawno skompletował dostawę, ale ciągle czekał na pieniądze od pana. Przykra sprawa, prawda? Plotki, panie Rottenberg mają długi żywot. Może być z tego dużo smrodu. Raz puszczone żyją wiecznie i naprawdę potrafią odebrać nie tylko spokój, ale

i dobre imię.

– Niczego nie ukradłem... Tylko chwilowo opóźniłem płatność. – Salomon pochylił głowę, jak człowiek ugodzony niespodziewanie w najczulsze miejsce. – Bardzo potrzebowałem tych pieniędzy na lekarza dla Rebeki. Oddałbym wszystko, co do grosza, zapewniam...

– Jestem nawet w stanie panu uwierzyć, panie Rottenberg. – Abell rozłożył ręce w uprzejmym geście. – Nie jestem uprzedzony, jak wielu moich kolegów, uważających, że wszyscy Żydzi to materialści i urodzeni kłamcy. Przeciwnie, podziwiam Żydów za ich talenty i przywiązanie do tradycji. My, Niemcy, wiele moglibyśmy się od was nauczyć. To samo powiedziałem przed niespełną godziną rabinowi Weissbergowi.

Salomon gwałtownie podniósł głowę. Teraz w jego oczach widać było lęk pomieszany z niedowierzaniem.

– Przyjął pana rabbi?

– Nie tylko przyjął, ale i podziękował mi jako przedstawiciel całej wspólnoty za ocalenie dobrego imienia pańskiego brata, Saula Rottenberga. Szczerze mówiąc, nie chodziło o niego samego. Rabin obawiał się, że oskarżenie Saula o łapownictwo i samobójczą śmierć burmistrza Lauego podsyci jeszcze bardziej antysemickie nastroje w mieście. A tego wszyscy przecież chcemy uniknąć.

– Czy oskarżył... czy oczernił mnie pan przed rabbim? – zapytał chrapliwie Salomon.

– Nie zrobiłem tego. Liczyłem, że wykaże się pan rozsądkiem i dobrą wolą. Ciągle mam taką nadzieję.

– Te listy, papiery... To sprawy rodzinne. Policja nie ma prawa w nie wkraczać.

– Proszę mnie dobrze posłuchać, panie Rottenberg. Nie mam czasu na salonowe konwersacje. Wykazałem wystarczająco dużo dobrej woli. Teraz czas na pana. Prowadzę śledztwo w sprawie o okrutne morderstwo. Dotyczące zresztą pańskiego brata. I zamierzam je doprowadzić do końca, czy to się panu podoba, czy nie. Hołduję pewnym zasadom. Nie zwykłem rezygnować. Potrafię być wytrwały, panie Rottenberg. Wyznaję maksymę, że jeśli jest wina, musi być kara. Czy to jasne?

Czekał w napięciu przez dłuższą chwilę, dopóki nie zauważył, że Salomon prawie niedostrzegalnie skinął głową. Udało mu się zrobić pierwszą szczelinę w zbroi przesłuchiwanego. Teraz musiał ją tylko powoli, cierpliwie poszerzać. Niepokoiło go jednak, że Salomon uległ jego presji tak łatwo.

– Zacznijmy od dziennika wspólnoty, który pan prowadził. Ten, który mi pan przekazał, obejmuje okres od początku roku. Ciekawią mnie wcześniejsze zapisy.

– Wcześniej nie prowadziłem żadnych zapisków.

– Rozumiem. Zatem przejdźmy do papierów i listów odnalezionych przez nas w wydrążonym krześle. Dlaczego pan je ukrył?

– Wszystkie dotyczą Saula. Nie chciałem, aby wypłynęły łączące nas – zamilkł na chwilę – ... sprawy. Poza tym obawiałem się, że policja będzie mnie podejrzewać o śmierć brata. Nie chciałem kłopotów. Policja w Gdańsku nie kocha Żydów. Teraz szczególnie.

– Rozumiem. Skupmy się na korespondencji z bratem. Dlaczego tych listów jest tak wiele?

– Nie rozmawialiśmy ze sobą od lat.

– A jednak rozmawiał pan z nim, chociaż w innej formie. Większość tych listów to emocjonalna odpowiedź brata na zarzuty, jakie stawiał mu pan w swoich listach. Nie musimy się domyślać treści tych oskarżeń, bo, nie wiedząc czemu, kopiował pan wszystkie swoje listy.

– Tak, chciałem mieć dowód, że zrobiłem wszystko, co w ludzkiej mocy, aby nawrócić brata na ścieżki Pana.

– Co konkretnie mu pan zarzucał?

– Mówiłem już. Odszedł od Boga, zaparł się naszej wiary. Zastąpił ją – pod wpływem żony – jakimś dziwnym ersatzem religii, złożonym ze strzępów prymitywnie rozumianej Kabały, magii i okultyzmu. Gematria i jej święte liczby była dla niego jak kolejne rebusy, które uwielbiał. Tora to fizyczne ciało Biblii, panie oficerze. Kabała jest jej niewypowiedzianą duszą. Nie da się oddzielić jednej od drugiej. Ani tym bardziej zrozumieć. Saul tego próbował. Grzeszył i dopuszczał się straszliwego świętokradztwa. – Na twarz Saula wystąpiły niezdrowe rumieńce. – Nie mogłem... Hańbił i ranił mnie i moją rodzinę.

– Co Saul miał na myśli, pisząc w jednym ze swoich listów o niezwykłych odkryciach, jakich dokonał w gematrii? – zapytał niespodziewanie.

Salomon nie od razu odpowiedział. Abell miał wrażenie, że jego rozmówca się wzdrygnął, jakby ukłuty żądłem niewygodnego pytania.

– Saul bajdurzył, że dokonał na tym polu odkryć, których nie dokonały zastępy świętych mężów i czytelników Pisma – odpowiedział wreszcie pogardliwie. – To śmieszne, nigdy nie dawałem wiary tym rewelacjom. Uważam, że w ten sposób szukał wygodnego alibi dla swojego ateizmu i bezbożnictwa. Nigdy nie otrzymałem od niego żadnego dowodu, że jego poszukiwania mają jakikolwiek sens. Jeszcze raz powtarzam, nie mam nic wspólnego z morderstwem mego bezbożnego brata. Rabin na pewno to potwierdził.

– Rabin Weissberg potwierdził tylko, że rzeczywiście dziesiątego kwietnia takie spotkanie w pańskim domu miało miejsce. Ale powiedział mi jeszcze coś, co mnie zastanowiło.

Salomon poruszył się niespokojnie.

– Dziwię się, że rabin w ogóle z panem rozmawiał.

– Rabin powiedział, że to pan usilnie zabiegał o to, aby spotkanie w sprawie domu modlitwy odbyło się w pańskim domu dokładnie dziesiątego kwietnia. Właśnie tego dnia, nie innego. Wcześniej wcale nie było ono planowane. Sprawa budowy się ślimaczyła. Inni członkowie komitetu mieli do pana o to pretensje. Ale na spotkaniu nie dowiedzieli się niczego nowego. Wie pan, ku czemu zmierzam?

– Nie mam pojęcia.

– Myślę, że pan kłamie, panie Rottenberg. Wydaje mi się, że nalegał pan na to spotkanie, aby mieć mocne alibi na wieczór morderstwa. Pytanie, skąd pan wiedział, że właśnie wtedy stanie się coś złego.

– To bzdura, nie ma pan na to żadnych dowodów! – Salomon Rottenberg po chwili słabości odzyskał rezon.

– Do tego jest pan podwójnym kłamcą, panie Rottenberg. Stwierdził pan przed chwilą, że poza dziennikiem, który leży na stole, nie prowadził pan wcześniejszych zapisków ze spotkań wspólnoty. A przecież podczas naszej pierwszej rozmowy powiedział pan, że rabin kazał panu dokumentować te spotkania już dwa lata temu. Gdzie w takim razie są wcześniejsze zapisy? Myślę, że je pan zniszczył. Zapewne nie po raz pierwszy, przepraszam za eufemizm, zaopiekował się pan pieniędzmi wspólnoty. Przypuszczam, że chodziło o drobne sumy, ale bezpieczniej było, tak na wszelki wypadek, zniszczyć jakiegokolwiek ślady tego procederu, prawda?

Salomon po raz pierwszy odczuł niepokój. Nie docenił tego policjanta. Był inny niż ci zoologiczni antysemita w mundurach, których spotykał do tej pory. Ale przez to jeszcze bardziej niebezpieczny. Zorientował się, że powinien być bardziej czujny. To kolejny znak od Pana: wykolejony anioł o stalowych oczach, stojący na jego drodze. Nawet nazwisko ma biblijne. Pomyślał, że mógłby zmiażdżyć mu twarz jednym uderzeniem tej ciężkiej lampki. Ale na to było już teraz za późno.

– I kolejne kłamstwo – doleciał go jak z zaświatów głos policjanta. – Zeznał pan, że nigdy nie otrzymał od brata żadnego przekonującego dowodu na ważność jego prac kabalistycznych.

– Bo to prawda, Saul był mitomanem.

– Tyle tylko, że pański brat wspominał w jednym ze swoich listów, że wysłał panu taki dowód dwudziestego piątego stycznia. Przeszukałem całą waszą korespondencję. Są wszystkie listy. Nie ma tylko jednego, właśnie tego. Co się z nim stało, panie Rottenberg? Czyżby oślepiła pana zazdrość, że pański bezbożny, zeświecczony brat posiadał boskie tajemnice, nad którymi trudził się pan bezowocnie od lat? I postanowił pan ukraść mu jego numerologiczne odkrycia?

– Po cóż miałbym to robić? – Salomon przypominał teraz zwierza w klatce.

– Dobre pytanie. Może po to, aby odzyskać utracone we wspólnocie prestiż i znaczenie? Ten prestiż, który tracił pan przez ostatnie miesiące i lata? To dlatego zniszczył pan dziennik z wcześniejszego okresu. Żeby nie było śladu pańskiej



nieudolności, prawda? A może zrobił pan coś jeszcze straszniejszego? I kazał komuś zabić, a następnie pozacierać wszelkie ślady po zagrabieniu odkryć swojego cudownie uzdolnionego, zawsze lepszego brata? To musiało być dla pana straszliwie niesprawiedliwe, może wręcz upokarzające. Przez dziesiątki lat trwał pan w wierze, modlił się żarliwie i nie wstawał z kolan, wypatrując najmniejszego znaku boskiej przychylności. I nic. A wyrodny brat, który odwrócił się do Boga tyłem i któremu w życiu wszystko przychodziło tak łatwo, nagle nagrodzony został boskim impulsem, doznał iluminacji? To musiało zboleć. Czy tak właśnie było, Salomonie Rottenberg?

Przesłuchiwany spojrzał na Abella nieprzytomnym wzrokiem.

– Nie! Nie zabiłem brata! – wykrzyknął chrapliwie. Następnie schował twarz w swoich ogromnych dłoniach. Jego wielkim kościstym ciałem wstrząsnął bezgłośny szloch.

Po drugiej stronie weneckiego lustra ten teatr dwóch aktorów oglądali przełożeni Abella.

– Nie lubię go – powiedział Kellerman do komisarz Mohla. – Czasami mnie wręcz wkurwia. Zawsze musi mieć swoje zdanie i lekceważy hierarchię służbową. Ale trzeba przyznać, że to cholernie dobry śledczy. Urządził nam niezły pokaz. Mamy Żyda!

– Jeszcze się nie przyznał – powiedział z namysłem Mohl – ale ma pan rację. Jesteśmy na dobrej drodze, aby go przyszpilić. Porozmawiam z prokuratorem. Wsadzimy go teraz na dobre i przytrzymany tak długo, aż puści farbę.

## **Rozdział III**

### **Kobieta z perłą**

## 1.

Był pół godziny wcześniej. Jechał wolno, szukając tabliczki z napisem Wilhelmstrasse 26. Wreszcie zaparkował u wlotu ulicy. Gabi mieszkała w willi z drewnianą misternie rzeźbioną werandą. Takie werandy często można było zobaczyć na uliczkach starego Sopotu. Sam dom był niewielki, ze stromym dachem ukrytym w konarach drzew. Pochylona latarnia żółtawym refleksem oświetlała obrośnięte bluszczem wejście. Nad drzwiami werandy zauważył dwa drewniane łąbiedzie. Snycerz, który dekorował to domostwo, dobrze zapracował na swoje wynagrodzenie. Elewację pokrywały macki zeschniętych winorośli. Słyszał skrzypienie niezamkniętych okiennic. Poza tym było cicho. W jednym z okien paliło się światło. Czy to jej pokój? Być może czesze teraz swoje grube jasne włosy i patrzy badawczo w lustro? Albo wcale na niego nie czeka i śpi już znużona w wielkim łóżku pachnącym innym mężczyzną?

Jednak czekała.

– Jesteś – uśmiechnęła się. Otworzyła drzwi niemal natychmiast po tym, jak podszedł do ganku. Ale nie rzuciła mu się na szyję, tak jak się spodziewał. Zachowywała się naturalnie, jakby było oczywiste, że przyjedzie. I jakby nie było żadnego zgrzytu między nimi podczas poprzedniego spotkania. Miała na sobie prostą czarną sukienkę do kolan. Dekolt ukazywał rowek piersi. Zauważył na jej szyi wielką perłę w srebrnej oprawie, piękną i starą. Znał się na tym. Poza tym nie miała na sobie żadnej biżuterii. Pomyślał, że chyba jej nie potrzebowała. Podobnie jak kosmetyków. Jeśli nawet ich używała, to bardzo dyskretnie, jedynie dla podkreślenia oczu o kształcie migdałów. Chyba lubiła też lekkie kwiatowe perfumy. Wyczuwał delikatną woń – nasturcji, bzów?

A pomimo tego stał na tym ganku pod dwoma łąbiedziami i nadal nie wiedział, czego chce. Przygody? Seksu? Czy może czegoś więcej?

W drodze do opery rozmawiali niewiele. Głównie o Furtwänglerze i jego orkiestrze. Raz tylko przytuliła się do jego ramienia, ale jedynie na chwilę, tak jakby tego dnia to ona zamierzała dawkować swoją bliskość. Już na miejscu poprosiła o kieliszek szprycera. Pozostawił ją samą i poszedł w stronę podestu z barem na świeżym powietrzu.

Nigdy nie był o tej porze roku w Operze Leśnej. Stał teraz wyżej, ponad głowami setek widzów szemrzących i przemieszczających się w mroku, błyskających bielą gorsetów i rozpalających ciemność ognikami cygar i papierosów. Naturalny masyw leśny okalał scenę. Na dworze powoli zapadał zmierzch. Światła reflektorów wydobywały z mroku proscenium z kanałem dla orkiestry, wyglądające niczym wyspa blasku i dźwięków dryfująca po ciemnym morzu. Trwała przerwa. Muzycy stroili już instrumenty, czekając na pojawienie się

dyrygenta. Spojrzał w bok na miejsce, w którym siedziała Gabi. Nie był pewny tego, co wydarzy się tego wieczoru. Ale wiedział jedno: opuścił ją zaledwie przed kilkoma minutami, a już zaczynał tęsknić za jej bliskością i zapachem.

Lawirując z kieliszkami wina w dłoni, dotarł wreszcie na miejsce. Obejrzała się i spojrzała na niego roześmianymi oczami. Ze sceny dobiegła ich burza oklasków. Boski Wilhelm Furtwängler kłaniał się nisko publiczności. Po chwili na jego znak wstała z miejsc cała orkiestra. Gabi miała roziskrzony wzrok, wyglądała na zachwyconą. Zabrzmiały pierwsze akordy filharmoników.

Zamknął oczy i starał się poddać nastrojowi chwili. Taki wieczór był mu potrzebny. Ostatnio całe dni spędzał w swojej samotni przy Karrenwall. Źle sypiał i śnił koszmary. Rano budził się mokry od potu i potrzebował zimnego prysznica oraz smolistej kawy, aby stanąć na nogi. Nadal, zwłaszcza wiosną, odzywał się ból w boku, po kuli, którą oberwał kilka miesięcy temu w starym porcie. Od czasu do czasu sypiał z kobietami, ale nie znajdował ukojenia w ich ramionach. Wybrał sobie parszywe życie. Czy teraz będzie inaczej? Czy potrafi przebić się przez skorupę zgorzknienia i rezerwy, która powoli stawała się jego drugą skórą?

Spojrzał na Gabi. Widział jej lśniące oczy wpatrzone w scenę. I nagle poczuł coś, czego nie doświadczył od dawna. Usłyszał bicie własnego serca i szum krwi. Znowu żył.

Po koncercie odwiózł Gabi do domu. Tym razem była ożywiona, zabawna. Zarzucił jej na ramiona swoją marynarkę. Odprowadził pod drzwi i spojrzał w górę. Dwa łabędzie były na miejscu. Obserwowały go czujnie wypukłymi oczami, jakby zastanawiając się, czy wpuścić intruza do środka. Dostrzegła jego spojrzenie.

– To dzieło mojego ojca. Nie mieszkam sama.

Po co mu to powiedziała? Wyobrazil sobie jej sypialnię otuloną mrokiem. Zaczęło padać. Zanim zdążyli schronić się pod daszkiem werandy, zmoczył ich ciepły gwałtownie zacinający deszcz. Widział, jak mokra sukienka oblepia smukłe nogi Gabi. Czuł zapach jej skóry i soli w powietrzu.

– To był piękny wieczór – powiedziała cicho. – Dziękuję za muzykę. I za ciebie.

Nie zdążył odpowiedzieć. Podeszła do niego tak blisko, że czuł ciepło bijące z jej ciała. Oddając marynarkę, musnęła pieszczotliwie palcem jego usta. Przyciągnął ją mocno do siebie, a ona wtuliła się w niego ulegle. Zaczął całować jej usta. Najpierw delikatnie, a potem coraz namiętniej. Oddawała mu pocałunki. Drżała, słyszał przyspieszony oddech wtulonej w niego kobiety.

Czuła, jak jego ręka wślizguje się pod sukienkę i wolno sunie po jej udzie. Chciała go powstrzymać, ale nie potrafiła. A może nie chciała? Zagryzła wargi, oszołomiona nagłym przyplływem pożądania, jakiego nie doświadczyła od dawna.

Nagle po drugiej stronie ulicy w oknie zapaliło się światło i zafalowała

firanka. Gabi odsunęła się od niego.

– Nie teraz – wyszeptała chrapliwie.

– Dlaczego? – nie skrywał rozczarowania. Mokra koszula przywarła mu do ciała.

– Chcę więcej.

Nie był pewien, co miała na myśli. Ale był zbyt poruszony, aby zastanawiać się nad tym dłużej.

– Jedź już, muszę wracać – odepchnęła go lekko ręką.

Gdy odjechał, oparła rozpalone czoło o drzwi werandy. Nadal była oszołomiona, ciągle czuła jego dotyk. Wtargnął w jej życie tak nagle, że nie miała żadnych szans obrony. Czy miała zanurzyć się w tym uczuciu bezwarunkowo i głęboko? Zadrżała i sama nie była pewna, dlaczego. Z przecucia rozkoszy i szczęścia, czy z obawy o to, co przyniesie dzień jutrzejszy, gdy wyparują wszystkie emocje tego namiętnego wieczoru.

## 2.

Bał się, że nie będzie mógł zasnąć, ale niespodziewanie dla siebie samego właśnie tej nocy spał jak zabity. Tak jakby prześladowające go od tygodni majaki i koszmary ulitowały się wreszcie nad nim i odplynęły w niebyt. W sobotni poranek dwudziestego kwietnia obudził się z pytaniem, czy to, co zdarzyło się wczoraj, było jawą, czy tylko wytworem jego wyobraźni. Pewne było jedno – najbliższa przyszłość powinna szybko rozwiązać ten dylemat.

Wchodząc do gmachu policji, zorientował się, że coś się stało.

– Dobrze, że pan już jest, panie radco – oficer dyżurny wyglądał na poruszonego. – Komisarz Mohl kazał się panu natychmiast zameldować. Natychmiast.

Abell nie krył zaskoczenia. Nie przypominał sobie, żeby Mohl kiedykolwiek wzywał go w tak nagłym trybie. Przez głowę przeleciała mu myśl, że może gladiator z odznaką NSDAP złożył na niego skargę. Zazdrosny mitoman, do tego nazista – to mogła być wybuchowa mieszanka.

Komisarz Mohl przywitał go z ponurą miną i przekrwionymi oczami. Kwaśną minę miał również siedzący obok Kellerman.

Ostatnio często widuję ich razem. Jeszcze trochę, a zrodzi się pytanie, kto z tej dwójki naprawdę tu rządzi, pomyślał, sadowiąc się na krześle.

– Abell, mamy problem – rozpoczął Kellerman. – Duży problem.

– Zamieniam się w słuch. – Abell spojrzał pytająco na komisarza Mohla, który sięgnął po kolejne cygareto, wypuszczając kółko dymu w kierunku pożółkłego sufitu.

– Adele Rottenberg nie żyje. Została zamordowana... w okrutny sposób

– z pewnym wysiłkiem dokończył zdanie Mohl.

– Kiedy to się stało? – Abell potrząsnął głową z niedowierzaniem, spoglądając to na jednego, to na drugiego zwierzchnika.

– Wiadomość dotarła do nas pół godziny temu. Plaskowitz już tam jest. Kazaliśmy mu czekać na pana.

– Czeką gdzie? W jej domu?

– Nie, znaleziono ją na plaży. – Mohl poruszył się niespokojnie.

Abell jakby zapadł się w siebie. Pamiętał ciemną postać Adele w swoim gabinecie. I słyszał jej cichy głos, gdy mówiła: „Jest pan wyjątkiem w tym wilczym stadzie, panie Abell... Saul by pana polubił”. A teraz ją także zamordowano. Zbyt pochopnie i niesprawiedliwie kiedyś ocenił tę kobietę. A teraz jest już za późno, nie da się naprawić tego błędu. Dlaczego jej nie ochronił, chociaż zapewne mógłby, gdyby się dobrze postarał?

Musiał teraz zadać sobie to pytanie, chociaż podświadomie obawiał się odpowiedzi.

– Co to znaczy, że zamordowano ją w okrutny sposób?

– Nie jest w jednym kawałku, jeśli to chciałby pan wiedzieć. Trafiła w ręce prawdziwego rzeźnika. Niech pan już jedzie. – Mohl machnął ręką, wskazując drzwi. – Plaskowitz czeka na plaży w Kamiennym Potoku. Jak pan wróci, proszę o raport. Senat i prasa na pewno rzucą nam się do gardła. Najpierw Saul, teraz ta kobieta...

Był już przy drzwiach, gdy doleciał go głos Kellermana.

– Abell, pan ma świadomość, że sprawy się komplikują? Gdy zarzynano Adele, Salomon Rottenberg siedział w areszcie. Nie mógł tego zrobić, nawet gdyby bardzo chciał. Przynajmniej samodzielnie. Być może Salomon ma współników, cholernie sprawnych pomagierów... Musi pan ich znaleźć i to szybko. Nie chcemy kolejnego trupa w tej popapranej rodzinie. Czy to jasne?

Ale Abell był już za drzwiami, zaprzątnięty ponurymi myślami o winie i karze. Życie zdecydowanie odbiegało od baśni, które opowiadała mu matka.

Poczuł się zmęczony. W tym śledztwie nic nie układało się tak, jak powinno. Nic nie było oczywiste, tak jakby ciągle jeszcze nie otworzył właściwych drzwi.

Na dole czekał na niego milcząca Kukulka z kluczami do samochodu. Abel postanowił sam prowadzić. Szybko mijali miasto budzące się do życia. Kałuże lśniły w porannym słońcu, znacząc wszystkie nierówności szczerbatego i zapadającego się bruku. Ustupająca szarość odsłaniała fragmenty budynków i ulic, które tonęły wcześniej w oparach wilgoci i mgły. Na rogu Hundegasse i Grosse Gerbergasse, o mało nie staranowali wozu rozwożącego mleko. Ciągnięty przez wysłużoną szkapę mlekowóz zahamował gwałtownie, a z przyczepy posypało się na bruk kilka butelek, malując miejsce upadku białą strugą inkrustowaną kawałkami rozbitego szkła. Zarośnięty, kudłaty furman wyskoczył

wściekły z furgonu, ale cofnął się gwałtownie, widząc zaciętą minę Abella. Wiedział dobrze, że takim samochodami jeździło głównie Kripo albo gangsterzy z portu. Obie wersje były równie niedobre, więc złość wyładował na koniu, smagając go bezlitośnie batem po zapadniętych bokach.

Siedzący obok kierowcy wachmistrz nic nie powiedział. Dobrze znał człowieka, którego jako jedyne w całym gmachu nazywał szefem. I wiedział, że w takich chwilach jak ta, lepiej trzymać gębę na kłódkę.

Na miejscu byli po kwadransie. Zaparkowali przy restauracji Bergschloss, niedaleko polskiej granicy. Na plaży dostrzegli grupkę stojących nieruchomo postaci. Podeszli bliżej i Abell, oprócz Plaskowitza, rozpoznał doktora Martensa, fotografa i technika z policyjnego laboratorium. Wiatr od morza targał wściekle połami ich płaszczy, wzbijając na plaży tumany piasku. Martens pochylał się nad czymś, co z tej odległości wyglądało jak okrętowa, okrągła mina, pokryta guzami wodorosli i szlamu.

Głowa Adelle Rottenberg była równo odcięta od korpusu, tak jakby użyto do tego celu ciężkiego rzeźnickiego topora lub gilotyny. Cała pokryta była mokrym piaskiem i morskimi glonami. Adele miała papierowo bladą twarz i zapadnięte otwarte oczy, w których Abell dostrzegł oznaki bólu i cierpienia, jakich musiała doświadczyć przed śmiercią. Ale jej ciemne źrenice były zastygłe i martwe, przyprószone ziarnami piasku, niczym żółtą zmarzliną. Spojrzał pytająco na fotografa, a ten skinieniem głowy potwierdził, że wykonał już swoją powinność.

Abell włożył rękawiczki i zaczął delikatnie oczyszczać twarz ofiary.

Najpierw dostrzegł ciemne sińce pod oczami, a potem głębokie cięcia na czole i policzkach. Asymetrycznie skrzywiony nos pokryty był zastygłą mazią z krwi i zmasakrowanej chrząstki. Od szczytu głowy w dół biegła zygzakiem krwawa rana o wywiniętych brzegach. Odcięte lewe ucho trzymało się tylko na małżowinie. Wyglądało to tak, jakby ktoś próbował oskalpować Adele, używając do tego celu tępego otwieracza do konserw. Lewy policzek był wgnieciony uderzeniem czyjejs brutalnej pięści i zapadnięty na dobry centymetr w głąb. Morderca zadał sobie wiele trudu, aby oszpecić tę wyrazistą, intrygującą twarz. Adele musiała umierać długo. Straszliwie długo.

– Myślę, że najpierw została ogłuszona ciosem w twarz. – Martens bezszelestnie klęknął obok niego. – Nie zdziwiłbym się, gdyby od razu doszło do otwartego złamania czaszki. Następnie, gdy oprzytomniała, ktoś celowo zadawał jej ból – długo i uparcie. Poszczególne nacięcia na twarzy mają różną głębokość... To robota kogoś gorszego niż zwierzę... Zastanawia mnie jedno – doktor podniósł się i otrzepał spodnie z piasku – dlaczego tak się trudził. Śmierć to śmierć.

– To nieprawda.

– To znaczy? – Doktor spojrzał pytająco na Abella.

– Żadna śmierć nie jest taka sama. Kiedyś myślałem podobnie, że to

doznanie ostateczne, ale w jakimś sensie banalnie powtarzalne. Teraz wiem, że tak nie jest. Nigdy nie będziemy w skórze tych, którym ktoś odbiera życie. Nie poznamy ich bólu i strachu. Ci rzeźnicy nie chcieli, aby Adele odeszła zbyt szybko. Wręcz przeciwnie: miała umierać w męczarniach, trwać w agonii na raty.

– Być może. Zapewne masz rację... – Doktor wzruszył ramionami.  
– Weźmiemy ją, to znaczy jej głowę – poprawił się pospiesznie – do prosektorium. Postaram się, abyś jeszcze wieczorem miał wyniki sekcji. Nie spodziewam się rewelacji. Sposób, w jaki umierała, ma wypisany na twarzy.

Abell gwałtownie podniósł się z kolan.

– Chyba wyrżnięty na twarzy – powiedział, tłumiąc w sobie bezsilną wściekłość. Próbował sobie przedstawić postać mordercy, ale wyobraźnia odmówiła mu posłuszeństwa.

W każdym razie ktoś musiał mieć bardzo istotny powód, aby odcisnąć swoje piętno na obu ofiarach. Maltretując je, musiał wiedzieć, że ryzykuje. Okrucieństwo ma swoją cenę – zawsze pozostawia jakiś dodatkowy ślad. Mimo kryzysu policja coraz częściej sięgała po nowe techniki śledcze i zatrudniała doktorów Martensów z ich laboratoriami. A jednak to nie powstrzymywało morderców przed bestialstwem usianym mikrośladami i tropami, które podjąłby każdy policyjny pies.

Podszedł do Plaskowitza.

– Kto znalazł głowę Adele? – zapytał.

– Turysta z pobliskiego pensjonatu, niejaki Manfred Klose. – Plaskowitz sięgnął po notatnik. – Pochodzi z Olsztyna. Przyjechał z żoną na krótki urlop. Pracownik tamtejszego browaru, lat pięćdziesiąt dwa. Przesłuchałem go już i odesłałem do pensjonatu. Ma zakaz opuszczania miasta.

– Co zeznał?

– Twierdzi, że wybrał się rano na plażę, aby poszukać bursztynu. Poprzedniego dnia był sztorm. Liczył na dobry połów. Idąc, zauważył kilka metrów od brzegu jakiś obły kształt wystający z piasku. Pomyślał, że ma fart i trafił na bursztyn, wielki jak strusie jajo. Dopiero kiedy podszedł bliżej, zorientował się, że miał mniej szczęścia, niż mu się wydawało. Pobiegł do restauracji Bergschloss i zadzwonił na policję.

– O której godzinie znalazł Adele?

– Mówi, że około ósmej rano. Właściciel restauracji potwierdza jego wersję. Gość wpadł do lokalu i roztrzęsiony poprosił o połączenie go z Kripo. Podobno darł się tak, jakby go obdzierali ze skóry.

– Co myślisz?

– Myślę, że nie kłamie. Twierdzi, że nigdy nie był karany.

– Sprawdź to.

– Oczywiście, zrobię to zaraz po powrocie do biura, ale nie spodziewam się rewelacji.



– W porządku. Przesłuchajcie pracowników restauracji, popytajcie w okolicznych pensjonatach, ktoś mógł coś widzieć. Może ktoś zauważył ludzi z pakunkiem. Mogli mieć wojskową prezencję. Ja jadę po nakaz rewizji. Musimy przeszukać każdy kąt w domu Rottenbergów, pokój po pokoju, nawet gdyby trzeba było zrywać podłogi i rozbierać piece. Spotkamy się później na komendzie.

Pożegnał się z Plaskowitzem i odwrócił twarzą w stronę morza. Na horyzoncie ledwie rysowała się gruba kreska tankowca zmierzającego do portu. Nawet z tej odległości widział małe światełko, zapewne kabiny sterowniczej. W tej małej kapsule toczyło się inne życie. Tamci ludzie żyli swoimi problemami, nieświadomi dramatu rozgrywającego się na plaży. Sina mgła spowijała horyzont, łącząc się skręconymi kominami z ciężkim ołowianym niebem. Spojrzał w górę. Rozpościerający się nad nim błękit był martwy. Całkowicie nieruchomy i pozbawiony chmur. Zimny wiatr chłodził mu rozpaloną twarz. Zaczerpnął głęboko morskiego powietrza. Poczul woń zgniłych glonów i orzeźwiającej soli. Morderca wciąż wyprzedzał go o krok. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że to nie on prowadzi nagonkę, lecz sam jest zwierzyną łowną. Nie uchronił tej starej dumnej kobiety. Stał w miejscu, a ktoś pociągał za sznurki. Ktoś, kto był jego godnym przeciwnikiem. Inteligentnym, niepopelniającym błędów i – jakkolwiek parszywie by to brzmiało – morderczo skutecznym. Abell był zdeterminowany, aby podjąć wyzwanie, ale musiał zniwelować przewagę, jaką mieli nad nim tamci. A to oznaczało, że musiał wejść w ich skórę i zmienić metody stosowane w gmachu przy Karrenwall.

Gdy powrócił do grupki policjantów czekających na niego na plaży, wyglądał jak człowiek, który podjął decyzję. Przywołał Kukulkę i odszedł z nim na bok. Wachmistrz w milczeniu z pochyloną głową słuchał wydawanych mu poleceń. Tylko raz podniósł wzrok, jakby się chciał upewnić, czy dobrze usłyszał to, co Abell mówi. Nigdy nie kwestionował poleceń swego szefa. Nawet wtedy, gdy były tak zadziwiające jak te, które dostał przed chwilą.

### 3.

Było samo południe, gdy znaleźli się na Ernststrasse. Musiał kilka razy stukać kołatką. Widocznie panna Monk była czymś bardzo zajęta. Kukulka zamierzał załomotać pięścią, ale Abell powstrzymał go ruchem ręki. W tym samym momencie drzwi się otworzyły. Panna Monk stanęła na progu i zasłoniła wejście obronnym gestem.

– Pani nie ma w domu. Nie mogę panów wpuścić do środka.

– Wiem, że pani Adele nie ma w domu. A to jest nakaz rewizji. Niech się pani odsunie, panno Monk, nie mam teraz ochoty na konwersację ze służbą – powiedział Abell. – Obiecuję, że po przeszukaniu poświęcę pani trochę uwagi, bo

widzę, że powinienem.

Tym razem do dyspozycji miał oprócz wachmistrza dwóch policjantów z komisariatu. Nakazał im najpierw dokładne przeszukanie służbówki. Sam wraz z Kukulką postanowił zająć się pierwszym piętem. Panna Monk z obrażoną miną usunęła się do kuchni. Dobiegł go stamtąd jej przyciszony głos, tak jakby rozmawiała sama ze sobą. Podszedł bliżej i wtedy zrozumiał, że to złudzenie. Pukając do drzwi, oderwali pannę Monk od słuchania radia. Właśnie transmitowano mowę gauleitera Alberta Forstera. Jego głos odbijał się głuchym echem od rondli i patelni zawieszonych pod sufitem. „Niedaleko stąd, wśród brudu i błota, lęgnie się nowe pokolenie barbarzyńców. Polaczki mnożą się jak koty, poszerzając otaczające nas pasmo ciemnoty i nienawiści. Ostrzą kły na nasz niemiecki Gdańsk. Ale Gdańsk był, jest i pozostanie niemiecki! Nasz Führer Adolf Hitler o was nie zapomni! Na siłę odpowiemy siłą! Żelazną pięścią niemieckiego żołnierza!” – grzmiał Forster.

Abell wysłuchał jeszcze fragmentu o rasie wybranej i porozumiewawczo spojrzał na wachmistrza. Doceniał oratorski talent gauleitera. Ale nie mógł zrozumieć, dlaczego Forster, niejako odgórnie, kwalifikuje do rasy panów wszystkich Niemców, w tym szubrawców i kanalie, niedorastające Saulowi i Adele Rottenbergom do pięt.

Rozejrzył się uważnie dookoła. Poprzednio przeszukali tylko gabinet na parterze, w którym odnaleziono zwłoki Saula. Obecnie znajdowali się w obszernym westybulu, charakterystycznym dla rezydencji gdańskich i sopockich patrycjuszów. Obok gabinetu i kuchni na dole znajdowały się jeszcze: obszerna bawialnia, spiżarnia i duża toaleta, zapewne mająca zaoszczędzić właścicielowi częstego wchodzenia na górne piętro. Ściany westybulu pokryte były boazerią z ciemnego mahoni, a na środku kasetonów widniała duża stylizowana litera „R”, jak na szlacheckim herbie. Pomieszczenie kończyło się schodami o zdobionych gryfami poręczach, które wiodły na piętro. Schody pokryte były wschodnim kobiercem w geometryczne, łososiowo- purpurowe wzory. Z całą pewnością Rottenbergowie należeli do klasy wyższej i to wyszukane wnętrza nie pozwalało gościom tego domu o tym zapomnieć.

Weszli po schodach na górę. Poprzeczny korytarz prowadził do kilku pomieszczeń usytuowanych po obu stronach schodów. Zaczęli rewizję od strony lewej, znajdowały się tam dwie sypialnie, z których każda miała własną łazienkę. Najwidoczniej małżonkowie nie dzielili łóża. Te sypialnie odzwierciedlały zapewne różnicę charakterów i upodobań obojga.

Drzwi do sypialni Saula były otwarte, tak jakby było oczywiste, że pan domu spędzi w niej noc. Pokój bardziej przypominał podręczną *kunstkammer*[29] niż miejsce nocnego spoczynku. Oprócz prostego łóżka z welurowymi zagłówkami mieścił kilka serwantek i przeszklonych kredensów wypełnionych antykami

i osobliwymi przedmiotami. Abell dostrzegł polerowane srebra, złote puzderka, egzotyczne kamienie spoczywające w ogromnej muszli z mórz południowych, ogromne nieoszlifowane bursztyny wielkości ludzkiej głowy i wykonane z brązu popiersia Cezara i Napoleona Bonaparte.

Ściany pokoju pokryte były materiałową tapetą z wytłaczanymi wzorami, przedstawiającymi powtarzający się motyw litery, w której rozpoznał alef, pierwszą literę alfabetu hebrajskiego. Nad łóżkiem wisiał tylko jeden obrazek. Podszedł bliżej i poczuł ukłucie zawodu. Spodziewał się, że wielkiego kolekcjonera Saula Rottenberga strzec będzie przed nocnymi zmorami jakiś anioł, namalowany przez twórcę rangi Albrechta Dürera czy Hansa Holbeina. Ale wiszący nad wezgłowieм rysunek nie był nawet sygnowany. Przedstawiał starego mężczyznę o włosach do ramion siedzącego nocą z długim wędziskiem nad rzeką. W wodzie odbijały się gwiazdy i sierp księżyca. Obrazek nie był arcydziełem, ale emanował jakąś tajemnicą, ukrytą w wypukłych pustych oczach starca. Po drugiej stronie pokoju wisiał olejny portret Zygmunta Freuda. Uczony spoglądał na Abella ironicznie, jakby chciał powiedzieć: „Znam twoje sny, chłopcze. I nawet mnie, chociaż widziałem już wiele, one przerażają”.

Abell domyślił się, że swoje arcydzieła Saul trzymał po drugiej stronie korytarza, w pokojach, do których jeszcze nie dotarli.

Ale tym, co go najbardziej poruszyło, było miarowe cykanie dobiegające z co najmniej kilku zabytkowych zegarów kominkowych, ustawionych na meblach. Były wśród nich egzemplarze ze złoconego brązu, empirowe cacka o kunsztownych obudowach i co najmniej kilka zabytkowych zegarów Gustawa Beckera i Jeana Vincenti.

Jego szczególną uwagę przykuł bardzo dekoracyjny czasomierz stojący na stoliku przy łóżku Saula. Był to wiekowy wyrób słynnej wytwórni Japy Freres[30]. Jak większość produktów tej manufaktury miał charakterystyczną obudowę z czarnego marmuru belgijskiego wypolerowanego na wysoki połysk z rytymi oraz intarsjowanymi złotem wzorami. Dodatkowy element dekoracyjny stanowiły płasko rzeźbione mosiężne płytki oraz intarsje z malachitu i marmuru.

Widocznie Saul Rottenberg lubił usypiać przy cykaniu starożytnych mechanizmów odmierzających czas. Być może liczył przed snem sekundy i minuty, nie chcąc uronić nic z uciekającej teraźniejszości... Saula Rottenberga nie było już pomiędzy żywymi, ale jego zegary nadal niezmordowanie odmierzały czas. Dla kogo? I kto je regularnie nakręcał nawet po jego śmierci? Adele czy oddana bezgranicznie swemu chlebodawcy panna Monk?

W szufladzie komódki stojącej przy łóżku odnalazł Biblię oprawioną w cielęcy półskórek i wydaną w Dreźnie w 1748 roku. Odłożył ją na bok i sięgnął po stojące obok kartonowe pudełko. To było ciekawsze znalezisko. W środku znajdował się stos pożółkłych zdjęć. Wziął pierwsze z nich, leżące u góry.

Przedstawiało kilku młodych ludzi w mundurach, rozebranych do pasa i splecionych braterskim uściskiem. Stroili miny do obiektywu, mężczyzna z boku trzymał w wyprostowanej ręce karabin. Abell przyjrzał się uważnie broni. Znał ten model, rozpoznał karabin Gewehr 98, używany przez niemieckich żołnierzy podczas I wojny światowej. Zaskoczyło go to trochę. Nie wyobrażał sobie bogatego kosmopolitycznego Saula w żołnierskich okopach. Przeglądał kolejne fotografie i na jednej z nich rozpoznał wreszcie, choć nie bez trudności, samego Saula, szczupłego i wychudzonego na twarzy. Zdjęcie przyciągnęło jego uwagę, bo było nietypowe. Saul klęczał na jednym kolanie przed roześmianym mężczyzną w mundurze leutnanta. Oficer miał regularne rysy i czoło przewiązane bandażem, przez który przesiąkła ciemna plama krwi. Nad czołem wiły mu się pukle jasnych loków. Wyglądał jak młody efeb, trochę przypominając Abellowi asa lotniczego, czerwonego barona von Richthofena, którego zdjęcia publikowała kiedyś prasa. Można było odnieść wrażenie, że Saul oddawał jakiś hołd swojemu towarzyszowi. Zdjęcie było podpisane, ale napis trudny do odczytania. Zdołał tylko odcyfrować datę na odwrocie fotografii: Sturmtruppe II, 7 sierpnia 1917, Ypern/Passchendaele.

Na dnie pudełka znajdował się żelazny krzyż drugiej klasy i książeczka wojskowa na nazwisko Saul Rottenberg. Widocznie Saul dobrze zasłużył się ojczyźnie.

Abell zamknął pudło i kazał je zabrać do policyjnego depozytu. Zamierzał je przejrzeć dokładniej na komisariacie. Poza tym kartonem nie odkrył w sypialni Saula nic godnego uwagi. Zerwał nawet kilka klepek dębowego parkietu, także z zerowym efektem.

Podobne rozczarowanie przyniosło przeszukanie sypialni Adele. Pomieszczenie było jaśniejsze i przestronniejsze niż sypialnia męża. Adele spała w zaskakująco wielkim łóżku. Abellowi przemknęło przez głowę pytanie, czy Adele nie czuła się samotnie w tym ogromnym łóżu pachnącym starością i lawendą? Czy nie było ono rodzajem niemego wyrzutu, zawołanej pretensji do męża, leżącego za ścianą i wsłuchanego w metrum uciekającego bezpowrotnie czasu?

Stara dama dbała o urodę. Na toaletce w stylu empire stała cała armia flakoników z perfumami i puzderek z wonnościami. Musiała lubić zapach róż. Delikatny zapach tego kwiatu wciąż przenikał cały pokój, jakby nadal przypisany był do nieobecnej właścicielki. Do kobiety, która nigdy już nie wejdzie do tego buduaru i nie spojrzy w lustro swymi ciemnymi skupionymi oczami. Niegdyś widział w nich tylko lód, teraz rozumiał, jak bardzo się mylił.

Nigdzie nie było widać żadnych śladów szamotaniny czy rozgardiaszu. Przeciwnie, na zaścielonym łóżku nie dostrzegł nawet najmniejszej fałdy.

Także i w tym przypadku dokładne przeszukanie nie przyniosło żadnych efektów. Adele swoje tajemnice zabrała do grobu.

Przenieśli się na drugą stronę korytarza. U jego wejścia widać było parę drzwi o szerszych framugach niż w skrzydle sypialnianym. Nie było wątpliwości, że za nimi musiała się znajdować legendarna kolekcja dzieł sztuki Saula Rottenberga. Abell poczuł lekkie podniecenie na myśl, że za chwilę ujrzy arcydzieła, o których czytał w największych dziennikach Gdańska i Berlina.

Pchnął drzwi, nie zdziwił się, gdy okazało się, że są zamknięte. Zszedł na dół. Gauleiter już skończył, niemiecki Gdańsk odetchnął, że kanclerz o nim nie zapomina. Panna Monk siedziała z zamkniętymi oczami przy filiżance herbaty. Być może widziała w wyobraźni hordy jasnowłosych barbarzyńców, którzy przekradają się przez granicę i gwałcą niemieckie kobiety.

– Panno Monk, co znajduje się w dużym pokoju na górze?

Drgnęła, niemile zaskoczona.

– To górny salon. Pan Saul eksponuje tam swoją kolekcję.

– Tak myślałem. Poproszę o klucze.

– Niestety, nie mogę tego zrobić. To jedyne pomieszczenie w całym domu, do którego nie mam dostępu.

– Czyżby? Wspominała pani przecież, że zatrudniono ją właśnie jako osobę umiejacą dbać o dzieła sztuki? Jak pani może o nie dbać, jeśli nie ma pani dostępu do kolekcji?

Rzuciła w jego stronę gniewne spojrzenie.

– Rzeczywiście tak było. Ale od pewnego czasu pan zabraniał mi tam wchodzić.

Abell poczuł, jak zalewa go fala zimnej wściekłości. Miał dość tej germańskiej Lorelei i jej niedopowiedzeń.

– Dlaczego nie powiedziała mi pani tego zaraz po śmierci pana Rottenberga?

– Nie pytał pan o to – odpowiedziała wyniośle i uciekła wzrokiem w kierunku sufitu.

– Posłuchaj panienko – wysyczał stojący obok Kukulka. – Pan radca jest o krok od przymknięcia cię za utrudnianie śledztwa. Jest zbyt szarmancki wobec kobiet, ale ja nie. Osobiście postaram się, żebyś trafiła na więzienny oddział zwany Lesbos. Domyślasz się, dlaczego tak go nazywają? Bo tam stare więźniary, o twarzach naznaczonych rzeźączką i mordem, gwałcą takie świętojebliwie panny jak ty. Byłabyś dla nich prawdziwym przysmakiem, chyba by się o ciebie pozabijały. Nie chciałbym tego robić, ale zdaje się, że nie pozostawiasz mi wyboru.

Chyba zrozumiała, że wachmistrz nie żartuje.

– Przepraszam, panie oficerze, źle się wyraziłam – powiedziała głosem o ton niższym. – O dyskrecję w tej sprawie poprosił mnie sam pan Rottenberg. Mniej więcej od miesiąca górny salon pozostaje zamknięty, a klucze trzymał sam pan...

Jeszcze nie skończyła, a w głowie Abella zaczęło kiełkować fatalne przypuszczenie graniczące z pewnością. Odwrócił się na pięcie i pognął schodami

na górę. Po chwili był ponownie przed solidnymi drzwiami wiodącymi do skarbów Rottenberga. Przez kilka minut manipulował przy zamku wytrychem wyciągniętym z kieszeni. Wachmistrz otworzyłby je w mgnieniu oka, ale on nie był Kukulką. Wreszcie mechanizm zgrzytnął metalicznie i zaskoczył. Usłyszał, jak ciężkie drzwi ustępują. Pchnął je z całej siły i stanął jak oniemiały.

To, co zobaczył, było nie tylko zaskakujące, ale w jakimś sensie nierzeczywiste. Ogromny, podłużny salon wypełniony był sinym światłem, przedzierającym się przez jasnoniebieskie zasłony. Na ścianach widniały dziesiątki jaśniejszych kwadratów po zdjętych obrazach. Salon był pusty. Kolekcja Saula Rottenberga wyparowała jak kamfora. Za sobą usłyszał przyspieszony oddech Charlotty Monk.

– To niemożliwe, Boże wielki, to przecież niemożliwe...

W kwadrans później panna Monk odzyskała już swój utracony spokój. Tym razem starała się odpowiadać wyczerpująco na pytania Abella, jakby rozumiejąc, że w świetle zaskakującego odkrycia na piętrze wizja Lesbos jest bardziej prawdopodobna niż kiedykolwiek przedtem.

– Zaczniemy jeszcze raz, panno Monk. – Abell spojrzał na nią ciężkim wzrokiem. – Kiedy dokładnie pan Rottenberg kazał pani oddać klucze do salonu na górze?

– Mniej więcej miesiąc temu, zaraz, niech pomyślę... Tak, to musiało być dziesiątego marca. Tak, na pewno, to stało się w dzień po urodzinach pani Adele.

– Jak pan Rottenberg uzasadnił swoją decyzję? Musiała być dla pani zaskakująca?

– To prawda. Byłam w szoku. Pomyślałam, że pan stracił do mnie z jakiegoś powodu zaufanie. Zabolało mnie to. Pomyślałam, że sobie na to nie zasłużyłam. Bardzo się starałam, panie oficerze...

– Nie wątpię, panno Monk, ale pytałem o słowa pana Rottenberga.

– Przepraszam, powiedział dokładnie: „Charlotto zmuszony jestem zamknąć salon na górze. Z nikim nie wolno ci o tym rozmawiać. Masz się zachowywać tak, jakby kolekcji w salonie nigdy nie było”. Tak powiedział.

– Rozumiem, ale czy nie obawiała się pani, że nagłe zamknięcie salonu wzbudzi podejrzenia i spowoduje komentarze innych?

– Musi pan wiedzieć, że poza mną nikt ze służby nie miał prawa wstępu na górę. Tak było zawsze, od kiedy zostałam zatrudniona w tym domu. Nicolas, Steffen i szofer doskonale o tym wiedzieli. I respektowali to zalecenie. Zresztą nie było potrzeby wchodzenia na górę. Jeśli państwo wydawali przyjęcie, wszystko odbywało się w bawialni na dole. Pierwsze piętro to było, można powiedzieć, sacrum pana i pani.

– Czy pan Rottenberg wracał jeszcze kiedykolwiek do sprawy zamknięcia salonu?

– Nigdy. A ja więcej nie pytałam. Życzenie pana było dla mnie rozkazem.  
– Ale miała pani w związku z tym jakieś przypuszczenia?  
– Owszem. Pomyślałam, że pan przygotowuje kolekcję do sprzedaży. A ograniczenie dostępu do salonu ma z tym związek. Coś podobnego przeżyłam w domu pana Basnera... Wie pan, kryzys dotyka nie tylko maluczkich.  
– Czy w okresie przed zamknięciem drzwi do górnego salonu pana Rottenberga odwiedzał jego bratanek, Chaim?

Zamilkła, jakby zbierała myśli.

– Nie przypominam sobie, chyba nie.

– Czy może pani podać jakieś fakty na potwierdzenie przypuszczeń o projektowanej sprzedaży kolekcji?

– No nie.

– Spytam dla porządku... – Abell postukał ołówkiem w notes. – Nie była pani świadkiem wynoszenia obrazów z domu? Nie zauważyła pani wynoszenia jakichś pakunków, obcych ludzi kręcących się po domu?

– W żadnym wypadku. Jestem zdumiona, że obrazy nie wiszą tam, gdzie powinny. Zresztą, gdyby wynoszono je z domu wieczorem po godzinie dwudziestej pierwszej, czyli po opuszczeniu rezydencji przez służbę, i tak nic byśmy nie zauważyli. Ze służbówki nie widać podjazdu. Ale jest coś... Nie wiem, czy powinnam o tym mówić... – przygryzła wargę i spojrzała na niego pytająco.

– Proszę śmiało, panno Monk.

– W ostatnich miesiącach przed... śmiercią pana... – zacięła się na chwilę, tak jakby to słowo nadal nie przechodziło jej przez gardło. – Często gościem w domu była pewna młoda osóbka. Rzekomo historyczka sztuki. Pan wie, z tych młodych i wyzwolonych – wydeła pogardliwie wargi. – Podobno katalogowała kolekcję, ale miałam wrażenie, że pani Adele nie była zadowolona z jej częstych odwiedzin.

Abell pomyślał, że nawet tutaj doścignęło go wspomnienie Gabi. Oczami wyobraźni widział, jak wbiega lekko po schodach, odsłaniając długie nogi. Jak obdarowuje tego starca swym promiennym uśmiechem, młodzieńczym entuzjazmem i pasją. Jak skupiona wodzi palcami po obrazach włoskich mistrzów, wysuwając z przejęcia koniuszek języka. Gabi... Na tym mrocznym nieboskłonie tylko ona była promykiem światła i nadziei.

Zmusił się, aby powrócić do przesłuchania. Już po raz wtóry zastanowiła go przedziwna relacja łącząca służącą z jej panem: pełna oddania i uległości, ale także tłumionej zazdrości, emocji i niewypowiedzianych pretensji.

– To interesujące panno Monk, ale teraz chciałbym zapytać o to, kiedy widziała pani po raz ostatni panią Adele?

Widocznie w sposobie, w jakim zadał to pytanie, było coś dwuznacznego, ponieważ panna Charlotta Monk odpowiedziała pytaniem.

– Czy stało się coś złego? Pani zniknęła z domu wczoraj, bez żadnej zapowiedzi. To się wcześniej nie zdarzało. Wyjeżdżała często, ale zawsze zostawiała dyspozycje na czas swojej nieobecności.

Abell postanowił chwilowo pominąć milczeniem to pytanie. Czuł podświadomie, że nie powinien ufać służącej, a podtrzymywanie przekonania, że Adele żyje, pozwalało lepiej oceniać podczas przesłuchania zachowanie zarówno samej Monk, jak i pozostałej służby.

– A więc o tym, że pani Rottenberg opuściła dom, dowiedziała się pani wczoraj rano, jak rozumiem po otwarciu domu kluczem dla służących?

– Tak, właśnie tak. Byłam trochę zaskoczona, ale pomyślałam, że widocznie szofer zawiózł panią gdzieś wcześniej rano, może na pociąg?

– A kiedy widziała ją pani po raz ostatni?

– Przedwczoraj o dwudziestej pierwszej, chwilę przed tym, jak opuściłam dom.

Przez następną godzinę obaj z wachmistrzem przesłuchiwali pozostałą służbę. Ani boy, ani kucharz nie wnieśli nic nowego ponad to, co stwierdziła Charlotta Monk. Szofer zaprzeczył, aby go wzywano w ostatnich dniach do rezydencji. Nikt nie widział Adele opuszczającej dom. Abell pomyślał, że podobnie było w przypadku śmierci Saula, zamordowanego przez nieuchwytnie cienie, przenikające przez bramy i mury. Miał przecucie, że rozwiązania tej zagadki należy szukać w rodzinie Rottenbergów.

Tyle tylko, że grono podejrzanych gwałtownie się skurczyło. Właściwie zdemaskował już Salomona. Był pewien, że próbował on zagarnąć kabalistyczne odkrycia brata. Ale osadzony w areszcie Salomon nie mógł w żaden sposób zamordować bratowej. Owszem, pozostawała wersja, że uczynił to cudzymi rękami. Ale czyimi? Żydowskiej mafii? Abell słyszał, że opanowała ona wszystkie burdele Buenos Aires i Montevideo na południowej półkuli, ale tutaj był Gdańsk. Niemiecki matecznik: Kinder, Küche, Kirche[31]. Inna kultura i inne obyczaje. Morderca czy mordercy musieli mieć jakieś zaplecze, pomocników, środki techniczne i kontakty. Tymczasem w Gdańsku dawno już skończyła się dobra pogoda dla Żydów.

Kto pozostawał? Właściwie ci, którzy dla pieniędzy zrobią bardzo wiele. Czyli praktycznie – wszyscy. Także panna Monk. Koło się zamykało. Nowym, niepokojącym znakiem zapytania była sprawa zaginionej kolekcji. Obrazy nie mogły się przecież rozplątać w powietrzu! Raczej nie zostały ukradzione. Dyskretne zachowanie Saula sugerowałoby coś wręcz przeciwnego, chyba że złodziejem był ktoś z rodziny. Czy istniał jakiś związek pomiędzy zaginionymi obrazami a zabójstwem najpierw Saula, a teraz Adele? To bardzo prawdopodobne. Nie co dzień rozplątywają się w powietrzu obrazy warte miliony. Jeśli jednak istniał taki związek – to jaki?



Potarł potylicę. Nadal, zwłaszcza w chłodniejsze dni, odczuwał skutki uderzenia. Do tej pory był pewien, że trop kabalistyczny prowadzi go we właściwym kierunku. Ale teraz – stojąc przed opustoszałymi ścianami po kolekcji – zrozumiał, że obraz całości śledztwa jest bardziej zmacony, niż wcześniej myślał.

Zszedł na dół i otworzył drzwi do gabinetu Saula. Story pozostały zaciągnięte. Gabinet pogrążony był w szarej poświacie. Na pierwszy rzut oka nic się w nim nie zmieniło od jego ostatniej wizyty. Podeszedł do ściany, na której wisiał obraz, przedstawiający postać malującą motyle. Przyszło mu do głowy, że ze świata żywych odszedł już Saul, teraz jego żona. I tylko to płótno jest ciągle na swoim miejscu. Tknięty niewytłumaczalnym impulsem, kazał towarzyszącemu mu policjantowi skonfiskować obraz i zabrać go do policyjnego depozytu.

Zostawił pannie Monk stosowne poświadczenie i skierował się ku wyjściu. Odwrócił się i spojrzał prosto w oczy służącej.

– Jeszcze jedno, panno Monk. Pani Adele już nie wróci. Została zamordowana. Chyba jednak będzie musiała pani poszukać nowej pracy.

Nie zdziwił go widok nagle rozszerzających się źrenic, w których po raz pierwszy dostrzegł zmieszanie i lęk.

#### 4.

Człowiek w kapturze nie potrafił ukryć przerażenia. Od kiedy odzyskał przytomność w tym dziwnym pomieszczeniu śmierdzącym rybami i smarem, zdał sobie sprawę, że znalazł się w pułapce bez wyjścia. Kiedy jeszcze leżał na ziemi, kątem oka dostrzegł kawałek ściany pokrytej przerdzewiałą falistą blachą. Pobudzony umysł pracował gorączkowo: zapewne znajdował się gdzieś w okolicach nabrzeża. W pofabrycznej hali, w magazynie jakiegoś armatora? Ale teraz, kiedy brutalnie postawiono go do pionu i posadzono na krześle, nawet ten obraz zniknął. Gryzący knebel wrzynał się w usta. Brakowało mu powietrza i czuł, jak zimny pot zalewa mu skronie i plecy. Najgorsze było jednak to, że nie wiedział, dlaczego się tu znalazł. I to, że nie widział twarzy prześladowcy.

Usłyszał za to jego głos. Zimny i obojętny, mimo wszystko niepozabawiający złudzeń, że może to tylko jakaś koszmarna pomyłka, nieporozumienie zdarzające się wśród zawodowych graczy i szulerów.

– Posłuchaj, śmieciu. Wdepnąłeś w niezłe gówno. Najchętniej bym skrócił to twoje przesrane nic niewarte życie – człowiek w kapturze rozpaczliwie usiłował dopasować ten głos z zaświatów do któregoś z frajerów, których orzynał ostatnio w pokera. – Ale masz szczęście, gnoju. Wiesz coś, czego ja nie wiem. Żyjesz jeszcze tylko dlatego, by mi to powiedzieć.

Więzień wyostrzonymi zmysłami wyczuł jakiś ruch. A potem kroki i metaliczny odgłos jakiegoś ciężkiego przedmiotu ciągniętego po ziemi.

– Zapewne zastanawiasz się gnoju, co teraz robię. Odpowiem ci: przygotowuję narzędzia.

– Narzędzia, kurwa, jakie narzędzia! – straszliwe przecucie ścisnęło serce szulera. – Na Boga, czego ode mnie chcesz! Nie rób mi krzywdy! – zawył, a potem załkał żałośnie.

– Cierpliwości, śmieciu. Wszystko w swoim czasie. Nie dość, że zepsułeś mi niedzielę, to jeszcze drzesz mordę? Daj mi jeszcze minutę. Gdzie ja podziałem te gwoździe?

Więzień w kapturze zatrzepotał jak ryba uwięziona w sieci. Czy to będzie jego koniec? Naznaczony męką i kaźnią? Jezu! Dlaczego go to spotyka? I czego ten od niego chce? Niech mu przynajmniej zdejmie ten kaptur, pozwoli spojrzeć po raz ostatni na tę falistą blachę, na światło, na cokolwiek, niech mu nie każe zdychać w ciemności jak psu!

– Dziękuję za cierpliwość, śmieciu. – Głos zakończył przygotowania.

Do czego on zmierza na rany Chrystusa? Może to jednak tylko przedstawienie? Może chce go tylko nieźle wystraszyć? Tak, na pewno, to tylko teatrzyk dla graczy o słabych nerwach! A on przecież nigdy nie dał się innym wydymać!

Ta nadzieja zgasła równie szybko, jak się pojawiła. Szuler poczuł, jak prześladowca wyswabdza jego ręce z krępujących więzów. Lewą rękę wykręcił mu za plecy i przymocował pętlą ze sznura do szyi. Jęknął z bólu, ale jego uwagę bardziej przykuwała teraz ręka prawa, która przygwożdżona została silnym uściskiem do stołu. Próbował wyrwać się i walczyć, ale każdy ruch powodował tylko nieznośny ból i zaciskanie się pętli na szyi.

– Pewnie jesteś ciekawy, gnoju, o co zamierzam cię spytać. Sam byłbym zainteresowany na twoim miejscu. Zapewne zastanawiasz się też, z kim masz przyjemność w ten świąteczny dzień? Może to któryś z tych oszwabionych przy stole frajerów, którego puściłeś w skarpetkach, próbuje się teraz odegrać? Albo jeden z tych nerwowych mężów, któremu przypawiłeś rogi aż do sufitu? Albo jeszcze z innej bajki: jakiś świr okultysta, który zamierza cię poćwiartować i spożywać w samotności? Opcji jest wiele, ciekawi cię to, prawda?

Kaptur przytaknął gwałtownie.

– No, to zrozumiałe. Zaraz się wszystkiego dowiesz. Ale zanim zadam ci to jedno jedyne pytanie, na które tak czekasz, opowiem ci, co się stanie, jeśli mnie zawiedziesz. Najpierw przybiję ci gwoździami prawą dłoń do blatu. W trzech specjalnie wybranych miejscach, tam, gdzie boli najbardziej. To prawdziwe, solidne hufnale, mają dobre dziesięć centymetrów długości, nie takie łamliwe gwoździki, jakie teraz robią! A jeśli nadal będziesz szedł w zaparte, zmiażdżę ci tę dłoń wielkim młotem. Ledwo go tu przytargałem. Pogruhoczę ci wszystkie kości i kosteczki. Tak, że nigdy już nie będziesz mógł wziąć kart do rąk. Nie będziesz się

mógł nawet podrapać po jajach. Szczerze mówiąc, nie będziesz miał już ręki i pewnie, jeśli przeżyjesz, będą ci musieli urznąć tę płetwę, która kiedyś była twoją dłonią. Zrozumiałeś wszystko?

Więzień potrząsnął konwulsyjnie głową. Niech się to wreszcie skończy!

– Oto pytanie. Gdzie jest Chaim Rottenberg? Gdzie się ukrywa i gdzie go znajdzie? Uważaj, teraz zdejmę ci knebel, abyś mógł podzielić się ze mną tą wiadomością.

Koścista ręka wpełzła pod kaptur i szarpnęła za knebel. Przez sekundę, gdy kaptur był podniesiony, więzień zobaczył fragment twarzy swego prześladowcy. Ujrzał kostropate czoło i obojętne oczy zawodowego oprawcy.

Więzień z trudem łapał oddech, a potem wycharczał:

– Nie wiem, na Boga człowieka, widziałem go ostatni raz, jak był nalot na mój dom. Uwierz mi, błagam, nic nie wiem!

Przeszywający ból, który nadszedł po kilku sekundach, sprawił, że na chwilę stracił świadomość. Pierwszy gwóźdź wszedł z trzaskiem w kość główkową za palcem wskazującym, paraliżując całe ciało niewyobrażalnym cierpieniem. Drugi gwóźdź przebił mięsień kciuka, zatrzymał się na chwilę ze zgrzytem na kości i dobił do blatu.

To wystarczyło. Ciszę rozerwał przeraźliwy ryk torturowanego. Pod krzesłem wykwitła mokra plama moczu. Więzień znowu zatrzepotał głową, jakby chciał przekazać swemu oprawcy pilną wiadomość, że wbicia trzeciego gwoździa już nie przeżyje. I że nie ma już takiej potrzeby. Jest pewna granica ludzkiego bólu, wytrzymałości – i lojalności. Więzień w kapturze właśnie jej dotknął.

Wachmistrz Kukulka pochylił się nad głową swojej ofiary i w skupieniu wysłuchiwał jego spowiedzi. Opuszczony magazyn portowy po raz kolejny odegrał swoją rolę. Odkrył go kiedyś na dalekich peryferiach stoczni Schichaua. Od tej pory wykorzystywał, gdy trzeba było sięgnąć po środki specjalne. Nie nadużywał tej możliwości, ale zawsze pamiętał, że ona istnieje. Wspomnił kiedyś o tym Abellowi, ale ten nie chciał o niczym słyszeć. Tak jakby nie rozumiał, jakie możliwości skutecznego wydobywania informacji od zatwardziałych przestępców daje to zapomniane przez ludzi miejsce. Dopiero wczoraj na plaży szef zmienił zdanie. I sądząc po tym, co wachmistrz wydobył od tego ludzkiego śmiecia, nie powinien żałować tej decyzji. Co prawda nie został upoważniony do stosowania drastycznych metod, a jedynie do przestraszenia szulera, ale to już Kukulka brał na siebie. Ważny był efekt, liczyło się tylko to, kto jest na górze. Tego nauczyło go życie. Spędził je w przepelnionych brutalnością i przemocą komisariatach. A także na zaszczytach podwórkach zaludnianych przez troglodytów katujących swoje dzieci i żony. Życie było najlepszym uniwersytetem, zdecydowanie.

Spojrzał raz jeszcze na skomlący żaloszny odwłok ludzki, przyszpilony do drewnianego stołu. Jak się nazywał ten szuler? Horst? Wszystko jedno, psia jego

mać! Mógłby wrócić i młotem roztrzaskać mu ten borsuczy chytry pysk. Byłoby o jednego gnoja mniej. Ale musiałyby później posprzątać i mógłby zdemaskować schowek. Skórka niewarta wyprawki. Wrzuci tego zasrańca do wozu i wypchnie gdzieś w lasach Jelitkowa. Zasraniec na pewno nikomu się nie poskarży. Zresztą na kogo? Nawet nie widział dobrze jego twarzy. No i wystarczy, że przypomni sobie ten młot i hufnale... Na twarzy wachmistrza pojawił się krzywy grymas, mający być uśmiechem.

## 5.

Kolejny tydzień rozpoczął się podobnie jak poprzedni: wściekłym atakiem chłodu i deszczu. Jadąc w poniedziałkowy poranek do pracy, Abell mijał powyginane od wichru markizy kawiarni i sklepów przy Grosse Gerbergasse.

Także Salomon Rottenberg nie wyglądał tego ranka najlepiej. W pokoju przesłuchań Abell z uwagą przyglądał się jego rozbitemu łukowi brwiowemu. Dostrzegł także otarcia na prawej pięści. Salomon musiał przeżyć w areszcie ciężką noc. Ortodoksyjni Żydzi bywali rzadkimi gośćmi w odwachu, wypełnionym przez gwałcicieli, złodziei i szubrawców wszelkiej maści. Więźniów dzieliło właściwie wszystko: pochodzenie, wykształcenie, religia, a przede wszystkim zarzuty, pod jakimi ich osadzono. Ale łączyło ich jedno: endemiczny antysemityzm. W areszcie również słuchano gauleitera. Więźniowie kochali Alberta Forstera. Przynależność do rasy panów, o której mówił, sprawiała, że łatwiej można było znosić niedogodności życia za kratami. Więzienie czy areszt jawiły się w świetle tych rasowych rewelacji jako jedynie tymczasowy przystanek w drodze ku wolności. Wolności, w której czekała na nich praca, poczucie przydatności i cysate Helgi, które mieli zapładniać ku chwale Rzeszy. A przede wszystkim po raz pierwszy zaczęli odczuwać dumę, płynącą z faktu, że byli Niemcami. Tak, za kratami Wolnego Miasta wielbiono Alberta Forstera nie mniej niż bokerskiego championa, Maxa Schmelinga.

Tym razem Abell postanowił złagodzić sposób przesłuchiwania Salomona. Na jego polecenie wniesiono dwie filiżanki wypożyczone z kantyny oraz dzbanek parującej czarnej kawy. Jej aromat natychmiast wypełnił duszne pomieszczenie. Widział, jak nos Salomona wychwytuje ten ciepły, domowy zapach, wypierający z nozdrzy smród aresztanckiej celi.

– Czyżby ktoś panu dokuczał w areszcie, panie Salomon? – zapytał Abell, rozlewając czarny napar do filiżanek.

Salomon nie odpowiedział od razu.

– Nie skarżę się. Ale dobrze pan wie, co wyrabiają te zwierzęta z Żydami.

Reakcja Abella zaskoczyła Salomona.

– Stang! – krzyknął oficer. – Do mnie!

W drzwiach niemal natychmiast pojawiła się wystraszona twarz wzywanego policjanta.

– Macie natychmiast przenieść aresztanta Salomona Rottenberga do pojedynczej celi. Bez dyskusji! – W ten sposób zamknął otwierające się w proteście usta Stanga.

Policjant strzelił obcasami i obrócił się na pięcie.

Zapadła cisza. Salomon obserwował tę scenę szeroko otwartymi oczami. W głębi duszy odetchnął z ulgą. Doceniał gest Abella. Ale jednocześnie nie mógł się pozbyć nieufności w stosunku do tego oficera, który tak łatwo odsłonił jego najskrytsze myśli. Radca był bez wątpienia inny niż policjanci, z którymi miał do tej pory do czynienia. Co nie znaczy, że stawał się przez to mniej niebezpieczny. Odwrotnie, wyczuwał w nim przeciwnika inteligentnego i przebiegłego, który wytrwale będzie dążyć do wydarcia mu wszystkich sekretów i tajemnic, które on, Salomon Rottenberg, uczeń Izaaka Lurii, chciałby ukryć przed światem. Co gorsze, należał do nowej kategorii gojów, umiejących logicznie myśleć i wysnuwać wnioski, tak jakby obdarzeni byli oni talmudycznymi umysłami, zarezerwowanymi dotychczas dla narodu wybranego. A jednak odczuwał ulgę na myśl, że nie będzie musiał wracać do celi, w której czekali na niego ci zboczeńcy. Zacisnął mocno powieki na wspomnienie cuchnącego oddechu tego goryla Manfreda. Do tej pory palił go jego zły dotyk... Wczoraj z nim nie skończyli. Szarpał się i walczył, zdarł głos, wzywając pomocy. Ale judasz nawet nie drgnął. Nie chciał myśleć o tym, co zdarzyłoby się dzisiejszej nocy...

– Dziękuję – wychrypiał wreszcie. – Pan nawet nie wie, ile to dla mnie znaczy.

– Dla mnie jest pan aresztantem jak wszyscy inni – odpowiedział poważnie Abell. – Dopóki nie zostanie pan skazany, jest pan tylko oskarżonym. Nikt, poza sądem, nie może wymierzać kary. Sprawiedliwość musi być taka sama dla wszystkich.

Salomon pokiwał smutno głową.

– Pan wie, że tak to dzisiaj nie działa.

– U mnie działa. Zaręczam, że więcej w tutejszym areszcie nie spadnie panu nawet włos z głowy. Nie oczekuję wdzięczności. Tylko zrozumienia dla pracy, którą wykonuję. Zamordowano pańskiego brata i moim zadaniem jest schwytanie morderców. A dzisiaj rano odnaleziono odciętą głowę pańskiej bratowej, Adele, którą nazywał pan zimną suką. Więc jak to działa, panie Rottenberg? Dlaczego giną niewinni ludzie?

Mówiąc to, z uwagą śledził mimiczne skurcze, jakie pojawiły się na twarzy Salomona. Miejsce papierowej błości zajął krwisty rumieniec, który wykwitł najpierw na wychudzonych policzkach Rottenberga, aby następnie rozlać się po jego czole i szyi.

– Adele nie żyje?! To przecież niemożliwe – wykrzyknął Salomon strwożony, jakby szukając w oczach policjanta potwierdzenia, że to tylko makabryczny żart.

– A jednak – odpowiedział chłodno Abell. – I podejrzewam, że pan, jeszcze nie wiem w jakim stopniu, ale to ustalę, jest za to także odpowiedzialny.

– Nic nie wiem, nie mam pojęcia, dlaczego zginęła. Nie lubiłem jej, to prawda, ale przysięgam, nigdy nie podniosłbym na nią ręki.

– Trochę zbyt łatwo pan przysięga, panie Rottenberg. Skłamał pan poprzednio przynajmniej dwa razy i to oficerowi prowadzącemu śledztwo w sprawie śmierci pańskiego rodzonego brata.

– Dobrze, przyznaję się... – odpowiedział Salomon po dłuższej chwili, spuszczając głowę. – Ale tylko do próby kradzieży kabalistycznych odkryć Saula. Listów było więcej, Saul podzielił się ze mną swoimi odkryciami, licząc na moją radę i uznanie. Niektóre z tych odkryć były absolutnie zaskakujące, oryginalne, wspaniałe... To było takie niesprawiedliwe, że właśnie on na to wpadł... Uległem pokusie i nie oddałem mu zapisków, chociaż bardzo o nie zabiegał.

– Nie odnalazłem tych listów w skrytce.

– Spaliłem je natychmiast po tym, jak się dowiedziałem, że Saul nie żyje. Mam je wszystkie w głowie, wyryte w pamięci, po dzień ostatni... Nie wiem, dlaczego je zniszczyłem... Może pomyślałem, że Opatrzność daje mi szansę, aby te odkrycia przypisać sobie... Ale przysięgam, nie jestem winien jego śmierci. Nie mogłem też zabić Adele, siedzę przecież w areszcie – policjant miał wrażenie, że aresztant po początkowym szoku odzyskuje rezon.

– Nadal jest więcej pytań niż odpowiedzi, panie Rottenberg. Dlaczego upierał się pan przy zwołaniu zebrania u siebie w domu właśnie w dniu morderstwa Saula?

– Ta zbieżność dat to przypadek. Rzeczywiście zależało mi na w miarę szybkim spotkaniu z rabinem i komitetem. Wiedziałem, że się niecierpliwią. Budowa szła opieszale. Ciężyla mi ta sytuacja, chciałem się wytłumaczyć, pokazać korespondencję z nieuczciwym właścicielem tartaku, zrzucić z siebie winę za powstałe opóźnienie.

Abell poczuł się znużony. Nieustannie budował w głowie zręby wiodącej hipotezy i ciągle zmuszony był je burzyć. Wiedział dobrze, jak destrukcyjną siłą potrafi być religijny fanatyzm. Z Bogiem nie ma żartów. W jego imieniu wyrzynano w pień kobiety i dzieci, palono na stosie, topiono we krwi całe narody. Dlaczegoż w jego imieniu nie miałyby zabijać w mistycznym amoku ten Żyd żyjący w nierzeczywistym świecie świętych liczb i liter z Tory? Zanurzony po uszy w narkotycznych oparach Kabały? Kilkakrotnie już przyłapał go na kłamstwie, skąd pewność, że nie łże teraz?

Nie zapominał też, że pojawił się nowy znak zapytania: zaginiona kolekcja

Saula Rottenberga. Nie ufał Salomonowi. Udowodnił mu już, że kradł kabalistyczne myśli z głowy brata. Ale czy miał coś wspólnego z nagłym zniknięciem kolekcji? Czy zaginione obrazy łączy coś z Kabałą? Czy Salomon nie zażądał na przykład arcydzieł w zamian za rezygnację z zawłaszczonych odkryć Saula? Ale jeśli tak – czy w ogóle pasował do obrazu złodzieja dzieł sztuki? W jego domu, podobnie jak i u wielu prawowiernych Żydów, Abell nie zauważył ani jednego obrazka wyobrażającego ludzką postać. I to on miałby nagle zapragnąć renesansowych Madonn z odkrytą piersią?

– Przypuśćmy na chwilę, że panu wierzę. – Abell dołał sobie kolejną porcję kawy. – Kto w takim razie, pana zdaniem, mógł być zainteresowany śmiercią Saula i Adele?

– Ten, kto najwięcej na tej śmierci mógł zyskać, panie władzo. A jest tylko jedna taka osoba w naszej rodzinie. Chaim Rottenberg, hazardzista i szuler, wyzyskiwacz i szuja, zakała naszej rodziny. Saul miał do niego dziwną słabość, wiele mu wybaczał. Miałem czasami wrażenie, że Chaim zastępował mu w jakiejś mierze syna, którego nigdy nie dała mu Adele. W rodzinie tajemnicą poliszynela było, że ciągle wspomagał go pożyczkami, których ten utracjusz nigdy nie oddawał. A przecież każdy dług trzeba kiedyś spłacić, prawda? No, chyba że dłużnik rozwiąże swój problem w inny, bardziej radykalny sposób...

## 6.

Gdyby słowa potrafiły fruwać, do Chaima Rottenberga doleciałyby oskarżenia stryja. Ale Chaima tego dnia nikt nie ostrzegł przed jakimkolwiek niebezpieczeństwem. Karta się odwróciła. A przecież był sprytny i zręczny, potrafił wyczuwać zagrożenie na kilometr. Tacy ludzie jak on nie wpadają w łapy szeregowych wachmistrzów Kripo o mordach pokrytych strupami i łapach jak bochny. Zawsze miał smykałkę do hazardu. Już jako dziecko zakładał się z rówieśnikami, że zrobi coś, co ich samych napawało strachem i obrzydzeniem. Pamiętał oczy ojca, gdy ten przyłapał go na dręczeniu złapanej w pułapkę myszy. Oślepił ją rozżarzoną drutem i wspólnie z kolegami obserwował, jak oszalały gryzoń krąży po pokoju, objijając się o meble. Ale jego ojciec był słabym człowiekiem, nie to, co Saul. Na dodatek wcześniej odszedł, zostawiając go sam na sam ze zdziwaczalą matką.

Nie miał zaufania do nikogo, a jeśli już – to tylko do siebie samego. Dzięki temu umiał wyślizgiwać się jak piskorz z zastawianych na niego pułapek, unikać niepożądanych spotkań z wierzycielami i rozplływać się w tłumie. Życie było dla niego jak kasyno, starał się z niego wyciągnąć jak najwięcej, płacenie rachunków pozostawiając innym. To nie był jedyny talent Chaima. Słuchały go karty, żetony na krupierskim stole i bilardowe kule. A jednak wszystkie te naturalne talenty

zawiodły wtedy, gdy były najbardziej potrzebne. Jeśli to nie był pech, to co?

Po wymknięciu się policyjnej nagonce na dom gry postanowił na dłużej zapaść się pod ziemię. I to nie tylko przed tym policyjnym psem, ścigającym go tak zawzięcie. Chaim Rottenberg miał wielu wrogów, wcale nie był pewien czy policja jest tym najgorszym. Zaszył się więc w uroczym domku wdowy Gruber w Pruszczu Gdańskim, otoczonym sadem, który porastały rosochate śliwy i jabłonie. Na peryferiach miasta, z dala od ciekawskich oczu i spojrzeń. Nielicznym sąsiadkom wdowa Gruber przedstawiła go jako dalekiego kuzyna z Elbląga. O miejscu jego pobytu wiedział tylko Horst, właściciel domu gry, z którym wspólnie oskubali legion frajerów. Wikt i opierunek miał za darmo, ale świadczyć musiał wdowie usługi innego rodzaju. Pani Gruber była bardzo wymagająca i nigdy nie pozwalała mu zejść z siebie wcześniej, niż na to pozwoliła. Czasami miał jej dość. Zastanawiał się, czy nie pochwycić tej starczej szyi, pokrytej dziesiątkami zmarszczek i nie przytrzymać jej w stalowym uścisku, aż ta modliszka zachłyśnie się i zdechnie. Brzydziły go jej obwisłe piersi i nieświeży oddech, cuchnący marynatą i czosnkiem.

Ale powstrzymał się, rozumiejąc, że mu się to nie opłaca. Schronienie wydawało się bowiem pewne i bezpieczne. Odłożył więc na później rozrachunek z wdową.

Nigdy nie tracił czujności, dzięki której nieraz uniknął kuli czy noża. Aż do dzisiaj, do tej chwili, gdy zaskoczył go śpiącego w łóżku ten dziwny typ z krostami na twarzy. Usłyszał szmer i otworzył zaspane oczy tylko po to, by otrzymać mocny cios kolbą pistoletu w skroń. Gdy odzyskał przytomność, nie mógł już nic zrobić, leżał na tylnym siedzeniu samochodu zakneblowany i skrępowany jak prosię. Nie mógł uwierzyć, że tak dał się podejść. Jak ostatni naiwniak. Kto mógł go wsypać? Przecież nie Horst, jego dyskrecji był pewien. Mógł go zadenuncjować wiele razy, ale nigdy tego nie zrobił. Więc kto, do kurwy nędzy, kto? Ten gliniarz ścigający go nawet w kościele?

Po godzinie jazdy zamknęła się za nim krata cieszącego się złą sławą więzienia przy Schießstange. Chaim miał pewność, że będzie musiał użyć całej swej inteligencji i sprytu, aby nie pójść na dno. Jeśli go znaleźli, to znaczy, że trafił na równorzędnych przeciwników. Ale nie czuł strachu. Nic nie wiedzą, nic na niego nie mają. Nie wiedzą, jacy ludzie za nim stoją. I nigdy nie dojdą prawdy.

## 7.

W innej części miasta radca kryminalny Abell zasiadał właśnie w ławach biblioteki miejskiej. Po dobrych dwóch kwadransach oczekiwania bibliotekarka o słoniowatych nogach podwiozła mu na wózku zamówione książki. Usiadła z powrotem na swojej katedrze i obserwowała spod oka dziwnego czytelnika,



którego widziała tu już po raz wtóry. Nie wyglądało, aby należał do którejś z tych okultystycznych czy satanistycznych sekt, opisywanych ostatnio tak często przez prasę. Ale czy takiego można po czymś rozpoznać, choćby po czarnych pazurach, jak twierdziła jej sąsiadka, gruba Else? To byłoby zbyt łatwe, dobrze się kryją gadziny. A jednak dziwny gość ciągle zamawiał stopy ksiąg o czarnej magii i żydowskiej Kabale...

Przez następnych kilka godzin Abell czytał i wertował grube księgi. Wędrował wraz z nimi po wyspach na Nilu. Odwiedzał zaczytane w świętych księgach sztetele na polskich kresach. Zaglądał przez ramię Izaakowi Lurii i patrzył jak żydowski mesjasz, Szabataj Cwi, wbija topór w drzwi synagogi w Smyrnie. Śledził tok rozumowania żydowskich mędrców i zadziwiające wędrówki ich nieokiełzanych myśli. I chociaż wprawdzie nadal nie był w stanie w pełni pojąć tej sekretnej wiedzy, tak obcej jego doświadczeniu, to lepiej rozumiał już, w jaki sposób niczym narkotyk uzależniała ona tak wiele umysłów na przestrzeni wieków.

Odsunął książki. W bibliotece oprócz niego był już tylko jeden bibliofil pochłonięty lekturą albumów o Muzeum Watykańskim. Abell zamknął powieki. Widział teraz nieobecne oczy Salomona Rottenberga. Nadal nie był pewien czy dostrzega w nich jedynie rozmodlenie, czy obojętność na czyjąś śmierć i cierpienie.

## 8.

Gdy dojeżdżała, usłyszała sześć uderzeń zegara bijącego na kościelnej wieży. Mieszkał w Langfuhr dobre dwa kilometry od stacji kolejki wąskotorowej spinającej Sopot i Gdańsk żelazną szyną, przewożącą towary, ludzi i ich myśli. Szła wolno, jakby podświadomie opóźniając moment spotkania. Zaoferował się, że po nią podjedzie, ale odmówiła. Chciała sama wejść na jego teren, pooddychać jego powietrzem, przejść się ulicą, którą musiał codziennie pokonywać, jadąc do pracy.

Mieszkał w dwupiętrowej kamienicy o tynku poczerniałym od wyziewów wielkiego miasta. Zadarła głowę, obserwując stado gołębi krążących nad wieżyczką krytą miedzianym hełmem. Jakaś kobieta po przeciwległej stronie ulicy obserwowała ją czujnie, więc pchnęła dębowe drzwi i znalazła się w środku. Klatka schodowa lśniła jeszcze wilgocią i mydlinami. Ktoś musiał ją umyć kilka minut przed jej przyjściem. Pomyślała, że to on i ta myśl ją wyraźnie rozbawiła, osłabiając trawiące ją napięcie. Powiedział jej, że mieszka pod numerem 7. To musiało być na piętrze. Zaczęła wchodzić po schodach i po raz pierwszy poczuła, jak mocno bije jej serce. Lokal 7 znajdował się na drugim piętrze, na drzwiach nie było nazwiska. Pomyślała z przestachem, że gdyby pomyliła numer, mogłaby go nie znaleźć w tym jasnym, ciepłym domu, pachnącym krochmalem i mydlinami.

Zapukała, a on przez dłuższą chwilę nie otwierał. I kiedy zaczynała już

myśleć spłoszona, że jednak coś pomyliła – otworzył drzwi. Musiał wyjść prosto spod prysznic. Był boso, miał nastroszoną strzechę jasnych włosów, z których krople wody kapały na bose stopy. Przywitał ją uśmiechem i bez słowa pociągnął za rękę do środka. Wyglądał jakoś inaczej w cywilu, bez tych eleganckich garniturów, w których go dotychczas widywała. Miał na sobie płócienne spodnie i niedopiętą koszulę w kolorze indygo, jeszcze bardziej podkreślającą kolor jego oczu.

– Czego się napijesz? – zapytał, zapraszając ją, aby usiadła. – Może kawy? Na pewno postawi cię na nogi.

Zniknął w drzwiach wiodących do kuchni, a ona z zaciekawieniem rozejrzała się dookoła. A więc to tu mieszka, śpi i marzy. Jeśli spodziewała się małej zagraconej klitki typowej dla tej części Langfuhr, to doznała przyjemnego rozczarowania. Mieszkanie nie wyglądało na garsonierę policjanta. Było zaskakująco obszerne i urządzone ze smakiem. Już w korytarzu zwróciła uwagę na surrealistyczne kolaże Maxa Ernsta. Pokój, w którym siedziała, został umeblowany prostymi meblami o kubistycznych kształtach w stylu Bauhaus. Miękką skórzaną kanapę pokrywały ogromne poduchy w biało-czarne kwadraty. Było tu nowocześnie i biało, niczym w pracowni Waltera Gropiusa.

Pod przeciwległą ścianą stał duży stół pełniący widocznie funkcję biurka. Nie zauważyła na nim żadnych przedmiotów świadczących o policyjnym zajęciu lokatora – raportów, zdjęć z policyjnej kartoteki, fiszek z zakreślonym nazwiskiem podejrzanego. Gdyby nie wiedziała, czym zajmuje się Christian, pomyślałaby, że to garsoniera jakiegoś artysty lub przedstawiciela bohemy.

Na blacie leżał stos katalogów z domów aukcyjnych i bogato ilustrowany album z Kunsthistorisches Museum w Wiedniu. Książki odwracał grzbietem do góry, podobnie jak ona. Aktualnie czytał *Czarodziejską górę* Tomasza Manna oraz księgi trzecią i czwartą dzieła Schopenhauera *Świat jako wola i wyobrażenie*. Nadal ją zaskakiwał. Jedną ze ścian zajmował biblioteczny regał po sufit wypełniony książkami. Podeszła bliżej. Czytał wszystko: od biografii artystów po filozoficzne szkice Kanta, Hegla i Fichtego. Stosunkowo mało było literatury pięknej, z wyjątkiem, co ją zdziwiło, Jamesa Fenimore’a Coopera. Czyżby radca kryminalny Christian Abell nadal w głębi duszy pozostawał po trosze chłopcem?

Obok na regale stał gramofon wyrastający ze stosu płyt. Słuchał głównie muzyki symfonicznej: Chopina, Beethovena i Brahmsa oraz amerykańskiego bluesa i jazzu. Wyobraziła go sobie, jak wieczorami leży na skórzanym kanapie i słucha zachrypniętego głosu Louisa Armstronga, śpiewającego z big bandem Fletchera Hendersona. Cenił sobie samotność, czy dopuszczał kogoś do tego zamkniętego świata?

Zawartość regału stojącego pod oknem nie pozostawiała już wątpliwości, że należy on do policjanta. Półki wypełniały pitavale, specjalistyczne opracowania

o zabezpieczaniu śladów, technikach śledczych, w tym wczesne wydanie pierwszego podręcznika kryminalistyki Hansa Grossa<sup>[17]</sup>.

Ciekawsze były ściany garsoniery. Wisiało na nich kilka olejnych płócien. Wszystkie były wybitne. Rozpoznała dwa obrazy Emila Noldego, przedstawiające barwne krajobrazy z mórz południowych i niezwykle ekspresyjny rysunek Käthe Kollwitz. Był to rodzaj współczesnej, martyrologicznej piety: matka z opuszczoną głową pełnym tkliwości ruchem obejmowała bezwładne, ciężące ku ziemi ciało syna.

Ale najbardziej przyciągnęły jej uwagę dwa duże obrazy wiszące nad kanapą. Pierwszy przedstawiał śpiącą Wenus. Był poczerniały ze starości, ale emanował malarską siłą i nostalgicznym pięknem. Pomyślała, że wygląda na obraz Tycjana lub Giorgione, ale zaraz odrzuciła to przypuszczenie jako zbyt nieprawdopodobne. Równie frapujące było drugie płótno. Przedstawiało starszą kobietę w szarej staromodnej sukni pochyloną nad sztalugami, zapewne w swojej pracowni. Blade światło łagodziło kontury pojedynczych mebli: nieheblowanego stołu z połówką pomarańczy na spodku i krzesła przesłoniętego orientalnym wachlarzem niczym pióropuszem wielkiego nastroszonego ptaka. Sama kobieta pozostawała w cieniu, tylko jej wychudzona twarz z czarnymi gorejącymi oczami wychodziła z półtonów szarości i brązów.

– Podoba ci się? – Christian stał w progu z dwiema parującymi filiżankami kawy. – Mnie także, to obraz polskiej malarki Olgi Boznańskiej. Kupiłem go na pchlim targu w Paryżu.

– Nie słyszałam o niej. Ale to piękny obraz.

– Wiesz, dlaczego kobiety nie odgrywają w sztuce takiej roli jak mężczyźni? To znaczy – poprawił się szybko – takiej, na jaką zasługują?

– Zbyt absorbują ich mężczyźni?

– Byłaś blisko – uśmiechnął się. – Ale prawidłowa odpowiedź brzmi: ponieważ nie starają się myśleć abstrakcyjnie. Uważam, że kobiety są lepsze i wartościowsze od mężczyzn. Ale zbyt angażuje je doczesność: dom, uczucia, dzieci, także mężowie i kochankowie. Boznańska prawdopodobnie nigdy nie zaznała mężczyzny. Odrzuciła jedyne go adoratora, którego miała. Przymierała głodem, niezrozumiana i zapomniana. Może dlatego właśnie była taka wielka.

Dlaczego jej o tym opowiadał? Co chciał przez to powiedzieć? Żeby nie zbliżała się do niego zbyt blisko? I aby nie poczuła się zbyt pewnie w jego samotni wypełnionej myślami Schopenhauera i smutkiem starej kobiety w japońskim kimonie?

Przysunął do kanapy mały stolik kawowy z marmurowym blatem. Miał koszulę rozpiętą do połowy piersi. Wyczuwała pod nią szczupłe, umięśnione ciało. Zauważyła okaleczone knykcie jego dłoni, na skroni miał ciemny, nabrzmiały ślad po jakimś uderzeniu. Siadając, westchnął ledwie dostrzegalnie, tak jakby przeszył

go ból. Dostrzegł jej spojrzenie.

- Miałeś jakiś wypadek?
- Można tak powiedzieć.
- Ale nie chcesz o tym rozmawiać?
- Raczej nie.
- Zawsze jesteś taki lakoniczny?
- Zazwyczaj.

Widocznie zrozumiał, że mógł ją urazić, bo dodał poważnie:

– Jestem skomplikowanym facetem. Miałem kobietę, którą bardzo kochałem. Eva została nawet moją żoną. A potem odeszła z kimś innym. Spotkałem także po latach swoją pierwszą miłość. Nazywała się Karin. Ale okazało się, że nie można wchodzić dwa razy do tej samej rzeki. Tak bywa.

Chciała go zapytać, czy teraz ona powinna płacić za grzechy swoich poprzedniczek, ale uznała, że nie powinna. Może dlatego, że wyczuwała w nim nie tyle zgorzknienie, ile jakąś wzruszającą niewinność. Nadal był słodkim chłopcem, tyle że o pokancerowanych męskich pięściach i nabrzmiałej bliźnie na skroni.

Siedziała tak blisko niego, że aby zmienić pozycję, musiałby dotknąć jej uda. Wyczuł zapach nowych perfum, bardziej wyrazistych, z nutą piżma i wanilii. Oszałamiały go, rozchodziły się po całym mieszkaniu, jakby chciały wyprzeć zapach innych kobiet, które gościł kiedyś w tym pokoju. Zzula pantofle i skrzyżowała swe długie nogi, odsłaniając skrawek podwiązki pod spódnicą. Widział jej piersi poruszające się ekstatycznie pod opiętym swetrem. Miał wrażenie, że zaczyna mu brakować tchu.

Zdecydowali się prawie w tej samej chwili, bo gdy on podniósł się gwałtownie, ona już na niego czekała. Przyciągnął ją mocno do siebie i przytulił swoje rozpalone czoło do jej policzka. Delikatnie zaczął pieścić jej kark i szyję. Rozchyliła usta, a on gryzł jej wargi. Potem poczuła jego język w swoich ustach. Nie spieszył się, powoli wpełzając w głąb, jakby badając jej gotowość i oddanie. Ale ona była już gotowa, odpowiadając pieszczotą na pieszczotę, smakując chropowatość i wilgoć jego języka. Westchnęła, gdy podciągnął z tyłu jej sukienkę i objął mocno pośladki. Poczuł, jak drgnęła i napięła je mimowolnie, aby po chwili ulec, w akcie zawierzenia i pełnego poddania. Zrozumiała, że dopiero rozpoczął wędrówkę wzdłuż i w głąb jej ciała. Krzyknęła cicho, gdy wziął ją nagle na ręce i ułożył na kanapie. Rozbierał ją niespiesznie, jakby czas zatrzymał się dla nich w miejscu. Miał wszędobyłskie i głodne dłonie. Ale nie ponaglał jej, rozumiejąc, że sama musi odnaleźć swój rytm. Była mu wdzięczna, że okazał się wprawnym i doświadczonym kochankiem.

Ale gdy nadszedł czas, wtargnął w nią gwałtownie, z jakąś dziką, niepokonaną desperacją. Prowadził ją pewnie w stronę doznań, których istnienie tylko podejrzewała. Był niezmordowany, ale nie samolubny, uważnie

wsluchując się w jej pragnienia i podpowiedzi.

Krzyknęła, gdy doszedł do końca i opadła na wilgotną poduszkę. Miała wrażenie, że minęła wieczność od chwili, gdy przekroczyła próg jego mieszkania. Ciągle jeszcze była oszołomiona. Wtuliła się w niego jak kotka, kładąc głowę na jego piersi. Dopiero teraz zauważyła zasklepioną, okrągłą bliznę na jego prawym boku. Kula? Nóż? Spojrzała pytająco, ale nie zaspokoił jej ciekawości. Była nasycona nim i poruszona, próbowała opanować drżenie ciała. Spojrzała na jego czysty profil. Czy on czuł to samo? Czy doznał wreszcie ukojenia?

Abell leżał z przymkniętymi oczami. Bał się, że gdy je otworzy – ona zniknie, a wraz z nią zapach jej włosów i piżma, a także kropla wilgoci, która zebrała się w rowku jej piersi. Od lat nie zaznał podobnego uczucia, a nawet nie był pewny czy na nie zasłużył. Czy to oznacza, że zaczyna wszystko od nowa? I jakie będzie to uczucie, które spadło na niego tak nagle i niespodziewanie? Powiedziała: „Chcę więcej”. Co miała na myśli? Pragnęła seksu czy miłości? Czy pokocha go takim, jakim on jest naprawdę? Czy może przekazać jej klucz do świata demonów, samobójców i ludzi z odrąbanymi głowami, w którym przebywa od lat? Nie znał odpowiedzi na te pytania.

Ale wiedział jedno – że znowu coś czuje i że nikogo na świecie nie pragnie tak, jak tej kobiety o połyskliwych oczach, ciemnozielonych niczym głęboka toń jeziora.

## 9.

Przegadali kilka godzin, wzajemnie wysłuchując monologów mających coś ze spowiedzi. Wychodząc wieczorem, pożegnała go pocałunkiem. Zbiegła lekko po schodach jak nastolatka spiesząca się na podwórko. W całym mieszkaniu wyczuwał jej zapach. Popadł w słodkie odrętwienie i położył się na podłodze. Miał wrażenie, że ta kobieta zawładnęła nim całkowicie. Uśmiechnął się do siebie – przed nimi jeszcze tyle ekscytujących chwil. Jego wzrok padł na katalog kolekcji Rottenberga pozostawiony przez Gabi.

Z całą pewnością nie był to zwyczajny katalog. I nie chodziło o to, że wydany był porządnie na kredowym papierze i oprawiony w skórzaną okładkę, z wytłaczaną herbową literą „R” na froncie. Abell miał w rękach wiele podobnych albumów, zawierających z reguły wyłącznie fotografie prac wraz z ich lakonicznymi opisami. Ten był inny. Trzymał w ręku nie tyle indeks kolekcji, ile raczej niezwykle i bardzo osobisty dziennik kolekcjonera, zakochanego w swoich obrazach i w tworzących je artystach. Ilustracje dzieł sztuki opatrzone były nie tylko biogramami twórców, ale także osobistymi zapiskami Saula Rottenberga. Tworzyły one coś w rodzaju intymnej metryki każdego artysty i jego twórczości. Niekiedy były to wnikliwe uwagi Saula, odczytującego na własny użytek intencje

malarza. Innym razem – subiektywne interpretacje przesłania zawartego w dziele.

Sądząc po katalogu, kolekcja rzeczywiście była wspaniała. Tylko dwadzieścia osiem obrazów, ale wszystkie wybitnych twórców. Niewielki olej na desce Hansa Holbeina, rycina sztychowana Pietera Bruegla i piękny rysunek Albrechta Dürera, olśniewające płótno Rembrandta, prace pejzażystów holenderskich z XVII wieku: Fransa Posta, Jana van Goyena, Jacoba van Ruisdaela i Izaaka van Ostade... – Abell z zachwytem wertował kolejne stronic katalogu.

Pokażną część kolekcji stanowiły obrazy romantyków: Caspara Davida Friedricha i Johanna Heinricha Füsslego. Saul cenił także prerafaelitów, skupując płótna Johna Everetta Millaisa, Dantego Gabriela Rossettiego i Williama Holmana Hunta. Uwagę przykuwał także niezwykle oniryczny obraz Marca Chagalla. Lista była długa, na kilkudziesięciu stronach katalogu zgromadzone były wybitne dzieła, które na pewno chętnie widziałyby u siebie najlepsze muzea niemieckie.

Odłożył na chwilę rejestr, próbując znaleźć odpowiedź na pytanie: jaki jest wspólny mianownik wszystkich tych twórców, których połączyła ze sobą pasja Saula Rottenberga? Pomyślał, że zapewne nie chodziło tu tylko o dobrą lokatę kapitału. Przynajmniej nie wyłącznie. Dzieła artystów tak wybitnych jak Bruegel, Rembrandt czy Dürer sąsiadowały tu z pracami artystów mniej znanych, cenionych tylko w pewnych kręgach, jak angielscy prerafaelici. Zaskoczeniem była obecność w tym towarzystwie Marca Chagalla. Ten awangardowy mało znany kolorysta nie pasował mu do uznanych klasyków malarstwa. Saul musiał posługiwać się innym, sobie tylko znanym kluczem. Był zbyt wytrawnym zbieraczem, aby kierować się jedynie polowaniem na okazje czy kolekcjonować rzeczy przypadkowe.

Abell zawsze interesował się malarstwem. Kiedyś miał nawet nadzieję, że zostanie marszandem odkrywającym i promującym nieznanymi geniuszy malarstwa albo prowadzącym dom aukcyjny jak Karl Haberstock. Skończyło się na kilku semestrach historii sztuki. Wybrał pracę w policji, bo zmusiły go do tego okoliczności: powojenny kryzys i ubożający rodzice, którzy ledwie wiąźali koniec z końcem. Ale nie tylko dlatego. Wydawało mu się, że w nowej profesji odnajdzie się najprędzej. Będzie ścigał złoczyńców, a przy tym nie zazna urzędniczej nudy. I że ocali coś z młodzieńczego pragnienia przygody i nowych ekscytujących doznań. Wyobrażał sobie także, że właśnie w policji najlepiej spożytkuje trawiący go niepokój, zdyskontuje detektywistyczne zapędy i inteligencję, która wyróżniała go z grona rówieśników. Życie brutalnie zweryfikowało te oczekiwania. Zgorzkniał, a praca w Kripo przypominała nieustanną wędrówkę po piętrach piekła Dantego.

Ale dawne fascynacje pozostały. Nadal lubił wałęsać się po galeriach i muzeach, wyszukiwać na pchlich targach antyki czy bibliofilskie białe kruki. Czasami udawało mu się natrafić na prawdziwe perły. Kryzys wpędził w nędzę wiele rodzin, które próbowały przeżyć, wyprzedając gromadzone od pokoleń

skarby. W ten sposób, właściwie za grosze, wszedł w posiadanie obrazów Emila Noldego, które kupił od spauperyzowanego kolekcjonera z Oliwy. Na rynku w Elblągu wyszperał przepiękny rysunek Käthe Kollwitz. Lubił patrzeć na niego przed zaśnięciem: pochylona kobieta podtrzymująca bezwładne ciało syna przypominała mu jego matkę Franziskę. Najbardziej dumny był jednak z pocerniałego od starości oleju przedstawiającego śpiącą Wenus. Wyszperał go na targu w Królewcu. Należał do spauperyzowanego junkra, który zapewniał go, że obraz przywędrował na Sambię z Włoch i od wieków należał do jego rodziny.

Naga kobieta o pięknej uduchowionej twarzy spoczywała na udrapowanej tkaninie na tle idyllicznego krajobrazu charakterystycznego dla dzieł włoskiego odrodzenia. Obraz ten bardzo przypominał dzieło Giorgione, które Abell podziwiał w dreźnieńskiej Gemäldegalerie. Jak na detektywa przystało, wiele godzin poświęcił kwerendzie w katalogach i albumach malarskich. Dzięki temu odkrył, że zabudowania widoczne w tle jego obrazu do złudzenia przypominają budynki z obrazu Tycjana *Noli me tangere*. Lubił wyobrażać sobie, że to oryginalne zapomniane dzieło wielkiego mistrza, które długo wędrowało z pracowni w Castelfranco, zanim znalazło nową przystań w jego gdańskiej garsonierze. Przynależał sobie, że kiedyś podda je gruntowniejszym badaniom, ale na razie musiała mu wystarczyć sama nadzieja, że obcuje z arcydziełem późnego cinquecenta[32].

W podobny sposób wszedł w posiadanie kilku cennych starodruków i książek. Zawsze lubił czytać, zagłębiać się w baśniowe, alternatywne światy, odrywające go od przasnej codzienności w rodzinnym Marienwerder. Z uwagi na swoją profesję przeszukiwał wiele domów. I nieodmiennie jego uwagę przykuwały biblioteki: pełne fruujących pod sufitem magicznych liter i znaków, przenoszących w inne wymiary. Przeglądał zawartość regałów uginających się od mądrości encyklopedii, elaboratów i łacińskich brewiarzy tłoczonych w egzotycznie brzmiących miejscach, takich jak Kordoba, Wilno czy Czerniowce. Kochał książki. Jedyne wspólne urlop z Evą spędzili w Paryżu na włóczeniu się po nabrzeżu Sekwany i przeszukiwaniu stoisk bukinistów i handlarzy starzyzną. Tak trafił na rzadkie wydanie *Dictionnaire philosophique* Woltera z 1765 roku czy pierwsze wydanie *Buch der Lieder* Heinricha Heinego z 1827 roku. „Nieźle, jak na słabo uposażonego funkcjonariusza państwowego i to w czasach degrengolady i upadku” – chwaliła go Eva.

Praca w policji była jego zbroją. Sport i zainteresowanie sztuką – wentylem zapewniającym dopływ świeżego powietrza, nieskażonego odorem zbrodni i występku, którym oddychał od lat.

Powrócił do wertowania katalogu Rottenberga. Szukając klucza do kolekcji, zagłębił się w lekturze opisu towarzyszącego dziełu Pietera Bruegla Starszego na pierwszej stronie katalogu. Był to *Alchemik*, rycina sztychowana przez Pietera van

der Heydena na podstawie rysunku wielkiego mistrza z 1558 roku. Rysunek obfitował w detale o trudnej do zinterpretowania symbolice. Ukazywał tytułowego alchemika zajętego swymi doświadczeniami we wnętrzu wypełnionym najróżniejszymi przyrządami i preparatami. Dwoje jego dzieci szperało w szafie, kobieta, zapewne żona, na próżno szukała pieniędzy w pustej sakiewce. Mężczyzna pochylał się nad otwartą księgą, z której czerpał natchnienie dla swoich eksperymentów. Ale widząc obserwował także inną scenę – przez otwór w ścianie widać było tę samą rodzinę, znajdującą schronienie w przytułku.

Saul zamieścił pod spodem własną refleksję: „Ważne jest to, co ukryte, schowane na drugim planie. Ten rysunek zachwyca mistrzostwem formalnym, ale liczą się prawie niewidoczne detale. Alchemik pochyla się nad stroną księgi *Alghe mist*, co oznacza – „wszystko stracone”. Jego usilne, rozpaczliwe próby wynalezienia złotego kruszcu nie dadzą jednak efektu. Dlaczego? Mistrz podpowiada nam, że winna jest sama alchemia oraz związane z nią praktyki: czarna magia i czarnoksięstwo. Wiara w szatańskie sztuczki prowadzi na manowce, a w ostatecznym rozrachunku – do nędzy i upadku. Nie tędy droga. Sama magia nie wystarczy. Czego brakuje? To wiedzą tylko wybrańcy umiejący odpowiednio łączyć kształty i kolory, liczby i święte litery”.

Tacy jak Izaak Luria, jak Saul Rottenberg? – pomyślał Abell. A może również tacy jak sam Bruegel? Czyżby wielki Pieter, zwany Chłopskim, także był kabalistą? Poruszony tą myślą, przez chwilę rozpatrywał możliwość, że kolekcja jest zbiorem dzieł autorstwa ukrytych wyznawców Kabały. Podniecony taką hipotezą ponownie pochylał się nad zapiskami Saula. Kolejny z nich dotyczył obrazu Caspara Davida Friedricha i był nie mniej frapujący. Płótno przedstawiało olejny szkic do słynnego obrazu *Podróżnik po morzu chmur*, który Abell wielokrotnie podziwiał w hamburskim Kunsthalle. Dobrze zapamiętał ten obraz. Odwrócony plecami mężczyzna, stojący na skalnej turni, spogląda przed siebie na rozpościerające się przed nim szczyty gór zatopione w chmurach i mgłach.

Saul umieścił pod *Podróżnikiem* następujący dopisek: „Widz podziwia skalny krajobraz, oddany z niezwykłym pietyzmem i techniczną maestrią. Ale nie o to tu chodzi, ten plan jest tylko pretekstem. To odwrócony plecami człowiek stanowi zagadkę. Co widzi i o czym myśli tajemniczy podróżnik? To on stanowi punkt ogniskujący świadomość naszą, jego własną, a także absolutną samoświadomość matki natury. To obraz pełen napięcia, jakie rodzi się z opozycji dążeń do czystej duchowości – z rzeczywistością materialnego, ucieleśnionego istnienia w otaczającym nas świecie”.

Coraz bardziej podekscytowany sięgnął po obraz Marca Chagalla. Malarz z Witebska już chociażby z uwagi na swoje żydowskie pochodzenie mógł mieć przecież związek z kabalistyczną mistyką. Niewielkie płótno przedstawiało bramę cmentarną. Na obu słupach wrót widniały jakieś inskrypcje hebrajskie oraz daty



według kalendarza żydowskiego. Saul opatrzył obraz następującym komentarzem: „Malarz przytacza na bramie cmentarnej słowa Boga z księgi Ezechiela (37;12,14): *Oto Ja otworzę groby wasze, i wywiodę was z grobów waszych, ludu Mój! i zaprowadzę was do ziemi Israela; (...) I złożę ducha Mojego w was, abyście ożyli (...)* Powraca w ten sposób do swoich korzeni, do opowieści i prawdy, która przetrwała wyłącznie w ustnym przekazie...”.

Odłożył katalog i spojrzał na swoją śpiącą Wenus. Jakim komentarzem Saul Rottenberg opatrzyłby to płótno? Zapewne takim, że znowu umyka nam istota rzeczy. Akt widoczny na pierwszym planie przyciąga i angażuje całą uwagę widza. Jego wzrok wędruje po krągłościach kobiecego ciała, obnażonego teraz i będącego zaledwie na wyciągnięcie dłoni. Ale istotne jest tak naprawdę pytanie, dlaczego Wenus ma zamknięte oczy. Dlatego, że śni, czy może dlatego, że boi się je otworzyć? Może nie chce widzieć niebezpieczeństwa czającego się za jej plecami? Albo boi się, że gdy otworzy powieki, świat ją zawiedzie i rozczaruje? Rzeczywistość ma wiele wymiarów. Ten widoczny na pierwszy rzut oka jest często tylko maską i ułudą. Ważne są kulisy, szczegóły i detale skrywające istotę rzeczy.

A jeśli tak, to – patrząc szerzej – co przeoczył w tym zagmatwanym, niejednoznacznym śledztwie? Jakich detali nie dostrzegł? Konstatacja, że nie dostrzegł wszystkich znaków i nie połączył ich ze sobą, wydawała się bowiem oczywista. Potarł w zamyśleniu brodę. Tak, musi zmienić sposób myślenia. Inaczej wiązać i kojarzyć fakty. Amen.

## 10.

Wiadomość od Kukulki wprowadziła go w dobry nastrój. Nie pytał, jakimi metodami wachmistrz osiągnął swój cel. Nie musiał. Ważne, że ptaszek był w klatce. I to takiej ze stalowymi kratami, z której nie uwolnią go nawet zręczne palce szulera.

Postanowił przesłuchać Chaima dopiero następnego dnia. Niech trochę skruszeje w celi w towarzystwie pedofilów, oszołomów i morderców, gotowych zabić za jedno krzywe spojrzenie. Wolność smakować mu będzie wtedy inaczej. Nadchodzący wieczór miał zamiar spędzić w sopockim kasynie, naturalnym łowisku Chaima Rottenberga.

Z uwagi na swoje obowiązki służbowe bywał w nim już wcześniej. Do Sopotu ściągali bowiem tabuny złodziei, kieszonkowców i desperatów – nie tylko z Niemiec, ale i z Polski oraz krajów skandynawskich. Abell dobrze pamiętał, że jeszcze kilka lat wcześniej promenadę przy kasynie nazywano „aleją wisielców”. Wielcy przegrani najczęściej skakali do morza z mola – w policyjnym żargonie mówili wówczas, że ktoś „poszedł na ruchomą deskę” – bądź strzelali sobie w łeb z pistoletu. Kripo miało pełne ręce roboty, a on sam nadzorował kiedyś odcinanie

wisielca z latarni.

Oczywiście policja tępiła nieuczciwe praktyki właścicieli kasyna. Ale ci nie rezygnowali, stawka była zbyt wielka. Aby zachęcić niezdecydowanych i utrwalić renomę tej jaskini hazardu jako miejsca, w którym w jeden wieczór można było się wzbogacić i zmienić swoje życie na lepsze, wprowadzali do salonu tak zwanych naganiaczy. Byli to podstawieni gracze, którzy początkowo na oczach gości obstawiali ostrożnie, lokując małe sumy, aby z czasem wygrywać kwoty coraz większe i ostatecznie opuszczać salon gier w glorii zwycięzców z wielkimi wygranymi w kieszeni. Publika biła im brawo, nie zdając sobie sprawy, że są to jedynie podstawieni gracze, a wielkie wygrane wracają i tak na konto kasyna.

Sytuacja zaczęła się zmieniać dopiero po roku 1921, gdy udziały w kasynie objęło miasto. Zła sława przybytku hazardu zaczęła przeszkadzać inwestorom. Włodarze Sopotu postanowili ucywilizować interes. To Kripo zasugerowało dyrekcji kasyna, aby największym przegranym fundować bilet powrotny do miejsca, skąd przybyli. Liczba samobójców drastycznie spadła. Zmieniono także głównego krupiera, a w ślad za nim całą obsługę salonów gry. Nowi właściciele nie szczędzili pieniędzy na rozbudowę prężnie działającego przybytku. Zaadaptowano kilka nowych pomieszczeń. Dobudowano kolejne w miejscu rozebranej wtedy muszli koncertowej, w których umieszczono między innymi bank i kilka sklepów oraz pokoje dla gości specjalnych pragnących dyskrecji i spokoju. Nic dziwnego, że kasyno przeżywało prawdziwe oblężenie. Można tu było nie tylko w kilka minut stracić dorobek całego życia – lub się wzbogacić – ale także z bliska zobaczyć osoby sławne, koronowane głowy i gwiazdy filmowe.

Dla Abella to targowisko próżności było, poza wszystkim, miejscem pracy. Rok wcześniej otrzymał zadanie dyskretnego monitorowania obiektu podczas wizyty Greta Garbo. Zapamiętał jej chłodne oczy i długie nogi, rysujące się pod cielistą suknią. Jeszcze rok wcześniej pilnował, aby nikt nie zakłócił spokoju króla Hiszpanii Alfonsa XIII, który zatrzymał się w pobliskim Kasino Hotel. Utkwiły mu w pamięci jego brzydkie jak noc yorki, srające na czerwony dywan hotelowego foyer.

Była godzina dziewiętnasta, gdy ubrany w swój najlepszy garnitur podjechał pod budynek. Mimo stosunkowo wczesnej pory przybytek hazardu był już zatłoczony ponad miarę. Z otwartych okien dolatywały dyskretne dźwięki fortepianu. Przeszedł przez rzęsiście oświetlone foyer i po schodach wszedł na piętro, gdzie mieściły się główne sale dla graczy. Wiedział, że sopockie kasyno przypominało mikrokosmos, osobną planetę, otwartą dla swoich wyznawców przez większość dnia i nocy. Na dole można było poczytać międzynarodową prasę i nawiązać towarzyskie kontakty przy cygarze i kieliszku koniaku. Piętro było świątynią hazardu. Obok znajdował się luksusowy Kasino Hotel, który dawał możliwość zapicia przegranej francuskim szampanem albo zacieśnienia znajomości

z jedną z wielu prostytutek, które obsługa nazywała ćmami, bo lgnęły do blasku i pieniędzy.

Najpierw zajrzał do Sali Żółtej, w której grano wyłącznie w bakarata, a następnie do Błękitnej, skupiającej wielbicieli ruletki. Otoczyła go chmura ściszonych dźwięków, tak charakterystycznych dla salonu gier. Słyszał głosy podnieconych graczy, szepty kobiet w połyskliwych sukniach śledzących roziskrzonymi oczami poczynania swoich partnerów, ostre jak brzytwa komendy krupierów i szmer magicznych kulek toczących się w kołach ruletki. Kłęby tytoniowego dymu splecionego w sine węzły unosiły się ku żyrandolom, aby następnie podążyć przez otwarte okna ku pobliskiemu morzu. Rozpoznawał nie tylko język niemiecki, ale prawie tak samo często szeleszczącą polszczyznę. Było to jedyne miejsce w Wolnym Mieście, gdzie Polacy byli nie tylko tolerowani, ale wręcz mile widziani. Przy ruletce zauważył też kilku białych Rosjan, wpatrzonych w skupieniu w koło rulety i oczekujących na sakramentalne „*Rien ne va plus!*”[33] krupiera. Jeden z Rosjan był w towarzystwie młodej kobiety o urodzie przypominającej mu trochę Gabi. Miała głęboki dekolt odsłaniający piersi oraz sarnie niewinne oczy, w których tlił się jednak ogień chciwości i nienasyceń. Gwałtownym ruchem przyciągnęła ku sobie porcelanowe żetony, gdy jej partner zakrzyknął: „*Nakaniec! Horoszyj malczik!*”[34] i uczcił wygraną potężnym haustem koniaku. Ich spojrzenia na chwile się skrzyżowały. Chyba źle go oceniła, widząc w nim podobnego sobie pasożyta polującego na łatwe okazje. Wymownie wskazała mu wejście do baru, w którym zazwyczaj kłębił się tłum przegranych rozgorączkowanych kobiet szukających szczęścia, jeśli nie w kartach to przynajmniej w miłości.

Wzruszył ramionami, ale podążył za jej spojrzeniem. Bar znajdował się pomiędzy obiema salami. Czasami, dopóki ceny nie sięgnęły sufitu, zaglądał tu po służbie z Plaskowitzem. Bufet oferował wykwintne menu oraz bogatą kartę alkoholi z całego świata. Podawali tu także wyborną polską wódkę J.A. Baczewski, która mu niegdyś zasmakowała. Zamówił kieliszek u barmana o zrosniętych, krzaczastych brwiach i rozejrzał się po pomieszczeniu.

Osoba, której szukał, właśnie opuszczała bar. Nawet patrząc od tyłu, można się było domyślić, że właściciel rozłożystych pleców, który żeglował wolno ku Sali Czerwonej, nie był zwierzęciem lądowym. Willy Kramer zszedł na ląd jako pierwszy oficer jednego z okrętów cesarskiej floty. Od lat sprawował funkcję kierownika Sali Błękitnej. Był jednym z tych oficerów armii, którzy w latach dwudziestych zainwestowali i założyli sopockie kasyno. Jego byli szefowie, Linke i Ratzloff<sup>18]</sup>, już od dawna rozdawali karty w nowym przybytku hazardowych gier w dalekiej Kłajpedzie, ale on sam dalej trwał tam, gdzie przesadzono go po zejściu na ląd. Był nie do ruszenia. O tajemnicach kasyna i jego gości wiedział wszystko. O ile stała posadę zapewniała mu współpraca z Kripo, o tyle swoją wiedzę

zawdzięczał wyłącznie własnym przymiotom. Kramer był wnikliwym i bystrym obserwatorem ludzkich słabości. Od dawna nie miał już żadnych złudzeń, a jego jedyną wiarą był brak wiary w cokolwiek. Jako taki był wprost bezcennym informatorem, dla którego warto było wybrać się osobiście do tego teatru ułudy, ludzkiej chciwości i żądzy pieniądza.

Abell nigdy nie uważał go za zwykłego szpicla. Nie traktował z góry, wzorem swoich kolegów, i nie kazał stawiać się na umówione spotkania w najbardziej absurdalnych miejscach. Gdy potrzebował od Kramera jakiejś informacji, fatygował się do niego osobiście. Ucinali sobie pogawędkę przy kieliszku alkoholu, w Sali Czerwonej lub przy barze, na oczach wszystkich, bo paradoksalnie to właśnie zapewniało niewidzialność. A Kramer to na swój sposób doceniał. Kiedyś Abell wysłuchał w skupieniu jego opowieści o katastrofie cesarskiej Hochseeflotte podczas bitwy jutlandzkiej. Widział oczami wyobraźni pokłady śliskie od krwi i ludzkich rzygowin. Słyszał ryk bólu osiemnastoletnich rekrutów z Prus Wschodnich i Warmii, wyrwanych przez wojnę z sielskich domowych pieleszy, których trupy spychano później w zimną toń oceanu. Nie dziwił się, że Kramer stracił po tym wszystkim zaufanie do bliźnich. Pozwalał mu żyć, tak jak ten chciał i jak potrafił najlepiej. W zamian mógł liczyć na niezafałszowane informacje.

W Sali Czerwonej można było na parkiecie odreagować niepowodzenia wyniesione z sal gier lub posłuchać koncertu muzyki kameralnej, idealnego remedium na zszargane nerwy. Pianista o semickim wyglądzie grał właśnie mazurka F-dur Fryderyka Chopina. Muzyka wychodziła z ciszy i do ciszy wracała, zaczynając się i kończąc *sotto voce*[35]. Pianista miał powycierane łokcie we fraku, ale grał jak natchniony, nie bacząc na to, że nuty i dźwięki giną w kakofonii głosów dolatujących tu z bufetu. Tylko kilka eleganckich kobiet śledziło każdy ruch wirtuoza, jakby próbując, choć na chwilę, zapomnieć o porcelanowych żetonach i oszukać zły los.

Staęli przy oksydowanym barze w rogu.

– Co nowego, Willy? – zapytał policjant, podając dłoń na przywitanie.  
– Widzę, że imperium hazardu kwitnie w najlepsze.

– Dobry wieczór, panie radco. Fakt, kręci się nie najgorzej. Wie pan, że gdyby nie było tu kasyna, trzeba byłoby je wymyślić na nowo.

– Fakt.

– Ostatnio krupier zapytał, czy wiem, czym różnią się od nas zwierzęta. Otóż uczą się na błędach, my nie. Lis, który wpadnie w sidła, jeśli się z nich wykaraska, nigdy już nie powróci w to samo miejsce. Człowiek odwrotnie. Mimo znaków ostrzegawczych i porażek będzie grał tak długo, aż spłucze się do cna. A potem skacze z mola lub dynda na latarni. Co pan pije?

– Dzisiaj polską wódkę Baczewskiego.

- Dobry wybór. To jeden z ich dwóch produktów eksportowych.
- A ten drugi?
- Kobiety, panie radco. Mają mleczną cerę, jasne włosy i ciemną oprawę oczu. Pierwsza klasa. Są romantyczne, niezezsute i jeszcze potrafią krzyknąć w łóżku. Nie to, co nasze Helgi.
- Będę musiał kiedyś spróbować, Willy.
- Koniecznie, panie radco.

Przez następne pół godziny wypytywał Kramera o interesujące go kwestie i notował w pamięci jego odpowiedzi. Czasami interlokutor opuszczał go na chwilę, bacznie lustrował to, co się dzieje w sali, gasił tłące się spory, witał wchodzących gości, by powrócić do baru i przywitać się z Abellem, jakby widział go po raz pierwszy.

– Potrzebuję informacji o Chaimie Rottenbergu – powiedział Abell, gdy uznał, że już czas przejść do rzeczy.

- To Żyd. Słaby i śliski. Bywa tu i to często.
- To wiem. Wygrywa czy przegrywa?
- Ma podobno zręczne palce. Krążą słuchy, że wygrywa pewne sumy w karty od frajerów, których przecież nie brakuje. Ale to na mieście, w potajemnych domach gier. W kasynie nie idzie mu już tak dobrze.

– Dużo przegrywa?

– Na pewno więcej, niż wygrywa. Ogólny bilans ma na minusie. Chaim jest nieuleczalnym hazardzistą, panie radco. Pan wie, co mam na myśli. Ile by wygrał w karty, tyle przepuści w ruletkę. Ciągnie go tu jak pszczołę do miodu. Kiedyś powiedział, że dlatego go tak ciągnie do ruletki, bo suma liczb w tej grze wynosi sześćset sześćdziesiąt sześć. A szóstka to liczba szatana. Niezłe skojarzenie jak na Żyda, prawda?

– Jeśli tyle przegrywa, to skąd ma pieniądze na grę?

– Też się kiedyś zastanawiałem. Szczerze mówiąc, nie wiem. Ale zawsze spłaca długi. Kiedyś się spóźnił, a ja postraszyłem go, że zamknę przed nim drzwi kasyna. Podziałało. Aż do ostatniego razu. Przegrał w ruletkę wszystko, co miał. Chcieliśmy go wyprosić, ale zachowywał się jak oszalały. Krzyczał, że musi obstawić jeszcze raz, bo już tyle u nas zostawił, że zasługuje na danie ostatniej szansy. Chciał wykupić żetony za ściągnięty z ręki złoty zegarek. Zarzekał się, że to bardzo cenny szwajcar. Zgodziłem się.

- Oczywiście przegrał?
- Skąd pan wiedział, panie radco?
- I co działo się dalej? Bo historia ma dalszy ciąg, prawda?
- Takie historie zawsze mają ciąg dalszy. Po dwóch dniach otrzymałem list od Saula Rottenberga. Pan wie, tego przedsiębiorcy i kolekcjonera. Wtedy nawet nie kojarzyłem, że to rodzina Chaima. W kopercie była suma przekraczająca

zobowiązania Chaima oraz uprzejma prośba o zwrot zegarka. Oczywiście spełniliśmy tę prośbę.

– Kiedy to się zdarzyło?

Kramer bez słowa sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Zawsze zapisuję wszystkie długi i zobowiązania naszych klientów. Myślę, że niejeden z tych desperatów obciąłby mi chętnie łeb, byleby tylko dostać w swoje łapy ten notes.

Wertował przez chwilę gęsto zapisane stroniczki.

– Mam, Chaim zastawił zegarek dziewiątego marca.

– Dziewiątego marca? Na pewno? Nie mylisz się? – zapytał wyraźnie zaintrygowany Abell. Pamiętał, co zeznała Charlotta Monk. Zgodnie z tym, co mówiła, straciła dostęp do górnego salonu dziesiątego marca, a więc dzień później.

– Na bank, panie radco.

– Czy podobna sytuacja się powtórzyła?

– Aż takiego cyrku to nie pamiętam. Ale kilka tygodni wcześniej zastawił w kasynie rodową biżuterię starej hrabiny von Bocksdorff, którą wygrał od niej w karty. Staruszka ma ze sto lat i ogromny majątek w Kurlandii. Ale jest nieuleczalną hazardzistką, właśnie bawi w Kasino Hotel.

– To ciekawe. A zapytaliście go kiedyś, dlaczego jest w takich łaskach u swego wuja?

– Tak, sam mu zadałem takie pytanie. Odpowiedział, że to nie moja sprawa. Ale że łączą go z wujem wspólne sekrety. „A nasza rodzina jest pełna tajemnic, Kramer”, tak powiedział.

– O jakich sumach mówimy, Kramer?

– O grubych, panie radco. Przepuścił u nas tysiące guldenów[36]. Normalni ludzie o takich pieniądzach mogą tylko pomarzyć<sup>[19]</sup>.

– Kiedy Chaim pojawił się w kasynie po raz ostatni?

– Nie widziałem go tu od kilku dni. Nawet mnie to trochę zdziwiło, wcześniej był stałym gościem. Kiedy? Trudno powiedzieć, ale myślę, że nie zaszczycił nas swoją obecnością co najmniej tydzień.

Dobiegł ich nagły gwar, który zagłuszył rozmowę. Nuty Chopina zamilkły. Pianista opuścił ręce na klawiaturę i pod sufit wleciały majestatyczne dźwięki hymnu *Boże, cara chrani*. Biały Rosjanin i jego partnerka właśnie zaczęli świętowanie. Tym razem fortuna im sprzyjała. Kobieta oniemiałymi roziskrzonymi oczami wpatrywała się w stos żetonów piętrzących się przed nią na stole. Dla nich ten wieczór właśnie się rozpoczynał. Skończy się zapewne dopiero nad ranem w pościeli mokrej od spermy i francuskiego szampana.

**11.**

Następny dzień przyniósł nawrót złej pogody. Miasto spowite było ciemnością. Tylko hełmy i wieżyczki kościołów świeciły odbitym blaskiem poranka. Ukośny zacinający deszcz bez wytchnienia bombardował blaszane parapety i markizy, rozpostarte nad sklepami i ogródkami piwnymi. Było przenikliwie zimno jak na tę porę roku.

Masywne budynki sądu i aresztu śledczego widać było już z daleka. Wyrastały niczym wielka wulkaniczna kupa z morza kamienic, szop i przybudówek, rozpościerających się jak okiem sięgnął na tej długiej ulicy, zamieszkałej głównie przez robotników portowych, domokrażców i wdowy.

Była dziesiąta rano, gdy Abell wylegitymował się w bramie i ruszył za przydzielonym mu strażnikiem więziennym. Kolejne drzwi otwierały się i zatrzaśniały za nim niczym bramy piekieł. Czuł przenikający więzienne korytarze smród niemytych ciał, rozgotowanych obierków i lizolu. Minął spacerniak odprowadzany nieufnymi spojrzeniami ponurych mężczyzn powłóczących nogami, tak jakby chcieli wydłużyć ten jedyny moment w ciągu dnia, kiedy mogli oddychać tym samym powietrzem, co ich żony, kobiety i kurwy pozostawione za murami.

W pokoju widzeń nie było nikogo. Zapewne żony, kobiety i kurwy miały coś lepszego do roboty, niż wystawać w kolejce przed aresztem, dawać się macać strażnikom poszukującym grypsów i ostrych przedmiotów, aby na koniec stanąć oko w oko z żalonymi cieniami mężczyzn, których pamiętały z wolności. Abell rozsiadł się na taborecie przed zakratowaną klatką dla doprowadzanych więźniów i rozejrzał się dookoła. Na półce zobaczył jakiś druk, pewnie zaczytywany przez oczekujących. Wziął go do ręki i zobaczył, że był to przewodnik turystyczny, zatytułowany pompatycznie *Sopot – Riviera Północy*. Czekając na doprowadzenie Chaima, zaczął czytać dla zabicia czasu.

„Tysiące i dziesiątki tysięcy odwiedzających z wielu krajów niezmiennie umawia się na spotkania w eleganckich wnętrzach sopockiego kasyna, aby poddać się tam magii toczących się i odkrywających się kart, niejeden zaś szczęściarz wygrał już tutaj majątek. Latem w salach, do których napływa orzeźwiające morskie powietrze, jest zapewniona dobra wentylacja, zimą zaś – odpowiednie ogrzewanie, dzięki czemu pobyt w kasynie staje się przyjemnością również dla tych gości, którzy nie chcą brać udziału w grze. Pomiędzy salą gry w ruletkę a salą gry w bakarata znajduje się wygodny i przytulny bufet, który dniem i nocą roi się od międzynarodowego towarzystwa pań i panów, a jego wyśmienite menu zaspokoi wszelkie potrzeby żołądka... W eleganckim foyer gość może załatwić sprawy związane z korespondencją, ma tu również do dyspozycji wiodące tytuły gazet z różnych krajów. Kasyno, które dzięki tym zaletom jest odwiedzane przez gości z całego świata, stanowi jednocześnie wielką atrakcję morskiego kąpieliska. A poprzez znaczące kwoty odprowadzane do gminy stało się ono bujnym drzewem

życia młodego państwa, którego wiecznie zielone gałęzie zsyłają mu złoty deszcz”[37].

Idealna lektura dla tutejszych troglodytów – pomyślał sarkastycznie, obiecując sobie zapamiętać owe „zielone gałęzie zsyłające złoty deszcz”. Hałas na korytarzu zwiastował rychłe doprowadzenie aresztanta. Chaim wyglądał zaskakująco młodo jak na swoje dwadzieścia lat. Podczas pogoni w kościele widział go tylko przelotnie, teraz miał okazję przyjrzeć mu się bliżej. Miał regularne rysy i miłą powierzchowność. Przypominał jednego z tych uniwersyteckich liderów, wiodących prym na boisku i w sali wykładowej, popularnych wśród rówieśników z korporacji i otoczonych podziwem płci pięknej. Nadal ubrany był w elegancki garnitur, brakowało mu tylko krawata, paska i sznurówek. Opadające spodnie przytrzymywał smukłymi nieledwie kobiecymi palcami. Na palcu wskazującym miał srebrny sygnet z ciemnym opalizującym kamieniem. Kolejny fant wygrany od hrabiny von Bocksdorff? O trudach nocy przebytej w celi świadczyły jedynie granatowe cienie pod oczami, w których – na widok Abella – zapaliła się ciekawość pomieszana z wrogością.

Policjant przedstawił mu się i powiedział:

– Szybko biegasz, Chaimie Rottenberg.  
– Musiał mnie pan z kimś pomylić, panie oficerze. W oczach Kripo wszyscy Żydzi wyglądają tak samo.

– Nie ma mowy o pomyłce. Zaprzecza pan, że to pana goniłem przez kościół Świętego Jerzego?

– Nigdy nie ganiałbym po chrześcijańskim kościele i to podczas mszy. Mam uczulenie na świątynie gojów. A tak w ogóle to nie rozumiem, dlaczego się znalazłem w tym nieprzyjemnym miejscu.

– Jakoś panu nie wierzę. Zwłaszcza że nie wspominałem nic o mszy.

– Punkt dla pana, oficerze – roześmiał się niewymuszenie Chaim, jakby to drobne kłamstwo nie miało żadnego znaczenia. – Ale to przecież nie z tego powodu wylądowałem w celi z rzeźnikiem, który poćwiartował swoją żonę. Ani nie dlatego, że grywam czasami w karty na pieniądze.

– Postaram się panu wyjaśnić, dlaczego. Kilka dni temu zamordowano w okrutny sposób pańskiego stryja, Saula Rottenberga. A wczoraj odnaleziono uciętą głowę pańskiej ciotki Adele...

Chaim drgnął prawie niedostrzegalnie. Abell miał wrażenie, że w jego oczach dostrzegł przestach, nawet panikę.

– Adele została zamordowana? To niemożliwe...

– Ostatnio ciągle słyszę to słowo, a jednak... Prowadzę śledztwo w sprawie obu tych morderstw. Co więcej, mam prawo przypuszczać, że rozwiązania tych zagadkowych morderstw należy szukać wewnątrz rodziny Rottenbergów.

– Nigdy nie byliśmy prawdziwą rodziną, panie Abell, jeśli o to chodzi.



– A ponoć Żydzi są tacy rodzinni. – Abell nie mógł sobie odmówić lekkiego szyderstwa.

– Nigdy nie czułem się Żydem, podobnie jak Saul... Wychowywano mnie w duchu uwielbienia dla niemieckiego języka i kultury. Czuję się takim samym Niemcem jak pan, panie oficerze. Nie odwiedzam synagogi. Od czasów bar micwy[38] byłem tam może kilka razy. Moi rodzice wcześniej mnie odumarli, jeszcze, gdy byłem w internacie. Sam uczyłem się życia.

– Pański drugi stryj, Salomon, pewnie nie był zachwycony taką apostazją bratanka.

– Nic mnie z nim nie łączy. Salomon to typ Żyda z antysemitycznych szmoncesów. Pozostał na tych judaistycznych grzęzawiskach, z których mnie udało się wyrwać.

– Podobno po stracie rodziców przez jakiś czas pana wychowywał? Podobnie jak Saul...

– Byli tak różni... Przez pół roku, zimą i jesienią, przebywałem u Salomona. Miesiące wiosenne i letnie spędzałem u Saula. Słyszał pan o rozdwojeniu jaźni? To właśnie było moim udziałem. Salomon starał się mnie, niby syna marnotrawnego, za wszelką cenę przywrócić na łono judaizmu. Zmuszał do czytania Tory i przestrzegania szabatu. Wyciągał do synagogi, próbował zainteresować ich chasydzkimi szamańskimi obrzędami. Gdy topniały śniegi, wracałem pod kuratelę Saula, do domu otwartych ześwieczonych kosmopolitów. Tutaj bogiem była matematyka, a liturgią – savoir-vivre. W jego willi nie słyszało się hebrajskiego ani jidysz, goście Saula rozmawiali po francusku, angielsku, polsku, po rosyjsku. Saul przypominał człowieka renesansu. Studiował fizykę kwantową i partie szachowe Capablanki, rozwiązywał rebusy i równania matematyczne, pasjonował się komparatystyką i potrafił cały wieczór strawić na analizowaniu przewagi Junga nad starym Freudem. Można było dostać schizofrenii, a ja byłem przecież tylko młodym chłopakiem – Chaim skrzywił się, a kąciki jego ust zadrżały.

Ten monolog trochę zaskoczył Abella. Słuchał uważnie, zastanawiając się, czy to kolejna maska Chaima, czy też rzadki przejaw szczerości. Postawił na to pierwsze. Wszystkie tropy wiodły w stronę tego sprytnego młodzieńca, który skrajny cynizm starał się ukryć pod pokładami sugestywnego sentymentalizmu. Był równie podejrzany jak jego wuj Salomon o mocarnych ramionach drwala. Wygłaszane przez Chaima frazy brzmiały zbyt doskonale, aby mogły być prawdziwe. Policjant miał zresztą wrażenie, że młody Żyd wypowiada je nie po raz pierwszy.

– Jakie więzy łączyły pana z Saulem? – zapytał i sięgnął po notes, żeby podkreślić, że od tej pory wypowiedane słowa będą miały swoją wagę.

– Woląłem lato od zimy, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Saul zastępował mi w pewnym sensie ojca, Salomon był jak wieczny żydowski wyrzut

sumienia.

– Niech pan się dobrze zastanowi nad odpowiedzią na pytanie, które teraz zadam. Czy zamordował pan swojego przybranego ojca Saula? Albo czy przyłożył pan rękę do tego morderstwa, działając w zмовie lub grupie przestępczej?  
– zapytał niespodziewanie Abell, nie spuszczać oczu z twarzy Chaima.

Chaimowi nie drgnęła nawet powieka.

– Nie muszę się zastanawiać – odpowiedział stanowczo. – Nigdy nie zabiłbym stryja. Samo takie podejrzenie jest śmieszne. I żeby uprzedzić kolejne pytanie, nie wiem także nic o zabójstwie Adele.

– Pożyczał pan od stryja wielkie sumy.

– To chyba nie grzech? Zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy trudno związać koniec z końcem. Pan wie, czym się zajmuję. Gram. I czasami popadam w drobne kłopoty. Rodzice nie zostawili mi nic. Po dziadku prawie wszystko odziedziczył Saul. Być może także dlatego czuł się w obowiązku mnie wspomagać. Może byłem marnotrawnym bratankiem, ale jednak rodziną.

– A przed chwilą powiedział pan, że nie byliście rodziną?

Chaim poruszył się niespokojnie, ale nie odpowiedział.

– To były zapomogi czy pożyczki?

– Nie nazwałbym ich pożyczkami. – Chaim przygryzł wargi i Abell odniósł wrażenie, że po raz kolejny wyrąbał szczelinę w obronnej tarczy Chaima. – Po prostu wspomagał mnie drobnymi kwotami.

– Czyżby? – Abell roześmiał się tak, jakby usłyszał dobry żart. – Nie docenia pan Kripo. Przegrał pan w kasynie tysiące guldenów. Wiemy to od obsługi kasyna. To nie były „małe kwoty”. I na pewno nie zarobił ich pan w pokątnych szulerniach czy domach gry, gdzie można stracić lub zyskać kilkadziesiąt, co najwyżej kilkaset guldenów. Był pan winien Saulowi ogromne kwoty. Adele, jeszcze za życia, potwierdziła, że to były pożyczki. Saul miał wiele cech i przymiotów, ale na pewno nie był filantropem. Zabicie Saula likwidowało problem długów. A zamordowanie Adele usuwało ostatniego świadka pańskich zobowiązań, prawda?

Chaim tym razem zastanowił się dłużej nad odpowiedzią. Zlekceważył tego policjanta, a niesłusznie. Jest inteligentny i szybko kojarzy fakty. Jak znalazł go w domu gry? A później, tak szybko, w domu tej modliszki, wdowy Gruber? Musiał się mieć przed nim na baczności. Tracąc czujność, popełnił błąd, który szybko trzeba naprawić.

– Być może tak to wygląda w oczach kogoś, kto nie wie, jak naprawdę wyglądały moje relacje ze stryjem – odpowiedział ostrożnie. – Zgoda, byłem mu winien pieniądze. Ale to jeszcze nie powód, aby mordować jedyną osobę, na którą mogłem liczyć w razie potrzeby.

– Jakie „tajemnice rodziny Rottenbergów” miał pan na myśli, rozpowiadając o nich w kasynie?

Pytanie wyraźnie zaskoczyło Chaima. Ten policjant rzeczywiście dużo wie, pomyślał. No, tak, Kramer. Można się było spodziewać, że jest szpiclem Kripo. Po chwili namysłu uznał, że musi rzucić jakiś ochłap temu upartemu policyjnemu psu. Na przykład wekslując jego uwagę na Salomona, który – o czym wiedział – również siedział w areszcie.

– Niechętnie o tym mówię. Ale jeśli trzeba... Stryj dzielił się ze mną wiedzą na temat nieuczciwości Salomona. W jego kieszeni ginęły pieniądze na budowę domu modlitwy. Saul bardzo się tym martwił, bolał, że ucierpi dobre imię rodziny... To nas zbliżyło do siebie.

– Myślę, że jest pan urodzonym kłamcą, panie Rottenberg. – Abell zimno cedził słowa. – Powiedział pan tylko to, co chciał pan powiedzieć. Niestety, niewiele ma to wspólnego z prawdą. Skrzętnie wymienił pan wszystkie pasje Saula. Nie wspomniał pan tylko o najważniejszej z nich: studiowaniu Kabały. Dlaczego?

Chaim rzucił mu wrogie spojrzenie.

– Nie przypuszczałem, że to ma jakieś znaczenie. Pewnie uważa pan zainteresowania Saula za jakiś rodzaj czarnej magii. Nie jestem obskurantem, panie radco.

– Nie ma znaczenia, co myślę na ten temat. Ale to zastanawiające, że pan o tym nie wspomniał. Pan chyba również interesował się Kabałą. Wspomniał pan kiedyś, że suma wszystkich liczb w ruletce to szatańskie sześćset sześćdziesiąt sześć.

Chaim odpowiedział mu jedynie wzruszeniem ramion.

– Pan chyba nie wierzy w te bzdury, panie radco?

– Odbierając zastawiony w kasynie cenny zegarek, chwalił się pan, że łączy was ze stryjem wspólne tajemnice. Co pan miał na myśli, może sprawę kolekcji, która wyparowała z domu przy Ernststrasse? Wie pan, gdzie ona się aktualnie znajduje?

Strzał był celny. Chaim skurczył się w sobie. Nerwowo poprawił kosmyk kruczoczarnych włosów opadających mu na czoło.

– Nie mam zielonego pojęcia panie radco. Nawet nie wiedziałem, że zbiory stryja zniknęły. To doprawdy szokująca wiadomość.

– Przed jej zniknięciem bywał pan częstym gościem w domu stryja. Co pana tam sprowadzało?

– To co zwykle – skrzywił się kwaśno Chaim. – Sprawy rodzinne, panie oficerze.

– A może rozwiązał pan kwestię zadłużenia w inny sposób, kradnąc kolekcję wartą miliony? Czy to nie dlatego Saul nie zawiadomił policji, aby nie kompromitować nazwiska Rottenbergów? Być może uznał, że brudy rodzinne należy prać we własnym domu? Jest wiele możliwości. Ale wszystkie mają jeden wspólny mianownik: pańską żalosną osobę, Chaimie Rottenberg.

– Nikogo nie zabiłem. Nie powiem nic więcej bez adwokata. – Chaim podjął decyzję. Nie wypowie już ani jednego słowa. Dalsza szermierka słowna nie ma sensu. Nie wyprowadzi w pole tego oficera o zimnym przenikliwym spojrzeniu. Potrzebuje pomocy. I wie, gdzie się po nią zwrócić.

Abell opuszczał areszt z mieszanymi uczuciami. Udało mu się wyprowadzić Chaima z równowagi i wykazać, że ma coś na sumieniu. Szuler kluczył i próbował go zwodzić. Ale do niczego się nie przyznał. Mógł go oskarżyć o kradzież kolekcji i zabójstwo, a prokurator zapewne podzieliłby jego zdanie. Góra nieoddanych długów była wystarczającym motywem. Intuicja mówiła mu jednak, że to rozwiązanie jest zbyt proste. *Ważne są szczegóły i detale*. Nie umknęło jego uwagi, że Chaim przemilczał wszystko to, co dotyczyło Kabały i zaginionej kolekcji. Fakt, wyglądał, jakby zaskoczyła go wiadomość o śmierci Adele. Ale jakoś mało przekonująco zapewniał, że nic nie wiedział o zniknięciu obrazów. Maczał w tym palce? Bardzo możliwe. Miał cholernie dobry powód, aby ukraść i zabić. Tak... – potarł zafrasowane czoło – ważne jest tylko to, czego Chaim nie powiedział.

## 12.

Komisarz Mohl ostatnio źle sypiał. Do jego gabinetu docierały gniewne pomruki gdańskich nazistów, którzy złapali wiatr w żagle, od kiedy ich Führer zasiadł w fotelu kanclerskim. Czasy się zmieniały, stare odchodziło w przeszłość, a nowego się bał i nie rozumiał. Miał świadomość, że musi coś z tym zrobić. Przystosować się i pójść na kompromis albo zginąć.

A do tego wszystkiego dochodził problem z Heike. Gdy owdowiał, był przekonany, że emocje pewnego rodzaju już się dla niego skończyły. Ale po roku od pochowania żony, na przyjęciu noworocznym w Dworze Artusa, poznał Heike: młodą, olśniewającą i pełną życia. Zakochał się jak sztubak. Musiał jej imponować w swoim galowym mundurze. „Mój ty oberpolicjancie” – mawiała, czule gładząc go po policzku. Po trzech miesiącach znajomości wzięli ślub w oliwskiej katedrze. Heike była bezpruderyjna, chętna i namiętna. Znowu poczuł się mężczyzną. W pierwszych dwóch latach kochali się codziennie. Uczyła go sztuczek, o jakich tylko czytał w raportach z gdańskich lupanarów. Zamykał wtedy oczy i dziękował losowi za ten dar, na który tak naprawdę sobie nie zasłużył. Ale ostatnio, od kiedy w mieście zaczęto odsuwać go na boczny tor, coś się w ich relacjach zmieniło. Najpierw robiła awantury, dlaczego rzadziej chodzą na rauty i przyjęcia. Potem zacisnęła usta i zwarła nogi, już nie dzielili sypialni. Nie miał złudzeń, że ją traci. Zrozumiał, że była z nim dla jego pozycji, prestiżu i pieniędzy, a nie dla niego samego. Zresztą czy mógł się temu dziwić? Kim tak naprawdę był? Niewłaściwym człowiekiem na niewłaściwym miejscu, reliktem przegrywającej epoki, fizycznym wrakiem z obrzydzeniem oglądającym rano swoje nagie obwisłe ciało porośnięte

kępkami bladych włosów. Widział głodne oczy, jakimi wodziła za młodymi oficerami, wchodzącymi do jego gabinetu. Znowu była suką, tak jak w czasie, gdy się poznali. Znienawidził ją wtedy, mógłby ją chwycić za gardło i tłuc głową o ścianę, rozcierać ten kurewski uśmiech na tynku, patrzeć, jak wierzga i błaga rozpaczliwie o litość. A potem wziąłby ją na podłozie jak ostatnią szmatę, jak kurwę z najtańszego burdelu... A jednak nie potrafił jej skreślić, wyprzeć z pamięci jej pocałunków i dotknięć. W nocy nasłuchiwał odgłosów z jej sypialni i łkał bezgłośnie w poduszkę. Każdym nerwem pragnął tej suki. Gotów był podpisać pakt choćby z diabłem, byleby tylko było tak, jak kiedyś. Ale aby tak się stało, potrzebował jakiegoś sukcesu, który odwróci złą passę. Odniesionego tutaj, w tym obcym mu i nienawistnym gmachu.

Człowiek, który mógł mu to zapewnić, stał właśnie po drugiej stronie biurka, poprawiając mankiety i lustrując błysk świeżo wyczyszczonych butów.

– Jakies postępy w śledztwie, Abell? Nie ukrywam, że bardzo na nie liczę. Saul Rottenberg miał znajomych w Senacie, prasa także ciągle wisi nam u gardła.

– Komisarz przetarł przekrwione oczy, odpychając od siebie ponętą wizję Heike.

Był już dwudziesty piąty kwiecień, minęły właśnie dwa tygodnie od odnalezienia zwłok Saula Rottenberga. Abell uznał, że czas już najwyższy na przedstawienie zwierzchnikowi zwartego raportu o stanie śledztwa, z uwzględnieniem ostatnich zeznań Salomona i Chaima Rottenbergów. Przez następne kilkanaście minut referował je komisarzowi, starając się przedstawić mu swój sposób myślenia i rozumowania.

– Od początku podejrzewałem, że rozwiązania zagadki obu zbrodni należy szukać w rodzinie Rottenbergów. I zdania nie zmieniałem – powiedział, patrząc w zmęczone oczy komisarza.

– Którego z nich pan podejrzewa, Abell? A może działali w zмовie? Obaj mieli dobry motyw do popełnienia zbrodni.

– Rozważałem taką możliwość. Rozdzielmy na chwilę oba morderstwa, chociaż jestem przekonany, że zostały dokonane tymi samymi rękami. Zaczniemy od morderstwa Saula Rottenberga. Salomon nie mógł zabić brata, to oczywiste. Ma niepodważalne alibi na dzień zbrodni, chociaż wygląda na to, że sam zapobiegliwie o nie zadbał. Nienawidził Saula, uważał, że został przez niego pokrzywdzony przy podziale rodzinnego majątku. Zawsze żył w cieniu bardziej zdolnego i docenianego brata i źle to znosił. To typ o zamkniętej, wycofanej osobowości. Targają nim skrajne emocje. Psychicznie na pewno zdolny do współsprawstwa zbrodni. Do tego wszystkiego dochodzi Kabała... – Abell podniósł się i rozpiął guzik w koszuli. Komisarz nigdy nie otwierał okien w swoim gabinecie, a powietrze można by kroić tu nożem. – Salomon żył pod jej przemożnym wpływem – kontynuował – nie zachowywał się racjonalnie. W pewnym sensie przypomina narkomana wdychającego trujące opiaty. Był zaczadzony Kabałą, a mistycyzm połączony

z fanatyzmem religijnym to potężna siła, która może pchać człowieka do najbardziej szalonych i zbrodniczych czynów. Nie ukrywam, że trop kabalistyczny uważam za istotny dla rozwiązania całej tej ponurej historii. Fascynacja tajemnicami Kabały, w jakiś niezrozumiały dla mnie sposób, łączy bowiem prawie wszystkich członków tej dziwnej rodziny. Ale wracając do Salomona, miał wyrazisty motyw. Do tego stopnia zazdrościł bratu jego dorobku w studiach nad Kabałą, że ukradł mu jego odkrycia i zamierzał przypisać je sobie. Liczył, że w ten sposób podreperuje swój mocno nadszarpnięty autorytet we wspólnocie ortodoksów. Czy żeby ukryć tę kradzież, pomyślał o usunięciu niewygodnego brata raz na zawsze? Mógł przecież zlecić zabójstwo komuś innemu, zapewniając sobie niebudzące wątpliwości alibi. Tego jeszcze nie wiem – potarł ręką spocone czoło i spojrzął tęsknie na zamknięte okno. – Mokłą robotę mógł zostawić choćby bratankowi, zakale tej rodziny, który miał swoje własne powody, by pozbyć się stryja.

– Wygląda mi to na dość spójną hipotezę.

– Ale na razie pozostaje tylko hipotezą. Chaim nie przepadał za Salomonem i wzajemnie. Zbyt wiele ich różniło, aby mieli zawrzeć tak ryzykowny i uzależniający ich od siebie układ krwi i milczenia. Nie mieli do siebie zaufania. Jeśli Salomon nie zlecił morderstwa Chaimowi, to komu? Nie miał zbyt wielu możliwości ani znajomości. Żyje w hermetycznym środowisku. Mamy swoich ludzi w synagodze. Donoszą dziś bardziej gorliwie niż kiedykolwiek przedtem. A jednak nikt nie słyszał o jakichkolwiek kontaktach Salomona z półświatkiem. Poza tym, zakładając, że sprawca jest jeden i ten sam, po cóż miałby zabijać w tak bestialski sposób Adele? Dlatego na tym etapie śledztwa jestem ostrożny z umieszczeniem Salomona w gronie podejrzanych. Jest złodziejem, zgoda, złapałem go prawie za rękę na grabieży intelektualnej własności brata. Ale czy mordercą? Nie jestem przekonany.

– A więc Chaim?

– Właśnie, czy zabójcą może być sam Chaim? To już bardziej prawdopodobne. Miał ogromne długi, a obaj wiemy, że pieniądze to najczęstszy motyw zbrodni. Co ważne, Chaim nie ma wiarygodnego alibi ani na dzień pierwszej zbrodni, ani na dzień, w którym uśmiercono Adele. Wkrótce po morderstwie zniknął z horyzontu, chociaż wcześniej bywał wielokrotnie w domu przy Ernststrasse. Kukulka przesłuchał wdowę Marię Gruber, u której się ukrywał. Potwierdziła, że dzień, w którym zmasakrowano Adele, spędził u niej w domu. Prawie nie wychodzili z łóżka. Kłopot w tym, że wdowa, z oczywistych powodów, nie jest zbyt wiarygodnym świadkiem. Do tego Chaim mataczy, kłamie i płacze się w zeznaniach. Uciekał przed nami jak zając, a ludzie, niemający nic na sumieniu, tak się nie zachowują. Po wszystkim zaszył się w jakiejś dziurze.

– Jak go znaleźliście? – zainteresował się Mohl.

– To nieistotne. – Abell spojrzał przeciągle na zwierzchnika. – Ważne, że teraz siedzi w dobrze strzeżonym areszcie śledczym. Z całą pewnością Chaim to teraz główny podejrzany. Zwłaszcza że pojawił się kolejny możliwy motyw... Kolekcja Saula Rottenberga. Raportowałem o jej zaginięciu jeszcze wczoraj z samego rana. To tylko wstępna hipoteza, nie mam na nią twardych dowodów. Ale wszystko wskazuje na to, że została skradziona. A jeśli tak, to powstaje pytanie, dlaczego Saul nie zgłosił kradzieży policji? Chodzi przecież o arcydzieła warte fortunę, o dzieła sztuki gromadzone przez lata, do których on sam miał wręcz uczuciowy stosunek! Trudno zrozumieć takie zachowanie, wydaje się nieadekwatne do zaistniałej sytuacji. Oczywiście, nie wiemy, jaka jest prawda. Ale jakby samorzutnie nasuwa się pewna odpowiedź: Saul nie wszczywał alarmu, ponieważ złodziejem był ktoś, kogo dobrze znał. Osoba odwiedzająca go często w górnym salonie, doceniająca klasę obrazów i ich wartość. A także znająca zwyczaje panujące w tym domu. Słowem ktoś z rodziny... czarny Piotruś.

– I Saul pomyślał, że rodzinne brudy należy prać w domu?

– Albo że to nie prawdziwa kradzież, a akt desperacji bratanka, próbującego tylko postraszyć stryja i wymusić w ten sposób kolejną pożyczkę. Taka kradzież na niby, aby potrząsnąć stryjem. Sprawa wewnętrzna, chciałoby się powiedzieć.

– To ciekawa hipoteza, wszystko zaczyna się zazębiać. Moim zdaniem mamy na niego wystarczająco dużo, aby go posadzić na dłużej. – Komisarz powoli poddawał się nieubłaganej logice Abella.

– Za wcześniej, panie komisarzu. Jeszcze muszę nad nim popracować. Kukulka węży w jego środowisku, uruchomiliśmy wszystkich szpicli. Poza tym jest kilka istotnych wątpliwości. Po pierwsze, jeśli to Chaim – to nie mógł działać w pojedynkę. Od biedy mógłby jeszcze wynieść w nocy na własnych plecach dwadzieścia osiem obrazów. Dorobienie kluczy też na pewno nie byłoby dla niego problemem. Często bywał na Ernststrasse i na pewno wiedział, gdzie były przechowywane. Ale nie wierzę, by sam w pojedynkę zamordował Saula, ktoś musiał na przykład przytrzymywać starego, gdy wlewano w niego kwas. Taka zbrodnia wymaga logistyki, przygotowania i determinacji, słowem zdecydowanych na wszystko współników od mokrej roboty. A przecież mamy do czynienia nie z pojedynczym, a z podwójnym morderstwem! Mógł wywabić Adele z domu pod byle pretekstem, ale jakoś nie widzę Chaima odrabującego stryjence głowę i zagrzebującego ją na plaży.

– Nie docenia pan takich młodzieńców urodzonych w niedzielę, Abell. Są zdolni do wszystkiego, zwłaszcza gdy chodzi o pieniądze.

– Być może. Ale nadal otwarta pozostaje także kwestia samej kolekcji. Niezależnie od motywów kradzieży, nadal nie wiemy, gdzie się kolekcja znajduje, w czyich rękach pozostaje. Mamy do czynienia z paradoksalną sytuacją: zaginął jeden z cenniejszych zbiorów dzieł sztuki w Gdańsku, a nikt nie zgłosił faktu samej

kradzieży. Nie wiadomo nawet czy obrazy były ubezpieczone. Przeszukaliśmy gruntownie dom Saula i nie znaleźliśmy ani polisy, ani testamentu. Dosłownie nic. To trochę dziwne, w tym środowisku pamięta się o takich rzeczach. Albo Saul rzeczywiście nie pomyślał o ostatniej woli, w co wątpię, albo ktoś te papiery wyczyścił. – Abel podniósł się z miejsca i zaczął nerwowo krążyć po pokoju. – Kolejny pytajnik, sadyzm, z jakim dokonano obu zbrodni. Właśnie to niezwykle okrucieństwo zastanawia mnie najbardziej. Coś tu jednak nie pasuje. Aby kogoś zmusić do milczenia na zawsze, wystarczy strzelić mu w skroń z pistoletu. Czysta robota, prawie żadnych śladów. A tutaj ktoś zadał sobie wiele trudu, aby obie ofiary umierały w niesłychanych męczarniach. Zmuszanie Saula do przełykania żrącego kwasu, symulowanie samobójstwa, masakrowanie twarzy starej kobiety, odcinanie jej głowy jakąś tartaczną piłą, w strugach krwi, to bardzo ryzykowne sposoby zabójstwa. Powtarzam, nie chce mi się wierzyć, że Chaim sam byłby zdolny do takiego sadyzmu i bestialstwa. Żeby była jasność, moim zdaniem jest w jakiś sposób zamieszany w oba morderstwa. Pozostaje dla mnie głównym podejrzanym, bez dwóch zdań. Zbyt wiele faktów go obciąża. Powtórzę jednak jeszcze raz: na pewno nie działał sam.

– Ile warta była ta kolekcja?

– Z tego, co wiem, to majątek. Znalazły się w niej arcydzieła niemieckiej sztuki, obrazy Holbeina, Dürera, Friedricha. Ale także Rembrandta, niderlandzkich mistrzów, prerafaelitów i wielu innych. To był naprawdę wyjątkowy zbiór.

– To rzeczywiście duże nazwiska.

– Mówimy o wybitnych dziełach wartych fortunę. Zabijano już z bardziej błahych powodów, panie komisarzu.

– Prasa dopytuje się już o dalsze losy kolekcji po śmierci właściciela. Powinniśmy wydać jakiś komunikat w tej sprawie.

– Jeszcze nie teraz. Rozgłos wokół kolekcji tylko wystraszy złodziei. Będziemy musieli odpowiadać prasie na niewygodne pytania. A rabusie zapadną się pod ziemię i będą próbowali przeczekać całe zamieszanie. A tak, nie wiedzą, jakie mamy zamiary.

– W porządku, niech tak będzie. Jakie wnioski, Abell?

– Wiemy już, że Chaim jest zamieszany w całą tę historię. Wezmę go pod lupę, postaram się mocniej przycisnąć. Jest sprytny i zręczny, ale już raz udało mi się wyprowadzić go z równowagi. Mam nadzieję, że w areszcie trochę skruszeje. Taki pięknoduch jak on nie najlepiej się czuje za kratami. Poza tym musimy penetrować środowisko, w którym się obracał. Przesłuchamy szulerów, oskubanych frajerów, znajomych z kasyna, nawet dziwki, z którymi sypiał. Ktoś mógł coś usłyszeć, zapamiętać, zauważyć. Dotrzemy do handlarzy dzieł sztuki. Będziemy monitorować, czy nie wypłynie jakiś obraz z kolekcji. A ja muszę znaleźć jakąś nić, która wiąże oba morderstwa z Kabałą i zaginioną kolekcją.



Intucija mi podpowiada, że taki związek istnieje. Jeśli go odnajdę, sprawa ruszy z miejsca.

– Dobrze, ma pan moją zgodę. Ale niech pan mi wreszcie coś przyniesie, Abell.

## **Rozdział IV**

### **Kolekcja**

## 1.

Najbardziej bała się nocy. Ciemność przynosiła pożądliwość i rozpacz, ale i wspomnienie czułości, którą on ją obdarzał. Była jak wysuszony wiór, jak pusta kłoda. A on tchnął w nią życie i nappełnił wiarą, że życie to nie tylko obowiązek, ale także namiętność i uniesienie. Gdy otulała ją ciemność, kładła się w łóżku nago, wodząc dłonią po miejscach obudzonych przez kochanka. Po piersiach, które kiedyś wydawały się jej płaskie, a później lgnęły do jego dłoni jak słoneczniki do słońca. Po łonie, niegdyś zasuszonym i martwym, które on uczynił swoim naczyniem. Dawniej wstydziała się swego ciała, skrywając je za pancerzem krochmalonych fartuszków i bezkształtnych sukni, zapinanych pod szyję. Całe życie była tylko służącą, a on odkrył w niej kobietę. Kochankę, opiekunkę, może przyszłą żonę? Sama myśl o tym była jak słodki narkotyk. Pozwalała żyć, przetrwać kolejne dni, każdy równie nudny i beznadziejny. Tylko oczekiwanie na wieczorne ukradkowe spotkania z nim trzymało ją przy życiu.

To dzięki niemu odnalazła w sobie namiętność, o której istnieniu zawsze wiedziała. Pozwalała mu na wszystko, bo sama pragnęła jeszcze więcej. Był taki zręczny i mądry. Patrzył na życie w sposób niedostępny dla innych. Tak jakby dysponował jakimś doświadczeniem, tajemną wiedzą nieprzeznaczoną dla zwykłych zjadaczy chleba. To dzięki niemu zrozumiała, że nie ma jednej moralności. Każdy powinien brać od życia tyle, ile tylko potrafi. W życiu nie ma nic więcej, poza samym życiem. To cała tajemnica. Więc brała je całymi garściami, zachłystując się i smakując, dopóki źli ludzie go jej nie zabrali.

Charlotta Monk wtuliła głowę w zimną poduszkę. Księżyc był w pełni. Jego zimne światło ginęło w pomroku jej samotni. Chciała wyc z rozpacz w nocnej ciszy. Wiedziała, że ta miłość warta jest każdej ceny i każdego poświęcenia. Dlatego robiła dla niego rzeczy, o których kiedyś bałaby się nawet pomyśleć. I służyła mu tak wiernie.

## 2.

Czwartkowy dzień chylił się już ku końcowi, gdy Abell przekroczył Bramę Wyżynną na Głównym Mieście. Zapalono pierwsze latarnie, których żółtawe światło odbijało się w kamiennym bruku. Sklep z antykami Franka Godsuckera znajdował się w eksponowanym miejscu, przy Langer Markt. Godsucker, pochodzący z rodziny szkockich kolonistów, którzy przybyli nad Motławę jeszcze w XVI wieku, od lat zajmował się handlem dziełami sztuki. Miał wyrobioną pozycję w mieście i od dawna zaopatrywał bogatych mieszczan w obrazy i piękne przedmioty, ściągane nie tylko z całych Prus Wschodnich i rodzimej Szkocji, ale

także ze Skandynawii, Litwy i Polski. Wiedział wszystko o handlu dziełami sztuki i – co ważne w tym interesie – cieszył się nienaganną opinią. Nigdy nie sprzedawał falsyfikatów, a w przypadku wątpliwości co do oryginalności czy pochodzenia sprzedanych przedmiotów natychmiast zwracał pieniądze, dołączając zawsze gustowny prezent z przeprosinami.

Abell lubił jego sklep z bardzo prozaicznego powodu. Już kilka razy sprzedawał Godsuckerowi cenne drobiazgi wyszperane na pchlich tragach, a stary nigdy nie kręcił nosem na drobnicę. Przeciwnie, zawsze płacił od ręki i chwalił Abella za dobry gust. Abell kupił też u niego za umiarkowaną cenę kilka wartościowych książek i grafik. Starzec, zwłaszcza w ciężkich czasach, które nadeszły po wielkim kryzysie, nie gardził nawet stosunkowo niewielkimi transakcjami. Pochylał się zarówno nad Żydem przynoszącym do jego sklepu średniowieczny jad wysadzany drogimi kamieniami, jak i nad spauperyzowanym urzędnikiem, zmuszonym do pożegnania się z rodzinnym portretem, wiszącym nad kredensem od pokoleń. Studenci przynosili mu stare księgi wyszukane w antykwariatach, a niemłode wdowy poczerniałą biżuterię, którą mężowie przywozili dla nich z Antwerpii, Marsylii czy egzotycznych Indii Holenderskich. Z tego powodu jego sklep bardziej przypominał *kunstkammer* renesansowego władcy niż salon typowego marszanda dzieł sztuki.

W witrynie od lat stał antyczny koń na biegunach, z płozami wykonanymi z bursztynu. Godsucker miał sentyment do tego eksponatu. Twierdził, że kupił go przed półwieczem na targu w Dorpacie za przysłowiową czapkę śliwek. Gdy klient otwierał drzwi do sklepu, koń – jakby za naciśnięciem czarodziejskiego guzika – zaczynał bujać się na biegunach. Od lat sztuczka ta przyciągała przed sklep dzieciarnię, co nieodmiennie bawiło starego, który zza firanki obserwował te sceny spod swoich rudych, nastroszonych brwi.

Abell wchodząc do sklepu, odruchowo spojrzał na witrynę. Zgodnie z jego oczekiwaniami koń ożył, witając go bujaniem biegunów z jantaru. W środku początkowo nie zauważył właściciela, rozejrzał się więc zaciekawiony po tym niezwykłym sklepie. Wszystkie ściany obwieszane były obrazami z różnych epok. W oszklonych witrynach tłoczyły się srebrne precjoza, stosy sztuców z grawerowanymi trzonkami, mosiężne figurki psów, kotów i małych wędrowców w spiczastych kapeluszach. Na komodach stały zegary z marmurowymi nadstawkami i dziesiątki innych przedmiotów, których wspólnym mianownikiem była uroda i patyna czasu.

Abell zwyczajowo wizyty w sklepie Godsuckera rozpoczynał od oględzin ogromnego regału znajdującego się na wprost wejścia, wypełnionego leksykonami i encyklopediami poświęconymi faunie. *Historia naturalna* Pliniusza stała tu obok wielkiego albumu z wizerunkami zwierząt, ryb, roślin i jamochłonów, stworzonego przez Holendra Albertusa Seba na przełomie wieku XVII i XVIII, oraz leksykonów

Konrada Gesnera i Johanna Daniela Meyera. Szczególną uwagę przyciągało jednak łacińskie wydanie dzieła zwanego *Fizjolog*, anonimowego tekstu greckiego poświęconego faunie, florze i przyrodzie nieożywionej. Do realnie istniejących zwierząt dodano niezwykłą galerię fantasmagorycznych bestii i stworów o wydumanych zachowaniach.

– A pan radca jak zwykle przy półce ze swoim ulubionym *Fizjologiem* – doleciał go głos starca. Godsucker wychylił się zza regału wypełnionego porcelaną miśnieńską. Miał siódmy krzyżyk na karku i blade oczy, z których starość zmyła już błękit. – Dziwnie pana ciągnie do tego bestiariusium.

– Witam, panie Godsucker. Przebywam ciągle między bestiami, tyle tylko że w ludzkiej skórze. Pewnie dlatego tak ciekawią mnie te fantastyczne twory wyobraźni.

– Wie pan, skąd się bierze ta popularność bestiariów w dawnych wiekach? Po prostu ludzie w Średniowieczu nie wiedzieli, jak wyglądają dzikie zwierzęta. Epoka kolonizowania Afryki czy Azji była jeszcze przed nimi. Aż do czasów Oświecenia wierzono na przykład w istnienie mitycznych jednorożców. W każdej aptece można było dostać jego sproszkowany róg. A wyobraźnia autora pańskiej ulubionej książki i jego następców była doprawdy nieskrępowana. Nie tylko domalowywał dzikim zwierzętom nieistniejące rogi i podwójne głowy, ale także falsyfikował, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, ich zwyczaje, dodając do nich moralizatorską otoczkę. I tak w jego księdze poczciwy bóbr nie tylko nagminnie odgryza sobie jądra, ale także jest wzorcem do naśladowania dla dobrego chrześcijanina, którego nęka szatan kusiciel. Czy wie pan, dlaczego artyści w dawnych wiekach tak rzadko sięgali po motywy zwierzęce?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– Odpowiedź jest prosta: bo nie wiedzieli jak te zwierzęta, może z wyjątkiem psa, kota, konia czy krowy, dokładnie wyglądają. Dlatego woleli malować Madonny. Aż do osiemnastego wieku w Europie nie wiadomo, jak wygląda żyrafa. W starożytności, w czasach Juliusza Cezara, nazywano ją *camelopardus*, czyli połączenie wielbłąda z lampartem. Imaginuje pan sobie? Dopiero Gesner w swej encyklopedii pokazuje nam żyrafę na podstawie żywego okazu. Trafił on do Florencji na dwór Medyceuszy jako prezent od kedywa Egiptu. Słynna biała żyrafa z tryptyku Hieronima Boscha *Ogród rozkoszy* powstała właśnie na podstawie tej ilustracji.

– A nosorożec ze znanej ryciny Dürera?

– Dobry przykład, panie radco. Żywy nosorożec trafił z Indii na dwór króla Portugalii. Sam Dürer na własne oczy nigdy go nie widział. Wzorował się na przysłanych mu szkicach, czerpiąc obficie także z własnej wyobraźni. Jak pan doskonale pamięta, panie radco, zwierzę naszego geniusza ma na sobie zbroję wzorowaną na pancerzach rycerzy cesarza Maksymiliana Habsburga<sup>[20]</sup>, na której

widać nawet nity. Ale ja tu pana zanudzam, panie radco, a pan na pewno nie zaszczyca mnie odwiedzinami z powodu bobra bez jąder czy nosorożca w zbroi. Proszę wybaczyć staremu człowiekowi, ludzie w moim wieku robią się nieznośnie gadatliwi. Pewnie boją się, że nie zdążą podzielić się ze światem tymi wszystkimi mądrościami, jakie gromadzili przez lata.

– Przeciwnie panie Godsucker, właśnie rozwiązał pan dręczący mnie od lat problem tych nitów na rycinie Dürera – zażartował policjant. – A poza tym dobrze się czuję w pańskim sklepie. Czasami mam wrażenie, że minąłem się z powołaniem i tracę czas na nieustanną zabawę w chowanego z bandytami.

Godsucker pokiwał ze zrozumieniem głową. Sam czuł się jak ten nosorożec z ryciny, relikw starych, dobrych czasów odchodzących na jego oczach w przeszłość. A dobre wychowanie było jedyną tarczą ochronną, jaka mu pozostała. Przy tym na swój sposób lubił i szanował tego oficera o niezwykłych jak na policjanta zainteresowaniach.

– Panie Godsucker, nie ukrywam, że jestem tu służbowo. – Abell uznał, że czas przejść do rzeczy. – Czy mógłbym skorzystać z pana wiedzy w pewnej nurtującej mnie sprawie?

Starzec uprzejmym gestem zaprosił go do kantorka pod oknem i przekazał opiekę nad sklepem młodemu subiektowi. Ten nie wyglądał na sprzedawcę. Raczej na boksera o rozplaszczonym nosie i mocarnych ramionach ledwie mieszczących się w tabaczkowym tużurku, jakby ściągniętym z młodszego brata.

– To Rudi, mój nowy uczeń – powiedział Godsucker, widząc zainteresowanie Abella. – Pomogłem mu w potrzebie, a teraz on ma oko na sklep. Szybko się uczy i w razie czego potrafiłby mnie obronić. Ma dziwne znajomości, ale ja o nic nie pytam. Takie czasy...

– Oczywiście... Znał pan Saula Rottenberga? – zapytał Abell. Odwrócił wzrok od boksera za ladą i pociągnął dobry łyk parzącej, gęstej jak lawa kawy, którą poczęstował go marszand.

– Jak wielu. Ale, zdziwi się pan, znamy się jeszcze z czasów wielkiej wojny. Służyliśmy razem w czwartej dywizji piechoty, pod wodzą następcy tronu. Chociaż w innych jednostkach.

– Na pewno słyszał pan o jego kolekcji?

– Któż by o niej nie słyszał, drogi radco? Same arcydzieła, prawdziwe cymelia – stary cmoknął, jakby dla dodania wagi swoim słowom. – Nawet się zastanawiałem, jakie będą jej dalsze losy po śmierci Saula i Adele. Straszna tragedia, czytałem wczoraj artykuł w gazecie.

– Widział pan kiedyś te obrazy?

– Tylko raz. Saul bardzo pilnował swego skarbcza. Ale od tego, co zdążyłem zobaczyć, mogła rozboleć głowa. Wspaniały Cranach, Dürer, Holbein, Friedrich, szkic Bruegla Starszego, prawdziwe arcydzieła. Nie mówiąc już o niewielkim, ale

pięknym płótnie Rembrandta. Zapytałem go nawet czy nie chciałby sprzedać kogoś z tych dzieł, ale stanowczo odmówił. Powiedział, że braci się nie rozdziela.

– Braci się nie rozdziela?

– Dokładnie tak. Dość oryginalne podejście, prawda?

– No tak. Powiem teraz coś, co musi pan zachować do swojej wyłącznej wiadomości, panie Godsucker. Czy mogę liczyć na pańską absolutną dyskrecję?

Starzec milcząco skinął głową.

– Rozmawiam już tylko z panem Bogiem, panie Abell. A on jest aż nad wyraz małomówny.

– Kolekcja Saula Rottenberga została najprawdopodobniej skradziona.

Starzec potrząsnął szopą siwych nastroszonych włosów. W jego wyblakłych oczach zapalił się ogień ciekawości.

– A to ci dopiero rewelacja! Jak żyję, nie słyszałem w naszym mieście o kradzieży zbioru tak cennego i wyjątkowego zarazem. Ciekawe, kto się na to porwał? Takie obrazy trudno ukraść, a jeszcze trudniej sprzedać.

– Właśnie w tym celu pana odwiedziłem. Panie Godsucker, zna pan ten rynek jak mało kto. Proszę powiedzieć, kto pana zdaniem mógłby być zainteresowany przejęciem zbioru Saula?

– Jak rozumiem, pyta mnie pan czy znam kogoś, kto miałby środki, aby zorganizować taką kradzież? Kto pożałoby tych obrazów tak bardzo, że poważałby się na taki czyn, nie bacząc na związane z tym przeszkody, ryzyko i trudności?

– Dokładnie to miałem na myśli.

– To trudne pytanie. Z jednej strony Wolne Miasto to ogromny rynek dzieł sztuki. Wojenne zawieruchy, z wyjątkiem krótkiego epizodu wojen napoleońskich, szczęśliwie omijały miasto. Patrycjusze się bogacili na handlu z Polską. Z portu wypływały na zachód statki wyładowane drewnem i zbożem, a wpływały galeony wiozące obrazy włoskich i niderlandzkich mistrzów czy też szlachetne kamienie i złote precjoza, wykonane przez jubilerów Antwerpii i Brugii. Przez wieki miasto zgromadziło niesłychane bogactwa i mam tu na myśli nie tylko płótna wielkich mistrzów, ale także cenne przedmioty ze sfery rzemiosła i szeroko pojętej kultury materialnej. Ale wracając do meritum pańskiego pytania – starzec przetań zamglone szkła okularów w szylkretowej oprawie. – Przychodzi mi na myśl przynajmniej kilka osób, które chciałyby wejść w posiadanie takich arcydzieł. Inni sopoccy kolekcjonerzy. Marszandzi spoza Wolnego Miasta, czyli z terenu Rzeszy. Zleceniodawca mógłby też pochodzić zza oceanu. W Ameryce do dobrego tonu wśród tamtejszych krezusów należy kompletowanie własnej kolekcji, najlepiej złożonej z dzieł europejskich mistrzów. Ale chcieć, nie znaczy móc. Takie arcydzieła jak te z kolekcji Saula są praktycznie niesprzedawalne na rynku

antykwarem. Zostały skatalogowane, sfotografowane i generalnie są zbyt cenne. Nikt ich nie kupi. Z jednym wyjątkiem...

– Kogo pan ma na myśli? – Abell poruszył się na fotelu.

– Kolekcjonerzy z wielką kasą. Bogaci, ekstrawaganccy dziwacy, których stać na to, by zlecić kradzież arcydzieła tylko po to, by zamknąć je potem w sejfie lub podziwiać w samotności w swojej domowej kapliczce.

– Jakieżś podpowiedzi, nazwiska, panie Godsucker?

– Proszę nie wymagać ode mnie zbyt wiele, panie Abell – marszand rozłożył ręce w geście udawanej bezradności. – W samej Rzeszy jest przynajmniej kilka takich osób. Nie mówiąc już o wspomnianej Ameryce, gdzie prawie każdy świeżo upieczony miliarder marzy o Monecie nad kominkiem.

– Jasne, panie Godsucker. Rzeczywiście wymagam od pana zbyt wiele. Proszę przyjąć moje przeprosiny.

– Żyję w Gdańsku ponad pół wieku i miałem wiele kontaktów ze stróżami prawa. Ale jeszcze nigdy nie usłyszałem przeprosin od państwowej policji.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz, panie Godsucker. Ale wracając do naszej rozmowy. Zakładając, że ma pan rację i że rzeczywiście zleceniodawcą tej kradzieży był inny kolekcjoner czy bogacz, powstaje pytanie o wykonawców. Ktoś musiał przecież te obrazy fizycznie ukraść, wywieźć z Gdańska lub gdzieś ukryć. Pytanie, kto i w jaki sposób to uczynił? Odpowiedzi na te pytania ściśle wiążą się ze śledztwem, mającym na celu wykrycie sprawców morderstwa małżeństwa Rottenbergów. Dlatego są dla mnie takie ważne.

– Domyślam się, panie radco. Ale nie wiem, czy będę mógł pomóc. Jeśli spodziewa się pan, że znam jakichś ludzi, którzy żyją z wykonywania podobnych zleceń, to oczywiście będę zmuszony pana rozczarować. Takie obrazy nie giną codziennie. Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie kradzieży tak znaczącej, na taką skalę.

– A jednak ktoś je ukradł. Fachowo i nie pozostawiając żadnych śladów. Pan wie, panie Godsucker, podobnie jak ja, że źródłem wszelkiego zła na świecie jest sam człowiek. Ze swoją nieposkromioną pożądlivością, nienasyceciem, bezkresnym egoizmem i pogardą dla bliźniego swego. Muszę odnaleźć tych ludzi. I zapewniam pana, że pomimo wszelkich przeszkód znajdę ich.

– Tak, ktoś to zrobił. – Stary człowiek pomyślał, że nie chciałby mieć za wroga tego policjanta. – Przyszło mi do głowy, że mógłby pan popytać w porcie. Gdański półświatek zajmuje się dzisiaj głównie przemytem. Przemycają wszystko: towary bez cła, ludzi, papierosy, broń, alkohol, nawet bursztyn i paliwo. To wykwalifikowani i sprytni ludzie. Dysponują odpowiednimi środkami i dziuplami, w których przechowują towary. Z całym szacunkiem dla policji – starzec uśmiechnął się ironicznie – Kripo przegrywa z nimi na całej linii. Nie znam szczegółów, ale myślę, że tacy ludzie śmiało poradziliby sobie z kradzieżą. Podam



panu pewne nazwisko, może się pan na mnie powołać.

Pochylił się w stronę policjanta i szepnął mu nazwisko na ucho. – Ale proszę postępować dyskretnie – powiedział. – Nie chciałbym, aby się po porcie rozeszło, że współpracuję z policją. Chyba że pan mi źle życzy.

– W żadnym wypadku, panie Godsucker. Bardzo mi pan pomógł. Proszę przekazać wyrazy uszanowania dla małżonki.

– Dziękuję w imieniu Trudi. Ma tyle lat, co ja, ale los obchodzi się nią mniej łaskawie niż ze mną. Już nie wychodzi z domu. Siedzi na werandzie otulona kocem i twierdzi, że rozmawia z Bogiem. To znaczy, ona mówi, a on słucha. Zapytałem ją ostatnio, jaką przyszłość przygotowała nam najwyższa istota? I wie pan, co odpowiedziała?

– Zamieniam się w słuch, panie Godsucker.

– Że ludzie będą palić ludzi w wielkich piecach. Słyszał pan podobną bzdurę? Pan sobie to wyobraża? No ale Trudi ma już swoje lata...

Następną godzinę Abell spędził na wypytywaniu starego marszanda o obrazy i mistrzów z kolekcji Rottenberga. Uważnie słuchał jego barwnych odpowiedzi, notując coś w swoim notesie. Od czasu do czasu podnosił zdziwiony wzrok na swego rozmówcę, jakby upewniał się, czy dobrze rozumiał jakiś wątek lub fakt z życiorysu malarza.

Wychodził żegnany długim przeciągłym spojrzeniem Rudiego. Dziwnego subiekta sobie wybrał stary Godsucker, pomyślał i zamknął za sobą drzwi.

Wracał z przekonaniem, że musi raz jeszcze dokładnie przestudiować katalog i zwrócić się o pomoc do Gabi w rozwiązaniu nurtujących go kwestii. Koń na biegunach pożegnał go smutnym wejrzeniem tak, jakby było pewne, że widzą się po raz ostatni.

Tej nocy śnił o rodzinnym Marienwerder. Widział małego chłopca w krótkich spodenkach, ganiającego z braćmi Kegelami po pobliskiej targowicy, na którą przyjeżdżały tabory cygańskie. Rozpalał wraz z nimi ognisko, do którego wrzucali naboje od karabinów, znalezione w okolicznych piwnicach. Słyszał krzyk młodszego z braci, któremu wybuch niewypału urwał palce prawej ręki. A potem spoglądał na kamienicę przy Rozspitzerstrasse 27 w rodzinnym Marienwerder. Przez oszkloną werandę do ich mieszkania wpadały smugi słońca, niosąc na swych skrzydłach drobiny kurzu. Jego matka wiórkowała właśnie podłogę w salonie. Ich spojrzenia spotkały się i w jej oczach dostrzegł miłość i niepokój. Czy wszystko w porządku Christianie? Nie biegaj tak szybko, jakby gonił cię wiatr! Patrz, jakie masz ciągle zdarte kolana! Ach, ci bracia Kegelowie, nie naśladuj ich, Christianie! Oni są starsi od ciebie! Widzisz, do jakiego nieszczęścia doprowadziły te wasze bezmyślne zabawy!

Wędrował po dużym trzypokojowym mieszkaniu, zatrzymując się na chwilę w największym pokoju, w którym wisiał ogromny obraz przedstawiający łosia na

mokradłach. Zawsze intrygowało go to zwierzę. Było ciemne i majestatyczne, z wyrazem smutku w oczach, tak jakby zdawało sobie sprawę, że zaraz, razem z tą wspaniałą głową i rogami, pochłonie je mokradło.

A teraz znajduje się na zakurzonej podwórku. Jedną ręką trzyma ogromną pajdę chleba z masłem i pomidorami, posypaną gruboziarnistą solą. Natomiast drugą – cudem utrzymując równowagę – steruje ciałem. Trzyma się parapetu, przesuwając wzdłuż elewacji domu, przywierając stopami do występu muru.

Następnie zeskakuje na ziemię i chroni się w cień wielkiej gruszy, rosnącej na środku podwórza. Ciemną gęstwinę liści rozjaśniają placki bursztynowych owoców, słodkich i cierpkich jednocześnie. Ich sok spływa mu po brodzie, tworząc lepkie strumyki zbierające się u bosych stóp.

Teraz śnił o zimie w Marienwerder. Szusował z pagórka zagajnika nazywanego małpim gajem naprzeciwko ich domu. Święty Mikołaj przyniósł mu pod choinkę nowe sanki, a on pędzi w dół, rozpięta go dumą, jest w euforii, wdycha pełną piersią lodowate powietrze. Świat był taki piękny i biały, a przyszłość, nawet ta nieświadoma, pełna fascynujących niespodzianek!

I gdy tak zachłystując się radością i śmiechem, zjechał w dół i zatrzymał się na tafli ślizgawki, dostrzegł pod lodem jakiś cień. Rozejrzał się dookoła, ale inne dzieci przepychały się i krzyczały i widocznie nie widziały tego, co on. Podszedł bliżej z nagle zmartwiałym sercem i ujrzał kobiece ciało w długiej czarnej sukni. Chciał koniecznie zobaczyć, do kogo należy, więc roztarł bucikiem warstwę śniegu na lodzie, tam, gdzie pod spodem powinna znajdować się twarz. Ale ciało nie miało głowy. Ujrzał tylko ciemną zgorzel równo uciętej szyi.

Obudził się i leżał w ciemności, licząc uderzenia serca. Każde oddalało go od tego czasu, gdy otoczony był jedynie niewinnością, a przyszłość jawiła się jako słodka obietnica.

## 2.

Kolejne dwa dni były w równym stopniu podobne, co niepodobne do siebie. Niezwykle były noce spędzane z Gabi. Przyjeżdżała do niego wieczorem, już po zmierzchu. Jadali kolację w Bei Ecke, małej gospodzie na rogu ulicy. Wybierali lekkie dania z ryb, które polecała im właścicielka knajpy. Pili cierpkie domowe wino z oszronionej karafki, a on opowiadał anegdoty ze swojej pracy, które ona kwitowała śmiechem. Nocą odkrywali swe ciała, ciągle na nowo i od początku. Rano odprowadzał ją pod muzeum i udawał się do gmachu prezydium policji. Dzięki Gabi był odprężony i odzyskiwał apetyt na życie. Był świadom własnej hermetycznej i introwertycznej natury. Nauczył się z tym żyć. Ale Gabi znalazła do niego własny klucz. I niezmordowanie, codziennie, a także każdej nocy poszerzała tę szczelinę, przez którą wdierało się światło i uczucie, a on nawet nie próbował

się bronić.

Dalszy rytm dnia był już powtarzalny. Abell ślęczał nad aktami, spotykał się z informatorami w różnych podejrzanych dziurach i konferował z Plaskowitzem podczas obiadów w restauracji Der Lachs. Późnym popołudniem odnaleźć go można było w bibliotece miejskiej, pochylonego nad księgami o kabalistach i albumami o sztuce.

Gdy zamykał ostatnią księgę, uśmiechał się na myśl o rychłym spotkaniu z Gabi. Wzruszała go jej młodzieńcza szczerłość i spontaniczność. Niczego nie udawała, nawet nie próbowała skrywać swoich uczuć do niego. Widział te źrenice, nagle rozszerzające się na jego widok, i dziękował Bogu za dar, który otrzymał. Coraz częściej łapał się na tym, że do niej tęskni. Jego myśli wymykały się z ponurej celi przy Karrenwall. Unosiły się ponad ulicą, pełną spieszących się gdzieś przechodniów. Wymijały zrudziałe liście spadające z drzew i wpływały przez małe okienko do jej pokoiku w muzeum, aby zatańczyć następnie wokół jej pięknej twarzy, z woalem grubych jak kłosa blond włosów. Nie zastanawiał się, co do niej czuje. Nie próbował nazywać tego, co nim owładnęło. Wystarczyło, że był odprężony, zaspokojony i na swój sposób szczęśliwy. Miał świadomość, że jest trudnym, obolałym pacjentem, ale ona, w dziwnie bezproblemowy, naturalny sposób, potrafiła uśmierzyć drzemiący w nim niepokój.

W niedzielę dwudziestego ósmego kwietnia postanowił odwołać się nie tyle do jej uczuć, ile do jej wiedzy. Była już jego kochanką – teraz miała zostać powierniczką i doradcą. Potrzebował merytorycznego wsparcia ze strony historyka sztuki, dysponującego fachowym przygotowaniem i wiedzą. Instynkt podpowiadał mu, że istnieje jakiś tajemny kod, tłumaczący taki, a nie inny zestaw malarzy, których zgromadził w swoim zbiorze Rottenberg. Musiał raz jeszcze dokładnie pochylić się nad katalogiem i poszukać nici wiążącej poszczególnych twórców oraz ich dzieła.

Przyjechała do niego równo o osiemnastej, tak jak się umówili. Żartowała, że gdyby się spóźniła choćby o pięć minut, to ona sama byłaby najbardziej stratna. Już po jej roziskrzonych oczach widział, że ma mu coś ważnego do przekazania. I nie pomylił się.

– Kochanie, poprosiłeś mnie, abym poszukała jakiegoś wspólnego mianownika tej kolekcji – powiedziała zaaferowana, rozkładając katalog. – Saul nigdy mi go nie zdradził. Uważałam za rzecz naturalną, że jedynym kluczem jest artystyczna wartość dzieła i osobisty gust Saula. Teraz jednak dochodzę do wniosku, że nie miałam racji. Chyba istnieje taki klucz – ściszyła głos, wpatrując się w niego z napięciem. – I to taki, o którym mi wspomniałeś, studiując opisy Rottenberga pod obrazami.

– Klucz kabalistyczny? – zapytał ostrożnie.

– Właśnie. Myślę, że miałeś rację. Jesteś bardzo przenikliwy, Christianie.

I to nie tylko wtedy, gdy chodzi o odgadywanie ukrytych, kobiecych pragnień – roześmiała się i musnęła palcami jego policzek. – Z początku zlekceważyłam to, co mówiłaś. Spędziłam wiele czasu z Saulem podczas opracowywania katalogu i nigdy nie wspomniał mi o kabalistycznej proveniencji zebranych przez siebie dzieł czy twórców. Opisy pod obrazami, może z wyjątkiem tego, który dotyczył Brueglowskiego *Alchemika*, również nie rozstrzygają tej kwestii w sposób bezsporny. Odnoszą się bowiem zazwyczaj do treści samego obrazu, a nie idei kierującej artystą.

– W takim razie gdzie dowód, że moje przypuszczenia są słuszne?

– Nie ma jednego jednoznacznego dowodu. Saul swoją tajemnicę zabrał do grobu. Ale odkryłam wiele faktów, co najmniej zastanawiających... – przysunęła się do niego i otworzyła katalog na stronie z ryciną Bruegla.

– *Alchemik* przedstawia kabalistę? – zapytał.

– Być może, ale należy odwrócić rozumowanie.

– Co to znaczy? – zapytał, wpatrując się w jej nagle poszerzone źrenice.

– Nie na każdym dziele z kolekcji uda się znaleźć jakiś motyw kabalistyczny. Wierz mi, próbowałam i poświęciłam temu wiele czasu. Można szukać nadal, ale, moim zdaniem, nie tędy droga. Wykoncypowane w ten sposób interpretacje zdają mi się mocno wydumane. Ale ten ogląd się zmieni, jeśli założymy, że ukrytymi wyznawcami Kabały byli sami malarze.

– Malarze? – zapytał, nie kryjąc zaskoczenia.

– Tak, pomyśl przez chwilę, że chodzi nie o dzieła, a o samych artystów. Wtedy to, czy na obrazie odnajdziemy jakiś symbol kabalistyczny, tak naprawdę nie ma specjalnego znaczenia. Ważne, że twórca dzieła należał do ukrytej wspólnoty, wyróżniającej się w oczach Saula wiarą w tajemną moc Kabały. Tak, Christianie, myślę, że Saul otaczał się dziełami ludzi, których podejrzewał czy też uważał za współwyznawców. To jest prawdziwy klucz do zrozumienia tej kolekcji.

Abell milczał przez chwilę, wstrząśnięty tym, co usłyszał.

– Co odpowiedział Saul staremu Godsuckerowi, proponującemu mu zakup poszczególnych obrazów z kolekcji? „Braci się nie rozdziela”. Tak, to ma sens. – Potarł skronie palcami. – To możliwe.

Rozwiązanie podsuwane przez Gabi było genialne w swojej prostocie. Ci artyści towarzyszyli Saulowi w dzień i w nocy, świadkowie zauroczenia tajemną wiedzą sprzed wielu stuleci. Bracia, których jako wielbiciel rebusów odnajdywał w różnych epokach i krajach. Łączył ich talent, ale Saul widział w nich nie tylko artystów, ale także depozytariuszy tajemnicy dotyczącej początku wszechświata i sensu życia. Byli tacy jak on, skrywali podwójną naturę, potajemnie czerpali z głębin duchowości oraz opisywali świat za pomocą symboli i znaków czytelnych tylko dla wtajemniczonych. Tak, wy tłumaczenie podsuwane przez Gabi było nie tylko frapujące, przypominało wytrych otwierający zamknięty dotąd zamek.

– Weźmy Albrechta Dürera, którego rysunek, autoportret artysty, również znalazł się w kolekcji Saula. Wiele dzieł tego malarza utrzymanych jest w dziwnym, alegorycznym, chciałoby się powiedzieć „kabalistycznym” klimacie – kontynuowała Gabi. – Przyniosłam ci odbitkę jego innego arcydzieła, równie słynnego, jak Brueglowski *Alchemik*. To *Melancholia I*, miedzioryt mistrza z tysiąc pięćset czternastego roku. Każdy szczegół tej ryciny jest wieloznaczny i przepojony symboliką. Przyjęło się uważać, że *Melancholia* ilustruje płonność ludzkich wysiłków artystycznych, naukowych i intelektualnych. Ale czy aby na pewno? – Gabi zagryzła wargi, nie tając napięcia. – Spójrz na to osobliwe czarne słońce błyszczące na horyzoncie. Być może to kometa albo księżyc? Tak sądzi wielu krytyków sztuki. Ale równie dobrze może to być obca nieznana ludziom planeta, alegoria wiedzy jeszcze nieuświadomionej i nieoswojonej, słowem Kabały. Dlaczego artysta podpisał tę rycinę *Melancholia I*? Co oznacza ten znak na końcu? Kamień o geometrycznym kształcie, klepsydra, kula, magiczny kwadrat, waga, tygiel alchemika, wszystkie te przedmioty ukazane są w kosmicznym blasku. Niektóre z nich służą do mierzenia czasu, inne pomagają człowiekowi odnaleźć się w określonym miejscu. Anioł trzyma w ręku cyrkiel i otoczony jest figurami geometrycznymi, a w czasach Dürera z geometrią i matematyką właśnie łączono zarówno naukę, jak i sztukę. Pomyśl, przecież w epoce Dürera tytułowa melancholia oznaczać mogła nie tylko hipochondrię i smutek, ale także stan ducha, pozwalający tworzyć dzieła wielkie i niedostrzegalny dla zwykłych śmiertelników... Słowem, Albrecht Dürer w wielu swoich dziełach otwiera pole do różnych, także kabalistycznych interpretacji.

– Tak, zawsze miałem wrażenie, że w jego twórczości jest jakieś drugie dno, ukryte przesłanie, nad którym głowią się od lat znawcy i historycy sztuki – powiedział Abell. – Trzeba przecież pamiętać o burzliwych czasach, w jakich przyszło mu żyć i działać. W Niemczech trwały niezwykle krwawe wojny religijne. Upadały dotychczasowe autorytety. Szerzyła się wiara w magię i okultyzm. Sam Dürer porzucił starą wiarę i przyłączył się do Lutera. Kabała mogła wydawać się wielu ludziom ożywczą i pociągającą ideą oferującą nowe spojrzenie na coraz bardziej niezrozumiały świat.

– Kabalistą mógł być także tajemniczy Lotaryńczyk, Georges de La Tour, kolejny malarz z katalogu – dopowiedziała Gabi. – Mistrz światłocienia, ukryty w mrokach niepamięci przez ponad dwa stulecia aż do roku tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego, kiedy to architekt, Aleksander Joly, opublikował znalezione w archiwum notatki zapomnianego malarza z Luneville. Od tego czasu artysta ten jest obiektem swoistego kultu wśród kolekcjonerów i marszandów na całym świecie.

– Zawsze lubiłem jego obrazy. Byłem nawet zdziwiony, że Saul zdobył jedno z tych rzadkich płócien.

– De La Tour był nie tylko wielkim malarzem, ale także dziwakiem, stroniącym od ludzi. – Gabi przewróciła kolejną kartę w katalogu. – Został przez księcia lotaryńskiego zwolniony z płacenia podatków i przywileju tego pilnował zazdrośnie do końca życia. Gdy w tysiąc sześćset dwudziestym szóstym roku wyjątkowo marne zbiory sprawiły, że trzeba było w Luneville zboże wydzielać głodującym, de La Tour, już wówczas wielki pan, odmówił wydania swego ziarna. Sytuacja się powtórzyła, gdy po pięciu latach wybuchła epidemia dżumy. Nazwiska malarza nie ma w spisach bogaczy udzielających pomocy i rozdających jałmużnę. Nie skutkowały też skargi kierowane przez mieszkańców do księcia, w których domagali się oni bardziej sprawiedliwego rozłożenia podatków. Wśród miejscowych bogaczy de La Tour wymieniony jest jako „budzący nienawiść, bo jak wielki pan żywi sforę chartów i spanieli”. Inny donos mówił o tym, że „oddaje się tajemnym sztuczkom malarskim i nie tylko”. Widocznie nie po drodze mu było z maluczkimi. Był zamknięty w swoim domu jak w twierdzy, oddając się w samotności studiom malarskim nad światłem, cieniem i materią. I może rzeczywiście nad czymś jeszcze, bo światło na jego obrazach ma wymiar nieledwie mistyczny.

– *Maria Magdalena* jego pędzla, to chyba jeden z najcenniejszych skarbów Saula Rottenberga. – Abell wpatrzył się w reprodukcję dzieła. Skromnie odziana kobieta, trzymająca czaszkę na kolanach, wpatrywała się melancholijnie w płomień świecy.

– Bez wątplenia. To jedna z kilku wersji Marii Magdaleny autorstwa de La Toura. Spójrz na jej uduchowione oblicze. To nie jest zwyczajny nokturn, wprawka ukazująca mistrzostwo malarza w modelowaniu światła, które wydobywa ciało z mroku. To pełna wyrazu scena duchowa o religijnej wręcz intensywności. Spójrz, jakim opisem opatrzył to dzieło sam Saul Rottenberg:

„Wszystko, co zbędne, zostaje na tym obrazie zredukowane do niezbędnego minimum. Pozostaje tylko poszukiwanie Boga, Prawdy, Absolutu. Magdalena już przekroczyła granice ziemskiego odczuwania – należy do innego świata”. Podłóż tylko pod Prawdę i Absolut Kabałę z jej mistyką, a zyskasz nowy ogląd tego arcydzieła.

– Myślisz, że tak właśnie interpretował ten obraz Saul?

– To bardzo możliwe. Podkreślam: możliwe, bo poruszamy się w sferze domysłów i kabalistycznych konotacji.

– A dlaczego w kolekcji znalazły się dzieła prerafaelitów? – zapytał Abell.  
– O ile symbolika Dürera czy religijny klimat dzieł de La Toura rzeczywiście otwierają pole do kabalistycznych interpretacji, o tyle w przypadku Johna Everetta Millaisa trudno o takie związki.

– Zapomniałeś: nie w każdym płótnie z kolekcji odnajdziemy przesłanie kabalistyczne. Ale być może John Everett Millais poszukiwał odpowiedzi na

pytania o istotę bytu właśnie na kartach Kabały. A jeśli tak, to wszystko, co stworzył, jest w jakimś sensie kabalistyczne. Spójrz na jedno z jego najbardziej udanych płócien – *Ślepą dziewczynę*. Tradycyjnie widzi się w nim potwierdzenie wrażliwości prerafaelitów na problemy bezdomnych i dzieci kalekich. Ale to może być bardzo uproszczona interpretacja tego zadziwiającego obrazu. Główną postacią jest tu niewidoma muzykanka, do której tuli się małe dziecko, będące prawdopodobnie jej przewodnikiem. Na kolanach dziewczyny spoczywa akordeon. Cała scena umieszczona jest na tle rajskiego idyllicznego krajobrazu, którego niewidoma nie może zobaczyć ani doświadczyć. Ale możliwe jest także bardziej alegoryczne odczytanie obrazu.

– Niewidoma symbolizuje ludzkość, ślepą i nieczułą na prawdę inną od powszechnie obowiązującej – odpowiedział Abell, powoli poddając się regułom gry zaproponowanym przez Gabi. – Instrumenty służące do poznawania tego świata, takie jak wzrok czy słuch, symbolizowany przez akordeon, są martwe, a przez to bezużyteczne. Nadzieją jest dziecko, skrywające nie bez powodu swoją twarz. Jest niezepsute i naturalne, otwarte na piękno i tajemnice otoczenia. A na widnokręgu widać podwójną tęczę, alegorię dualistycznego znaczenia Biblii, opisującej dzieje od dnia stworzenia.

– Dokładnie tak, Christianie – spojrzała na niego uważnie. – Nieźle, jak na średnio opłacanego policjanta. Tak właśnie mógł przeżywać ten obraz Saul Rottenberg. I właśnie dlatego dzieła prerafaelity Johna Everetta Millaisa mogły znaleźć swoje miejsce w jego kolekcji. Chociaż akurat pod własnym Millaisem zostawił tylko jednozdaniowy dopisek: „Ktoś, kto tak namalował Ofelię, nie jest z tego świata”[39]. Jako twórca, którego obrazy były nie z tego świata, określany jest także Marc Chagall.

– Słyszałem o nim. To awangardowy kolorysta. Ożywiał na swoich płótnach życie i folklor żydowskiego Witebska.

– Nie tylko Witebska. W swojej twórczości nieustannie odwoływał się do poetyki folkloru i kultury żydowskiej. Jego obrazy są pełne magii. Z upodobaniem portretował też swoją pierwszą przedwcześnie zmarłą żonę, Bellę z domu Rosenfeld. Jego obrazy pełne są symboli: tajemniczych inskrypcji, dat w kalendarzu hebrajskim, zegarów i niebieskich skrzydeł. Ale co najważniejsze, Chagall był Żydem. Pierwszym z dziewięciorga dzieci Chaskiela i Feigi – Ity Szagał, w chasydzkiej rodzinie, której językiem był jidysz. Mały Chagall wzrastał więc w rodzinie żarliwie religijnej. Był nawet kantorem w synagodze. Jako artysta robiący karierę w Paryżu, przyjaciel Apollinaire’a, wyzbył się talmudycznych dogmatów. Ale gdy w tysiąc dziewięćset czternastym powrócił do rodzinnego miasta, z zachwytem odkrył na nowo źródła swojej żydowskiej duchowości. Jest wielce prawdopodobne, że obracał się w kręgu kabalistów. Tak więc Saul miał wszelkie podstawy, aby widzieć w nim „brata”.

– A mój ulubiony Pieter Bruegel?

– Spróbuj spojrzeć inaczej na jego słynną *Budowę wieży Babel*, popatrz na nią oczami Saula Rottenberga. Zobaczyłbyś dwie wieże: pierwszą symbolizującą oficjalną wiedzę i naukę, jeszcze nie do końca zbudowaną, a już murszejącą w dolnych partiach. A także wieżę drugą, wyrastającą z tej pierwszej, w szlachetnym odcieniu kapłańskiej purpury, stykającą się z niebiańskimi chmurami, będącą alegorią wiedzy prawdziwej i tajemnej. Po prawej stronie obrazu, jak w wielu innych swoich pracach, Bruegel maluje także ujście szerokiej rzeki ze statkami, wychodzącej w morze. Niektórzy znawcy widzą w tym odwołanie do rzeki Skaldy przepływającej przez Antwerpię. Ja jednak sądzę, że dla Saula ta woda była metaforą wielkiej przygody ludzkości, czyli Kabały. Zapewniam cię, że w tej kabalistycznej konwencji odczytać można także obrazy Hansa Holbeina, Rembrandta, Caspara Davida Friedricha, Jana van Goyena, Jacoba van Ruisdaela i innych mistrzów z kolekcji Saula.

– Właśnie o Friedrichu pomyślałem najpierw. – Abell sięgnął do szuflady biurka po swoje notatki. – Frapował mnie ten szkic do *Podróżnika po morzu chmur* i opis Saula zastanawiającego się, co widzi i o czym myśli mężczyzna odwrócony do nas plecami. Trochę posiedziałem w bibliotece i popatrz, co znalazłem. To fragment z listu Friedricha napisanego w tysiąc osiemset szesnastym roku. Przeżywał wtedy głęboki kryzys, który tak opisywał: „W moim wnętrzu przestało bić źródło, wyschła fontanna, byłem pusty. Także otoczenie przestało mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie, byłem jak głuchy i dlatego czułem, że najlepsze, co mogę zrobić, to nic nie robić. Po cóż pracować, jeśli to do niczego nie prowadzi? Ziarno musi obumrzeć i długo pozostawać w ziemi, jeśli chce się, by przyniosło jakiś plon”<sup>[21]</sup>.

– To ciekawy cytat – powiedziała Gabi z namysłem. – Być może Friedrich stracił w tym okresie życiową busolę i zaczął szukać gdzieś indziej odpowiedzi na dręczące go pytania. Może znalazł je właśnie w kartach Kabały? Przypomnę tylko, że zawsze był samotnikiem o trudnym charakterze. Dopiero ożenek z dużo młodszą kobietą sprawił, że bardziej otworzył się na świat. Nadal ulegał jednak chimerycznym nastrojom. Często wydawało mu się, że padł ofiarą spisku. Być może szukał własnej duchowej drogi w tajemnicy przed otoczeniem, nawet przed własną żoną? Takiej klarownej idei tłumaczącej mu nie tylko porządek wszechświata, ale i własne w nim miejsce?

Abell spojrział żywo na Gabi.

– A wiesz, to naprawdę znamienne, że w życiorysach lub twórczości malarzy tak różnych, jak ci z kolekcji Saula powtarzają się ciągle pewne pojęcia i wątki. Mam tu na myśli głuchotę i ślepotę wobec istoty rzeczy, niezrozumienie, samotność. To może, ale nie musi być przypadek. W każdym razie znaleźliśmy jeszcze jeden wspólny mianownik wiążący wszystkich wybrańców Saula. No tak,



bardzo mi dzisiaj pomogłaś tą swoją mądrą główką. Postaram się jakoś ci to wynagrodzić.

– Jakies pomysły w tej kwestii? – zapytała, przeciągając się leniwie.

– Na pewno coś wymyślę...

### 3.

Poniedziałkowy poranek dwudziestego dziewiątego kwietnia przywitał miasto gwałtowną nawałnicą. W Oliwie wicher pozrywał przewody elektryczne ze słupów i powietrze przesycone było zapachem spalenizny. Unieruchomione tramwaje, niczym martwe dżdżownice, blokowały torowiska i skrzyżowania ulic, potęgując tylko powstałe zamieszanie. W prezydencji policji na Abella czekał już Kukulka. Minutę później dołączył do nich Plaskowitz. Mężczyźni zamknęli się w gabinecie radcy. Po chwili na biurku pojawił się dzbanek parującej kawy. Zapowiadał się długi poranek.

– Nie wytrzymała zbyt długo. Miał szef rację. Mamy ją! – wachmistrz wyszczerzył swoje poźółkle, zepsute zęby.

– To świetnie, nareszcie – Abell nie ukrywał podekscytowania. – W jaki sposób próbowała podrzucić gryps?

– Banał. Wsadziła go w wydrażoną bułkę, którą przesłała mu paczką. Każdy z aresztantów ma prawo do dwóch przesyłek w miesiącu. Jeśli jest przed wyrokiem, może dostawać je pocztą. Pierwsza paczka nas rozczarowała. Nie znaleźliśmy w niej żadnego grypsu. Starła się być ostrożna, ale na długo tej cierpliwości jej nie starczyło. Musi być nieźle zabujana. – Kukulka obtarł usta mankietem i podał Abellowi wytłuszczoną i zrolowaną karteczkę papieru, gęsto zapisaną mikroskopijnymi, drukowanymi literami. Abell rozwinął rulonik i zaczął czytać:

*Najdroższy!*

*Minął ledwie tydzień od Twojego uwięzienia, a dla mnie to jakby wieczność. Każdy dzień bez Ciebie jest pusty i martwy, a każda noc – samotna i mroczna. Tęsknię za Tobą najukochańszy tak, jak tylko może tęsknić kobieta zakochana do szaleństwa. Wspominam twoje pocałunki i gorące dłonie, które odkryły moją kobiecość. Ale dość już o tym, pewnie czekasz na wieści dotyczące sprawy. Ten oficer prowadzący śledztwo, zdaje się Abell, niczego się nie domyśla. Strzeż się go, jest bystry, ale na pewno nic o nas nie wie. Wypytywał mnie, wiesz o co, ale niczego mu nie powiedziałam. Bądź spokojny! Szukają zguby, ale nie wiedzą, jak ją odnaleźć i do niej trafić.*

*Pomyśl o mnie tej nocy, nasze myśli się spotkają.*

## *Twoja na zawsze*

– Jak szef widzi, starała się zachować należytą ostrożność. No, nie przedstawiła się, suka przebiegła – wachmistrz ponownie odsłonił swoje zepsute uzębienie. – Ale zgodnie z rozkazem, cały czas śledziliśmy jej mieszkanie. Wczoraj wyszła wczesnym rankiem. Rozglądała się, kluczyła, dwa razy przesiadała się do różnych tramwajów, aby wreszcie powrócić prawie w to samo miejsce i wysiąść przy poczcie na Hansa Platz w Oliwie. Tam nadała przesyłkę do aresztu.

– Jakie nazwisko podała jako nadawca? – zapytał Plaskowitz.

– Oczywiście, fałszywe. Chciała się zabezpieczyć na wypadek, gdyby gryps wpadł jednak w nasze ręce. Sprytna damulka, nie ma co.

Abell rozsiadł się wygodniej w fotelu. Nareszcie odnieśli jakiś sukces. Fragmenty układanki, które dopasowywał w swojej głowie, zaczęły się zazębiać i wypełniać puste miejsca. Kukulka miał rację. Niewątpliwie Charlotta Monk była sprytną osobą. A jednak uczucie do Chaima ją zaślepilo. Popęłniła błąd i czas był najwyższy, aby wystawić jej za to rachunek.

Trzy kwadransy później policyjny adler z dwoma milczącymi mężczyznami zaparkował przy Jagowstrasse w Oliwie. Interesująca ich kamienica przypominała ceglanego mastodonta z odpadającym tynkiem. Miała brudne zacieki na elewacji i najlepsze lata już dawno za sobą. Charlottcie Monk, po wyprowadzce z rezydencji przy Ernststrasse, na pewno nie powodziło się najlepiej.

Abell pozostawił wachmistrza przed domem, każąc mu uważnie obserwować wszystkich wchodzących i wychodzących. Sam zaczął wspinać się schodami na trzecie piętro, aby po kilku minutach stanąć przed drzwiami z wizytówką „Charlotta Monk”. Pukał trzy razy, zanim zamek zgrzytnął i drzwi się uchyliły. Panna Monk nie przypominała teraz poprawnej służącej z rezydencji państwa Rottenbergów. Miała na sobie obcisłą suknię z tafty, dobrze uwidaczniającą jej kształty, oraz dyskretny makijaż podkreślający owal jej ciemnych oczu. W tych źrenicach, poza niechęcią do siebie, zobaczył jeszcze coś: żar trawiący tylko kobiety owładnięte namiętnością do mężczyzny. Służąca była zaczadzona miłością – i na taką właśnie wyglądała. Abell z zaskoczeniem skonstatował, że ten afekt dodaje jej powabu, na swój sposób była atrakcyjna. Pomyślał, że należała zapewne do kobiet, które długo czekają na pierwsze uczucie. Ale gdy już ono przyjdzie, zrobią wszystko, aby nie powrócić do jałowej samotności, w której tkwiły poprzednio. Niestety, takie kobiety często nie mają szczęścia do prawdziwej miłości i padają łatwym łupem przeróżnych hochsztaplerów. A już na pewno takiego szczęścia nie miała Charlotta Monk.

– Muszę zadać pani kilka pytań, panno Monk – powiedział, patrząc w jej

oczy przepelnione wrogością.

– Jeśli policja musi nachodzić kobietę w jej prywatnym mieszkaniu, to proszę.

Wprowadziła go do małego pokoju. Mieszkała skromnie. Poza stołem i czterema prostymi krzesłami jedynym godnym uwagi meblem była tu ciężka otomana powleczone butelkowym pluszem. Czy to na tej otomanie Chaim Rottenberg uczynił z niej swoją kochankę? Czy to tutaj szeptała mu swoje zaklęcia do ucha? Zauważyła jego spojrzenie i spochmurniała jeszcze bardziej. Nie zaproponowała kawy ani herbaty. Radca był tu niepożądanym gościem. Jej zachowanie nie pozostawiało co do tego żadnej wątpliwości.

– Panno Monk, przychodzę tu właściwie tylko w jednej sprawie. Domyśla się pani w jakiej?

– Nie mam zielonego pojęcia. Ale domyślam się, że musi być ważna, skoro postanowił pan nadal mnie dręczyć, mimo iż powiedziałam wszystko, co wiem. Przesłuchiwał mnie pan już dwukrotnie, o ile dobrze pamiętam. To jeszcze mało?

– Kłopot w tym, panno Monk, że nie powiedziała pani wszystkiego. Przeciwnie, zataiła pani bardzo ważne informacje, mające kapitalne znaczenie dla prowadzonego przez mnie śledztwa.

– A mianowicie? – Podniosła hardo głowę. Zauważył, że starła już z ust pomadkę, widocznie nie była przeznaczona dla niego.

– Zataiła pani swój romans z Chaimem Rottenbergiem. Była pani jego kochanką.

Uderzenie było celne. Charlotta drgnęła, jakby porażona prądem. Ale szybko zebrała się w sobie.

– To brudne pomówienie, panie oficerze.

– Nie wydaje mi się. Nie tylko sypiała pani z Chaimem, ale donosiła mu o wszystkim, co działo się domu jego stryja. Zresztą dowód potwierdzający to uczucie, nosi pani na sobie.

– Nie rozumiem – poruszyła się wyraźnie spłoszona, tak jakby przez chwilę przez głowę przemknęło jej nedorzeczne podejrzenie, że pocałunki Chaima pozostawiły niezmywalne ślady na jej twarzy.

– Kolczyki, panno Monk, kolczyki. Zakładając je, popełniła pani fatalny błąd.

– Ach to! – próbowała ratować sytuację. – Myli się pan, to pamiątka po mojej matce.

– Niestety, nie. Kłamie pani, panno Monk. Nie po raz pierwszy zresztą. Przykro mi to stwierdzić, ale mijanie się z prawdą weszło pani w krew. Już podczas naszego pierwszego spotkania zwróciłem na to uwagę. Służące nawet z dobrych domów nie noszą drogocennej biżuterii. A teraz już wiem, ponad wszelką wątpliwość, że te drogocenne kolczyki należały jeszcze do niedawna do grafini von

Bocksdorff. Pani luby wygrał je od hrabiny w karty. A potem podarował je pani w nagrodę. No właśnie, za co panią tak wynagrodził? Bo na pewno nie uczynił tego z miłości.

Charlotta Monk potrząsnęła głową, jakby chciała odegnać złe myśli. Cały świat, który z takim trudem budowała przez ostatnie tygodnie, zaczynał rozpadać się w gruzy. Jednak nie zamierzała poddawać się tak łatwo. Zbyt długo czekała na tę miłość. Chaim powiedział, że kupił jej te kolczyki u dobrego jubilera przy Długim Targu. Zgoda, teraz już wie, że skłamał. Ale widocznie miał jakiś ważny powód, aby tak zrobić. Być może chciał ją w ten sposób chronić? Także przed takimi wilkami w owczej skórze, jak ten policjant.

– Dobrze, przyznaję, że łączy nas uczucie. – Charlotta podjęła decyzję. Chaim by ją za to pochwalił. Zawsze powtarzał: „Charlotto, kochanie, w życiu jest jak w kartach: są atu i zwykle blotki. Powinniśmy bronić tylko tych pierwszych, inaczej przegramy wszystko”. – Ale to nasza prywatna sprawa, prawda? I nie ma to żadnego związku z morderstwami, jeśli o to panu chodzi.

– Przykro mi to stwierdzić, panno Monk, ale myli się pani w całej rozciągłości. Zacznę od końca: po pierwsze, zatajenie informacji o romansie służącej z głównym podejrzanym w sposób oczywisty ma znaczenie dla śledztwa. Mogę panią oskarżyć o złożenie fałszywych zeznań i posłać za kratki z dodatkowym zarzutem współsprawstwa w zbrodni. Po drugie, związek z Chaimem przestał być pani prywatną sprawą w momencie zamordowania pana Rottenberga. A po raz kolejny stracił status wszelkiej prywatności, gdy odcięto głowę pani Adele. I po trzecie, dla pani najważniejsze – nie łączy was żadne uczucie. To znaczy, mówiąc precyzyjnie: wierzę, że pani go kocha, zapewne do szaleństwa. Ale to uczucie nieodwzajemnione. Chaim wykorzystał panią. Potrzebował kogoś, kto donosiłby mu o wszystkim, co dzieje się w domu Saula. To tylko tyle, i aż tyle.

Próbowała opanować paraliżującą ją falę złych przeczuć. To nie mogła być prawda. Jego ciało nie kłamało podczas tych gorących namiętnych nocy. Tego się nie da udawać. Ale jednocześnie ten policjant umiejętnie podsycił jej własne wątpliwości. Nie brakowało przecież drobnych niepokojących zdarzeń czy obserwacji, które wtedy, niejako a priori, odrzucała. Takich jak ów dzień, gdy znalazła w kieszeni jego marynarki pornograficzne fotografie, a on wytłumaczył, że wygrał je w karty. Albo wtedy, gdy wrócił późno w nocy i ten jeden, jedyny raz uderzył ją w twarz, gdy była zbyt dociekliwa i zapytała, dlaczego pachnie damskimi perfumami. Ale to była jej wina, kobieta, która kocha, musi bezwzględnie ufać. Tak jej powtarzał, a ona, gdy opanowała już szloch, przyznała mu rację. Zbyt długo czekała na tę miłość, aby teraz miała ją w tak prozaiczny sposób stracić.

– Nic pan nie wie o naszej miłości – wyszeptała wreszcie zbielełymi

wargami. – Nie wierzę w ani jedno pańskie słowo. To tylko sztuczki, policyjne gierki, mające zapędzić mnie w kozi róg...

– Panno Monk, naprawdę mi pani szkoda. Myślę, że zasłużyła pani na lepszy los. Ale Chaim Rottenberg jest nie tylko szulerem, ale także notorycznym kłamcą. Nie wierzy w żadne świętości. W miłość zapewne także nie. Żyje z wykorzystywania ludzi. Pani również znalazła się na tej liście.

– To potwarz!

– Niestety, nie. Wie pani, w jaki sposób i gdzie aresztowaliśmy Chaima Rottenberga? W Pruszczu Gdańskim, w domu niejakiej Marii Gruber, starej wdowy po miejscowym rymarzu. W zamian za wikt i schronienie świadczył wdowie usługi seksualne. Złapaliśmy go w jej łóżku.

Zamknęła rozedrgane powieki. To nie mogła być prawda! Przysięgał jej, że jest jedyną kobietą w jego życiu. Robiła dla niego rzeczy, o których wstydziliby się kiedyś choćby pomyśleć. Była jego przyjaciółką, powierniczką, aby go zatrzymać, godziła się na rolę suki, którą brał, jak i kiedy chciał.

– Proszę, to zeznanie Marii Gruber, poświadczone pieczęcią sądową. Chaim obiecał wdowie ożenek, uzgadniali nawet szczegóły ślubu. Proszę je przeczytać, jeśli mi pani nie wierzy.

Jeszcze kwadrans temu by tego nie zrobiła, ale teraz, ulegając szarpiącym ją wątpliwościom, sięgnęła drżącymi rękami po papier. Czytała zdanie po zdaniu, a każde z nich bolało jak gwóźdź wbijany w serce. Nie była naiwną pensjonarką. Nauczyła się dbać o siebie. Rozumiała, że Chaim znalazł się w niebezpieczeństwie i musiał ująć pogoni. Ale nic nie kazało mu lądować w łóżku tego starego babsztyla i mieć go obietnicą małżeństwa. Małżeństwa, które obiecał właśnie jej, Charlocie Monk! Wyobraziła sobie zwiotczone ciało wdowy i poczuła wstręt nie tylko do Chaima, ale i do siebie.

Abell obserwował jej reakcję. Przyglądając się z boku, widział, jak w miarę lektury na policzki służącej wypełza krwisty rumieniec rozczarowania i wstydu. Cierpliwie czekał. Nie zamierzał jej więcej naciskać. Nie omylił się. Po kilku minutach Charlotta Monk podniosła głowę. Spodziewał się ujrzeć w jej oczach błyski zawodu i wściekłości, ale zauważył tylko łzy. Charlotta Monk nadal opłakiwała swoją miłość. Ale zrozumiała chyba, że już nie uratuje tego uczucia.

– Niech pan pyta. Wyznam wszystko, co wiem – powiedziała, pochylając się ku policjantowi i przełykając łzy.

– Czy Chaim kiedykolwiek wypytywał panią o kolekcję obrazów stryja?

– Wielokrotnie. Bardzo się nią interesował, zwłaszcza w ostatnich tygodniach.

– A dokładniej?

– Zaczął się nią interesować mniej więcej od początku lutego.

– O co konkretnie wypytywał?

Wzruszyła ramionami.

– Właściwie o wszystko. O liczbę obrazów, nazwiska malarzy. O to, czy w górnym salonie jest jakiś system zabezpieczeń.

– Czy pan Rottenberg tłumaczył kiedyś w pani obecności brak takiego systemu?

– Nie bezpośrednio. Ale mam wrażenie, że lekceważył możliwość kradzieży. Był człowiekiem starej daty. Poza tym w Sopocie jeszcze nigdy nie zdarzyło się nic takiego.

– Wracając do Chaima. Jak uzasadniał swoje zainteresowanie kolekcją?

– Twierdził, że kiedyś przypadnie mu przynajmniej część tego zbioru. Państwo Rottenbergowie nie mieli dzieci. A za Salomonem, co było tajemnicą poliszynela, nie przepadali, i to z wzajemnością. Chaim miał więc prawo spodziewać się spadku. – Przełknęła kolejne łyżki. Ten policjant nie musiał wiedzieć, że Chaim po otrzymaniu spadku obiecał sprzedać jeden z cennych obrazów i zafundować im podróż poślubną do Włoch. Teraz nie była już taka pewna, że naprawdę by tak uczynił. Niczego nie była już pewna.

– Czy słyszała pani z ust starego pana Rottenberga takie zapewnienie? Rozumiem, że nie była pani właściwą osobą do takich zwierzeń, ale może zasłyszała pani coś na ten temat podczas rodzinnych uroczystości, które pani obsługiwała.

– Nigdy nie byłam świadkiem takiej deklaracji. Ale miałam wrażenie, że pan był bardzo przywiązany do swej własności, to znaczy do kolekcji. Spędzał długie godziny w górnym salonie, domyślałam się, że na kontemplowaniu swoich arcydzieł. Odnosiłam wrażenie, że niechętnie pokazywał ją obcym.

– Czy Chaim widział kiedykolwiek kolekcję na własne oczy?

– Z tego, co wiem, to nie. Jak już wspomniałam, pan podczas mojej służby w domu nie pokazywał jej nikomu. To był jego prywatny, by tak rzec, skarbiec. Ja byłam wyjątkiem, bo ktoś musiał odkurzać górny salon. No i jeszcze ta młoda historyczka sztuki, o której już wspominałam. Pan mówił, że przygotowuje dla niego katalog całych zbiorów.

– Czy Chaim dysponował własnym kluczem do domu państwa Rottenbergów?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– A czy użyczyła mu pani kiedykolwiek swojego klucza?

Zapadło milczenie. Charlotta Monk wyraźnie się wahała, ale wreszcie się zdecydowała.

– Tak, jeden raz był taki przypadek – powiedziała ochryłym głosem, spuszczając głowę. – Wiem, nie powinnam jako służąca, to było wbrew zasadom, ale o to prosił przecież Chaim.

– Jak wytłumaczył swoją prośbę?

– Powiedział, że to na wszelki wypadek, gdyby stryj był sam w rezydencji i się źle poczuł. Pani Adele często wyjeżdżała, a pan rzeczywiście ostatnio podupadł na zdrowiu. Dzięki dorobionemu kluczowi Chaim miałby dostęp do domu stryja także po godzinie dwudziestej pierwszej, gdy zamykaliśmy drzwi.

– Na jak długo wypożyczył klucz?

– Tylko na jedną noc. Wieczorem go ode mnie odebrał, a rano zwrócił, naprawdę – wyszeptała, tak jakby mogło to cokolwiek zmienić.

– Czy Chaim spędzał z panią noce w stróżówce?

– Broń Boże – zatrzepotała rękoma jak ptak skrzydłami. – W domu państwa odwiedził mnie wtedy wieczorem, ten jeden raz. Widywaliśmy się u niego.

– Czy powiedziała pani Chaimowi o dziwnym poleceniu pana Rottenberga, aby nie sprzątać już górnego salonu? A jeśli tak, to jak zareagował?

– Powiedziałam, oczywiście. Był zdziwiony. Kilka razy mnie o to pytał. Był wyraźnie zaniepokojony czy też zdumiony decyzją pana Rottenberga o ograniczeniu mi dostępu do kolekcji.

– Jest pani pewna?

– W zupełności... Akurat tego jestem pewna. Chaim był wstrząśnięty tą informacją.

– Panno Monk, zapytam tylko raz: czy pani kochanek Chaim planował wraz z panią kradzież kolekcji swego stryja?

Milczała przez chwilę, jakby próbując opanować wzburzenie.

– Nigdy mnie do tego nie namawiał, musi mi pan uwierzyć. Tak było. Nie mogłabym... ja nie... – urwała nagle.

– W porządku. I ostatnie pytanie: czy widziała się pani z Chaimem po śmierci pana Rottenberga?

– Tak, wieczorem tego samego dnia. Zdziwiło mnie jego pytanie...

– A mianowicie? – Abel już zamknął notes i zaczął podnosić się z krzesła, ale odpowiedź Charlotty Monk sprawiła, że zastygł w bezruchu.

– Pytał o pana, panie Abell. Właściwie interesowała go wyłącznie pana osoba...

– Chciał się dowiedzieć, o co panią pytałem w trakcie przesłuchania?

– Nie zrozumiał pan. Dopytywał się, jak pan wygląda, jak się nazywa, a nawet jak się pan ubiera...

#### 4.

Po przesłuchaniu Charlotty Monk zamierzał jechać bezpośrednio do aresztu. Jednak czekający na dole Kukulka przekazał mu polecenie, które dowiózł goniec z prezydium policji. Abell miał natychmiast wrócić do gmachu i złożyć raport komisarzowi Kellermanowi z przesłuchania Charlotty Monk. Widocznie jego

zwierzchnik zaczynał się już niecierpliwie brakiem postępów w śledztwie. Tak więc o godzinie czternastej Abell ponownie zjawił się w gmachu prezydium policji. Kellerman wysłuchał go w milczeniu, ale widać było, że zeznania Charlotty Monk obciążające Chaima, zrobiły na nim wrażenie.

– Zapędziliśmy szczura do klatki. Czas go stamtąd wyciągnąć i zmusić, aby puścił farbę.

– Właśnie do niego jadę, panie komisarzu.

– To dobrze, Abell. Już najwyższy czas zamknąć tę sprawę.

Była godzina szesnasta, gdy mógł wreszcie opuścić gmach przy Karrenwall. Niebo ponownie zasnuło się ciężkimi chmurami, przypominającymi wielkie bure tarcze o postrzępionych brzegach. Po raz pierwszy od dłuższego czasu miał wrażenie, że jest na właściwym tropie. Rozmowa z Charlottą Monk tylko utwierdziła go w przekonaniu, że postacią kluczową w rozwiązaniu zagadki jest Chaim. A wszystko kręci się wokół niezwyklej kolekcji, pełnej znaków zapytania. Miał nadzieję, że dzisiaj w areszcie przyszpili wreszcie Chaima. Z całą pewnością nie spodziewał się on zdrady ze strony Charlotty. Abell miał świadomość, że mając w ręku jej zeznania, zyskuje przewagę nad sprytnym szulerem. Postanowił zrobić z tej przewagi odpowiedni użytek.

Po półgodzinnej jeździe przez kałuże i zalane ulice miasta dotarł na miejsce. Skręcił w wąską uliczkę i wkrótce wyrósł przed nim masywny gmach aresztu. Zimne światło odchodzącego dnia odbijało się w żelaznej kratownicy bramy wejściowej. Wichura ucichła.

– Już jesteście? Kripo jest szybsze niż wiatr – powiedział z podziwem strażnik, oglądając jego legitymację służbową i otwierając bramę.

To mało zrozumiałe przywitanie zwiastowało jakiś kłopot. Widział to w oczach strażnika, wycierającego nerwowo dłonie o kant spodni. Na dziedzińcu wewnętrznym zauważył karetkę. Więźniowie ze spacerniaka stali w miejscu zbici w małe grupki. Patrzyli na niego tępo i wrogo spod pochylonych głów. Przeszedł przez dyżurkę i prawie zderzył się z naczelnikiem aresztu. Horst Eisenhorn był mały i spocony jak mysz. W oczach miał niepokój.

– Szybko przyjechaliście. Dzwoniłem do prezydium nie dalej jak kwadrans temu.

– Co się stało? – zapytał Abell.

– Z tego, co mi przekazano, aresztant z celi trzysta siedemdziesiątej siódmej próbował ucieczki.

W tej samej sekundzie Abella przeszło przecucie: stało się coś naprawdę złego. Nadal jednak nie dopuszczał do siebie myśli, że chodzi o tego jednego jedyne go aresztanta, który pochłaniał w tej chwili całą jego uwagę i wszystkie myśli.

– Niestety, dotyczy to waszego podopiecznego Chaima Rottenberga



– naczelnik wolał wyrzucić z siebie od razu wszystkie złe informacje.

– Co z nim? – zapytał Abell, próbując utrzymać nerwy na wodzy.

– Nie żyje. Wyjaśniamy, jak to się stało...

– Jak to, kurwa, nie żyje?! Mielicie pilnować go jak oka w głowie! – Abell czuł, jak ogarnia go nieprzytomna furia.

– Spokojnie Christian – usłyszał za sobą głos Plaskowitza. – To nic nie da... Dostaliśmy telefon. Szukaliśmy cię, ale już opuściłeś gmach. Kellerman kazał mi tu przyjechać, najszybciej jak się da.

Ale sam wyglądał na nie mniej wściekłego niż Abell. Pogroził Eisenhornowi karzącym palcem, a następnie dźgnął go nim w pierś.

– Nie ujdzie ci to na sucho, Eisenhorn, przysięgam. Zadbam o to, abyś wyłudował w jakiejś zawszonej mieścinie na krańcu świata. Jak mogliście tak spierdolić sprawę?! To się w głowie nie mieści! To był ważny świadek, w przyszłości zapewne główny oskarżony w bardzo istotnym śledztwie! Mielicie w aktach, czarno na białym, że to niebezpieczny typ i wymaga szczególnego dozoru!

Eisenhorn odsunął się od nich na bezpieczną odległość.

– Panowie, po co te nerwy? Wiem niewiele więcej niż wy. Godzinę temu zameldowano mi, że jeden z aresztantów wydostał się z celi. Przepiłował kraty w oknie i znalazł się na dachu bloku „A”. Zapewne chciał po kalenicy dostać się na mur okalający areszt, a następnie zeskoczyć lub spuścić się w dół. Mieliliśmy już w tym roku podobną próbę ucieczki, potrzebne są dodatkowe zabezpieczenia. Wysłałem nawet pismo w tej sprawie, ale centrala jak zwykle tłumaczy brak decyzji potrzebą oszczędności...

– Dlaczego aresztant nie żyje? Jak to się stało, Eisenhorn, do kurwy nędzy?! Zastrzeliliście go, zamiast schwytać? – pieklił się Plaskowitz. Abell był wdzięczny koledze za interwencję. Inaczej mógłby coś zrobić temu kurdupłowi o świńskich przekrwionych oczkach.

– Nikt nic nie widział, ten dziedziniec dotyka ściany magazynu, w której akurat nie ma okien. Z drugiej strony, jak widzicie, jest mur wewnętrzny. – Naczelnik wzruszył ramionami. – A do tego zbieg musiał mieć pecha. Zapewne potknął się na dachu i spadł w dół, bardzo nieszczęśliwie... – zawiesił głos. – Jeszcze tam leży, lekarz stwierdził zgon, ale zabroniłem ruszać ciało. Poza tym, po co tyle rabanu, to tylko Żydek...

– Dla pana powinien to być przede wszystkim ważny świadek, którego pańscy ludzie nie upilnowali – wysyczał Abell. – Aresztant miał żyć i zeznawać, czy to jasne?

Przeszli wzdłuż bloku „A” i znaleźli się na małym wewnętrznym dziedzińcu stykającym się ze stołówką aresztu. Pod murem zauważyli małą grupkę ludzi. Abell ujrzał lekarza i dwóch strażników palących nerwowo papierosy. Podeszli

bliżej i ujrzeli coś, co było niegdyś Chaimem Rottenbergiem. Zakrwawione zwłoki nabite były na stalowe sztachety płotu, oddzielającego stołówkę od dziedzińca. Metalowe ostrza wystawały z żeber i brzucha więźnia. Kolejne wyszło prawym oczodołem, gałka oczna zwisała obok, kołysząc się na odsłoniętym nerwie niczym szmaciany gałgan na wełnianej nitce. Ciemna krew ściekała z tego zmasakrowanego ciała na piasek, znacząc go hieroglifami śmierci. Na twarzy Chaima zastygł wyraz przerażenia. Ocalałym otwartym okiem wpatrywał się w niebo, jakby tam szukał pomocy i wybawienia. Prawa ręka bezwładnie zwisała w dół, nieledwie dotykając ziemi.

Abell pokręcił głową.

– Jakoś dziwnie spadł. Jeśli rzeczywiście się potknął, to powinien nadzieć się na sztachety pod jakimś kątem. A on wygląda jak indyk nadziany na ruszt.

– No cóż, tak właśnie spadł... – Eisenhorn wzruszył ramionami. – Takie rzeczy się zdarzają, jak się leci z dziesięciu metrów w dół. I jakie to ma teraz znaczenie? Żydek sam się ukarał. – A widząc błyski w oczach Abella, szybko dodał: – Zbadamy wszystkie okoliczności tego zdarzenia, panie radco. Osobiście tego przypilnuję. Ale proszę nie spodziewać się rewelacji. Mamy tu niezły burdel. Trzymamy trzystu pięćdziesięciu osadzonych. Co rusz któryś kombinuje, jak uniknąć wymiaru sprawiedliwości i dać nogę. Nie dalej jak wczoraj jeden z nich połknął garść gwoździ, które musiał zwinąć z warsztatu. Perforacja żołądka, rano był sztywny. Inny cwaniak chciał trafić do szpitala, więc wypił całą flaszkę lizolu z kibla. Zarzygał nam cały oddział, nie wiadomo czy przeżyje...

– Gównu mnie to obchodzi. To pański obowiązek, żeby ich pilnować. – Abell jeszcze nie ochłonął z dławiącej go bezsilnej wściekłości.

– To oczywiste, panie radco. Zwracam tylko uwagę, że to nie są normalni obywatele. Mamy tu gwałcicieli, pedofilów, złodziei, popaprańców rozpoczynających dzień od denaturatu, a nawet świrów rojących, że ciągle jeszcze walczą nad Sommą. Trudno za nimi nadażyć, panie radco. Naprawdę, trudno. Szlag! Jakbym miał zastanawiać się, co planują każdego dnia, sam bym zwariował.

– Najpierw chcemy porozmawiać z lekarzem. A potem dowiedzieć się, kto i w jakich okolicznościach zauważył zwłoki. – Abell zrozumiał, że dalsza szermierka słowna z naczelnikiem nie ma żadnego sensu.

Naczelnik przywołał ruchem ręki lekarza. Abell widywał go już wcześniej, pamiętał, że pracował w szpitalu miejskim. Żałował, że nie ma do dyspozycji doktora Martensa.

Lekarz był młody i wyraźnie przejęty sytuacją, w której się znalazł.

– Jestem doktor Ottinger – przywitał się z policjantami. – Otrzymaliśmy wezwanie z aresztu dokładnie o szesnastej siedemnaście. Na miejscu byliśmy po kwadransie. Zbieg już nie żył. Najprawdopodobniej poniósł śmierć w wyniku uderzenia z dużej wysokości o zastrzone sztachety płotu.

- Czy mógł jeszcze żyć po upadku? – zapytał Abell.
- Nie mogę tego wykluczyć – lekarz poprawił nerwowo okulary – ale sędzę, że bezpośrednią przyczyną zgonu był przebicie najpierw czaszki, a następnie oczodołu przez pręty płotu.
- O której pana zdaniem nastąpił zgon? – włączył się do rozmowy Plaskowitz.
- Sprawa jest absolutnie świeża.
- Skąd ta pewność?
- To wynika z wyglądu plam opadowych i braku stężenia pośmiertnego. Pierwsze plamy opadowe są już wyraźnie widoczne w czasie od trzydziestu minut do jednej godziny po ustaniu krążenia. Gdy przybyłem na miejsce, dopiero zaczęły się pojawiać. Natomiast stężenie pośmiertne zaczyna występować już około czterdziestu minut po śmierci, ale tylko w mięśniu serca, natomiast w obrębie mięśni szkieletowych dopiero po półtorej, dwóch godzinach. U nieboszczyka nie zaobserwowałem jeszcze takich objawów. Wniosek: śmierć musiała nastąpić od pół do półtorej godziny przed moim przyjazdem, czyli około godziny piętnastej, szesnastej.
- To zgadzałyby się z tym, co zeznał mój człowiek. – Naczelnik przywołał ruchem ręki wyprężonego jak struna strażnika.
- Jak się nazywacie? – indagowanie rozpoczął Plaskowitz.
- Peschke, panie oficerze.
- To wy znaleźliście ciało?
- Ma się rozumieć, że ja. – Strażnik obliznął wargi.
- Opowiedzcie, Peschke, dokładnie, jak to się stało.
- Ano dyżurowałem na wewnętrznym dziedzińcu, tym obok spacerniaka. Miałem na oku tych popaprańców, bo co rusz któremuś z nich odbijało. Ostatnio zdarzały się nawet bójki...
- Do rzeczy, Peschke – ponaglił go Abell.
- Już melduję, panie oficerze. Tak więc dyżurowałem, gdy nagle usłyszałem krzyk. Z początku pomyślałem, że to drze mordę któryś z osadzonych w celi. Ale po kilku sekundach krzyk się powtórzył. Tak jakby kogoś zarzynali. Z początku nie mogłem się zorientować skąd to, ale potem skapnąłem się, że to spod magazynu. Pobiegłem tam, no i zobaczyłem tego Żydka. Już się nie ruszał. No to wszcząłem alarm...
- Słyszałeś krzyk dwa razy? – upewnił się Abell.
- Jak mi Bóg miły, wrzasnął dwa razy.
- Pewnie za pierwszym razem krzyknął, jak spadał, a potem jak się nadział na sztachety – odezwał się Eisenhorn.
- Nie widzieliście nikogo na miejscu zdarzenia? – upewnił się Abell.
- A niby kogo? Tylko ja żem tam był.

– Nie ściągaliście mu niczego z palców?

Peschke zamrugał kilka razy powiekami.

– W życiu, panie oficerze...

– Myślę, że posuwa się pan za daleko, panie radco. – Eisenhower uznał widocznie, że powinien interweniować, broniąc honoru służby więziennej. – Moi ludzie nie są hienami. I skąd w ogóle to przypuszczenie?

– Niech pan zostawi to oburzenie na lepsze okazje – odpowiedział zimno Abell. – Pytanie jest jak najbardziej zasadnie. Chaim Rottenberg nosił na serdecznym palcu prawej ręki charakterystyczny złoty sygnet. To był cenny drobiazg. Widziałem go na jego dłoni jeszcze kilka dni temu, w ubiegły czwartek, podczas przesłuchania, tu w areszcie. Pytanie, gdzie jest ten sygnet teraz, bo na palcu nieboszczyka go nie widzę.

Po słowach Abella zapadła cisza. Pierwszy przerwał ją naczelnik.

– Zbadamy to, może być pan pewien. Być może ten Żyd przehandlował sygnet jakiemuś innemu aresztantowi. Był przecież, jak wynika z akt, niepoprawnym hazardzistą.

– Proszę to zrobić sumiennie, tak jak należy, Eisenhower. A teraz chcielibyśmy porozmawiać ze strażnikiem, który widział Chaima po raz ostatni w celi. – Abella nie przekonało tłumaczenie naczelnika i zanotował sobie w głowie, że trzeba powrócić do sprawy sygnetu.

– Kreuz, pozwólcie tu! – Eisenhower energicznym ruchem ręki przywołał drugiego ze strażników. Ten wdeptał pospiesznie niedopałek palonego papierosa w ziemię i ruszył truchtem w ich stronę. Miał wyłysiałe przedwcześnie zakola, na których połyskiwały krople potu.

– To wy, Kreuz, pilnowaliście celi Chaima Rottenberga przed jego śmiercią?

– zapytał Abell, mierząc wzrokiem wyraźnie zdenerwowanego strażnika.

– Niby ja.

– To jakim cudem wydostał się z celi i to w biały dzień? – Abell podszedł jeszcze bliżej, prawie dotykając długiego nosa strażnika.

– Zgodnie z regulaminem więźniów pod szczególnym nadzorem kontrolujemy przez judasza raz na dwie godziny. Mamy na bloku ponad pięćdziesiąt takich cel – dodał strażnik tonem usprawiedliwienia. – Więźnia z celi trzysta siedemdziesiąt siedem ostatni raz sprawdzałem dokładnie o godzinie czternastej trzydzieści.

– I zauważyliście coś niepokojącego?

– Nic a nic panie oficerze. Pamiętam, że siedział przy stoliku pod oknem i bawił się kartami. Pozwalaliśmy mu na to, znał takie sztuczki, że nie do uwierzenia... – urwał nagle, jakby zawstydzony swoją gadatliwością.

– A kraty? Przecież nie mógł ich przepiłować w kilka minut?

– Niczego nie zauważyłem – odchrząknął Kreuz.

– Ja cię nie pytam o twoje wrażenia optyczne, Kreuz, tylko o to, czy krata w celi trzysta siedemdziesiąt siedem była o godzinie czternastej trzydzieści przepiłowana czy cała jak błona niemieckiej dziewczicy? – W sukurs Abellowi ponownie ruszył Plaskowitz.

– Nie potrafię powiedzieć, ale chyba bym zauważył, gdyby coś było nie tak, co nie... – Kreuz uciekł spojrzeniem w bok, jakby szukając wsparcia u swego zwierzchnika. Ale naczelnik Eisenhorn pozostał niewzruszony, patrząc ciężkim wzrokiem na rozpaczliwie tłumaczącego się Kreuzu.

– Nic tu po nas, Christian – Plaskowitz odwrócił się plecami do strażnika.  
– Reszty dowiemy się z oficjalnego raportu, jak zawsze w takich sytuacjach.

Abell wiedział, że jego partner ma rację. Trudno się było spodziewać, że od tych ludzi uda się wyciągnąć coś jeszcze.

– Eisenhorn – zwrócił się do pogrążonego w milczeniu naczelnika – wie pan, co ma pan zrobić. Kripo oczekuje dokładnego raportu o tym, co tu się stało. Zwłoki zabiorą nasi ludzie. Zbada je raz jeszcze nasz lekarz.

Odwrócił się i spojrzał w niebo. Zachodzące powoli słońce zabarwiało budynki aresztu purpurową poświatą. Z oddali, z którejś celi, doleciał go nieludzki, przeciągły ryk, przypominający wycie dzikiego zwierzęcia. To był długi, ciężki dzień. Wychodząc od Charlotty Monk, był pewien, że rozwiązanie zagadki jest już blisko, na wyciągnięcie ręki. A teraz stał na gruzach tej pewności. Miał takie wrażenie, jakby ktoś stale obserwował jego poczynania, oceniał, jak dalece udało mu się zbliżyć do prawdy, a potem – w razie potrzeby – wyprzedzał go o krok i zadawał cios, niweczący wszystkie jego wysiłki. Sama śmierć Chaima, a przynajmniej jej oficjalna wersja forsowana przez Eisenhorna, wydawała mu się co najmniej podejrzana. Zamierzał po otrzymaniu formalnego raportu raz jeszcze przeanalizować wszystkie fakty. Zastanawiająca była zwłaszcza dziwna zbieżność pomiędzy jego wizytą u Charlotty Monk a śmiercią jej kochanka. Ale to teraz było mniej istotne. Chaim Rottenberg był już tylko cieniem wędrującym po tym apokaliptycznym niebie. Wszystkie swoje tajemnice zabrał ze sobą do grobu. Nieodwołalnie i na zawsze.

Abell poczuł się znużony, nie po raz pierwszy podczas tego skomplikowanego dochodzenia, w którym nic nie chciało złożyć się w zborną całość. Poruszał się po grzęzawisku pochłaniającym nieubłaganie kolejne ofiary: Saula, Adele, Chaima... Nawet on przez moment z myśliwego stał się ofiarą.

Tego wieczoru czekał na Gabi ze szczególną tęsknotą. Gdy stanęła na progu, zdyszana jeszcze i zaróżowiona od chłodu, zamknął jej usta pocałunkiem, po czym objął, niczym niedźwiedź, żelaznym uściskiem. Tej nocy kochali się żarliwie i namiętnie, jakby to był ich pierwszy raz. Gdy westchnęła po raz ostatni, położył głowę na jej brzuchu, a ona gładziła jego rozpalone czoło. Potrzebował jej, a ona to rozumiała.

Zanim zasnął, otworzył się przed nią i popłynęła rzeka tajemnic, które dotychczas skrywał głęboko w sercu. Opowiadał jej o Evie i innych kobietach obecnych kiedyś w jego życiu. Powiedział jej także, czym się tak naprawdę zajmuje. Wędrowała wraz z nim po ponurym gmachu przy Karrenwall. Towarzyszyła mu w pracy, była podczas rozmowy w sklepie Godsuckera i podziwiała konia na bursztynowych płozach. Zaglądała w oczy demonów i koszmarów, z którymi on musiał żyć na co dzień. Poznała w ten sposób pewnego chropowatego i bezwzględnie oddanego wachmistrza, który – jak mogła wywnioskować z opowieści – odgrywał rolę swoistego anioła stróża w życiu jej mężczyzny.

Popłynęło wspomnienie o koszmarze sprzed dwóch lat, kiedy to szajka handlarzy żywym towarem postanowiła zemścić się na Abellu za zrujnowanie im świetnie rozwijającego się interesu. Ustami podstawionego świadka Abella oszkalowano i oskarżono nie tylko o branie grubych łapówek, ale także o wykorzystywanie młodych dziewcząt wysyłanych później do bliskowschodnich burdeli. Sytuacja była trudna, a oskarżenia dobrze zmystyfikowane i uzasadnione. Kariera Abella – i tak zazwyczaj mającego na pieńku ze swymi przełożonymi – wisiała na włosku. I wtedy do akcji, we właściwy dla siebie sposób, wkroczył Kukulka. Dotarł do przekupnego świadka i złożył mu propozycję nie do odrzucenia. Na drugi dzień świadek odwołał wszystkie swoje obciążające zeznania i w pośpiechu wyjechał z Wolnego Miasta.

– Złożyłem mu pewną propozycję – zdradził później Kukulka indagowany przez Abella. – Powiedziałem, że jeśli nie odwoła kłamliwych oskarżeń, utnę mu albo jęzor, albo fiuta. Tak więc miał wybór. Tak naprawdę żartowałem. Gdyby nie zmienił zeznań, uciąłbym bym mu i to, i to.

Czasami zmarszczyła brew lub wzdrygnęła się z lęku, lecz mu nie przerywała, rozumiejąc, że ta spowiedź to dowód miłości i zaufania. A gdy wreszcie usnął, siedziała nadal w milczeniu, bojąc się poruszyć, aby nie zburzyć tej niepowtarzalnej aury uczucia i tkliwości, która niczym ciepła kołdra otuliła ich ciała.

## 5.

We wtorek, mimo kojącej nocy, wstał rano w ciężkim nastroju. Gabi wyszła wcześniej, więc wziął zimny prysznic i długo szorował ciało, bijąc się z ponurymi myślami. Na Karrenwall dojechał, gdy zegar na kościelnej wieży wybił godzinę dziewiątą. Pchnął drzwi do gmachu i natychmiast zawładnęła nim szczególna aura tego miejsca. Słyszał stłumione chrząknięcia, szuranie butów po schodach, ostre odgłosy otwieranych i zamykanych drzwi. A wszystko to owiane było chmurą charakterystycznych zapachów: woni świeżo parzonej kawy, środków

dezynfekcyjnych, wilgoci i ludzkiego potu.

Zapadł się w fotelu w swoim gabinecie i zawiesił nieruchomo wzrok na ebonitowym aparacie telefonicznym. Pomyślał, że zanim doliczy do trzydziestu, aparat zabrzęczy z wezwaniem na górę do komisarza Mohla. Doliczył do dwudziestu, gdy aparat zaterkotał, wyrywając go z martwoty.

W gabinecie komisarza oprócz szefa Kripo czekali już na niego Kellerman i Plaskowitz. Mimo wczesnej pory w pomieszczeniu powietrze można było kroić nożem. Wszyscy trzej palili, popielniczka na biurku Mohla wypełniona była po brzegi końcówkami cygar. Abell pomyślał najpierw, że warto byłoby przewietrzyć ten pokój ciężki nie tylko od tytoniowego dymu, ale także od niedopowiedzeń i półprawd, które dusili w sobie ci mężczyźni. A potem przemknęła mu przez głowę myśl, że musieli zacząć bez niego dużo wcześniej.

– Wszystko wiemy już od radcy Plaskowitza – zagaił Kellerman. Ku zaskoczeniu Abella nie wyglądał na zawiedzionego. – Nasz główny podejrzany urządził sobie wczoraj skok z przeszkodami.

– Dość oryginalnie pan to ujął – zauważył kwaśno Abell.

– To tylko stwierdzenie faktu. – Kellerman sięgnął po kolejne cygaro. Przez chwilę mocował się z gilotynką do odcinania końcówek. – Pan oczywiście nie pali, Abell. Tylko sport i kobiety – pokiwał głową w udawanym podziwieniu. – Ale do rzeczy. Rozmawialiśmy z komisarzem Mohlem o całej sprawie. I jesteśmy zgodni, że ta próba ucieczki, niezależnie od jej dramatycznego skutku, to dodatkowy fakt obciążający Chaima Rottenberga. Taka przysłowiowa kropka nad „i”. Nie sądzi pan?

– Sam zamiar ucieczki nie przesądza o winie – powiedział ostrożnie Abell.  
– Ale zgadzam się, wiele świadczyło przeciwko niemu.

– Zwłaszcza zeznania tej Monk – komisarz Mohl postanowił włączyć się do rozmowy i przypomnieć, kto tu jest szefem. – Właściwie nie pozostawiają złudzeń, są wręcz druzgocące dla Chaima. Pamiętam dokładnie, co mi pan raportował ostatnim razem. Także w pana oczach ten szuler pozostawał głównym podejrzany. Nie miał wiarygodnego alibi na dni, w których dokonano obu morderstw. Dysponował za to dobrym motywem: mam na myśli pieniądze. Ukradł kolekcję, a następnie zlikwidował głównych świadków, którzy mogli nas do niego doprowadzić. Nie przewidział tylko jednego: że wydobędzie pan obciążające zeznania od jego kochanki. Gdyby sam nie skończył ze sobą, i tak stanąłby przed sądem. Zakładam się o swoją miesięczną pensję, że skończyłby na szafocie.

Abell zrozumiał, ku czemu zmierzają jego zwierzchnicy, ale nie miał zamiaru łatwo oddawać pola.

– Sprawa śmierci Chaima Rottenberga budzi wiele wątpliwości i powinna zostać gruntownie wyjaśniona.

– Wątpliwości? Jakie wątpliwości, Abell? – Kellerman wypuścił kółko dymu

w stronę pożąłkłego sufitu.

– Po pierwsze, naczelnik aresztu nie wyjaśnił wiarygodnie, jak więzień mógł przepiłować kraty w sposób niewidoczny dla nadzorujących go co dwie godziny strażników.

– Takie rzeczy się zdarzają, Abell. Niech pan nie będzie naiwny. – Kellerman spojrział na niego ironicznie. – To duży areszt, dzieją się w nim różne rzeczy. Rokrocznie z aresztów i więzień w Rzeszy zwiewają dziesiątki cwaniaków, którym znudzi się tamtejszy wikt i opierunek. Tak było, jest i będzie. Chaim Rottenberg mógł kupić pilnik od któregoś z więźniów. Jest też możliwe, że brzeszczot ktoś przemycił do aresztu, nawet przekupiony strażnik, któż to wie.

– Po drugie, dziwne, że Chaim na moment ucieczki wybrał sobie środek dnia, a nie na przykład noc, kiedy z oczywistych względów jego ucieczka miałaby większe szanse powodzenia – nie ustępował Abell. – I zastanawiające, że spadł akurat w miejscu, którego nikt nie widział, choć cały teren aresztu naszpikowany jest wieżyczkami strażniczymi.

– Zgoda, to trochę dziwne, ale kto wie, co działo się w głowie tego Żyda? Może obawiał się rewizji w celi i postanowił dać chodu od razu? – Kellerman wzruszył ramionami.

– Po trzecie – kontynuował Abell – spadł jakoś zadziwiająco symetrycznie, plecami równoległe do ziemi, tak jakby w ogóle nie przekręcał się w locie. Prawdziwy akrobata. Po czwarte, kolejna wątpliwość, jeszcze w ubiegły czwartek, podczas przesłuchania w areszcie, wcześniej widziałem na jego palcu złoty sygnet. Był cenny, stanowił część rodowej biżuterii bogatej hrabiny, która przegrała do niego w karty.

– I co z tym sygnetem? – zainteresował się nagle komisarz Mohl.

– Wyparował! Na palcu trupa zauważyłem tylko zaczerwienienie, tak jakby na siłę ściągnięto mu go już po śmierci. Najwyraźniej zrobił to ktoś, kto mu pomógł w tym przedziwnym skoku.

– Co pan sugeruje, Abell? – Kellerman poczerwieniał na twarzy. – Ktoś mu pomógł? To znaczy kto?

– Ktoś z aresztu – odpowiedział zimno Abell.

– Lepiej niech pan waży słowa. I nie rzuca bezpodstawnych oskarżeń. – Wyglądało na to, że komisarz Mohl także zaczyna już tracić cierpliwość. – Naczelnik Eisenhorn to urzędnik państwowy, jak ja i pan. Otrzymamy wkrótce oficjalny raport w tej sprawie. Jestem przekonany, że wszystko zostanie w nim, w miarę możliwości, rzetelnie wyjaśnione. Do tego czasu nakazuję panu wstrzymanie się od szerzenia bezpodstawnych teorii spiskowych tego rodzaju.

– Zastanawiające także, że do śmierci Chaima doszło właściwie w chwilę po tym, jak wydobyłem obciążające go zeznania Charlotty Monk. – Najwyraźniej reprimenda zwierzchnika nie zrobiła specjalnego wrażenia na Abellu. – Tak jakby



on sam lub ktoś trzeci wiedział, co zeznała, i zrozumiał, że zbliżyliśmy się do prawdy. Jakim cudem Chaim, który siedział w areszcie, mógł to wiedzieć?

– Na litość Boską, Abell, czy pan nie przesadza? – Kellerman poruszył się gwałtownie. – Najpierw sprzedajna służba więzienna, teraz kret w Kripo? Wszędzie wietrzy pan spisek!

– Radca Abell na pewno nie chciał nikogo bezpodstawnie oskarżać, prawda Christianie? – ruszył mu w sukurs milczący dotychczas Plaskowitz. – Zgłosił tylko wątpliwości, które są jak najbardziej zasadne. Ale komisarz Mohl wspomniął o oficjalnym raporcie na temat okoliczności tego zdarzenia. Proponuję, aby poczekać na raport i zawarte w nim konkluzje i dopiero wtedy podjąć ewentualnie stosowne działania.

Abell pomyślał, że Alex Plaskowitz ma rację. Co wygra, mnożąc pytania w tak delikatnej sprawie? Najwyżej odbiorą mu śledztwo i przełożą komuś bardziej spolegliwemu. Na przykład temu naziście Bromkemu. A wtedy nigdy nie wykryje nie tylko morderców małżeństwa Rottenbergów, ale także nie wyjaśni losów zaginionej kolekcji, która śniła mu się teraz po nocach.

Poza tym wątpliwości, choćby najbardziej uzasadnione, to jeszcze nie pewność. Nie mógł przecież wykluczyć, że Chaim rzeczywiście próbował ucieczki i fatalnie się potknął. Sygnet? Być może pokusie uległ któryś ze strażników. Peschke czy Kreuz mogli przecież pomyśleć, że nieboszczykowi tak cenny pierścień już niepotrzebny. Nie takie rzeczy zdarzają się w aresztach.

– Panie radco, czy akceptuje pan tryb postępowania, który proponują komisarz Mohl i radca Plaskowitz? – głos Kellermana zabrzmiał bardzo oficjalnie.

– Tak, to rozsądna propozycja. Uważam swoje wątpliwości za zasadne, ale najlepiej będzie poczekać z nimi do oficjalnego raportu.

– Nareszcie się z panem zgadzam, Abell. – Kellerman odetchnął z widoczną ulgą. – Chaim Rottenberg nie żyje i jest to fakt, którego nic nie zmieni. W świetle dotychczasowych ustaleń to on był głównym podejrzanym o zamordowanie Saula i Adele Rottenbergów. Nie mamy żadnych wątpliwości, że zwłaszcza w kontekście ostatnich zeznań Charlotty Monk stanąłby przed sądem i został skazany. Dlatego ogłosimy, że to on był zabójcą i zamkniemy sprawę obu morderstw.

– Ale to nie znaczy, że kończymy śledztwo w sprawie ukradzionej kolekcji – włączył się Mohl. – Przeciwnie, rozmawiałem z prezydentem Ziehmem i członkami senatu. Dla Kripo najważniejsze jest teraz ustalenie, co stało się ze skradzionymi obrazami i odzyskanie ich dla miasta.

– Dla miasta? – zdziwił się Plaskowitz.

– Tak, panowie. – Mohl podniósł wyżej głowę – Senat uważa, że kolekcja powinna powrócić tam, gdzie jej miejsce, czyli do Gdańska. Rottenbergowie nie zostawili żadnego testamentu, a przynajmniej nie został do tej pory ujawniony. Salomon Rottenberg w świetle ujawnionych faktów nie ma żadnych szans na

przejęcie zbioru. Miejsce dla tych obrazów to ściany dworu Artusa albo Muzeum Miejskiego. Powinny cieszyć oczy gdańszczan jako skarb nieodłącznie związany z naszym miastem.

– To kwestia o kapitalnym znaczeniu, Abell – włączył się ponownie Kellerman. – Obrazy muszą zostać odnalezione. Domagają się tego najwyższe czynniki polityczne. A pan jest najlepszym człowiekiem do wykonania tego zadania. Czy to jasne?

Abell w odpowiedzi kiwnął tylko głową. Uznanie Chaima za winnego uważał za przedwczesne, ale musiał się z tym pogodzić, jeśli nie chciał wypaść z gry. Najważniejsze, że może nadal tropić zaginione arcydzieła. A gdy je znajdzie, dojdzie po nitce do kłębka i wyjaśni ponad wszelką wątpliwość, kto i dlaczego zamordował Saula i Adele.

– Do pomocy, tak jak poprzednio, ma pan Plaskowitza – doleciał go głos Kellermana. – Jest pan dobrym śledczym, Abell, ale czasami w gorącej wodzie kąpanym. Przyda się panu ktoś z chłodną głową.

– Ma pan jakiś plan dotyczący poszukiwania obrazów? – zapytał Mohl, wyraźnie zmierzający już do zakończenia zebrania.

– Tak, wiem, co należy zrobić. Intensywnie zbieramy informacje, penetrujemy półświatek, uruchomiliśmy wszystkich naszych informatorów. Jeśli Chaim ukradł te obrazy, to nie mógł zrobić tego sam. Musiał mieć współników, którzy pomogli mu je schować w jakiejś dziupli lub, co gorsza, wywieźć poza Gdańsk. Musimy znaleźć tych ludzi. To oni doprowadzą nas do kolekcji.

– To dobry trop – powiedział Kellerman, taksując wzrokiem Abella. – Macie już jakieś typy?

– Jeszcze nie, ale to kwestia czasu. Takie obrazy nie mogły rozpląnąć się w powietrzu. Jest ich zbyt wiele, są zbyt cenne. Ale ktoś, kto dobrze zna ten rynek, podpowiedział mi, że powinienem szukać wśród gdańskich przemytników.

– Dlaczego właśnie tam? – zainteresował się Plaskowitz.

– Ponieważ w naszym mieście nie ma mafii w stylu amerykańskim. Raczej mamy do czynienia z drobnymi grupami, takimi jak doliniarze czy fałszerze pieniędzy, skupionymi wokół przestępczych celów. Najlepiej zorganizowani są właśnie przemytnicy. Mają swoją strukturę, środki transportu, dziuple, w których ukrywają przemycone towary, a także międzynarodowe kontakty. Któż lepiej niż oni nadawałby się do przewiezienia, a następnie ukrycia skradzionych obrazów? Otrzymałem od swojego informatora namiar na kogoś, kto może mi pomóc w dotarciu do właściwych osób.

– To niebezpieczni ludzie, Abell. Niech się pan ma na baczności. Nie chcielibyśmy, aby wyłowiono pana z Motławy z kamieniem u szyi. Prawda, panowie? – W głosie Kellermana można było wyczuć sarkazm pomieszany z niechęcią. – A tak w ogóle, kim jest ta tajemnicza osoba?

– Wolałbym nie zdradzać jej tożsamości. Z całym szacunkiem panie komisarzu, ale im mniej osób zna jej nazwisko, tym lepiej.

– Pan radca ma rację. Szpicli trzeba chronić. Muszę przyznać, że z przemytnikami to ciekawa hipoteza, nie pomyślałem o tym. – Mohl sięgnął po kolejne cygaro. – Ładny duet: żydowski szuler i przemytnicy, nasza prasa miałaby używanie.

– Moim zdaniem to nie jest cała prawda, panie komisarzu. – Abell spojrział mu prosto w oczy. – Brakuje najważniejszego czynnika – zleceniodawcy.

Po słowach Abella w gabinecie zapadła cisza. Pierwszy przerwał ją Kellerman. – Co pan ma na myśli? Przecież to sprawka Chaima Rottenberga.

– Takie stwierdzenie nie załatwia sprawy – odpowiedział chłodno Abell. – Chaim na pewno interesował się obrazami i był zamieszany w ich zniknięcie, ale moim zdaniem nie był w stanie zorganizować kradzieży na taką skalę. Za tym wszystkim musiał stać ktoś jeszcze, zainteresowany arcydziełami Saula bardziej niż Chaim. Nie wszystko mi tutaj pasuje, chociaż jeszcze nie wiem, co dokładnie. Jest jeszcze jedna kwestia. Wydaje mi się, że istnieje wspólny mianownik łączący wszystkich malarzy zgromadzonych w kolekcji Saula.

– Tak? A mianowicie? – zainteresował się Plaskowitz.

– Wydaje się, że kabalista Saul Rottenberg gromadził obrazy mistrzów, którzy również byli ukrytymi kabalistami.

– To interesujące, ale jakie to ma znaczenie dla śledztwa? – zapytał, nie kryjąc swojego sceptycyzmu Kellerman.

– Na razie nie potrafię tego powiedzieć – wzruszył ramionami Abell. – Ale jest w tym coś zastanawiającego.

– W porządku, rozumiem, że to robocza hipoteza. – Komisarz Mohl miał już dość rewelacji, jak na jedno posiedzenie. – Niech pan działa Abell, musimy odzyskać obrazy. Proszę stanąć na głowie, ale chcę tu widzieć z powrotem tego Bruegla i Holbeina. Nawet jeśli oni sami byli kabalistami czy nawet satanistami.

– Jeszcze jedno – powiedział Abell. – Salomona należy zwolnić. Będziemy go mieli na oku, ale w obecnym stanie rzeczy trudno byłoby udowodnić mu jakikolwiek związek z morderstwami, a zwłaszcza z kradzieżą kolekcji.

Po opuszczeniu gabinetu Mohla Abell zamknął się w swoim pokoju i szeroko otworzył okno. Nareszcie mógł pooddychać świeżym powietrzem. Ale po minucie do jego pokoju napłynęła śmierdząca chmura z kantyny, niosąca zapach starego oleju i smażonych ryb. Zamknął więc czym prędzej okno i zatopił się w rozmyślaniach. Nie miał złudzeń co do rzetelności dochodzenia, które zamierzali przeprowadzić naczelnik Eisenhorn i jego ludzie, jak zawsze wtedy, gdy ktoś ma być sędzią we własnej sprawie. Dla nich Chaim Rottenberg był już tylko żydowskim trupem, a oni musieli dosłużyć do emerytury. Wiedział, że sprawa tej śmierci nie da mu spokoju. Był tylko jeden sposób na uśmierzenie tego niepokoju:

jak najszybsze odnalezienie kolekcji. To obrazy doprowadzą go do ludzi, którzy ciągle mieli nad nim przewagę. Do tej pory nie udawało mu się złożyć poszczególnych fragmentów w jedną całość. Czas najwyższy, aby to zmienić.

Obiad zjadł w Der Lachs, razem z Kukulką. Zamówił ulubione zeppeliny z farszem mięsnym oraz karafkę goldwassera na lodzie. Długo konferował z wachmistrzem. Ktoś obserwujący ich z boku mógłby pomyśleć, że ci dwaj mężczyźni, rozmawiający ściszym głosem i pochyleni ku sobie głowami, dyskutują o podatkach lub niewiernych małżonkach. Ale w ich rozmowie było znacznie więcej mroku niż na zewnątrz. Tam ciemność powoli gęstniała od zapadającej nocy i morskiej mgły.

– Nie do końca ufam Mohlowi, a tym bardziej Kellermanowi – mówił Abell, a wachmistrz, jak zawsze w takich sytuacjach, starał się niczego nie uronić ze słów człowieka, który był dla niego jedynym autorytetem. – Nie wiem, z kim układają się na zewnątrz. Stanowczo za szybko zakończyli śledztwo w sprawie morderstwa Rottenbergów. Właściwie w Kripo nie ufam już nikomu. Sęk w tym, Kukulka, że aby rozwiązać tę sprawę, muszę komuś zaufać.

– Ma pan mnie, szefie.

– Dlatego rozmawiamy, Kukulka. Sprawa śmierci Chaima śmierdzi i to bardzo. Ale muszę iść do przodu. Godsucker podał nazwisko człowieka, który pozwoli mi dotrzeć do przemytników. Tłumaczyłem ci już, do czego są nam potrzebni.

– Też bym się do nich zwrócił, jakbym chciał szybko przewieźć i ukryć trefny towar.

– No właśnie. Ten człowiek nazywa się Peters. Formalnie pracuje w administracji portu. Musisz do niego dyskretnie dotrzeć i mnie z nim umówić.

– Jak mam to zrobić szefie? Przecież jak wyczuje we mnie policjanta, zamilknie na amen.

– Rusz głową. Facet na pewno ma coś na sumieniu. Każdy ma. Zaszachuj go. Zagwarantuj mu osobiste bezpieczeństwo, czego tylko zapragnie. Ma mi tylko udzielić jednorazowego posłuchania. Tylko ten jeden raz. Nigdy potem niczego od niego nie będę chciał. Zapewnij go, że sprawa zostanie tylko między nami. Nikt się o tej rozmowie nie dowie. Nawet w policji. Bierz się za to od razu. Rozumiesz?

– Jasne, szefie.

## 6.

Następny dzień spędzał od rana w biurze, ślęcząc nad aktami. Około godziny trzynastej z zamyślenia wyrwało go bicie werbli i szum dobiegający zza okien. Był pierwszy maja, a tego dnia gdańscy naziści zazwyczaj dobitnie podkreślali swoją więź z ludem pracującym<sup>[22]</sup>. Wyszedł z biura, aby coś zjeść, ale wszystkie knajpki

i restauracje przy Holzgasse i Vorstädtischer Graben, gdzie miał najbliżej, były pełne rozochoconych i podnieconych ludzi. Z okien zwisały kilometrowe wstęgi flag i sztandarów. Zauważył, że czerwonych banerów komunistów i socjaldemokratów jest zdecydowanie mniej niż przed rokiem. Przybyło za to czerwono-czarnych sztandarów ze swastyką. Czasy się zmieniały. Gdańszczanie uważnie śledzili sukcesy nowego kanclerza. Część z nich już teraz widziała w nim nowego germańskiego Mesjasza, który przywróci utraconą cześć i wielkość Rzeszy. Tylko na niektórych gmachach, głównie państwowych, powiewały smętnie flagi z symbolami Wolnego Miasta, tak jakby znalazły się tam przez przypadek albo jakby ktoś zapomniał je ściągnąć.

W centrum miasta wstrzymano ruch tramwajowy. Na rogach ulic sprzedawcy oferowali lemoniadę i watę na patyku, przyciągając chmary rozwrzeszczanych, rozbawionych dzieci. Jakiś kaleka siedział pod murem z tabliczką na piersi: „Straciłem nogę pod Ypres. I jestem z tego dumny, bo jestem Niemcem”. Przechodnie rzucali mu do czapki fenigi, a on kwitował te datki ręką wyciąganą w nazistowskim pozdrowieniu. Pod kawiarnią Meinla grupka młodych kobiet w kretonowych sukienkach uważnie obserwowała tłum, jakby próbowała wyłapać z niego chwatów mogących umilić im samotne noce. Wszędzie rozbrzmiewały dźwięki marszów przy akompaniamencie werbli i chóralnych okrzyków maszerujących ludzi.

Wyszło słońce. Abell szedł wązozami ulic przykrytych sztandarami i wymijał ludzi spieszących się gdzieś we wszystkich kierunkach, gromadzących się w bramach i na wewnętrznych podwórkach. Niektórzy ściskali szturmówki w ręku jak oręż. Inni szli rozśpiewani środkiem ulicy, wybijając rytm ćwiekami ciężkich buciorów. Gdańsk się podzielił – i działo się to na oczach Abella. Robotnicy z KPD i SPD świętowali oddzielnie. Ale to narodowi socjaliści nadawali ton i nie pozostawiali złudzeń, do kogo należy przyszłość. Na rogu z Melzergasse doszło do krótkotrwałego spięcia dwóch rywalizujących sił. Zauważył nagłe zamieszanie, poszły w ruch pięści, ponad spiętrzony tłumek poleciały złamane trzonki szturmówek. Ale ruchawka ucichła równie szybko, jak się rozpoczęła. Komuniści maszerowali oddzielnie i starali się pilnować swoich rewirów.

Doszedł do Langer Markt i nagle dobiegł go głos, który już znał z radiowych audycji.

– Narodowi socjaliści odzyskali dla naszej ojczyzny niemieckich robotników! Jesteśmy razem, zjednoczeni jedną ideologią i jedną żelazną wolą naszego Führera i kanclerza Rzeszy, Adolfa Hitlera! – głos Alberta Forstera niósł się daleko, aż do Motławy i Wyspy Spichrzów.

Mowy gauleitera słuchały setki ludzi skupione wokół niewielkiego podium, na którym stał mówca. Abell podszedł bliżej. Forster był zadziwiająco młody. Raczej niski, ale dobrze prezentował się w białym mundurze NSDAP

z czerwonymi patkami kołnierзовymi i opaską na rękawie. Przyglądał właśnie swoje krótko przycięte nad czołem loki i uważnie taksował wzrokiem publiczność. Stał w charakterystycznej pozie, którą zapewne podpatrzył u swego idola. Żywo gestykulował i odchyłał głowę do tyłu. Młoda kobieta w turkusowej sukni, stojąca tuż przed Abellem, wpatrywała się w niego roziskrzonymi oczami.

– Przyjdzie dzień, kiedy Gdańsk powróci na łono Rzeszy! – zagrział znowu Forster. – Bo Gdańsk był, jest i zawsze będzie niemiecki. Macie na to moje słowo, a co najważniejsze słowo naszego Führera i kanclerza Rzeszy Adolfa Hitlera!

Odpowiedziała mu burza frenetycznych braw. Ludzie wiwatowali i wyciągali głowy, aby tylko zobaczyć człowieka, o którym krążyły plotki, że jest pupilkiem samego wodza. Forster na pewno lubił zaszczyty i blichtr władzy. Po Gdańsku jeździł najnowszym mercedesem, jak jego pryncypał. A kilkanaście kilometrów od centrum miasta, na Wyspie Sobieszewskiej właśnie rozpoczęto wznoszenie luksusowej rezydencji przeznaczonej tylko do jego prywatnej dyspozycji<sup>[23]</sup>. Kripo przez pewien czas interesowało się nawet tą budową. Okazało się jednak, że działkę pod rezydencję przekazał zimą 1932 roku jeden z urzędników Senatu Wolnego Miasta Gdańska, zagorzały sympatyk NSDAP. Gauleiter dysponował także wszelkimi niezbędnymi pozwoleniami. Nie było się więc do czego przyczepić. Krążyły pogłoski, że projekt stylizowanych swastyk, które miały być wyrzeźbione na belkach stropowych w sali kominkowej, był autorstwa samego Hitlera. Nic dziwnego, że komisarz Mohl zakazał swoim oficerom interesowania się rezydencją gauleitera.

Abell rozejrzał się w tłumie. Z pewnym zaskoczeniem skonstatował, że wprawdzie najwięcej było ludzi młodych, w prostej robotniczej odzieży, ale nie brakowało także nobliwych mieszczan, panów w wełnianych garniturach i wyczyszczonych na glanc skórzanych butach. Dużo było także młodych kobiet wpatrzonych w przystojnego, męskiego gauleitera.

Nagle drgnął, myśląc w pierwszej chwili, że uległ omamowi wzrokowemu. Ale nie było mowy o pomyłce. W trzecim rzędzie od podium zauważył dwie dobrze sobie znane twarze. Pierwsza z nich nie była dla niego zaskoczeniem – radcę Bromkego od dawna podejrzewano o pronazistowskie sympatie, a Abell uważał go za prymitywa, znanego przede wszystkim ze skłonności do nadużywania siły. Dobrze zapamiętał scysję, jaką miał z nim zaraz po powrocie z Marienwerder, gdy przyłapał Bromkego na obmacywaniu młodocianej złodziejki zatrzymanej w tramwaju. Od tej pory Bromke nie ukrywał niechęci do niego. Ale obok Bromkego siedział nie kto inny, jak komisarz Kellerman.

Z wyraźnym uznaniem wpatrywał się w Forstera i nie szczędził oklasków po każdej frazie o wielkiej Rzeszy i wspaniałym jutrze, które zaczęło się już dzisiaj. Abell wycofał się dyskretnie. Kellerman nazistą? To była nowa informacja. Do tej

pory uważał swego zwierzchnika za osobę trochę kostyczną, a nawet antypatyczną. Nie miał jednak wątpliwości co do jego obiektywizmu i fachowości. Teraz nie był już tego taki pewien. Poza tym Kellerman i Bromke razem, na nazistowskim wiecu? Wprawdzie pronazistowskie sympatie nie były odosobnione w gmachu przy Karrenwall, ale do tej pory funkcjonariusze raczej unikali afiszowania się ze swymi poglądami politycznymi. Nie wiedział jeszcze, co zrobić z tą nowo nabytą wiedzą. Na pewno musiał to przemyśleć. Potrząsnął głową. Nie chciał wyciągać zbyt dalece idących wniosków. Ale wszystko to było zaskakujące i niepokojące zarazem.

Kolejny dzień, czwartek drugiego maja, upłynął mu na naradach z Plaskowitzem, rutynowej pracy i oczekiwaniu na jakieś wieści od Kukulki. Nawet Gabi wyczuła chyba jego nerwowość i nie chcąc go absorbować swoją osobą, postanowiła najbliższą noc spędzić we własnym domu.

Wachmistrz pojawił się w jego biurze dopiero po południu.

– Odnalazłem Petersa i załatwiłem, co trzeba – powiedział bez zbytecznych wstępów.

– Były jakieś problemy?

– Jest bardzo ostrożny. Ale miałem propozycję nie do odrzucenia.

– Ustaliłeś miejsce spotkania?

– Tak, zdziwi się pan, szefie. Dzisiaj o godzinie dziewiętnastej w katedrze oliwskiej, przy grobowcu rodziny Kosów.

– Mnie już nic nie zdziwi, Kukulka.

– Musi pan być sam, inaczej nic z tego. Wolę jednak zapytać: mam być w pobliżu, na wszelki wypadek? Z tymi ludźmi nigdy nic nie wiadomo.

– Nie ma takiej potrzeby. Jeszcze go wystraszymy. Dobrze się spisałeś, Kukulka.

Do Oliwy podjechał kolejką wąskotorową. Pomyślał, że jeśli jest śledzony, takie rozwiązanie będzie najlepsze. Nie ukrywał się za szybami policyjnego adlera, nie ciągnął za sobą ogona. Przeszedł przez park oliwski obok pałacu opatów i stanął przed katedrą. Zawsze lubił tę świątynię. Zwłaszcza jej dwie smukłe wieże pokryte ostro zakończonymi hełmami jakby żywcem przeniesione z któregoś z barokowych miasteczek południowej Italii. Ostatnio wysłuchał w katedrze koncertu muzyki organowej brzmiącej tysiącem piszczałek mistrza Johanna Wilhelma Wulffa<sup>[24]</sup>. A potem, otuleni ciepłym wieczorem, całowali się z Gabi w parku pod dziwnym drzewem o połyskliwych eliptycznych liściach, które podobno zawędrowało tu aż z Japonii i nazywało się wiśnia piłkowana. Ale teraz te świeże przecież wspomnienia wyglądały jak z innego wymiaru i z innego czasu. Powiało chłodem. Postawił kołnierz płaszcza i wszedł do środka.

Natychmiast poczuł zapach wosku i mirry. Widocznie msza święta skończyła się niedawno. W ławach nawy głównej dostrzegł tylko kilka starszych kobiet owiniętych w kraciaste chusty. Modliły się po polsku, rozpoznał

szeleszczące głoski tego języka. Nawa boczna po lewej oświetlona była migoczącymi płomykami świec, płonących przy dziesiątkach ołtarzy i grobowców, które ciągnęły się wzdłuż jak połyskliwe kamienie wynurzające się z ciemnej toni.

Interesujący go nagrobek rodziny Kosów znajdował się na samym początku tego ciemnego wąwozu. Była równo godzina dziewiętnasta. Nikogo przy nim nie zauważył. Oczekując na Petersa, klęknął przed nagrobkiem. Podniósł głowę i spojrzał na znajdujące się wyżej figury. Willem van den Blocke<sup>[25]</sup> musiał być prawdziwym mistrzem. Wyrzeźbione przez niego postacie z marmuru, piaskowca i alabastru były tak plastyczne, że miał wrażenie, iż zaraz zejda z platformy i klękną obok niego. Fundator pomnika, Mikołaj Kos, zakuty był w kamienną zbroję połyskującą teraz w migotliwym świetle świec. Bardziej przypominał hiszpańskiego konkwistadora niż pomorskiego szlachcica.

Minęło kolejnych piętnaście minut, ale nikt się nie pojawił. I gdy Abell już zamierzał podnieść się z kolan i zrezygnować, usłyszał szmer za swoimi plecami. Jakaś postać stanęła za nim i syknęła ostrzegawczo, gdy zamierzał się odwrócić.

– Niech pan się nie odwraca. To warunek – usłyszał chrapliwy głos.

– Dobrze – odpowiedział. – Czy ty jesteś Peters?

– Żadnych nazwisk – syk się powtórzył. – Niech pan nie zadaje pytań i słucha uważnie. Pan Peters nie mógł przybyć. Wysłał mnie.

– Nie tak się umawialiśmy.

– Nie było żadnej umowy. Mam panu przekazać tylko jedno: jeśli chce pan się spotkać z Petersem, musi pan o północy przyjść na Nabrzeże Zbożowe w Neufahrwasser[40]. Oczywiście sam, bez ogona. Inaczej ze spotkania nici.

– Jaką mam gwarancję, że Peters będzie tam na mnie czekał?

– Żadnej. Nie odwracaj się. Bywaj!

Odwrócił się po kilku sekundach, ale posłaniec o chrapliwym głosie już zniknął.

Wrócił do domu i ledwie przełknął odnaleziony na kuchennym stole kawałek starej bagietki. Miał zaufanie do wachmistrza, ale zdawał sobie sprawę, że wybiera się na ryzykowną wyprawę. Spotkanie w Neufahrwasser mogło być pułapką. Kripo było znienawidzone w przemysłowym półświatku. Musiał jednak zaryzykować. Ubrał się w wygodniejszą odzież: miękkie dresowe spodnie i rybacką kurtkę z kapturem na wypadek deszczu. Poza tym na pewno w porcie nie będzie się w niej rzucał w oczy. Do wewnętrznej kieszeni schował latarkę, a z tyłu za paskiem spodni umocował swój pistolet.

Wieczorem ciepła majowa pogoda była już tylko wspomnieniem. Wicher dudnił głucho, obijając się o blaszane ściany magazynów, które Abell mijał po drodze do Neufahrwasser. Ukośny deszcz niezmordowanie zalewał mu szyby samochodu, a wysłużone wycieraczki ledwie radziły sobie z nadmiarem wody. Jechał ostrożnie i powoli, miał dużo czasu do północy. Po dwóch kwadransach



minął stoczną Schichaua z nieruchomo mającymi żurawiami i skręcił w Broschkischerweg. Mimo resorów jego adler z wysiłkiem pokonywał nierówności betonowych płyt ułożonych na ulicy. Na szczęście dość dobrze znał ten teren. Jeszcze kilka lat temu pływał żaglówką po tych wodach, pełnych kanałów i piaszczystych łąch i kąpał się w nich chętnie. Wskakiwał do lodowatej toni i nurkował w dół, starając się obliczyć moment, w którym powinien zawrócić, aby wynurzyć się przed utratą przytomności. Łapał potem łapczywie powietrze i mrużył oczy rażone promieniami słońca. Pamiętał nawet usytuowanie boi wytyczających szlaki ku morzu.

Minęła dwudziesta trzecia czterdzieści pięć, gdy dotarł na miejsce. Na nabrzeżu wznosiły się niczym dwa śpiące olbrzymy ogromne silosy zbożowe ledwie oświetlone przez lampy zalewane deszczem. Lepiej widoczna była wieża twierdzy Wisłoujście. Widział jej światła na przeciwległym brzegu. Przeszedł wzdłuż silosów, ale nie zauważył śladów ludzkiej obecności. Byłoby to zresztą trudne. Nawałnica jeszcze się wzmogła, wiatr wył niczym stado wściekłych wilków.

Nagle zauważył jakieś światełko przy brzegu, dobre sto metrów od miejsca, w którym się znajdował. Światło trzy razy zapaliło się i zgasło, więc odczytał, że to sygnał dla niego. Zrobił kilka kroków w tamtą stronę i natychmiast wychwycił go silny reflektor. Widocznie sprawdzali czy rzeczywiście jest sam. Pomyślał, że jeśli to pułapka, to nie ma żadnych szans na obronę. Nikt by go nie znalazł na dnie kanału portowego z kamieniem u szyi. Kto tak powiedział? Ach tak, Kellerman. Czuł, jak szybko bije mu serce. Szedł w stronę światła i wreszcie reflektor zgasł. Przez chwilę przyzwyczajając oczy do ciemności, a potem zobaczył mały kuter rybacki z kajutą przykrytą daszkiem. Przez kilka minut na pokładzie nic się nie działo, ale wreszcie rzucono mały trap i na brzeg wyszedł postawny mężczyzna, na pewno przewyższający go wzrostem. Twarz miał zasłoniętą kapturem. Stał tak, że Abell widział tylko zarys jego zwalistej postaci.

– Peters? – zapytał Abell i podszedł bliżej, osłaniając twarz przed zacinającym deszczem.

– Niech pan pyta. Ma pan trzy minuty. I proszę pamiętać, nikt nie może się dowiedzieć o naszej rozmowie. Nie chcę, aby znaleziono mnie na plaży z obciętym językiem. Nie wszyscy moi znajomi przepadają za Kripo. Szczerze mówiąc, nie znam nikogo takiego.

– Obiecałem to panu.

Odpowiedzią było tylko wzruszenie ramion.

– Pański goryl ma dar przekonywania, ale i tak ryzykuję zbyt wiele. Niech pan go więcej do mnie nie przysyła. Jeśli pan to zrobi, on już nie wróci.

– Nie będzie takiej potrzeby, panie Peters. Wie pan, o co chcę zapytać.  
– Abell pomyślał, że trzy minuty to bardzo niewiele. – Czy wie pan coś

o zaginionych bardzo cennych obrazach? Czy ktoś w porcie słyszał o ludziach, którzy je ukradli albo o miejscu ich ukrycia?

– To nie jest robota przemytników. Coś bym o tym wiedział. – Głos Petersa ledwo było słychać wśród wizgu wiatru i uderzeń fal.

– W porcie i na jego peryferiach jest wiele miejsc, w których można by było ukryć nawet Dwór Artusa.

– Owszem, ale nie tam powinien pan szukać zguby.

– A gdzie?

– Zostały panu dwie minuty.

– Wiem. Więc gdzie ich szukać?

– Poza Gdańskiem.

– Skąd ta pewność?

– Nie ma żadnej pewności. Ale ktoś w pewną kwietniową noc widział samochód, który mógł wieźć te obrazy.

– Jak to możliwe?

– Samochód zepsuł się w porcie. Mój znajomy pomógł go naprawić. To wszystko.

– Gdzie konkretnie miało miejsce to zdarzenie?

– Nie powiem, gdzie. Musi panu wystarczyć informacja, że wóz opuszczał Gdańsk, jadąc na południe.

– Skąd wiadomo, że był to właśnie ten samochód, panie Peters?

– To tylko przypuszczenie. Ale kierowca miał broń. Normalnie szoferzy nie trzymają gnata za paskiem. Na tylnym siedzeniu leżał jakiś duży pakunek przykryty kocami. Wystawał spod nich kawałek listwy albo ramy.

– To niewiele.

– Też tak sądzę. Ale więcej nie będzie. Została panu minuta.

– Czy mógłbym porozmawiać z tym człowiekiem, który widział ten samochód?

– Nie mógłby pan. Ostatnie pytanie.

– Proszę przynajmniej powiedzieć, jaki to był samochód: typ, kolor, rocznik.

– Była noc. To był jakiś stary model, taki, jakim się już dzisiaj nie jeździ.

Wyczerpał pan już limit.

– Dziękuję, panie Peters.

– Nie robię tego dla pana ani nawet przez wzgląd na tego pańskiego kostropatego wykidajkę. Poprosił mnie o to Godsucker. Oddał mi kiedyś przysługę. Teraz spłaciłem dług. Jesteśmy kwita. Musi pozostać pan tu w miejscu przez dziesięć minut. Potem może pan odjechać.

Już się odwracał, ale nagle powiedział coś jeszcze, coś, co zaskoczyło Abella.

– Ten kierowca nie był zdenerwowany. To nie wyglądało na kradzież.

Po czym przeskoczył przez trap i zniknął wewnątrz łodzi. Cicho zaterkotał silnik. W oknie stateczku Abell zobaczył cień jeszcze jednej postaci. W świetle księżycy błysnął metal lufy. Cały czas mieli go na muszce. Po kilku minutach światła kutra rozplynęły się w ciemności. Co go zdziwiło, kierował się na północ, ku morzu, a nie z powrotem w stronę portu. Peters był bardzo ostrożny.

Wracając, analizował przebieg rozmowy. Wersja kradzieży lub ukrycia kolekcji z udziałem przemytników stawała się problematyczna. Czuł, że Peters nie wprowadził go w błąd. Po cóż miałby to robić? Żeby odwrócić uwagę od siebie i swoich kolegów zajmujących się kontrabandą? Abell potarł w zamyśleniu brodę. To możliwe, ale instynkt podpowiadał mu, że Peters mówił prawdę. Przekazane przez niego informacje brzmiały intrygująco. Najbardziej w uszach dźwięczały mu jego ostatnie słowa: „Ten kierowca nie był zdenerwowany. To nie wyglądało na kradzież”. A jeśli Peters miał rację?

Zahamował gwałtownie auto i zatrzymał się przy magazynach z napisem C. Hartwig AG. Aż wstrzymał oddech, poruszony nagłą myślą, która przyszła mu do głowy. A jeśli rzeczywiście to nie była kradzież? Jeśli to Saul Rottenberg sam ukrył – w sobie tylko wiadomym celu – swoją kolekcję? W świetle takiego założenia wiele faktów, dotychczas bezsensownych, zaczynało pasować do większej całości.

Przez całą drogę do Langfuhr pogrążony był w rozmyślaniach. Przy wjeździe w Hochstriess był tak zamyślony, że o mało nie wjechał w pijaka, który nagle wytoczył mu się przed maskę samochodu. Odkręcił szybkę w oknie auta i z pokorą wysłuchał steku przekleństw i wyzwisk o burżujach, rozbijających się po nocy limuzynami.

Gdy wreszcie położył się w zimnej pościeli, długo nie mógł zasnąć. Wokół głowy wirowały mu twarze z obrazów de La Toura i Cranacha, czuł łopot niebieskich skrzydeł Chagalla oraz widział rozsypane litery z Luriańskiej księgi. Słyszał błagalny skowyt Chaima i bicie zegarów odmierzających wciąż czas w pustej sypialni Saula Rottenberga. Było dobrze po pierwszej, gdy zapadł wreszcie w kamienny sen. Wybudził go z niego dopiero uparty terkot budzika rankiem następnego dnia.

## **Rozdział V**

### **Jowisz i motyle**

## 1.

Plaskowitz sprawiał wrażenie oszołomionego. Abell zrelacjonował mu wydarzenia w porcie i od dobrej godziny poddawał analizie świeżą hipotezę, otwierającą przed śledztwem zupełnie nieoczekiwane możliwości. Wypili już od rana dzbanek mocnej kawy, a Abell pozwolił nawet swojemu rozmówcy na zapalenie cygara, które pomimo otwartego na oścież okna natychmiast zagęściło powietrze w jego policyjnej celi.

– Posłuchaj, Alex... – Abell starał się na chłodno przedstawić mocne i słabe strony nowej hipotezy. – Załóżmy na chwilę, że kolekcja rzeczywiście nie została ukradziona. I że ukrył ją z własnej nieprzymuszonej woli sam Saul Rottenberg. Tłumaczyłoby to jego dwuznaczne zachowanie post factum. Przede wszystkim – nie zawiadomił policji. Zawsze mnie to zastanawiało. Początkowo sądziłem, że Saul podejrzewał o kradzież Chaima i nie chciał mieszać do tego policji. Od dawna się nim opiekował i wolał wyjaśnić tę sprawę niejako w rodzinnym gronie.

– Szczerze mówiąc, też mnie to zdziwiło – powiedział Plaskowitz. – Z reguły pierwszym odruchem okradzionych jest wszczęcie alarmu i wezwanie policji. W jego przypadku faktycznie tak się nie stało. To dziwne.

– No właśnie. Ale jeśli sam ukrył kolekcję, to powiadomianie policji nie miało sensu, prawda? To tłumaczyłoby także jego dziwne zachowanie wobec Charlotty Monk. Jak pamiętasz, gdy zdziwiona zapytała go, dlaczego nie ma już dostępu do górnego salonu, Saul nie udzielił jej klarowanej odpowiedzi. Co więcej, zabronił jej w ogóle powracać do tego tematu. Tak się nie zachowuje właściciel okradziony ze skarbów, które były całym jego życiem. Zastanawiam się też, co tak naprawdę na temat zniknięcia kolekcji wiedziała Adele? W rozmowie ze mną w ogóle nie poruszała tej kwestii. Jest przecież jasne, że gdyby wiedziała cokolwiek na temat kradzieży, to w sposób oczywisty musiałaby powiązać ją ze śmiercią męża. A jednak nic takiego się nie stało.

– To rzeczywiście niezrozumiałe. – Plaskowitz wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Chyba że do żadnej kradzieży nie doszło, Alex. Jeśli założymy, że tak właśnie było, to wtedy wstrzemięzliwość Adele w tej kwestii staje się najzupełniej zrozumiała.

– To prawda. Ja również zastanawiałem się, czy Adele znany był ten fakt.

– Tego już się nie dowiemy. Śmiem jednak podejrzewać, że mogła nie mieć o tym pojęcia. Łączyły ją z mężem trochę niestandardowe więzi. Prowadzili osobne życie. W okresie, o którym rozmawiamy, Adele często wyjeżdżała. Saul mógł sam przeprowadzić akcję ukrycia kolekcji, a zamknięcie górnego salonu wytłumaczyć byle pretekstem.

– Na przykład jakim?

– Choćby takim, że podczas jej nieobecności oddał obrazy do konserwacji albo postanowił zrobić profesjonalne zdjęcia do nowego katalogu. Nie wiem – Abell wzruszył ramionami – ale nie wydaje mi się, aby Adele w takiej sytuacji przejawiała szczególną podejrzliwość czy wnikliwość. W rozmowie ze mną dobitnie zaznaczyła, że obrazy były zabawką męża i że nie ingerowali wzajemnie w swoje światy.

– A jaką rolę w takim razie w całej tej tajemniczej historii odegrał Chaim Rottenberg? Podejrzewaliśmy go niesłusznie?

– Nie do końca. Nie znam jeszcze wszystkich odpowiedzi. Ale zakładając, że moja hipoteza jest uzasadniona, sądzę, że Chaim wprawdzie nie ukradł, ale poszukiwał zaginionych arcydzieł. Na pewno był zaskoczony ich zniknięciem.

– Od kogo się o tym dowiedział, bo przecież nie od samego Saula?

– Nie wiem, ale faktycznie mało prawdopodobne, aby Saul zachował tajemnicę przed własną żoną, a podzielił się nią z Chaimem. Przypominam, Charlotta zeznała, że powiedziała Chaimowi o zamknięciu górnego salonu, a on wydawał się tym faktem zaskoczony, a nawet zaniepokojony. To ważne. Interesował się obrazami od początku lutego. Wielokrotnie ją o nie wypytywał. Dlaczego to robił, dlaczego wypytywał o nie na kilka tygodni przed ich zniknięciem?

Plaskowitz siedział z zamkniętymi oczami, wyglądał, jakby wewnętrznie przetrawiał rewelacyjne scenariusze snute przez swojego kolegę o nieposkromionej wyobraźni.

– No właśnie, dlaczego? – zapytał, otwierając oczy.

– Być może tylko korespondencyjnie pilnował obrazów jako, zgodnie z tym, co powiedział Charlotcie, ich potencjalny i przyszły spadkobierca. A potem skojarzył fakty i zrozumiał, że z obrazami coś się stało, oczywiście, z jego punktu widzenia coś złego. Płótna zniknęły, a wraz z nimi spodziewane profity.

– Mogło tak być – powiedział z namysłem Plaskowitz.

– Mogło, ale nie musiało. Nie wierzę w to. Wydaje mi się, że Chaimem kierowały inne pobudki.

– A mianowicie? – Plaskowitz spojrzał na niego z zainteresowaniem.

– Oczywiście, nie znam jeszcze prawdy. Ale być może Chaim miał od dłuższego czasu obrazy na oku, ponieważ działał na czyjeś zlecenie? To by oznaczało, że nie działał sam. A Saul, może tknięty przeczuciem, niejako profilaktycznie ukrył kolekcję.

– Zaraz, przestałem nadażać. Sugerujesz, że Chaim działał na czyjeś zlecenie i knuł coś przeciwko stryjowi, próbując położyć łapę na jego arcydziełach? A Saul domyślał się czegoś i zawczasu sam ukrył obrazy w jakimś dyskretnym schowku?

– Mniej więcej. Taki scenariusz przyszedł mi do głowy dopiero wczoraj, gdy

wracałem z portu. Nie wiem, czy mocodawcy Chaima zamierzali ukraść obrazy, czy w jakiś inny sposób wejść w ich posiadanie. Ale masz rację, sędzę, że taka wersja zdarzeń jest najbardziej prawdopodobna. I najlepiej tłumaczy zachowanie wszystkich aktorów tego dramatu: Saula, Adele, Chaima i Charlotty Monk. Nie powinniśmy szukać złodziei, bo nawet jeśli istnieją, to nie zdążyli nic ukraść. Musimy natomiast odnaleźć miejsce, do którego dotarł wysłany przez Saula starodawny automobil, o którym mówił Peters. Sprawdziłem, Saul nie miał takiego samochodu, ale to o niczym nie świadczy. Mógł go wypożyczyć, samochód mógł należeć do osoby współdziałającej z Saulem. W każdym razie kierował nim szofer, który się nie denerwował i miał broń. Na tylnym siedzeniu tego auta i być może w bagażniku wywędrowało w świat dwadzieścia osiem niezwyklej arcydzieł, których teraz szukamy, a które ukrył ich zapobiegliwy i kochający rebusy właściciel.

– Gdzie mamy ich szukać? Mogą być wszędzie... – na bladej arystokratycznej twarzy Plaskowitza pojawił się ceglasty rumieniec.

– Mam pomysł, ale najpierw muszę go przegadać z pewną młodą osobką o bardzo bystrym umyśle...

## 2.

Po raz pierwszy odwiedziła go w miejscu pracy. Z zainteresowaniem rozglądała się po małym pokoju, który – zanim spotkał ją – był prawie całym jego światem. Ze zmarszczonymi brwiami lustrowała przybrudzone ściany i wysłużone meble.

– Gabi, widzę, że jesteś rozczarowana – uśmiechnął się szeroko. – Zapewne spodziewałaś się ogromnego gabinetu i eleganckich mebli jak w biurze Martina Becka. A także młodej, długonogiej i zawsze pomocnej sekretarki.

– Brak sekretarki jakoś mi nie przeszkadza. Zauważyłam, że masz trudności z koncentracją na widok ładnych nóg. Sprawy państwowe mogłyby na tym ucierpieć. Ale reszta jest poniżej moich oczekiwań.

Zadzwoił do niej i poprosił, aby przyjechała do niego do pracy. Nie kryła zdziwienia, ale nie zadawała zbędnych pytań. Był jej za to wdzięczny. Prawdziwy powód tej wizyty spoczywał na fotelu naprzeciwko okna. Przykryty był szarą płachtą. Zaledwie przed kilkunastoma minutami dostarczono mu go do gabinetu z policyjnego depozytu. Spojrzała na niego pytająco, a on skinął głową. Podeszli razem do krzesła. Szybkim ruchem ściągnął tkaninę i odsłonił obraz.

Wyglądał teraz inaczej niż w domu Saula. Światło dzienne wydobywało szczegóły, których pierwotnie nie zauważył.

Gabi wpatrywała się w płótno roziskrzonymi oczami.

– Dobrze pamiętam ten obraz z gabinetu Saula. To prawdziwe arcydzieło

jednego z braci Dossich.

– Doprawdy? – Abell podszedł bliżej. – Co właściwie przedstawia? To trochę dziwny obraz.

– Nie tyle dziwny, co alegoryczny – poprawiła go. – Spójrz, cała scena dzieje się na obłoku. Ten mężczyzna malujący motyle na blejtramic jakby wyciętym z nieba to Jowisz. Postać znajdująca się za nim to Merkury. Przytyka palec do ust, dając tym samym do wiadomości klęczącej za nim Cnocie, aby nie przeszkadzała malarzowi.

– Domyślam się, że artysta odwołuje się w tej historii do jakiejś religijnej czy też literackiej inspiracji?

– Właśnie tak. Inspiracją dla malarza był najprawdopodobniej poemat Cnota napisany przez piętnastowiecznego malarza, architekta i poetę Leona Battistę Albertiego. Powiedziałam „najprawdopodobniej”, ponieważ obraz z Jowiszem do dzisiaj nie został w pełni odczytany ani też zinterpretowany. To tylko najczęściej przywoływana inspiracja.

– Obraz z zagadkami tak lubianymi przez Saula?

– Właśnie. Cnota ma pilną sprawę do bogów, ale Merkury nie pozwala jej dojść do głosu.

– Dlaczego? – Abell wpatrywał się w obraz z coraz żywszym zainteresowaniem.

– Musimy powrócić do literackiego pierwowzoru. Poemat pod tytułem *Virtu*, czyli cnota, zawarty był w *Intercoenales*, zbiorze lekkich aluzyjnych tekstów, przeznaczonych do lektury podczas posiłków, autorstwa Leona Battisty Albertiego. W czasach Dossiego przypisywany był antycznemu satyrykowi Lukianowi z Samosat. W tym krótkim dialogu, stylizowanym na tekst starożytny, Merkury, pełniący funkcję adiutanta boga Jowisza, wysłuchuje skargi Cnoty na Fortunę, ponieważ Jowisz i Fortuna są zbyt zajęci doglądaniem dyń i malowaniem skrzydeł motylom.

– Trochę to skomplikowane.

– Niekoniecznie. Wystarczy zrozumieć, że źródło literackie malarz potraktował bardzo swobodnie. Dzieło nie stanowi wcale dokładnego malarskiego odwzorowania dialogu literackiego. A rzeczywistym tematem obrazu nie jest historyjka z życia bogów, a apoteoza malarstwa jako najdoskonalszej ze sztuk, przewyższającej nawet literaturę. Ale jest w tym obrazie rzeczywiście coś dziwnego, niestandardowego. Zgadniesz co?

Abell przyglądał mu się długo.

– Może to, że gromowładny Jowisz, wielki bóg, maluje coś tak nieprzydatnego i nieobecnego w szesnastowiecznej ikonografii jak motyle?

– Nie przestajesz mnie zaskakiwać, Christianie – musnęła jego policzek.

– Myślę, że to właśnie chciał przekazać artysta. Apologię zawodu artysty i twórczej



wolności. Przy okazji zwróć uwagę, Jowisz trzyma pędzel w połowie trzonka, maluje bezpośrednio przy płótnie, bez wcześniejszego szkicu czy rysunku przygotowawczego. Hołduje w ten sposób tak cenionej w tamtych czasach kategorii *prestezza*, czyli swobody wykonania. Malowanie, poprzez przywołanie boga twórcy, przyrównane jest tu do boskiego rzemiosła. Ten obraz pełen jest ukrytych aluzji i znaczeń. Na pewno nie wszystkie jeszcze zostały odczytane.

– Pytanie, dlaczego Saul wyróżnił właśnie ten obraz? Właśnie to jedno, jedyne płótno ocalało z całej kolekcji? I dlaczego to ten obraz zawisł w jego osobistym gabinecie?

Gabi spojrzała na niego z rozmysłem.

– Nie znam odpowiedzi. Rozmawiałam z Saulem o pochodzeniu tego płótna, ale nigdy nie zapytałam go, dlaczego powiesił właśnie ten obraz w swoim gabinecie, a Saul nie nawiązał nigdy do tego tematu.

– Zauważyłem, że *Jowisz* nie jest wymieniony w katalogu. Dlaczego? Przecież z tego, co mówisz, wynika, że to cenne renesansowe dzieło. Gołym okiem widać, że to dzieło wybitne.

– Dobre pytanie – zastanowiła się. – Po prostu Saul z jakichś powodów nie chciał, abym umieściła je w katalogu. Zapewne uważał, że nie pasuje do kolekcji.

– Nie był namalowany przez kabalistę?

– Chociażby... Ale dlaczego właściwie o to pytasz i czy odpowiedź ma jakieś znaczenie dla twojego śledztwa?

Abell uznał, że musi ją wprowadzić w swój tok rozumowania. Oczywiście bez szczegółów i faktów ważnych dla dochodzenia, które prowadził. Ufał Gabi i potrzebował jej pomocy. Jednak im mniej wiedziała, tym była bardziej bezpieczna. W ciągu kilkunastu minut opowiedział jej o swoim przypuszczeniu, że kolekcja nie została skradziona, a została ukryta przez samego Saula. Słuchała uważnie, tylko czasami kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Teraz rozumiem. Podejrzewasz, że Saul zostawił ten obraz celowo?

– Więcej. Domyślam się, że to płótno jest rodzajem zaszyfrowanej wskazówki na temat miejsca, gdzie należy poszukiwać kolekcji.

– Dlaczego miały to zrobić? Nie wystarczyło, że sam wiedział, gdzie ukrył obrazy?

– Na wypadek nieprzewidzianych zdarzeń.

– Na przykład jakich? – zapytała i w tej samej sekundzie w jej oczach zapalił się błysk zrozumienia. – Na wypadek własnej śmierci?

Pokiwał głową.

– Saul coś podejrzewał, czegoś się bał w ostatnich tygodniach... Być może jego obrazy znalazły się w niebezpieczeństwie. Postanowił więc nie czekać i profilaktycznie ukryć je w jakimś niedostępnym dla złodziei miejscu. Obraz z zaszyfrowanym przesłaniem czy wskazówką byłby więc rodzajem mapy

drogowej prowadzącej do miejsca ukrycia skarbu.

– Sam to wymyśliłeś? – spojrzała na niego z podziwem.

– Jestem jeszcze daleko od rozwiązania zagadki. Jednak stale czynię postępy. Dużo myślę o tej sprawie. Staram się postawić siebie na miejscu Saula... Ale dość już o tym. Opowiedz mi jeszcze o tym malarzu, nie słyszałem o nim zbyt wiele.

– Było właściwie dwóch braci Dossich: Dosso i młodszy Battista. Tak naprawdę nazywali się Luteri. Przydomek „Dosso” pochodzi od niewielkiej posiadłości rodzinnej, leżącej na granicy Ferrary i Mantui. Obaj byli malarzami działającymi w Ferrarze, na dworze książąt Alfonsa Pierwszego i Ercole Drugiego d’Este. Odróżnienie obu braci do dzisiaj sprawia badaczom wiele trudności. Przez pewien czas mieli wspólną pracownię w Ferrarze i współpracowali przy zamówieniach dla książęcego dworu. Ale można także dostrzec różnice: wyżej ceniony Dosso spędził kilka lat w Wenecji, co widać po jaśniejszej i bardziej intensywnej paletce kolorów. Battista także pracował w mieście dożów, ale później przeniósł się do Rzymu i należał do uczniów Rafaela<sup>[26]</sup>.

– Który z nich stworzył *Jowisza malującego motyle*?

– Nie ma co do tego stuprocentowej pewności.

– Jak to?

– Istnieją dwa obrazy o tej samej tematyce. Różnią się jedynie szczegółami.

Pierwszy *Jowisz* znajduje się w wiedeńskich zbiorach polskiego magnata, księcia Karola Lanckorońskiego. Saul miał dostęp tylko do zdjęcia tego obrazu. Drugi, mniej dopracowany obraz, posiadał właśnie Saul. On sam uważał, że jego płótno jest dziełem młodszego z braci, Battisty. Być może był to rodzaj olejnego szkicu do głównego obrazu, który namalował Dosso Dossi. Trzeba pamiętać, że żaden z tych dwóch obrazów nie jest sygnowany, przypisywano im w przeszłości różne atrybucje<sup>[27]</sup>. Ale Saul był pewien, że jego obraz wyszedł spod ręki młodszego z braci, Battisty. A miał ogromną wiedzę na temat malarstwa.

– Wracając do samego obrazu... – Abell wpatrywał się intensywnie w płótno. – Czy poza anegdotą literacką widzisz w nim coś jeszcze? Nie wiem, nietypowy szczegół, fragment budowli z tła, nasuwający ci jakieś bardziej współczesne skojarzenia?

– Wiedziałaś, że o to spytasz. Myślę, że mogłabym coś wskazać. Historycy sztuki uważają, że obrazy braci Dossich były przeznaczone do dekoracji prywatnych apartamentów księcia lub do jednej z jego licznych podmiejskich willi, zwanych *delizie*. To w nich w latach tysiąc pięćset osiemnaście do tysiąc pięćset dwadzieścia osiem zatrudnieni byli obaj bracia. Obraz ten, poprzez swoją tematykę, sięgałby więc po obecny już w starożytności i kopiowany w renesansie wątek *exilium*, czyli ucieczki od życia w mieście i codziennych obowiązków. Jeśli w postaci Jowisza sportretowany jest – jak podejrzewają niektórzy – sam książę, to

odłożenie przez niego kołczana symbolizuje złożenie atrybutu władzy i powinności na rzecz *otti*, czyli poświęcenia się zamiłowaniom prywatnym. A *otti* było kojarzone z ideą *locus amoenus*, czyli stanem rozkoszy i kontemplacji, której oddawano się w idyllicznych miejscach, z dala od miast na tle wyidealizowanej przyrody.

– Jednym słowem powinienem szukać kolekcji gdzieś poza Gdańskiem, w jakimś idyllicznym miejscu?

– Mniej więcej.

Cała Warmia jest taka albo Kurlandia, pomyślał. Ale jednocześnie miał poczucie, że dzięki Gabi zrobił kolejny krok we właściwym kierunku. Jeśli obraz był rzeczywiście wskazówką i prawidłowo zinterpretowali zawarte w nim przesłanie, kolekcji należało szukać poza Gdańskiem. W jakimś sensie zgadzało się to z tym, co powiedział mu Peters. Wyraźnie powiedział, że samochód opuszczał Gdańsk, jadąc na południe. A więc poza miasto, ale dokąd? Równie dobrze płótna mogły być już poza granicami Wolnego Miasta, gdzieś w Rzeszy.

Obraz należało jeszcze dokładnie zbadać. Z pomocą Gabi ostrożnie wyjął go z ramy. Była wiekowa, w kilku miejscach drewno spróchniało prawie na wylot. Zapalił lampkę i skierował snop światła na tył obrazu. W lewym rogu zauważył nalepkę z ręcznie napisanym nazwiskiem Barberini, zapewne naklejoną przez poprzedniego właściciela. W prawym rogu widać było naklejony strzęp jakiejś włoskiej gazety. Podniecony poprosił Gabi o pomoc w jej odczytaniu, ale okazało się, że to mylny trop. Kilka zdań tekstu mówiło o karczemnej awanturze po przemówieniu Mussoliniego w Palazzo Chigi. Rozpatrywał przez chwilę możliwość, że to Saul wskazuje Rzym jako miejsce ukrycia obrazów, ale uznał to przypuszczenie za zbyt wydumane. Przewożenie arcydzieł na taką odległość i to za granicę, było zbyt ryzykownym przedsięwzięciem. Niestety, nigdzie nie zauważył żadnych innych znaków sugerujących ukryty przekaz.

Po wyjściu Gabi długo jeszcze wpatrywał się w obraz. Przyszło mu do głowy, że być może powinien wyprowadzić jakąś paralełę od widocznych na obrazie szczegółów. I tak, wychodząc od boskich motyli, próbował znaleźć kojarzącą się z nimi nazwę miejscowości położonej na południe od Gdańska. A gdy to nie przyniosło spodziewanych efektów, łamał sobie głowę nad odnalezieniem jakiegoś nazwiska kojarzącego się z motylami. Potem podobnemu myślowemu ćwiczeniu poddał wymienione w poemacie: kołczan, tęczę, a nawet dynie – z podobnym skutkiem. Skupił także uwagę na postaciach Jowisza i Merkurego, szukając rozwiązania zagadki w mitach dotyczących tych bogów. Nie poddawał się, próbował różnych wariantów i wariacji, ale nie posunął się naprzód nawet o milimetr.

Czuł się znużony, ale nie potrafił rozstać się z tym zadziwiającym obrazem. Wodził palcami po chropowatej powierzchni płótna. Podziwiał przezroczyłość

motyli skrzydeł, refleksy na obłokach i delikatność liści prześwietlonych blaskiem tęczy. Obraz zaczynał go fascynować, pochłaniać jego emocje i myśli. Miał wrażenie, że płótno zaczyna żyć własnym życiem, a Jowisz za chwilę odłoży pędzel, zejdzie z obrazu i spocznie na sfatygowanym krześle, zatapiając w Abellu swoje przenikliwe spojrzenie. Z trudem otrząsnął się z tych myśli. Miał już ponownie zakryć płótno kocem, gdy zwrócił uwagę na jeszcze jeden wyrazisty gest Merkurego. Bóg zbliżał palec do ust w wymownym geście nakazywania milczenia. Tak jakby chciał powiedzieć: tajemnica jest we mnie, ale ci jej nie zdradzę. Tak, Saul Rottenberg na pewno lubił rebusy.

Tej nocy kochał się z Gabi inaczej. Bez owej nieubłaganej desperacji, dzięki której tyle kobiet uważało go za niezmordowanego kochanka. Był odprężony i myślał tylko o sprawieniu jej przyjemności. Rozbierał ją bez pośpiechu, stopniując doznania. Obsypywał pocałunkami jej usta, szyję i piersi, kierując się na południe i eksplorując jej ciało w rytm westchnień, którymi go nagradzała.

Gdy wreszcie w nią wszedł, krzyknęła chrapliwie. Nigdy do tej pory nie był tak zespolony z kobietą we wspólnym akcie rozkoszy i wzajemnego oddania. Dla niego ta noc mogłaby nigdy się nie skończyć.

### 3.

Przedpołudnie spędził w bibliotece miejskiej, wertując stopy albumów o sztuce, o renesansowych malarzach północnej Italii i dworze księcia Alfonsa I d'Este. Zwłaszcza postać barwnego i ekscentrycznego władcy przykuła jego uwagę.

Wyczytał, że młody książę dzieciństwo i młodość przeżył w cieniu nieustannych wojen z Wenecją. Bolejąc nad utratą wielu ziem przez rodzinne miasto, utwierdził się w przekonaniu, że siła militarna jest dla Ferrary koniecznością. Uznał, że artyleria będzie rozstrzygającym czynnikiem w przyszłych wojnach. Dlatego już jako młodzieniec założył i osobiście zaczął prowadzić odlewnię armat. Z sympatią i szacunkiem odnosił się do pracujących tam robotników. Chętnie też z nimi przestawał, ku zgorszeniu szlachty i dworzan. W 1491 roku jako piętnastoletni młodzieniec zaślubił w Mediolanie Annę Sforzę, księżniczką mediolańską. Niestety, Anna okazała się osobą chorowitą, nie mogła mieć dzieci i po sześciu latach pożycia małżeńskiego umarła. Nie miała z mężem łatwego życia. Pewnego razu Alfons wyszedł na ulice miasta zupełnie nago, ze szpadą w ręku, otoczony kilkoma towarzyszami rozpusty. Bardzo skrzętnie zapisywał sumy *per Venere lasciva*[41], a w jego studiu wisały obrazy Cosima Tury, przedstawiające postacie nagich kobiet. Jako młody człowiek dużo podróżował, zdobywając wiedzę i doświadczenie w interesujących go kwestiach praktycznych. Szczególnie wiele uwagi poświęcał architekturze twierdz i portów,

budowie miast, gospodarce, uzbrojeniu, a przede wszystkim sztuce. Nic dziwnego, że za jego panowania Ferrara wyrosła na jeden z największych i najprężniejszych ośrodków sztuki w całych renesansowych Włoszech. Ustatkował się dopiero po ponownym ożenku ze słynną Lukrecją Borgia, córką przyszłego papieża Aleksandra VI<sup>[28]</sup>.

Abell przyrzekł sobie porozmawiać jeszcze z Gabi o postaci niezwyklego władcy, mecenasa obu braci Luterich. Ani się obejrzał, a była już godzina czternasta. Wracając na Karrenwall, poczuł głód. Postanowił zjeść szybki obiad z Plaskowitzem w Der Lachs. Potrzebował jego krytycznego i ostrego jak brzytwa intelektu. Plaskowitz nigdy nie podejmował pochopnych decyzji i starał się nie ogłaszać przedwczesnych zwycięstw. Właśnie ktoś taki był teraz Abellowi bardzo potrzebny.

Mimo stosunkowo wczesnej pory lokal wypełniony był prawie do ostatniego miejsca. Z kuchni doleciał ich zapach ryb, cynamonu i octu. Był piątek i w menu przeważały dania bezmięsne. Zastanawiał się, czy nie zamówić swoich ulubionych zeppelinów, ale ostatecznie zdecydował się wzorem Plaskowitza na zupę z węgorza na rosole i okonia czerwonego z knedlami. Z małego podium z głębi sali dobiegały dźwięki muzyki. Smukły, wydelikacowany pianista grał preludium cis-moll Siergieja Rachmaninowa.

Czekali na dania. Abell pochylił się ku Plaskowitzowi i zaczął relacjonować mu swoje ostatnie przemyślenia. Jego interlokutor słuchał uważnie, czasami tylko zadając bardziej szczegółowe pytanie, jakby chciał sprawdzić, czy Abell jest w stanie obronić swoją hipotezę.

– To ciekawe, co opowiadasz, nawet prawdopodobne – powiedział, smakując pierwszy łyk gorącej aromatycznej zupy, którą postawił przed nim kelner. – Ale rodzi się wiele pytań. Na przykład czy Saul zdradził komuś z rodziny miejsce ukrycia kolekcji, czy też zabrał tę tajemnicę ze sobą do grobu?

– Rozmawialiśmy już o tym. Od tego czasu nie zmieniłem zdania. Sądzę, że Saul nie zdradził tej tajemnicy nawet Adele – odpowiedział Abell. – Dlaczego? Ponieważ bał się o jej bezpieczeństwo. Nie wiedząc nic, nie mogła niczego zdradzić. Ale musiał obawiać się także o własną skórę.

– I dlatego zostawił obraz Dossiego z jakimś zaszyfrowanym przesłaniem? Po co? Przecież ryzykował w ten sposób, że zdemaskuje miejsce ukrycia tak skrzętnie schowanej kolekcji. Musiał przecież mieć świadomość, że zli ludzie także mogliby odczytać tę wskazówkę...

– Tylko wtedy, gdyby domyślili się tego, co ja. To oczywiście możliwe, ale nie wydaje mi się, aby doszli do tego punktu, w którym ja obecnie się znajduję. Myślę, że Saul zostawił tę wskazówkę na wypadek, gdyby go zabrakło. Przewidział własną śmierć... Zaszyfrowany w obrazie przekaz miał trafić – przez kilka sekund szukał odpowiedniego określenia – w godne ręce.

– Co przez to rozumiesz? – Plaskowitz zamarł z łyżką przy ustach.

– Zapewne chciał, aby wskazówkę odczytał tylko ten, kto będzie miał w sobie wystarczająco wiele cierpliwości, wiedzy i talentu do rozwiązywania zagadek, aby zasłużyć na główną nagrodę. Zafundował nam ostatnią zagadkę, tym razem z za grobu.

Po tych słowach zapadła cisza. Abell miał wrażenie, że jego towarzysz jest zaintrygowany tą hipotezą.

– Miałem nadzieję, że obalisz moją argumentację, ale widzę, że trafiła ci do przekonania – powiedział, smakując parującego na talerzu okonia.

– Uważam, że to przełom, Christianie, naprawdę. Chapeau bas! Nigdy bym na to nie wpadł. Swoją drogą, cóż za ekscentryk z tego Saula... Porozmawiam z Mohlem i Kellermanem, jeśli chcesz. Ty już nie trać czasu na dysputy z nimi. Widzę, że Kellerman działa ci na nerwy, i wzajemnie.

– Widziałem Kellermana na wiecu nazistów – powiedział Abell. – Bromkego zresztą też. Siedział i wpatrywał się w Alberta Forstera jak w święty obraz.

– A to ci niespodzianka. Nie podejrzewałem go o sympatyzowanie z nazistami. – Plaskowitz wyglądał na zaskoczonego.

– Ja też nie. Myślałem, że to oficer starej daty, może i trochę upierdliwy, ale apolityczny. Najpierw straszliwie się spieszył z zamknięciem sprawy Saula jako samobójcy i łapówkarza. Teraz zmusza mnie do uznania Chaima za mordercę, mimo iż jest wiele wątpliwości w tej sprawie. Jeśli Chaim rzeczywiście zamordował Rottenbergów, to nadal otwarte pozostaje pytanie o szczegóły tych zbrodni. Jak wywabił Adele z domu? Działał sam czy na zlecenie? Pytania można by mnożyć. Dlatego nie jestem pewien czy mogę mieć zaufanie do Kellermana. Nie wiem, czy samodzielnie podejmuje swoje decyzje... Mogę sobie śmiało wyobrazić, że nie jest taki czysty, jak dotychczas uważałem.

– Co masz na myśli?

– Może Kellerman od początku wie, o co toczy się ta gra? I kryje działania jakiegoś obrzydliwie bogatego zleceniodawcy tych zbrodni zainteresowanego przejęciem kolekcji?

– Nie wiem, co ci odpowiedzieć. Ale nie wyciągałbym tak dalece idących wniosków... – Plaskowitz był wyraźnie zakłopotany.

– Porządny z ciebie gość, Alex. Nie wymagam przecież, abyś krytykował swojego zwierzchnika. Jesteśmy w Kripo.

Obaj mężczyźni zamilkli i zatopili się we własnych myślach.

Przy stoliku obok trzech podpitych gości prowadziło ożywioną dyskusję gęsto podlewana alkoholem.

Rej wodził najwyższy z nich, albinos o wyłupiastych oczach i wiecznie spoconym czole.

– Mówię wam, że wreszcie nas zaleją. Pieprzone Polaczki. Mnożą się jak

koty. Wystarczy przekroczyć granicę, aby zobaczyć te ich brudne, zatłoczone miasteczka z wyboistymi zabłoconymi ulicami. I jeszcze pełno pejsatych. No, zgroza po prostu.

– Nie zaleją Manfred, nie zaleją – próbował oponować najbardziej pijany z towarzystwa, grubas o wyglądzie komiwojażera. – Bez niemieckiej kultury i organizacji Polaczki przypominają dzieci we mgle. Są nikim, szlag, nikim! To my założyliśmy im miasta, daliśmy prawo i ucywilizowaliśmy tych słowiańskich barbarzyńców. Sami nie stworzyli nic, nic – walił pięścią w stół, by podkreślić swoje słowa. – Nawet Nicolaus Copernicus, którym tak się szczycą, jest w rzeczywistości nasz. Jego matka była przecież Niemką, a całą karierę zawdzięcza wujowi, biskupowi Lucasowi Watzenrode. Nawet kochankę miał niemiecką! – zachichotał. – A Chopin? Przecież to Francuz. Zresztą wyobrażacie sobie, żeby polski cham mógł skomponować tak piękną muzykę? Albo, trzymajcie mnie, zatrzymać słońce i ruszyć ziemię? No wykluczone, szlag, bez dwóch zdań, wykluczone! Oni potrafią tylko kopiować. Nie mają żadnej własnej sztuki. Nawet Veita Stossa[42] próbowali nam ukraść!

Albinos słuchał uważnie z przekrzywioną głową, ale widać było, że argumenty jego oponenta rozwścieczają go jeszcze bardziej.

– Pierdolisz, Manfred. Przez takich jak ty, straciliśmy Górny Śląsk i Poznań. Samo poczucie wyższości nie wystarczy. Trzeba wydusić ich tutaj na miejscu. Jest ich coraz więcej. Słyszę to słowiańskie szeleszczenie na plaży, na Langer Markt, wszędzie! To przez nich Gdańsk jest jakimś dziwolągiem. Co to w ogóle za twór to Wolne Miasto? Przecież Gdańsk zawsze był niemiecki. Ale Hitler to naprawi! Zapewniam was! I popędzi to polskie bydło z powrotem, oczyści miasto ze Słowian i Żydów.

Abell odwrócił się plecami do rozdyktowanego towarzystwa. Coraz częściej bywał świadkiem takich rozmów. Nastroje w mieście się radykalizowały. On sam unikał polityki. Babcia Karolina wspominała o ich holenderskich przodkach, ale on sam uważał się za dobrego Niemca, obcy mu był szowinizm. Uważał, że na rozwodzie z Polską Gdańsk ze swoim portem tylko straci. Ale był to pogląd coraz bardziej odosobniony. Jesienią ubiegłego roku wybrał się do pobliskiej Gdyni. Był zauroczony architekturą i witalnością tego miasta, które Polacy zbudowali, jak sami mówili „z morza i marzeń”. Spacerował szerokimi ulicami, podziwiał modernistyczne budynki i nie mógł wyjść z podziwu, że zaledwie kilkanaście lat temu była tam tylko mała wioska rybacka. Prześwietlona światłem Gdynia przypominała mu trochę Marsylię, którą zwiedzał jeszcze w czasach studenckich. Mógłby tam zamieszkać, wśród tych pracowitych i dumnych ludzi, odwiecznych sąsiadów, z których polityka uczyniła mieszkańców z innej planety. I opowiedzieć o tym wszystkim albinosowi. Ale po co? Skończyłoby się zapewne awanturą i mordobiciem.

Jak przez mgłę doleciało go pytanie Plaskowitza.

– Młoda osóbką o bystrym umyśle, o której wspomniałeś, i jej zapewne zawdzięczasz rewelacje na temat obrazu, to ta młoda pracownica muzeum?

– Skąd o niej wiesz? – zapytał.

– Od kogo? Od Kukulki. Chyba się jej nie wstydzisz? Podobno ma nogi do samej ziemi.

Pomyślał o nogach Gabi i zrobiło mu się ciepło na sercu. Najwyższy czas wracać do domu i obejrzeć je z bliska, pomyślał.

#### 4.

Całą niedzielę spędził z Gabi na spacerach i rozmowach o obrazie Battisty Dossiego. Dzień był ładny i zachęcał do wyjścia z domu. Gdańszczanie tłumnie wylegli na nadmorskie promenady i do parków.

Oboje z chęcią przeszli się po sopockim molo, obserwując mewy wirujące nad ich głowami i wdychając zapach morskiej soli, przemieszany z charakterystyczną wonią wodorostów zalegających skołtunionym pasem całą plażę. Wymijając je i schylając się co chwila po drobiny bursztynu, doszli brzegiem morza aż do mola w Jelitkowie.

Abell lubił to kąpielisko, a Gabi dzięki Abellowi dopiero odkrywała tę część Gdańska. Plaża była piękna, a ludzi na niej zdecydowanie mniej niż w Sopocie. Dzięki rozbudowie Domu Zdrojowego można tu było także dobrze zjeść, a nawet potańczyć na deskach. Nic dziwnego, że jelitkowski kurhaus miał swoich admiratorów i Abell się do nich zaliczał<sup>[29]</sup>. Oprowadzał ją po obszernym obiekcie z pruskiego muru i z charakterystyczną lukarną nad wejściem, pokazując ślady po straszliwym sztormie ze stycznia 1914 roku, który prawie zmiotł wszystkie zabudowania z plaży. Usiedli w restauracji na świeżym powietrzu z widokiem na molo.

Obserwował ją z boku. Miała na sobie ciasny kaszmirowy sweter, uwypuklający jej piersi. Wiatr od morza podwiewał lekko jej sukienkę. Delikatny makijaż podkreślał owal jej pełnych światła oczu. Czasami wysuwała koniuszek języka, jakby sprawdzała poziom soli w powietrzu.

Była tak pełna życia i śliczna, że aż ścisnęło mu się serce. Za nic nie chciałby jej stracić.

Rzuciła mu przeciągłe spojrzenie. Była szczęśliwa. Chciałaby zatrzymać tę chwilę: odgłos trzeszczących desek, intensywny zapach morza, promień słońca przedzierający się przez gałęzie modrzewia i wędrujący po jego twarzy. Miał na sobie płócienne spodnie, rozpiętą pod szyją białą bawełnianą koszulę i niebieski kardigan z wełny. Widziała spojrzenia, jakimi obrzucały go kuracjuszki siedzące przy przeciwległym stoliku. Ale on należał tylko do niej. Na myśl o czekającej ich



gorącej nocy aż westchnęła cicho, a on spojrzał na nią zaniepokojony.

Nigdy nie wiedziała, czego się po nim spodziewać. Bywał chmurny i zatopiony we własnych myślach. Czowała się wtedy intruzem, mającym zakaz wstępu do świata jego tajemnic. Ale bywały też takie chwile jak pamiętna noc pełna zwierzeń, czy jak dzisiejszy dzień, gdy bawił ją i uwodził jak nastolatkę. Miała właściwie wszystko, czego pragnęła. Brakowało jej tylko jednego. Nigdy nie powiedział, że ją kocha. Ale i na to przyjdzie czas. Musi być tylko cierpliwa. Może dzisiaj? Jest jakiś taki... odświętny.

Zamówił dla niej pstrąga w cytrynie i szparagi z masłem, sam poprzestał na *maultaschen*[43]. Do tego poprosił o butelkę schłodzonego wytrawnego rieslinga, a na deser o sorbet z pomarańczy i kawę.

– Spędziłem wiele czasu w bibliotece – powiedział, patrząc w jej przeświecone słońcem oczy. – Zaciekała mnie zwłaszcza postać władcy Ferrary z czasów obu braci Dossich, księcia Alfonsa Pierwszego.

– Tak, to z pewnością niezwykła postać – odpowiedziała, a przez głowę przemknęła jej rozczarowująca myśl, że chyba jednak nie dzisiaj, jeszcze będę musiała poczekać...

– Opowiedz mi o nim coś więcej.

– Co z tego będę miała? – zapytała zalotnie.

– Będziemy negocjować.

– Niech ci będzie. Zaczniemy od tego, że Rodzina d'Este była jednym z najznakomitszych rodów arystokratycznych Włoch. A jej domena, czyli piętnastowieczna Ferrara, to pierwsze nowoczesne miasto w Europie i jedno z najludniejszych w Italii, miało wtedy około stu tysięcy mieszkańców. Estowie zawsze przykładali wielką wagę do wykształcenia. Mieli szerokie horyzonty i najlepiej czuli się w roli mecenasów sztuki i opiekunów artystów.

– Takich jak bracia Dossi?

– Nie tylko. Utrzymywali wspaniały dwór, gdzie można było spotkać takich artystów jak Cosimo Tura, Francesco Cossa czy Pisanello. Bywał tam Piero della Francesca i Flamandowie. Dwa wielkie poematy epickie stworzone zostały właśnie przez poetów ferraryjskiego dworu: *Orlando furioso* Ariosta z roku tysiąc pięćset siódmego, jedno ze szczytowych osiągnięć literatury włoskiej, i *Gerusalemme liberata* Torquata Tassa z roku tysiąc pięćset siedemdziesiątego piątego. Książę Ercole Pierwszy rozbudował i unowocześnił miasto. Księżciu Borso zawdzięczamy udekorowanie pałacu Schifanoia wspaniałymi freskami, przedstawiającymi rozrywki i życie dworu bez uciekania się do symboliki religijnej. Freski te zostały wykonane przez nadwornych artystów, grupkę szalonych i utalentowanych malarzy, którzy pokryli ściany centralnego salonu malowidłami o tematyce świeckiej, najbardziej rozrywkowymi w malarstwie włoskim. Christian, nie uwierzysz, ale występują tam nawet króliczki jako symbol płodności – roześmiała

się Gabi. – Ferrarę pokochała także jego żona, sławna Lukrecja Borgia. Broniąc interesów miasta, sprzeciwiała się nawet swemu papieskiemu ojcu, Aleksandrowi Szóstemu Borgii.

– A Alfons Pierwszy?

– Jeszcze bardziej uświetnił dzieło swoich poprzedników. Był kimś w rodzaju ferraryjskiego Medyceusza, wielkiego mecenasa i opiekuna sztuki. Humanista i ekscentryk, lekceważący obowiązujące normy społeczne. Światły władca, zdolny wódz, ale także uganiający się za kobietami. Jego dwór propagował wówczas sztukę mającą zachwycić erudycją, swobodą i oryginalnością. Ale co najważniejsze – Gabi zrobiła pauzę – w nurt tej wyrafinowanej sztuki świetnie wpisywało się tworzenie obrazów rebusów czy obrazów poematów, których właściwe znaczenie było w stanie rozszyfrować jedynie wąskie elitarne grono wtajemniczonych. Obraz miał zwodzić widza, wymykać się jednoznacznym interpretacjom. Taki jest właśnie *Jowisz malujący motyle*.

– Rebusy i ukryte treści lubił także Saul Rottenberg – westchnął Abell. – Nie był jeszcze pewien, w którą stronę go to zawiedzie, ale instynkt podpowiadał mu, że to właściwy kierunek.

– Też to zauważyłam – odpowiedziała Gabi poważnie. – Myślisz, że te podobieństwa gdzieś nas doprowadzą?

– Jeszcze nie wiem, ale nie wierzę w przypadki. Przyszło mi jednak do głowy, że kluczem do rozszyfrowania wskazówki ukrytej w *Jowiszu* może być nie temat tego dzieła czy sam malarz, a jego mecenas.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zastygła w bezruchu z łyżeczką sorbetu przy ustach.

– To, że być może powinniśmy się skupić na postaci Alfonsa Pierwszego. I znaleźć jakąś nić łączącą Saula Rottenberga z księciem.

– To chyba trudne zadanie – powiedziała z powątpiewaniem. – Cóż miałyby łączyć tak różne postacie? Wyrafinowanego arystokratę sprzed ponad czterystu lat i przedsiębiorcę budowlanego z Sopotu? Księcia i niemieckiego Żyda? Mecenasa sztuki i tej sztuki konsumenta? Naprawdę nie wiem. – Pokręciła bezradnie głową.

W tym momencie dobiegły ich dźwięki muzyki. Na placyku przy dróżce wiodącej do mola znajdował się duży drewniany parkiet. Kapelmistrz zapraszał wszystkich do tańca. Odpowiedział mu hurgot przesuwanych krzeseł i odsuwanych stolików. Abell uznał chyba, że zbyt długo już bawią się na randce w detektywów, więc chwycił Gabi za rękę i pociągnął w stronę parkietu. Przez moment opierała się ze śmiechem, ale już po chwili tańczyła wtulona w jego ramiona obok innych par. Orkiestra grała walca, a ona płynęła ku szczytom modrzewi i chmurom wiszącym nad tym miejscem, w którym, tak naprawdę, byli tylko ona i on.

Poniedziałkowy poranek rozpoczął w biurze. Spojrzał na kalendarz. Był szósty maja, minęły już prawie cztery tygodnie od zabójstwa Saula. Wystarczająco dużo czasu, aby dojść wreszcie do jakichś wiążących ustaleń w tym wyjątkowo skomplikowanym śledztwie. Abell czuł, jak narasta w nim wewnętrzne napięcie. Jak zawsze wtedy, gdy zbliżał się moment iluminacji, a wszystkie fragmenty układanki zaczynały nagle pasować i zajmować swoje miejsce.

W nocy długo nie mógł zasnąć. Był coraz bardziej przekonany, że jest na dobrym tropie. Wskazówki wskazującej dalszą drogę powinien szukać w obrazie Battisty Dossiego. Nie dawał mu spokoju ten krąg postaci wirujących wokół obrazu. Oczyma wyobraźni widział Jowisza nakazującego palcem milczenie. Saula zadowolonego z zaszyfrowania swojego tajemnego przesłania. A nawet smutnego Battistę stojącego nad wenecką laguną i tęskniącego za rodzinną Ferrarą. Już na krawędzi snu ujrzał ekscentrycznego mecenasa, Adolfa I, notującego kolejny wydatek na ferraryjskie dziwki. Nad ranem przyszedł mu do głowy pewien pomysł i od tej chwili nie mógł się doczekać, kiedy znajdzie się w swoim biurze.

Natychmiast po dotarciu na Karrenwall kazał Kukulce przynieść z depozytu karton z dokumentami Saula i zabrał się do pracy. Przeglądał uważnie każde zdjęcie, aż dotarł do tego, które go najbardziej interesowało. Raz jeszcze spojrzął na młodego Saula klęczącego przed chwackim leutnantem. Tym razem był lepiej przygotowany. Wziął do ręki szkło powiększające i zaczął studiować zatarty podpis pod zdjęciem. Z pierwszym podpisem, umieszczonym pod postacią Saula, poszło mu nadspodziewanie łatwo. Był to po prostu krótki napis „Ja i...”. Trudniejsze zadanie miał przy drugiej postaci. Litery były ledwie widoczne, tak jakby przez lata ktoś często dotykał ich palcami. Wypróbowywał różne konfiguracje, ale bez satysfakcjonującego efektu. Sądząc po mundurze widocznym na zdjęciu, opis powinien zaczynać się od stopnia wojskowego, czyli skrótu Ltn. Ale pierwsza litera zatartego prawie w całości wyrazu wyglądała mu na „m” lub „n”. Drugie słowo również zaczynało się na „m”, kończyło się zaś na „s”. Trzecie było tylko dwuliterowym skrótem: HD. Rozłożył przed sobą arkusz papieru, próbując scalić rozstrzelone litery w jakiś sensowny podpis. Ślęczał długo nad arkuszem, wypróbowując różne wariacje słowne, które przychodziły mu do głowy. Po dwóch godzinach doszedł do wniosku, że musi zrobić przerwę.

Podszedł do okna i otworzył je na oścież. Głęboko wdychał wilgotne powietrze. Wrócił myślami do rozmowy z Gabi o Alfonsie I, ekscentrycznym mecenasie z Ferrary.

Nagle go olśniło. Mecenas! To mogło być to słowo, którego bezskutecznie poszukiwał od dwóch godzin! Rzucił się z lupą do zdjęcia i aż jęknął z podniecenia. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki puste miejsca wypełniły się treścią: „Ja i... mój mecenas HD”.

Próbował uspokoić rozbiegane myśli. Już podczas rozmowy z Gabi przyszło mu do głowy, że kluczowa dla rozwiązania zagadki może być postać mecenasa, Alfonsa I. Czy miał rację? I czy to możliwe, aby wytrychem do prawidłowego odczytania wskazówki ukrytej przez Rottenberga w obrazie była rzeczywiście postać Jowisza? Czyż bóg ten nie stanowił aluzji do samego Alfonsa I, który nazywał siebie mecenasem artystów i sam w każdej wolnej chwili parał się, jako *dilletante*, malarstwem? A jeśli tak, to czy poprzez książęcego mecenasa Saul nie chciał naprowadzić „człowieka godnego rozwiązania zagadki” na postać tajemniczego leutnanta ze zdjęcia? Kolegi z wojska, przyjaciela z czasów, gdy ludzkie życie zależało od lojalności i przyjaźni drugiego człowieka? Kim jest ten oficer ze zdjęcia? Czy to u niego Saul ukrył swoje skarby? Rozumowanie wydawało się pokrętne, ale coś mówiło mu, że odnalazł wreszcie wskazówkę Saula. Odwrócił zdjęcie. Jeszcze raz przestudiował widoczną tam datę: *Sturmtruppe II*<sup>[30]</sup>, 7 sierpnia 1917, Ypern/Passchendaele<sup>[31]</sup>.

W godzinę później zameldował się u komisarza Mohla i dostał pozwolenie na wyjazd do Berlina. Kellermana na szczęście nie było. Komisarz wysłuchał w milczeniu jego raportu o ostatnich postępach w śledztwie, od czasu do czasu kiwając jedynie z uznaniem głową. Abell oszczędził mu jednak szczegółów dotyczących Alfonsa I. Powiedział jedynie, że tropy prowadzą w stronę tajemniczego towarzysza broni Saula Rottenberga, widocznego na zdjęciu i że musi to wyjaśnić w berlińskim archiwum akt wojskowych. Na odchodnym Mohl poinformował go jeszcze ze stroskaną miną, że śledztwo przeprowadzone przez naczelnika Eisenhorna nie wykazało żadnych istotnych uchybień ze strony aresztu. Sprawa śmierci Chaima Rottenberga została oficjalnie zamknięta. Uznano, że zginął w wyniku nieszczęśliwego upadku w czasie ucieczki. Zamierzano mu także oficjalnie przypisać morderstwo Salomona i Adele Rottenbergów.

– Dlaczego mnie to nie dziwi? – zapytał retorycznie Abell, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Wieczorem siedział już w kuszetce nocnego pociągu do Berlina, a rano wysiadł na Stettiner Bahnhof. Stolica Rzeszy przywitała go wielkomięskim gwarem i rozmachem nowych inwestycji budowlanych. Nie był tu od dobrych kilku lat. Dlatego z zaciekawieniem rozglądał się po szerokich trotuarach, zatłoczonych dobrze ubranymi ludźmi, oglądał wystawy sklepów i przystawał przy robotnikach budujących nowe gmachy. Czasy kryzysu i zupy z brukwi rozdawanej na rogach ulic należały już do przeszłości. Z miasta biła nowa energia. Widać było, że odzyskuje dawną werwę i dynamizm. Nie przeoczył czerwonych sztandarów ze swastyką zwisających z wielu kamienic w centrum miasta, zwłaszcza na Unter den Linden. Miał jednak wrażenie, że jest ich mniej niż w Gdańsku. Wpadł nawet do KaDeWe<sup>[44]</sup>, aby kupić Gabi jakiś drobiazg. Rozważał zakup luksusowej bielizny, ale ostatecznie zrezygnował, bo nie był do końca pewien właściwego rozmiaru.

Obsługująca go młoda ekspedientka była nim wyraźnie zainteresowana. Zachowywała się tak, jakby chciała mu zaproponować, że sama przymierzy biustonosz. Ostatecznie wybrał jedwabną apaszkę w ulubionych przez Gabi kolorach: łososiowym i niebieskim.

O godzinie dziesiątej stał już przed ogromnym budynkiem archiwum akt wojskowych. Na elewacji gmachu widać było jeszcze ślady kul, zapewne po rewolucyjnych zamieszkach z listopada 1918 roku. Urzędnik archiwum długo oglądał jego legitymację służbową, jakby chciał się upewnić, że jej właściciel na pewno jest oficerem gdańskiej Kripo. Już sama prośba tego eleganckiego policjanta wydała mu się dziwna. Dokumenty wojskowe z czasów wielkiej wojny, do tego dotyczące, sądząc po nazwisku, Żyda – kogo to mogło interesować? Ale legitymacja Kripo robiła wrażenie, więc urzędnik zniknął w jednym z długich korytarzy wypełnionym stosami pudeł i akt. Wrócił po półgodzinie, niosąc wielki zakurzony karton z nabazgranym na pokrywie napisem: „V Armia, II korpus, 4 dywizja, Sturmtruppe II”.

Abell poczuł, że mocniej bije mu serce. Jeszcze nigdy nie był tak bliski rozwiązania zagadki. Postanowił nie przeoczyć żadnego szczegółu. Uważnie przeglądał akta żołnierzy i oficerów drugiej grupy szturmowej V armii. Walczyła ona pod Verdun pod dowództwem następcy tronu, księcia Wilhelma Hohenzollerna. Z danych wynikało, że II grupa szturmowa była jedną z kilku tego typu formacji. Tworzono je specjalnie do prowadzenia działań zaczepnych. Służyli w niej tylko najlepsi i najbardziej zaprawieni w boju żołnierze. Po kilkunastu minutach natrafił na akta Saula. Z napiętą uwagą zagłębił się w lekturę dokumentów.

„Ochotnik, przyjęty do służby 18 września 1914 w Gdańsku – czytał, powoli odkładając na bok przejrzone strony. – Skierowany na front francuski, służył w 4 dywizji, II Korpusu armii następcy tronu. Ranny w nogę 7 sierpnia 1917 w wiosce Passchendaele podczas bitwy o Ypern. Odesłany do lazaretu, a następnie na dwutygodniową rekonwalescencję, najpierw do szpitala w Pasłęku, a następnie do domu w Sopocie. Po powrocie do służby odznaczony Krzyżem Żelaznym II klasy. Kilkakrotnie awansowany, od podoficera do stopnia feldwebelleutnanta[45] w grupie szturmowej”. Do akt dołączone były pochwalne opinie bezpośrednich zwierzchników i dowódców.

Abell zatrzymał się na wniosku o odznaczenie Saula Żelaznym Krzyżem, podpisanym przez dowódcę kompanii hauptmana Leopolda Kiesewettera: „Wykazał się bezprzykładną odwagą w trakcie walk na odcinku frontu pod Haumont–Caures–Herbebois. Własnoręcznie, z narażeniem życia zlikwidował gniazdo karabinów maszynowych w bunkrze wroga, umożliwiając atak naszych wojsk. Żołnierz otwarty i godny zaufania i zawsze chętny do udziału w ryzykownych akcjach”.

Inny dowódca, major Petzold, wnioskował 1 czerwca 1916 roku o odznaczenie Saula Rottenberga Krzyżem Żelaznym I klasy: „Przejął dowodzenie kompanią podczas zacieklej walk, po śmierci hauptmana Lankego. Umiejętnie przedarł się wraz z oddziałem przez przeciwskarpę[46], a następnie kierował atakiem na jeden z bastionów linii wroga w Fort Vaux i wyparł stamtąd wroga, mimo jego zażartego oporu”.

Tym razem wniosek nie został rozpatrzony pozytywnie. W aktach nie było uzasadnienia tej odmowy. Abell pomyślał, że być może przeszkodą było żydowskie pochodzenie Saula. W armii cesarskiej Żydów niezbyt chętnie odznaczano tym wysokim odznaczeniem wojskowym. Nie mówiąc o tym, że już wkrótce oskarżono ich o „wbicie armii noża w plecy”.

Poszukiwanie tajemniczego mecenasa HD było trudniejsze. Przejrzał stopy akt osobowych, ale nie znalazł żadnego oficera o podobnych inicjałach. Odnalazł tylko jednego gefrajtra[47], sądząc po nazwisku, polskiego pochodzenia, Henryka Dragona. Nie mógł jednak wykluczyć, że Polak otrzymał oficerskie szlify później.

Przypomniał sobie, że na zdjęciu, które odnalazł w domu Saula, widniała data 7 sierpnia 1917, Ypern/Passchendaele. Tego samego dnia Saul został ranny. Akta Dragona kończyły się na początku marca tego roku. Były więc niekompletne. Smutny urzędnik archiwum uprzedził go zresztą, że tak może się zdarzyć. W powojennej rewolucyjnej zawierusze płonęły nie tylko archiwa. Spłonął właściwie cały cesarski porządek.

Długo przyglądał się karcie ewidencyjnej Dragona. Zdjęcie przypięte do akt było zażółcone i mało wyraźne. Wyciągnął z kieszeni fotografię zabraną z policyjnego depozytu i porównał oba wizerunki. Na fotografii odnalezionej w kufrze Saula jego towarzysz miał czoło przewiązane bandażem, co trochę utrudniało identyfikację. Obie postacie były podobne do siebie, ale nie potrafił osądzić czy to ta sama osoba. Zarówno na jednym, jak i na drugim zdjęciu widać było wychudzonego blondyna o regularnych rysach twarzy. Czy to Dragon był tajemniczym towarzyszem broni i mecenasem Saula? Poruszyła go ta myśl. Odwrócił kartę na drugą stronę i z ulgą odnotował, że znajduje się tam przedwojenny adres domowy żołnierza. Henryk Dragon przed wojną mieszkał w Steegen, przy wschodniej granicy Wolnego Miasta. Pytanie, czy żyje i mieszka tam nadal, pozostawało oczywiście otwarte.

Wracął popołudniowym pociągiem. Już za Berlinem pociąg niespodziewanie zwolnił. Na równoległym torze żołnierze przetaczali lawety armatnie z działami 75 mm. Byli rozebrani do pasa, ich spocone ciała lśniły jakby wysmarowane oliwą. Pomagali sobie gromkimi okrzykami i salwami śmiechu. Długie lufy dział kłuły niebo, burząc harmonię sielskiego krajobrazu Meklemburgii. Starał się policzyć działa, ale po chwili stracił rachubę. Reichswehra wracała do zdrowia[48].

Mimo późnej pory Gabi czekała na niego z kolacją. Spędzała u niego noce

coraz częściej, a on powoli przyzwyczajał się do jej obecności. Obserwowała, jak pochłania kanapki z łososiem i wypytywała go o efekty misji do Berlina. Opowiedział jej o wyniku kwerendy dokumentów i o poruszeniu, jakie wywołało w nim odkrycie dokumentów Henryka Dragona z nadmorskiego Steegen.

Steegen... Jak przez mgłę pamiętał to małe urokliwe kąpielisko ze wspaniałą plażą. Gdzieś tam, wśród bałtyckich piasków, może stać dom, będący nowym schronieniem dla obrazów Cranacha, Holbeina i Dürera. Myśl, że tam na niego czekają, wydała mu się tak kojąca, że zapadł natychmiast w kamienny sen.

## 6.

Było wiele powodów, aby unikać wielkiej narady ze zwierzchnikami na Karrenwall. Abell miał jednak świadomość, że ta narada musi się odbyć. Komisarz Mohl zareagował z ożywieniem na jego ostatnie rewelacje, ale nie skrywał także lekkiego zniecierpliwienia tempem śledztwa. Po oficjalnym zamknięciu dochodzenia w sprawie śmierci małżeństwa Rottenbergów kwestią pierwszoplanową dla prezydium policji stało się odnalezienie zaginionych arcydzieł. I Abell odczuwał tę presję, zwłaszcza ze strony Kellermana.

Komisarz mierzył go właśnie czujnym wzrokiem, czekając na przyjście Mohla. Szef Kripo po chwili zasiadł w swoim rzeźbionym fotelu. To grono uzupełnili jeszcze Plaskowitz i – ku lekkiemu zaskoczeniu Abella – radca Bromke. Jego koneksje z nazistami były już w prezydium policji tajemnicą poliszynela. Abell miał wrażenie, że pozycja tego prostaka rośnie w sposób wprost proporcjonalny do zasięgu tych pogłosek.

– Jest godzina dziewiąta – powiedział Mohl i potoczył wzrokiem po sali – a więc zaczynamy, porządek musi być. Oddaję panu głos, Abell. Mam nadzieję, że wyprawa do Berlina przyniosła spodziewany efekt.

Abell zaczął od lapidarnego przedstawienia dotychczasowego stanu śledztwa. Przypomniał wszystkie argumenty przemawiające za tezą, że kolekcja nie została ukradziona, a ukryta przez samego Saula. Oficerowie słuchali uważnie. Tylko w jednym momencie – gdy wspomniał o śladzie kabalistycznym – Bromke zareagował.

– To jakieś żydowskie wymysły, Abell. Trzeba się skupić na odnalezieniu obrazów, a nie na zabawie w jakieś czary-mary i inne okultyzmy.

– Właśnie to robimy, panie radco. Nie jesteśmy od oceniania czyichś pobudek – odpowiedział zimno Abell. Nie dał się wyprowadzić z równowagi. – Nieważne czy podoba nam się kabalistyczny klucz, według którego budował swoją kolekcję kabalista Saul Rottenberg. Ważne czy ta przesłanka doprowadzi nas do celu. Tylko to się liczy.

– Tak czy owak, te kabalistyczne bzdury powinny być zakazane – nie dawał

za wygraną Bromke.

– Być może tak się stanie – odpowiedział Abell – ale wyczytałem w jakiejś gazecie, że nowy kanclerz każe stawiać sobie horoskopy i ważne decyzje podejmuje tylko w dni wskazane przez osobistego astrologa. A jego prawa ręka, niejaki Himmler, wręcz otacza się okultystami.

– Dobrze pan wie, w czyich rękach są gazety. Wszyscy wiedzą, że wypisują bzdury wysane z brudnego palucha. – Bromke spojrział na niego z wyraźną niechęcią. – I niech pan nie wyciera sobie gęby Adolfem Hitlerem.

– Gdzież bym śmiał, jako oficer Kripo jestem przecież apolityczny, jak pan – odpowiedział Abell z wyraźnym szyderstwem.

– Panowie, do rzeczy! – komisarz Mohl uznał, że powinien wkroczyć w tę wymianę zdań. Abell zanotował sobie w pamięci, że Kellerman nie zabrał głosu podczas tej słownej przepychanki.

Odczekał chwilę i powrócił do swojego wyводу, przedstawiając wyniki kwerendy w berlińskim archiwum.

– Ślady wiodą do Steegen – powiedział. – Jeśli człowiekiem ze zdjęcia Saula jest Henryk Dragon, to być może tam właśnie ukryto obrazy.

– Przyznam, że pańska hipoteza dotycząca obrazu jako rodzaju wskazówki... A także sposób interpretacji namalowanej na nim sceny, te motyle i odniesienia do dworu w Ferrarze... Wszystko to jest bardzo błyskotliwe – odezwał się milczący do tej pory Kellerman. – Chyba pana nie doceniłem, panie radco.

Abell nie podziękował za pochwałę. Nie spuszczał oczu z Kellermana. Wiedział, że nastąpi ciąg dalszy. I się nie omylił.

– Oczywiście, pod warunkiem że pan nie błądzi – zastrzegł się Kellerman. – Ciągle nie rozumiem, skąd ten podpis pod zdjęciem dwóch młodych żołnierzy, mówiący o „moim mecenasie”.

– Też się nad tym zastanawiałem, panie komisarzu – odpowiedział poważnie Abell. – Nie mam pewności. Ale kluczem do zrozumienia tych relacji jest chyba właściwe odczytanie słowa mecenas.

– Co pan ma na myśli?

– Przyjęło się stosować ten termin na określenie kogoś, kto udziela wsparcia finansowego artystom, instytucjom kulturalnym lub naukowym. Z reguły obdarowywani w zamian sławili we własnych dziełach swoich dobroczyńców. Ale równie dobrze mianem mecenasa można nazwać osobę wspierającą czyjąś działalność, opiekującą się kimś dłużej.

– Nadal nie rozumiem.

– Chcę przez to powiedzieć, że być może Dragon, jeśli to on jest osobą, której szukamy, z nieznanym nam powodem opiekował się Saulem już wcześniej, przed wojną. A los zetknął ich później na froncie zachodnim. Z tego, co ustaliłem, Saul już przed rokiem tysiąc dziewięćset czterem był dość znanym



kolekcjonerem, chociaż oczywiście nie na taką skalę, jak w latach powojennych. Być może ten Polak wspierał go w tej działalności, pomagał mu. To tłumaczyłoby także ukrycie kolekcji właśnie u niego, w Steegen. Ale dopuszczam także inną wersję. Na przykład taką, że znany Rottenbergowi wcześniej Dragon opiekował się nim w czasie wojny, zaprzyjaźnili się. Może uratował mu życie na froncie? Okopy bardzo zbliżały do siebie ludzi. Wszyscy znamy takie pojęcie jak braterstwo broni. W każdym razie Saul Rottenberg na pewno był mu za coś ogromnie wdzięczny, co tłumaczyłoby ten podpis.

– No tak, to możliwe. – Kellerman nie wyglądał jednak na przekonanego.

– A nie pomyślałeś o więzi homoseksualnej? – odezwał się zatopiony dotychczas w milczeniu Plaskowitz. – W okopach w czasie wojny, bez kobiet, z młodymi mężczyznami dzieją się różne rzeczy.

– To ciekawa hipoteza. – Abell spojrzał z zainteresowaniem na Plaskowitza. – Oczywiście, nie sposób jej wykluczyć. Chociaż pamiętajmy, że Saul później się ożenił... Tak czy owak, muszę dotrzeć jak najszybciej do Steegen. Trzeba pamiętać, że nie mamy żadnej pewności czy Dragon nadal tam mieszka.

– W porządku, Abell, niech pan działa – powiedział Mohl. – Myślę, że w przeciągu godziny, dwóch uda mi się załatwić nakaz rewizji. Potem może pan jechać do Steegen. Potrzebuje pan kogoś do pomocy?

– Wezmę wachmistrza Kukulkę. Alex?

– Niestety, Christian, żałuję, ale nie dam rady, obowiązki... – Plaskowitz rozłożył bezradnie ręce.

– I dobrze – doleciał go zgryźliwy głos Bromkego – bo o was też zaczynają już gadać. To tak à propos homoseksualnych związków...

7.

W dwie godziny później siedział za kierownicą policyjnego adlera, kierując się na wschód. Kapryśna mokra wiosna należała już do przeszłości. Majowe słońce grzało mocno. Krzewy i kwiaty już odtajały, puszczały pąki i obsypały się świeżą zielenią. Chłonał krajobraz rodzinnych Żuław. Jak zawsze kojąco działała na niego rozległość tej niziny, poprzecinana w oddali smukłymi wieżami kościołów, skrzydłami wiatraków i klockami spichlerzy. Tylko gdzieniegdzie widać było obramowania wałów ziemnych, usypanych jeszcze przez olęderskich kolonistów.

Wjechali na szosę wysadzaną szpalerem wiekowych lip. Soki nabrzmiwały w drzewach, buzując i przyciągając roje bzyjących owadów. Po lewej stronie ciągnął się pas modrych pagórków, za którymi rysowały się bałtyckie wydmy.

Przez chwilę zawładnęły nim wspomnienia i przeniósł się myślami do czasów, gdy biegał boso po plaży i wraz z rodzeństwem zbierał bursztyny. A potem dawał się zakopywać siostrom w gorącym piasku, tak że wystawała mu tylko

głowa. To było dawno, jakby w innym wymiarze. Jego starszy brat już nie żył. Jedna z sióstr mieszkała w dalekiej Kanadzie, druga osiadła na krańcu Prus Wschodnich. Od dawna czuł się samotnie i niechętnie powracał do tych wspomnień. Niosły ze sobą zbyt wiele nostalgii i smutku.

Po niecałej godzinie jazdy wjechali do Nickelswalde, mijając charakterystyczne domy podcieniowe po holenderskich osadnikach i skierowali się w stronę Pasewark. Wydmwy były teraz bliżej drogi. Widział ich wielbłądzie grzbiety i czuł ostry zapach morza. Gdy minęli tablicę z napisem Junkeracker[49], poprawił się na fotelu. Byli już blisko.

Po kilku minutach wjechali do Steegen. Było południe, słońce prażyło niemiłosiernie, jakby próbując nadrobić wielotygodniowe zaległości i ogrzać ziemię napęczniałą od wilgoci. Przejechali koło domów z charakterystycznymi laubzekinami[50] pod okapami i zatrzymali się przy kościele ewangelickim. Abell przypomniał sobie, że był już kiedyś w tej świątyni. Spojrzał w górę na czworoboczną ryglową wieżę nakrytą blaszanym hełmem, jakby chciał sprawdzić, czy jest ciągle na swoim miejscu, wyszedł z samochodu i i pchnął drzwi kościoła.

Natychmiast poczuli chłód bijący ze starych murów. W środku nie było nikogo. Promienie słońca przedzierały się przez witrażowe okna, znacząc posadzkę kościoła świetlistymi cętkami. Cały strop oraz część ścian bocznych pokrywało wielkie podwieszane malowidło, ukazujące zmartwychwstanie Jezusa i Sąd Ostateczny<sup>[32]</sup>. Świątynia była niezwyklej urody, ale wyglądało na to, że jej gospodarz jest nieobecny.

O tym, że to mylne wrażenie, przekonał ich odgłos kroków dobiegający od strony zakrystii. Po chwili stanął przed nimi starszy pastor o przedwcześnie wyłysiałej głowie. Co chwilę wycierał chusteczką pot, zbierający się na czaszce, jak na wielkim bladym globusie. Kapłan miał piskliwy głos i dziwnie niespokojne świdrujące oczy.

– Wszelki duch Pana chwali – powiedział odrobinę za głośno. – Jestem Ahlers, pastor tutejszej wspólnoty. Witam w naszej świątyni, czym mogę służyć?

– Jesteśmy z policji kryminalnej z Gdańska – przedstawił się Abell. – Nie chcemy pastorowi zwracać głowy, ale jesteśmy tu służbowo i musimy o coś zapytać...

– Nawet się nie pomodlicie? – W głosie duchownego słychać było rozczarowanie. – Modlitwa jest jak szklanka wody w skwarnej dzień.

– Innym razem, pastarze. Potrzebujemy tylko informacji na temat pewnego parafianina.

– Ach, tak... – duchowny nie krył rozczarowania. Zaprosił ich, aby usiedli w drewnianych ławach dla parafian. – A o kogo chodzi?

– O Henryka Dragona. Czy nadal tu mieszka... – nie dokończył, widząc nagły wyraz zdumienia na twarzy Ahlersa.

– Dzisiaj już ktoś o niego pytał, panie oficerze.

Abell na sekundę zamknął oczy, próbując opanować zdenerwowanie i zachować zimną krew.

– O czym pastor mówi? – wycedził i podszedł bliżej do duchownego.

– O tym, że niedawno było tutaj dwóch ludzi i także pytało o Dragona.

– Kiedy to było dokładnie?

– Kilka minut po dziewiątej rano.

– Jak wyglądali?

– Trudno powiedzieć – pastor wzruszył ramionami. – Zwyczajnie, byli bardzo uprzejmi. Mówili, że są kolegami Henryka z wojska.

Macki najczarniejszych przeczuć zaczęły ścisnąć Abellowi głowę. To niemożliwe! Był już tak blisko, a ktoś znowu go wyprzedził?! Czy jest tylko marionetką w czyichś rękach? Ta wizja była tak poruszająca, że poczuł ból w klatce piersiowej. Mokra koszula przywarła mu do ciała. Kukulka poruszył się, zaniepokojony jego brakiem reakcji.

– Szeffie? – zapytał i zrobił krok naprzód.

– W porządku, Kukulka – osadził go w miejscu. – Tylko dwa pytania, pastorze. Czy Henryk Dragon nadal mieszka we wsi?

– Tak, mieszka sam, od lat... Jego żona Zofia zmarła dawno temu – odpowiedział duchowny.

– A teraz jak do niego trafić, szybko, to ważne.

– Musicie pojechać prosto do gospody Eugena Wiehnanna, a potem skręcić w lewo, w stronę morza. Dom Henryka Dragona stoi zaraz przy wydmiu.

Wybiegając z kościoła, sprawdził swoje parabellum. Kątem oka dostrzegł przerażenie w oczach pastora.

Ruszył z piskiem opon. Uważnie patrzył na drogę. Przez głowę przelatywały mu dziesiątki myśli. To niemożliwe. Jakim cudem ci bandyci znowu go wyprzedzili? Gdzie zrobił błąd?! Po chwili zobaczył budynek zajazdu. Jakaś para machała do nich ze szczytu schodów, widocznie spodziewając się kolejnych kuracjuszy. Skręcił w lewo i znaleźli się w parowie obrośniętym karłowatymi sosnami. Po pięćdziesięciu metrach zahamował. Byli u celu.

Dom okazał się nadszpiegowanie duży. Wyglądał jak monstrualny grzyb o wielu piętrach i poziomach. Od strony morza miał podcienia typowe dla tutejszych domostw po mennonitach, ale rozbudowane piętro wyglądało na dużo późniejsze. Jego pruski mur jaśniał w pełnym słońcu, chowając się pod dachem z pociemniałej ze starości dachówki.

Już na pierwszy rzut oka Abell widział, że coś jest nie w porządku. Drzwi wejściowe były otwarte. Nie szczekał żaden pies. Abell odbezpieczył broń i ostrożnie wsunął się do środka. Wachmistrza pozostawił na zewnątrz. Od drzwi wejściowych do wnętrza domu wiódł zagracony korytarz. Drzwi po lewej stronie

prowadziły do dużej kuchni. Była zaniedbana, w zlewie piętrzyły się brudne naczynia i sztućce. Wycofał się i przeszedł na drugą stronę. Znajdował się tu przestronny salon. Sądząc po jego umeblowaniu, Dragon musiał należeć do zamożnych ludzi. Wnętrze wypełniały ciężkie meble kryte mahoniowym fornirem. Na podłodze rozpościerały się dywany o orientalnych wzorach. Zapewne pochodziły ze Wschodu. Na jednej ze ścian wisiały dwie strzelby, nad biurkiem zaś kaukaski kobierzec. Miał postrzępione ze starości frędzle w kolorze starego miodu. Na tkaninie krzyżowały się dwie polskie szable o rękojeściach inkrustowanych rubinami. Nigdzie nie zauważył obrazów, z wyjątkiem portretu jakiegoś przodka o sumiastym wąsie.

Opuścił parter i po szerokich schodach wszedł na piętro. Po prawej stronie odkrył dwie sypialnie, sądząc po poźółkłej pościeli od dawna nieużywane. Dragon mieszkał raczej po przeciwnej stronie korytarza. Znajdował się tu duży dobrze doświetlony pokój od strony morza. Wielkie łóżko było niedbale zaścienione kocem. Pod ścianami stały kredensy wypełnione stosami polskich i niemieckich książek. Dragon musiał lubić poezję polskiego wieszczka Adama Mickiewicza. Wypełniały cały regał, a na jednej z półek Abell zauważył wczesny egzemplarz *Sonetów krymskich* wydany w Moskwie w 1826 roku. Także na piętrze nie dostrzegł obrazów z kolekcji Saula, choć było tu wystarczająco dużo miejsca na ich przechowanie. Nigdzie nie zauważył żadnych śladów życia. Dom był opustoszały. Wyglądał tak, jakby jego właściciel opuścił go nagle i niespodziewanie.

– Albo pod przymusem – mruknął do siebie Abell. Zszedł na dół i razem z wachmistrzem obeszlą ostrożnie dom. Mała piwniczka była prawie pusta. Stał w niej tylko wielki gąsior z porzeczkowym winem. Z tyłu domostwa rósł mały sad. Rachityczne jabłonie ledwie wystawały ponad osty i zielsko. Kimkolwiek był Henryk Dragon, na pewno nie lubił pielenia chwastów. Pod jednym z drzew zauważyli ławkę o mosiężnych okuciach. Leżała na niej otwarta gazeta. Była to „Danziger Zeitung” sprzed dwóch dni. Abell spojrział na tytuł i zmartwiało. Tłusty druk krzyczał na pół strony: „Morderstwo żydowskiego bogacza Rottenberga i jego żony wyjaśnione! Ale gdzie są arcydzieła?”.

W drodze do Gdańska prowadził Kukulka. Abell pogrążył się w mrocznych rozmyślaniach. Henryk Dragon zniknął i można się było tylko domyślać, że stali za tym tajemniczy „koledzy z wojska”. Kim byli, w jaki sposób wyprzedzali go zawsze o pół kroku? Przychodziło mu na myśl tylko jedno wytłumaczenie. Miał w swoim otoczeniu zdrajcę. Kreta, który przekazywał przestępcom wszystkie informacje. Tylko w ten sposób mógł wytłumaczyć fakt, iż bandyci wiedzieli o jego znajomości z Martinem Beckiem, dzięki czemu mogli go zwabić na budowę Villi Helena w Kamiennym Potoku. Byli też wtajemniczeni w obciążające zeznania Charlotty Monk. To dlatego zginął Chaim, na krótko przed przyjazdem Abella do aresztu. A teraz to... Jakim sposobem mogli dotrzeć do Steegen przed nimi?

Przypadek? Ale przecież w takich sprawach nie ma przypadków. A więc kto? Kellerman? Bromke?

Spotkanie w prezydium zaczęło się o godzinie dziewiątej. Gdyby nawet Kellerman przekazał komuś rewelacje z Berlina dotyczące Henryka Dragona, jakim cudem bandyci mogli być o dziewiątej w Steegen, blisko pięćdziesiąt kilometrów od Gdańska? Śledzili go w Berlinie? Ale przecież w archiwum był sam. Nawet urzędnik wręczający mu akta nie wiedział, o kogo konkretnie mu chodzi. A więc to też wykluczone. Chyba że... – zacisnął powieki i nagle przeszła go myśl, która zmroziła mu serce. Czuł, jak zaczynają pulsować mu skronie.

Pochylił się ku Kukulce i zadał mu tylko jedno pytanie. A potem z zamkniętymi oczami wysłuchał odpowiedzi, która zmieniła jego życie.

## 8.

Gdy dotarli do Gdańska, słońce już przygasało. Abell zamknął się w swoim gabinecie. Chciał złożyć meldunek Mohlowi, ale ani jego, ani Kellermana nie było już w gmachu. Pogrążył się w rozmyślaniach, a jego nieruchomy cień wtapiał się powoli w zapadający zmierzch. Dwukrotnie rozłożył i złożył swój pistolet. Następnie dokładnie wyczyścił zamek, najpierw na sucho, a później przy użyciu smaru. O dziewiętnastej spojrzął na zegarek. Podjął trudną decyzję i był gotowy. Wezwał Kukulkę, warującego po drugiej stronie drzwi, i przekazał mu polecenia na następny dzień. Wachmistrz drgnął na dźwięk nazwiska, które usłyszał, ale nie nawykł do kwestionowania rozkazów Abella. Radca mógł być pewien jego bezwarunkowej lojalności. Ktoś taki był mu teraz bardzo potrzebny. Bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Pożegnał się z Kukulką i zbierał się do wyjścia, gdy zadzwonił telefon. Pomyślał, że to ktoś stąd, gdyż niewiele osób w mieście miało bezpośredni telefon do niego.

– Pan Abell?

– Tak, przy telefonie.

– Tu Peters.

Abell zeszywniał.

– Skąd ma pan mój numer telefonu?

– To nieistotne. Dysponuję informacjami, które mogą pana zainteresować.

– Powiedział pan poprzednim razem, że to nasze ostatnie spotkanie.

– Zmieniłem zdanie.

– Dlaczego?

– Kiedyś pana o coś poproszę. Albo i nie. Ale chcę mieć taką możliwość.

Zgoda? – głos brzmiał chrapliwie i niewyraźnie, jakby Peters telefonował z daleka.

– Zgoda. Proszę mówić.

– To nie rozmowa na telefon. Proszę przyjechać na pomost przy zejściu Salzstrasse do kanału, niedaleko kościoła, o dwudziestej trzeciej.

– Muszę wiedzieć, czego dotyczy ma rozmowa.

– Wiemy, dokąd pojechał samochód. Reszty dowie się pan na miejscu.

Chciał jeszcze o coś zapytać, ale usłyszał tylko brzęczek odłożonej słuchawki.

Przez chwilę żałował, że nie zatrzymał Kukulki, ale uznał, że sobie poradzi. Zostawił oficerowi dyżurnemu wiadomość dla wachmistrza, na wypadek, gdyby nazajutrz nie pojawił się w pracy.

Pojechał do domu i przez godzinę słuchał amerykańskiego jazzu. Wahał się, czy pojechać nad kanał. Miał ważne sprawy do załatwienia tu, na miejscu. Musiał się na nich skupić. Zbyt wiele działo się w ostatnich godzinach. Ale propozycja Petersa brzmiała kusząco. Wyprawa do Steegen okazała się porażką. Czy informacje Petersa mogły odmienić losy tej gry? Nie byłby sobą, gdyby nie spróbował.

Nagle usłyszał pukanie do drzwi. Wolał nie myśleć, kto za nimi stoi. Zagryzł wargi i otworzył.

Gabi miała łzy w oczach, rozpaczliwie próbowała powstrzymać drżenie ust.

– Christian... To straszne... Słuchaj ja... muszę ci coś wyznać.

Milczał, piekły go powieki. Ciągle nie mógł uwierzyć, że to działo się naprawdę. Jeszcze w niedzielę tańczył z nią walca. Ufał jej, kochał ją...

– Mogę wejść?

– Jeśli musisz.

Zgarbiła się, jakby uderzył ją w twarz.

Przysiadła na skraju kanapy. Dopiero teraz zauważył głębokie cienie pod jej oczami.

– Dzwoniłam do ciebie dzisiaj, dzwoniłam wielokrotnie. Ale nie podnosiłaś słuchawki...

– Byłam poza biurem.

– Przyszli do mnie do domu dzisiaj rano... kilka minut przed godziną ósmą... – Mówiła krótkimi, urywanymi zdaniami. – Było ich dwóch. Nie powiedzieli, skąd są, ale zachowywali się, jakby mieli nade mną władzę. Pytali... o ciebie. Odmówiłam odpowiedzi, ale wtedy mnie zaszantażowali... Musisz coś wiedzieć. – Podniosła na niego swoje umęczone oczy. – Nie jestem Niemką, to znaczy nie w pełni – skorygowała się pośpiesznie.

– A kim? – zapytał chrapliwie.

– Mój ojciec jest Polakiem, mieszka ze mną, jest chory... Niemką była moja matka, umarła podczas porodu.

– To nie ma... nie miałoby – poprawił się – dla mnie żadnego znaczenia.

– Ale dla mnie ma. Widzisz, co się dzieje w mieście. Nienawidzą Polaków...

Forster powiedział, że oddaje los Polaków w ręce gdańszczyzan. Mogą z nimi zrobić, co chcą. Dla Polaków jestem Niemką, ale tutaj... zawsze będę kimś gorszej kategorii.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Na początku obawiałam się twojej reakcji. A potem szukałam dogodnego momentu.

– I znalazłaś.

– To nie tak... – przerwała. – Powiedzieli, że zrobią tacie krzywdę, jeśli...

– Jeśli mnie nie zdradzisz?

Podniosła odważnie głowę.

– Nie zdradziłam cię. Nigdy bym tego nie zrobiła. Chcieli tylko wiedzieć, co przywozisz z archiwum w Berlinie. Twierdzili, że jeśli im powiem, nigdy więcej nie powrócą. I dadzą spokój mojemu ojcu...

– A ty im uwierzyłaś? – potrząsnął z niedowierzaniem głową. – Tacy ludzie zawsze wracają.

– Jesteś taki oschły...

– Kochałem cię. A ty mnie zdradziłaś.

Po tych słowach zapadła cisza. Słyszeć było tylko miarowe cykanie zegara. Pokój, w którym siedzieli, pogrążony był w szarej poświacie. Tak jakby ktoś przykrył go żalobnym trenem.

Wyciągnęła rękę, aby dotknąć jego policzka, ale uchylił się gwałtownie. Zrozumiała.

Zataczając się lekko, podeszła do drzwi. Miała wrażenie, że opuszczają ją resztki sił i runie na podłogę. Nie poszedł za nią.

– Czy możesz mi wybaczyć? – odwróciła się. – Błagam...

Ale on nie podniósł nawet oczu.

Po jej wyjściu położył się na podłodze i długo leżał w ciemności. Zaufał jej i ją pokochał. A ona go zdradziła. To bolało. Tym bardziej, że było takie niespodziewane. Targały nim sprzeczne uczucia. Napłynęły obrazy z minionych dni. Widział jej roziskrzony wzrok w Operze Leśnej, czuł zapach jej włosów w tańcu... Kiedy to było? Za ledwie w niedzielę, a jakby przed wiekami. Ale odepchnął te obrazy od siebie. Czuł się straszliwie rozczarowany. Poza tym teraz nie miał ani siły, ani czasu, aby o tym myśleć. Miał coś ważnego do zrobienia.

O dwudziestej drugiej przebrał się w ciemny dres i rybacką bluzę z kapturem. Do plecaka zabrał latarkę, a do łydki przymocował plastrem miniatury składany fiński nóż. Dostał go kiedyś na urodziny od Martina Becka. Tak jak poprzednio jechał Broschkischerweg, kierując się w stronę Neufahrwasser. Wiał ciepły wiatr. Ciemność oblepiała masywne silosy, magazyny portowe i biura firm spedycyjnych. Po prawej stronie widział światła twierdzy Wisłoujście. Odbił w lewo w Olivaerstrasse i zobaczył wieżę kościoła. Salzstrasse musiała być gdzieś

blisko. Zaparkował w ciemnym rogu ulicy i wysiadł z auta. Miasto już spało. Tylko portowe dźwigi i zwrotnice cicho skrzypiały pod naporem wiatru.

Szybko odnalazł tabliczkę z nazwą ulicy i zszedł w dół w stronę kanału portowego. Doszedł do brzegu i rozejrzał się dookoła. Miejsce, mimo niewielkiej odległości od centrum Neufahrwasser, było dzikie i opuszczone. Deski w pomoście przedzielały szerokie szpary. Mogłaby w nich śmiało zmieścić się ludzka stopa. Po drugiej stronie kanału widział nasyp Westerplatte. Ciemność rozświetlały tam tylko pojedyncze światła. Pożółkłymi refleksami odbijały się w wodzie. Ciszę przerwało buczenie syreny okrętowej gdzieś od strony morza.

Kilka minut po dwudziestej trzeciej usłyszał cichy terkot silnika. Kuter był inny niż poprzednim razem: dłuższy i z masywną sterówką. Motor zgasł i łódź siłą rozpędu dobiła do pomostu.

– Niech pan wchodzi na kuter – usłyszał głos. – Nie możemy tu zostać.

Wolałby zobaczyć najpierw Petersa. Ale nie miał wyjścia. Wolno przeszedł przez pomost i przeskoczył przez niską burtę łodzi. Na pokładzie o mało nie potknął się o zwój lin okrętowych. W nadbudówce raczej wyczuł, niż zobaczył jakiś ruch.

– Tu Peters. Do sterówki, panie Abell. Zaraz odpływamy.

Schylił głowę i wszedł do nadbudówki. Na tle bulaja zobaczył postać niskiego przysadziściego mężczyzny. W ułamku sekundy stały się dwie rzeczy. Zrozumiał, że to nie Peters. A z tyłu głowy poczuł zimny metal lufy.

– Spokojnie, psie. Jeden ruch, a odstrzelimy ci makówkę.

Kuter zaterkotał i oderwał się od pomostu. Abell nerwy miał napięte jak postronki. Czuł oddech mężczyzny za plecami. Wydawało mu się, że jest podobnego wzrostu, co on. Mógłby zaryzykować i wykonując błyskawiczny obrót, trafić go punktowo pięścią w brzuch, ruchem, który po wielokroć ćwiczył w salce bokserskiej. Ale ledwie o tym pomyślał, od przodu podszedł do niego z bronią drugi z mężczyzn.

– Nawet nie próbuj. Tylko ułatwisz nam sprawę – powiedział.

A jednak spróbował. Kopnął w krocze mężczyznę z przodu, jednocześnie skręcając ciało i składając się do ciosu, którym zamierzał znokautować przeciwnika z tyłu. Kopnięcie doszło celu. Usłyszał tylko zduszony jęk i łomot ciała opadającego na kolana. Ale z cieniem za plecami poszło mu gorzej. Był zwinniejszy i bardziej czujny, niż się spodziewał. Przeciwnik uchylił się przed ciosem i najpierw zamroczył go uderzeniem kolby w skroń, a potem poprawił uderzeniem między oczy. Abell chciał wyprowadzić jeszcze jeden cios, ale ugięły się pod nim nogi. Przegrywał. Poczował krew zalewającą mu nos. W tym samym momencie mężczyzna z przodu uniósł się i podciął mu nogi. Upadając, otrzymał jeszcze jeden cios w potylicę, po którym zapadła ciemność.

Gdy się ocknął, leżał na otwartym pokładzie. Miał knebel w ustach i ręce



skrępowane z tyłu ciała szorstkim sznurem wrzynającym mu się w dłonie. Łódź oddaliła się już od brzegu. Światła twierdzy Wisłoujście zniknęły. Uniósł głowę, spoglądając poprzez dziób i przeszło go straszliwe przecucie. Płynęli w stronę zatoki. Zamierzali go utopić jak ślepe kocię. Na morzu nie będzie miał żadnych szans.

Słyszał głosy bandytów. Nie zachowywali ostrożności. Dla nich już był martwy. Spierali się tylko, jak to zrobić.

– Poczęstujmy go tu kulką i wypchnijmy do kanału. – To musiał być głos cienia zza jego pleców. – Szkoda fatygi na wycieczki po morzu.

– Otrzymaliśmy rozkaz, Hans i go wykonamy. Policaj ma wylądować w morzu. Nikt go tam nie odnajdzie i nie będzie żadnych śladów.

– Myślałem, że...

– Kurwa, Hans, ty myślałeś? Nie rozśmieszaj mnie. Szykuj lepiej odważnik na szyjkę pana radcy. Za kilka minut będziemy na miejscu. Sprawdzałeś gnoja?

– Leży jak kłoda. Zresztą, zaraz będzie po wszystkim. A jaki waleczny był – zachichotał. – Nieźle ci przypierdolił.

– Żebyś ja ci nie przypierdolił, Hans.

– Nie denerwuj się tak, Klaus, bo dostaniesz wrzodów na żołądku.

Abell z wysiłkiem uniósł głowę. Po prawej zobaczył światła Westerplatte. Wkrótce miną latarnię i znajdą się na morzu. A wtedy będzie już za późno. A jak się zsunie do wody teraz, nawet jeśli nie utonie, ze skrępowanymi rękami i kneblem w ustach szybko go znajdą. Kanał był w tym miejscu zbyt wąski. Niegdyś pływał tu żaglówką, meandrując po pobliskim Zakręcie Pięciu Gwizdków aż do Mewiego Szańca<sup>[33]</sup>, gdzie znajdowała się mała przystań. Podjął decyzję. Wiedział, że dopływając do latarni, kuter będzie mijać rozgałęzienie kanału portowego z odnogą zwaną Wolnym Portem. To była jego szansa. Akwen był tam większy, trudniej będzie im go znaleźć.

Wygiął ciało w łuk i sprawdził, że nóż jest na swoim miejscu. Hans rzeczywiście był leniwy. Nawet go nie przeszukał. Pistolet na swoje szczęście czy nieszczęście zostawił w domu. Nie spodziewał się takiego powitania. Zgiął nogi i wymacał palcami finkę. Oderwał plaster i odwracając ostrze ku górze, spróbował przeciąć sznur. Skrzepła krew oblepiała mu dziurki nosa. Ledwie oddychał. Pękała mu głowa. Miał wrażenie, że zaraz rozpadnie się na dwa rozbite czerepy. Nóż wysunął mu się z ręki i z przerażeniem pomyślał, że nie zdąży go odnaleźć. Ale po kilkunastu sekundach gorączkowego macania pokładu z ulgą wyczuł jego zimne ostrze. Po kilku nieudanych próbach udało mu się wreszcie napocząć sznur. Czuł, że przeciął już kilka nici i mógł swobodniej poruszyć nadgarstkami. Potrzebował jeszcze kilkunastu sekund, ale zrozumiał, że dłużej nie może czekać. Kuter dopłynął już do rozgałęzienia kanału. Przeturlał się pod burtę, próbując nie zgubić noża. Pomagając sobie łokciami, podciągnął się wyżej i przetoczył przez krawędź

łodzi.

Niemal natychmiast poczuł uderzenie lodowatego chłodu, pochłaniającego całe ciało. Na ułamek sekundy stracił świadomość. Gdy ją odzyskał, zorientował się, że zgubił nóż. Wiedział z doświadczenia, że o tej porze roku, po zimie, woda w kanale miała temperaturę nie wyższą niż osiem, dziesięć stopni Celsjusza. Bał się wychłodzenia organizmu. Nie miał wiele czasu. Przede wszystkim musiał uwolnić ręce, zanim bandyci zorientują się, że uciekł. Wiedział, że to kwestia minuty, najwyżej dwóch. Położył się na plecach i pracując tylko stopami, starał się odpłynąć jak najdalej od łodzi. Na szczęście noc była ciemna. Księżyc zasłaniały ogromne puchowe chmury. Kierował się w stronę wejścia do bocznego kanału. Pamiętał, że tam powinna się znajdować boja sygnalizacyjna.

Dobił do niej w momencie, gdy z pokładu kutra dobiegły go krzyki. Łódź stanęła w miejscu. Bandyci zauważyli jego zniknięcie. Stracił przewagę wynikającą z zaskoczenia. Po chwili snop światła z reflektora zaczął przeszukiwać wodę. Byli od niego oddaleni nie więcej niż 50 metrów. Począł, aż świetlna smuga zbliży się do boi, zaczerpnął powietrza i zanurkował. Dobrze pływał i nurkował, tego nauczył go niegdyś ojciec. Jako dziecko zakładał się z rówieśnikami, kto wytrzyma dłużej pod wodą i z reguły wygrywał. Popłynął w głąb lodowatej toni wzdłuż stalowej liny, na której uwiązana była boja. Zbliżył się do liny i zaczął ocierać o nią swoje pięta. Gdy zabrakło mu tchu, wypłynął ostrożnie, skrywając się za boję. Kuter był teraz bliżej, widocznie jego prześladowcy zrozumieli, że uciekinier nie mógł popłynąć w stronę morza. Zaczerpnął powietrza, aż zabolowało go coś w płucach i dał nura raz jeszcze. Powtórzył całą operację z przecieraniem więzów. Tym razem sznur puścił. Wyszwolecił ręce, a to oznaczało, że ma jeszcze szansę. Musiał się jednak spieszyć, setki lodowych igieł szczypały go w ciało.

Wynurzył się i ledwie zdążył zaczerpnąć powietrza. Kuter był pięć metrów od boi. Jego prześladowcy albo coś zauważyli, albo domyślili się, że to ona może być wygodnym schronieniem dla zbiega. Ponownie popłynął w głąb coraz bardziej lodowatej toni. Widział od dołu kręgi reflektora ślizgającego się po powierzchni wody. Nagle ton przedziurawił metalowy grot. Bandyci bosakiem kłuli wodę wokół boi. Uczepił się liny kilka metrów pod wodą i liczył sekundy dzielące jego życie od śmierci. Kiedyś potrafił wytrzymać pod wodą prawie dwie minuty. Pięć sekund, dziesięć, piętnaście... Minęło półtorej minuty, a kuter nadal tkwił przy boi. Byli cierpliwi. Każda sekunda zdała się trwać dłużej niż poprzednia. Czuł, jak ogromny ciężar rozsada mu piersi. Zaczynał tracić świadomość. Ktoś go ostrzegwał, żeby uważał, bo znajdą go z kamieniem na dnie zatoki. No tak, Kellerman... Ciekawe skąd on to wiedział... Wybałuszonymi oczami wpatrywał się w dno łodzi. Modlił się, aby wreszcie ruszyła z miejsca. Doliczył do stu i czuł, że już dłużej nie wytrzyma. Wolał zginąć od ciosu bosaka, ale po raz ostatni w życiu odetchnąć świeżym powietrzem.

Popłynął w górę, unosząc ze sobą ognistą kulę nabrzmiewającą mu w piersiach. Zamknął oczy i wypłynął na powierzchnię. Łapał powietrze łapczywie, jak ryba wyrzucona na piasek. Nie otwierał powiek. Czekał na cios. Ale nic się nie stało. Otworzył z trudnością powieki i zobaczył tylko oddalającą się powoli rufę kufra. Źli ludzie dali za wygraną. Albo uznali, że spoczywa teraz na dnie na cmentarzysku starych wraków, pogiętych blach i portowych śmieci.

Płynął cicho Martwą Wisłą w stronę nabrzeża. Skostniałe z zimna ręce ledwo były w stanie rozgarniać wodę. Przewrócił się na plecy i starał się popracować nogami, ożywiając zmarznięte na kość mięśnie. Po kilku minutach mordęgi wyszedł na brzeg. Zwalił się na piasek jak ścięte drzewo. Leżał, łapiąc powietrze i patrzył w niebo, na którym pojawiły się pierwsze gwiazdy. Żył.

Ku jego zdumieniu pochyliła się nad nim jakaś brodata twarz.

– Jezusie Nazareński! Wypadł pan ze statku?

– Potrzebuję pomocy – wychrypiał z trudem. – Jestem z Kripo. Kim pan jest?

– Stróż nocny ze składu Hansy.

– Ma pan w biurze telefon?

Z ulgą zarejestrował kiwnięcie głowy brodacza i ponownie opadł na ziemię.

Godzinę później pod magazyn firmy Hansa w Wolnym Porcie podjechał bezszelestnie policyjny adler. Wachmistrz Kukulka przywykł już do takich dziwnych i późnych wezwań. Ale tym razem nawet on nie mógł ukryć zdziwienia. Radca policji kryminalnej Christian Abell siedział opatulony w wełniany koc i popijał herbatę z wielkiego cynowego kubka. Wyglądał, jakby zderzył się z frachtowcem na kanale. Purpurowy zygzak znaczył mu całe czoło. W nozdrzach widać było jeszcze zakrzepłą krew. Obok niego siedział olbrzymi brodacz w drelichowym płaszczu, głaszczący potężnego owczarka niemieckiego. Zwierzę na widok wachmistrza warknęło ostrzegawczo i odsłoniło obślinione kły. Kukulka cofnął się instynktownie. Nienawidził wszelkich zwierząt, a psów w szczególności.

– Spokojnie, Kukulka. – Abell wyciągnął rękę, którą zwierzę natychmiast skwapliwie oblizało. – To dobry piesek. A ten człowiek robi świetną herbatę. A teraz zabierz mnie do siebie.

Siedząc w aucie, opowiedział Kukulce o zdarzeniach ostatnich godzin. Wachmistrz pochylił głowę. Słuchał w skupieniu. Mijali uśpione domy i ulice miasta.

– Muszę się u ciebie zatrzymać na jeden dzień. Przy okazji dojdę do siebie. Mogę?

– Nie ma sprawy, szefie.

– Niech myślą, że leżą na dnie. Zobaczymy, jaki ruch wykonają. Poza tym muszę jutro coś załatwić. Coś bardzo dla mnie ważnego.

– W porządku. Ale najpierw pana opatrzę, szefie. Znowu pan krwawi.

Wachmistrz mieszkał w Gdańsku. Zatrzymali się przy Rennerstifgasse. Mały domek stał u wylotu ulicy. Miał nierówne rogi i obrośnięty był wysuszonymi pnączami dzikiego wina. Nieuprzątnięte gałęzie i badyle chrzęściły pod ich stopami. Ale wewnątrz było zaskakująco czysto. Abell popatrzył z uznaniem na wyszorowane podłogi małej izby, do której wprowadził go Kukulka. Uzmysłowił sobie, że znali się od lat, a był pierwszy raz w domu oddanego mu wachmistrza. Na ścianie wisiało oprawione zdjęcie. Abell podszedł bliżej, aby mu się przyjrzeć. Młody Kukulka, już wtedy z ospowatą twarzą, przytulał ładną kobietę o promiennym uśmiechu. To była Marlena, żona Kukulki. Wiedział od wachmistrza, że zmarła na raka. W swoim czasie sam starał się przedłużyć jej życie, podejmując działania, o których nikomu nie mógłby opowiedzieć... Nigdy nie widział wachmistrza w towarzystwie jakiegokolwiek niewiasty. Chyba że w burdelu.

Kukulka zniknął na chwilę w małej kuchni. Abell w tym czasie wziął gorącą kąpiel pod prysznicem. Stał, pozwalając, aby prawie wrząca woda spływała po jego skostniałym i obolałym ciele. Pod stopami ciągle zbierały mu się krwiste męty. Gdy wrócił, wachmistrz czekał już z tacą, na której stał duży kieliszek koniaku, butelka wody utlenionej i zwój plastrów różnej wielkości. Mimo protestów Abella wmusił w niego koniak, a następnie dokładnie przemył ranę i fachowo zakleił ją odpowiednio dobranym opatrunkiem. Następnie wskazał mu łóżko przykryte puchową kołdrą, wyciągnął z szuflady swój pistolet i wycofał się do kuchni.

Abellowi zaczęły ciążyć powieki. Nareszcie mógł usnąć po tym upiornym dniu. Przynajmniej tutaj był bezpieczny. Wiedział, że wachmistrz będzie czuwał z bronią w ręku i nie zmruży oka aż do rana.

## 9.

Spał prawie do czternastej. Obudził go hurgot dobiegający z ulicy. Ostrożnie odsunął firankę. Po nierównym bruku przetaczał się drewniany wózek kloszarda. Zarośnięty starzec ubrany był w kufajkę mocno ściśniętą w pasie konopnym sznurkiem. Z jego prowizorycznego pojazdu wystawały jakieś druty, kolorowe szmaty i fragment starej rzeźbionej ramy, znalezionej zapewne na jednym z tutejszych podwórek. Starzec zauważył go w oknie. Pozdrowił go przyjaznym gestem ręki. Abell pomyślał, że musiał koszmarnie wyglądać, jeśli tamten wziął go za kogoś podobnego do siebie.

Wziął prysznic i poruszył głową. Natychmiast uaktywnił się tępy, pulsujący ból. Ucierpiała też prawa ręka. Musiał ją zranić podczas przepiłowywania o linę boi krępiących go więzów. Najbardziej jednak dokuczały mu płuca. Czuł się tak, jakby zatopiono w nich płynny ołów. Miał wyraźny kłopot z oddychaniem. Tępy ból dokuczał mu przy każdej próbie ruchu. Zajrzał do kuchni i napił się wody.

Potem nastawił czajnik i czekał, aż przedpotopowe naczynie zacznie gwizdać i pluć gorącą parą. Wypił filiżankę mocnej kawy i poczuł się trochę lepiej. Kukulka zostawił na stole pieczywo i masło, ale on nie czuł głodu. Zauważył za to kluczyki do samochodu. Na wachmistrzu można było polegać. Szkoda, że tylko na nim, pomyślał gorzko.

Jechał do Sopotu zatopiony w ciężkich myślach. Pomimo popołudniowej pory słońce nadal odbijało się w oknach kamienic. Było ciepło. Ludzie wracali ze spacerów po plaży, starali się upilnować dokazujące dzieci. Uliczni sprzedawcy zwijali swoje stragany z cukrową watą i lemoniadą. Życie toczyło się nadal. Tylko jego życie osobiste leżało w gruzach.

Zatrzymał się o jedną przecznicę od willi, w której mieszkała Gabi. Mogli obserwować jej dom, ale nie miał wyboru. Spojrzał na zegarek. Było już po szesnastej. Ulica przed jej domem była opustoszała. Spojrzał na dwa łabędzie wyrzeźbione nad gankiem i zagryzł wargi. Ile to już czasu minęło od tego pamiętnego wieczoru? Tak wiele się od tego czasu wydarzyło. Miał wrażenie, że działo się to w innym życiu.

Zastukał do drzwi. Czekał, ale nikt nie otwierał. Zauważył kątem oka, że drgnęła firanka w oknie. A więc była w domu. Ponowił pukanie. Tym razem usłyszał szmer za drzwiami. Po chwili się otworzyły. Nie ukrywał zaskoczenia na widok starszego mężczyzny stojącego w progu.

– A więc to pan... Jestem Piotr Morel. Ojciec Gabrielle. Proszę wejść – powiedział łagodnym głosem. Mężczyzna nie miał obcego akcentu. – Mieszkam w Sopocie od urodzenia – powiedział. – Mówię po niemiecku tak samo jak po polsku, a może nawet lepiej.

Zaprowadził Abella do pokoju na wprost drzwi. Właściwie był to obszerny warsztat zegarmistrzowski. Wszędzie widać było rozmontowane mechanizmy czasomierzy, porcelanowe cyferblaty i wskazówki. Na ścianie wisiało kilka zegarów rzadkiej urody, głównie Gustawa Beckera. W powietrzu nosił się ledwie wyczuwalny zapach smaru i pszczelego wosku. Usiedli przy dębowym stole.

– Jestem zegarmistrzem. To znaczy byłem – powiedział Morel, jakby usprawiedliwiając rozgardiasz panujący na stole. Teraz zajmuję się tylko wyjątkowymi zegarami.

– Chciałbym porozmawiać z Gabi – powiedział Abell. – Czy jest już w domu?

Mężczyzna patrzył mu prosto w oczy. Miał na pewno ponad sześćdziesiąt lat. Kiedyś musiał być bardzo przystojny. Nadal trzymał się prosto jak trzcina.

– Nie ma jej w domu, panie Abell. I nie wiem, kiedy wróci.

– Wyjechała?

– Tak, do Polski. Wzięła tydzień urlopu. Tam będzie teraz bezpieczna. Byli u nas źli ludzie.

- Jak wyglądali?
- Jakie to ma znaczenie? Wyglądali jak pan. Byli z wojska albo z policji.
- Skąd pan to wie? – Abell potarł obolałe czoło. Ta rozmowa zaczynała przybierać niespodziewany obrót.
- Byłem w wojsku, panie Abell. Niemieckim, nie polskim. Walczyłem za cesarza.
- Co dokładnie powiedzieli?
- Zagrozili, że zrobią mi coś bardzo złego. Dla nich jestem Polakiem. A potem spali dom. Tylko tyle.
- Rozumiem. Nie wiedziałem. Pójdę już. Przepraszam, że zakłóciłem panu spokój – podniósł się z krzesła.
- Nie dlatego pan przyjechał, aby rozmawiać ze starym zgorzkniałym człowiekiem. – Morel powstrzymał go ruchem ręki.
- To prawda, nie dlatego.
- Ona pana kocha, nigdy nie widziałem mojej córki tak szczęśliwej. Abell poczuł się zmęczony.
- Zdradziła mnie, panie Morel. Pewnych rzeczy już się nie odwróci.
- Byłem przy tej rozmowie. Nie chciała pana zdradzić. Chroniła swojego ojca. Żeby była jasność, nie prosiłem jej o to. Nie chciałem. Sama zdecydowała. Całe życie byliśmy razem. Podała tylko jedno nazwisko: Henryk Dragon. Musiała to zrobić.
- Żeby pana ochronić?
- Tak. Zagrozili, że mnie zabiją, jeśli nie poda im tego nazwiska i adresu w Steegen. Jak pan by się zachował, panie Abell, gdyby chodziło o pańskiego ojca lub matkę? Podobno matka była bardzo ważna w pana życiu. Tak jak ja jestem ważny dla mojej córki...
- Nie wiedziałem, że posunęli się aż tak daleko... Pańska córka powiedziała mi jedynie, że zagrozili, iż zrobią panu krzywdę. – Czuł mętlik w głowie. Znowu brakowało mu powietrza.
- Źle pan wygląda, panie Abell. Mam wrażenie, że pan również spotkał tych ludzi.
- To nieistotne, panie Morel. Gabi nie mówiła mi zbyt wiele o groźbach pod pańskim adresem.
- Nie szukała usprawiedliwienia. Była poddana ciężkiej próbie. Ale nikt nie może być pewien, jak się zachowa w podobnej sytuacji, dopóki mu się ona nie przydarzy. Gabrielle znalazła się w matni, z której nie było dobrego wyjścia, Christianie. Mogę się tak do ciebie zwracać? Twoje imię często słyszałem w tym domu... Dla mnie jesteś w pewnym sensie domownikiem.
- Powinna zaryzykować. Zrozumiałbym.
- Próbowwała się do ciebie dodzwonić. Wiem od niej, że jesteś uczciwym

człowiekiem. I że trzymasz się zasad. Także dlatego tak cię kocha. Myślę, że jesteś dla niej zbyt surowy.

– Być może. Ale człowiek, którego nazwisko zdradziła, zniknął. Być może nie żyje.

– To przykre, naprawdę. – Morel pokiwał głową. – Żyjemy w strasznych czasach. Myślę jednak, że nie o niego ci chodzi.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Że dla ciebie liczy się tylko to, że ona cię zawiodła. Zbudowałeś sobie idealistyczny obraz tej miłości, Christianie. W tym wyobrażeniu jest więcej ciebie niż mojej córki. A to tylko młoda kobieta. Prawa i pełna zalet. Powtórzę, została poddana straszliwej próbie. Próbowała jedynie ocalić swojego ojca. A ty jesteś dla niej całym światem.

– Nie mogę być z kobietą, której nie ufam, panie Morel.

– Sam musisz się z tym uporać. Ale pamiętaj, że nie jesteś bez winy.

– W jakim sensie? – poruszył się niespokojnie.

– Mogłeś jej nie wciągać w swoje brudne sprawy. To nie był jej świat.

Abell milczał. Morel miał wiele racji. Uczucie do Gabi go zaślepiło. Stracił rozsądek. Chciał mieć nie tylko kochankę, ale także doradcę i powiernika. W tej samej sekundzie pomyślał o losie Henryka Dragona. Czy znajdą na plaży kolejną odciętą głowę? Objął oburącz rozpalone czoło. Był zmęczony.

Morel patrzył na niego uważnie swymi mądrymi oczami.

– Czy jesteś w stanie jej wybaczyć?

– Nie wiem. Może. Kiedyś.

– Czy mam jej coś przekazać?

– Niech pan jej powie, że próbowałem ją odnaleźć. I zrozumieć.

– Dobrze, zrobię to.

Odprowadził go do drzwi. W przedpokoju Abell zobaczył jej ulubiony płaszcz. Miał wrażenie, że czuje jej zapach.

– Uważaj na siebie, Christianie – pożegnał go Morel.

– Bez obawy, panie Morel. W pewnym sensie i tak już jestem martwy.

Stał na ulicy przed domem, próbując uspokoić oddech. To prawda, wewnątrz był martwy. Czuł się skołowany i rozdarty. „W tym wyobrażeniu jest więcej ciebie niż mojej córki”. To zabolalo, ale prawda zawsze boli.

Wracał do domu Kukulki pogrążony w rozmyślaniach. Do tej pory instynktownie odróżniał dobro od zła. To pomagało mu przetrwać w tym coraz bardziej wrogim i niezrozumiałym świecie. Ale teraz było inaczej. Czuł się zraniony, a jednocześnie tęsknił za Gabi. Nie wiedział, co przyniesie przyszłość. I wcale nie było mu łatwiej z tą świadomością.

## **Rozdział VI**

**Przyniosę wam głowę zdrajcy**



## 1.

Obaj wiedzieli, że ten dzień będzie przełomowy. Nie mogli niczego zepsuć. Jeszcze w domu Kukulki omówili dokładny plan działania. Wszystko się mogło wydarzyć. Abell schował swój wyczyszczony pistolet do kabury. Wachmistrz podjechał zatankowanym do pełna samochodem. Ruszyli. Abell, siedząc obok milczącego Kukulki, przesuwiał w mózgu taśmy pamięci. Czuł zimno bijące ze swojej trumny w prosektorium. Czuł, że rozsadza mu płuca, gdy nurkował w lodowatej toni. Widział zamglone światła kutra, które zlewały się z reflektorami jadących z naprzeciwka samochodów. Nadszedł czas rozrachunku.

Było pochmurnie. Pogoda się zepsuła. Zaczęło mżyć. Rozbryzgiwali kołami wodę z kałuż, które wyglądały jak połyskliwe oleiste jeziora.

Po przybyciu na miejsce szybko wbiegł do gmachu prezydium. Oficer dyżurny ledwie zdążył zaszalutować. Zobaczył zdziwienie w jego oczach. Już go pogrzebali? Zaraz po wejściu do swego pokoju sięgnął po telefon. Był piątek, zwyczajowy dzień odpraw u Mohla. Wszyscy już powinni być w pracy. Najpierw poprosił o połączenie z komisarzem.

Mohl nie ukrywał zaskoczenia.

– Abell, na Boga, gdzie się pan wczoraj podziewał? Już chciałem wszczynać alarm!

Nie wdawał się w zbędne tłumaczenia. Trzymał się planu. Powiedział tylko, że wszystko wyjaśni na miejscu. Dysponuje ważnymi informacjami dotyczącymi kolekcji i chciałby je przekazać w obecności komisarza Kellermana. Uprzedził, że poprosi o przybycie Plaskowitza i Kukulkę.

– Wachmistrz jest potrzebny? – zapytał niechętnie komisarz. Podoficerowie Kripo bywali rzadkimi gośćmi w jego gabinecie.

– Jest nieodzowny. Był świadkiem ważnych wydarzeń, które chcemy zreferować.

Mohl postanowił nie robić dalszych trudności. Przyzwyczał się już, że ten oficer nie zawsze zachowuje się standardowo. Właściwie nie zachowuje się tak prawie nigdy.

Abell odetchnął z ulgą. Na razie wszystko szło zgodnie z planem. Następnie wykręcił numer wewnętrzny Plaskowitza.

– Alex, to ja.

Po drugiej stronie odpowiedziało mu kilkusekundowe milczenie, przerwane entuzjastycznym okrzykiem.

– Gdzieś ty się podziewał, człowieku! Już się zacząłem martwić.

– Tajemnica służbowa. Ale poważnie: przyjdź natychmiast do gabinetu Mohla. Komisarz czeka. Wszystkiego się dowiesz.

– Masz jakieś nowe informacje? Odnalazłeś kolekcję?  
– Nie przez telefon. Jesteś mi potrzebny z innego powodu. Moje podejrzenia wobec Kellermana się potwierdziły.

Po drugiej stronie łącza zapadła cisza. Abell miał wrażenie, że trwała wieczność.

– Jesteś pewien? – W głosie Plaskowitza słychać było ostrożność i niedowierzenie.

– Niestety, tak. Potrzebuję cię, aby ten zdrajca nie wymknął się z sieci.

– Dobrze, już idę. Mam wziąć broń?

– W żadnym wypadku. Niepotrzebna nam strzelanina. Będzie nas asekurował Kukulka.

Weszli po schodach razem z Kukulką. Wachmistrz westchnął głęboko i spojrzał mu w oczy. Nadszedł wreszcie ten moment. Przyszli po głowę zdrajcy.

W gabinecie byli już wszyscy. Mohl z niedowierzaniem lustrował jego sińce i plastry na czole. Kellerman przywitał ich czujnym, ciężkim spojrzeniem. Tylko Plaskowitz podszedł i uścisnął mu rękę. Usiedli przy owalnym stole. Kukulka pozostał przy drzwiach.

– Fatalnie pan wygląda, Abell – rozpoczął Mohl. – Ale to już przestaje nas dziwić, prawda panowie? – Żart był taki sobie i przeszedł bez odzewu.

– Mam nadzieję, że ma nam pan coś naprawdę ważnego do zakomunikowania – powiedział leniwie Kellerman, oglądając się podejrzliwie na wachmistrza. – Odnalazł pan kolekcję w Steegen?

– Odnalazłem zdrajcę. Jest w tym pokoju – powiedział Abell, patrząc w oczy Kellermanowi.

– Chyba nie myśli pan... – Na twarz Kellermana wypęły ceglaste rumieńce. – Jak pan śmie! W głowie się już panu pomieszało, Abell.

– Zdecydowanie przekracza pan swoje kompetencje, radco – wtórował mu zszokowany Mohl. – I co to właściwie ma znaczyć „w tym pokoju”?!  
– Jeśli pan komisarz pozwoli, zaraz wszystko wyjaśnię. – Abell podniósł się z krzesła i zaczął krążyć wokół stołu. Mógł w ten sposób kontrolować każdy ruch zdrajcy. Nie miał złudzeń, do czego jest zdolny ten człowiek.

– Wychodzę stąd! Dość tych bzdur! – Kellerman poderwał się z miejsca.

Abell wyciągnął pistolet i położył obok siebie na parapecie.

– Nikt stąd nie wyjdzie, dopóki nie skończę – powiedział zimno. – Kukulka, wiesz, co masz robić.

Wachmistrz skłonił głowę i w krzywym uśmiechu odsłonił zepsute zęby. Nikt z obecnych nie miał wątpliwości, że zabiłby, gdyby Abell wydał mu taki rozkaz. Kellerman opadł czujnie na siedzenie. Wyglądał jak drapieżnik zmuszony do posłuchu. Komisarz Mohl zszokowany wpatrywał się w pistolet na parapecie.

– Co pan wyrabia, Abell – wyszeptał zbielełymi wargami. – Pójdzie pan za

to pod sąd...

– Proszę mi dać kwadrans, komisarzu – odpowiedział Abell. – Potem sam pan oceni, czy miałem rację. Od początku mamy wśród nas kreta, wysoko postawionego zdrajcę. Miał pilnować, abyśmy nigdy nie wpadli na właściwy trop. I prawie się to udało. – Powiódł spojrzeniem po siedzących przy stole.

– Nigdy nie chodziło o korupcję w mieście czy porachunki rodzinne w rodzinie Rottenbergów – kontynuował. – Zawsze szło tylko o obrazy. O arcydzieła, własność Saula Rottenberga. Jacyś ludzie, nazwijmy ich na razie złymi ludźmi, zapragnęli przejąć obrazy starego obrzydliwie bogatego Żyda. Ale ten wyczuł zagrożenie. Nie wiadomo jakim cudem, ale wyczuł. W każdym razie zdążył dobrze ukryć obrazy, zanim bandyci do niego dotarli. Byli przykro zaskoczeni tym faktem, ale nie zrezygnowali. Początkowo zapewne uważali, że nic wielkiego się nie stało. Znali sposoby, żeby zmusić do zwierzeń nawet największych milczków. Torturowany człowiek przyzna się do wszystkiego. Ale ku ich wielkiemu zdziwieniu Żyd się uparł i mimo ich wysiłków nie chciał powiedzieć, gdzie ukrył swój skarb. Zagrozili mu śmiercią, ale się nie ugiął. Wtedy nadzorca złych ludzi, nazwijmy go Mózgiem, zmienił plan. Rottenberg nie mógł żyć. Widział już zbyt wiele. Postanowili go zabić, ale tak, aby nie pozostawić po sobie śladu. Zmusili Saula do napisania pożegnalnego listu, w którym przyznawał się do łapówkarstwa, poczęstowali go kwasem i strzelili mu w usta. W ten sposób wsadzono go nam do szafy z trupem burmistrza Lauego. Muszę przyznać, że to był bardzo zręczny ruch. Mogło się udać. Gdyby nie mała plamka na koszuli trupa. I świadome błędy przemycone przez Saula w jego rzekomo pożegnalnym liście...

Mężczyźni przy stole zamarli. Tylko jeden z nich znał dalszy ciąg tej historii.

– Ale pojawiły się nieprzewidziane trudności. Obalenie przeze mnie teorii o samobójstwie Rottenberga skomplikowało sytuację. – Abell chodził po pokoju, zachowywał się jak wąż hipnotyzujący swoją ofiarę. – Wywołało to pewne zamieszanie. A w ślad za tym agresję.

– To wtedy próbowali cię ukatrupić w prosektorium – powiedział Plaskowitz.

Abell nie podjął tematu.

– Później wrócimy do tego wątku, Alex. Saul zabrał swój sekret do grobu, ale jeszcze pozostawała przecież Adele. Mordercy zakładali, że jako żona na pewno znała plany męża. Ale tu czekało ich kolejne rozczarowanie. Byli przekonani, że torturowana okrutnie kobieta musi się załamać. Nie wzięli pod uwagę tylko jednego: że Adele nic nie wiedziała o ukryciu kolekcji. Prowadzili z mężem osobne życie. Na swój sposób się kochali i troszczyli o siebie, ale byli jak dwie oddzielne planety. Dlatego bandyci z wściekłości odcięli jej głowę. Co oczywiste, nawet o centymetr nie przybliżyli się jednak do miejsca, w którym Saul ukrył obrazy. Pozostała ostatnia karta w talii. Mieli swojego szpicla w rodzinie

Rottenbergów, Chaima. Zmuszenie go do współpracy nie było trudne. Był zadłużony po uszy, a stryj darzył go zawsze sympatią. Kazali mu rozkochać w sobie służącą Charlottę Monk. Dzięki temu zdobyli nawet klucz do domu. Mieli tyle atutów, a jednak nie mogli wpaść na trop ukrytych płócien. Sytuacja zaczęła być rozpaczliwa. I wtedy Mózg wpadł na genialny w swej prostocie pomysł. Mieli przecież jeszcze na karku policję prowadzącą śledztwo! Po prostu nie należało mi przeszkadzać. Wystarczyło postępować za mną krok w krok, śledzić postępy w dochodzeniu, aby we właściwym momencie wyprzedzić mnie na finiszu i zgarnąć główną nagrodę. Czy pan za mną nadaża? – zwrócił się do Mohla.

Komisarz niechętnie skinął głową. Powoli ulegał narracji Abella. Wywód był klarowny. I bezlitośnie logiczny w swej konstrukcji.

– To dobrze – skwitował reakcję komisarza Abell. – Ale najciekawsze dopiero przed nami. Bardzo pan zaskoczony, komisarzu Kellerman? – zwrócił się do postaci wtopionej w fotel. – Nie oczekuję odpowiedzi. A teraz powrócę do poprzedniej myśli. Jest kluczowa dla sprawy. Mózg musiał być zaskoczony moimi odkryciami. Nie przyszło mu do głowy, że obrazy z ich właścicielem wiąże kabalistyczna nić. Nie wpadł na to, że obraz Battisty Dossiego jest wskazówką. Zrozumiał, że zarówno jemu, jak i jego pomagierom brakuje wiedzy z obszaru historii i sztuki. To było dla nich ostrzeżenie. Mogłem ich wyprzedzić. Dlatego postanowili kontrolować moje ruchy. A także uzyskać dostęp do mojej głowy i moich myśli – Abell zrobił pauzę, jakby zawahał się na chwilę. – I to się im udało. Obserwowali mnie niczym owada pod szkłem powiększającym. To dzięki temu niemal natychmiast wiedzieli o zeznaniach Charlotty Monk. I dlatego, zanim zdążyłem do niego dotrzeć, zginął Chaim. Mógł zdradzić mocodawców. Dlatego musiał zamilknąć na zawsze. Ci ludzie mają długie ręce. Zapewne wystarczyła pomoc przekupionych strażników, może nawet samego Eisenhorna...

Abell przerwał i podszedł do parapetu. Wziął na chwilę pistolet do ręki i ważył w dłoni jego ciężar.

– Byłem coraz bliżej prawdy – odwrócił się i spojrzał na Kellermana. – A mój cień postępował krok w krok za mną. Przełomem było powiązanie postaci Jowisza z obrazu z tajemniczym mecenasem Saula. Mózg szybko zrozumiał doniosłość tego odkrycia. Rebus Saula był bliski rozwiązania. Należało tylko jeszcze wpisać właściwe nazwisko i adres w puste miejsce. Kiedy wróciłem z berlińskiego archiwum z tymi danymi, rozpoczął się wyścig.

– Jakim cudem dotarli do Steegen przed panem? – zapytał Mohl.

– Wydobyli tę informację od bliskiej mi osoby. Kiedy ja składałem tu w środę raport o wynikach kwerendy w archiwum, oni byli już u Henryka Dragona w Steegen. Byli pewni, że są u celu. Jednak moim zdaniem nie znaleźli kolekcji. Boję się o życie Dragona.

– W takim razie gdzie są obrazy? – zapytał Plaskowitz.

– Zapomniałeś, w jakim celu was tutaj zebrałem. Najpierw wyeliminujemy zdrajcę. Odpowiada za śmierć trzech osób, może także Dragona. Sprzeniewierzył się mundurowi. To on jest Mózgiem. I siedzi przy tym stole.

– Kończ pan to przedstawienie. – Kellerman oddychał ciężko. – Widzę, ku czemu pan zmierza. To absurdalne! Odpowie pan za to! Trudno będzie panu udowodnić zdradę w samym prezydium policji.

– Widocznie jest pan zbyt łatwowierny, panie komisarzu – powiedział Abell, mierząc się z nim spojrzeniami. – Nie to, co inni, prawda Alex?

Plaskowitz drgnął, jakby rażony prądem.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Christianie?

– Dobrze wiesz.

Plaskowitz patrzył na niego czujnie. Obejrzał się za siebie. Kukulka stał już bezpośrednio za nim. W ręku trzymał krótki metalowy pręt. Usłyszał syk wachmistrza.

– Nawet nie próbuj, gnoju. Ogłuszę cię, zanim zdążysz ruszyć ręką. Potrzebny nam jesteś żywy.

Abell podszedł do Plaskowicza i szybkim ruchem wyjął mu broń z kabury. Spojrzał mu prosto w oczy. Spodziewał się zobaczyć w tych źrenicach niepokój. Ale zobaczył tylko pustkę. Może cynizm. Ale nie strach.

– Miałeś zostawić broń w swoim biurze. Ale nie wiedziałeś do końca, czego się możesz po mnie dzisiaj spodziewać, prawda?

Obaj szefowie Kripa obserwowali tę scenę jak sparaliżowani. Pierwszy ocknął się Kellerman. – Myślałem, że chodzi panu o mnie... Ale to i tak poważne oskarżenie, Abell. To Plaskowitz ma być tym kretem? Rozumiem, że ma pan mocne dowody. Inaczej to pański ostatni dzień w policji.

– Nie wiem, o czym mówi ten szaleniec. Stanowczo protestuję przeciwko jego pomówieniom – odezwał się Plaskowitz.

– Jeszcze cię o nic nie pomówiłem – odpowiedział zimno Abell. – Ale masz rację, zaraz to zrobię. A pan, komisarzu, sam oceni, czy moje argumenty są wystarczająco mocne. Tak, to Plaskowitz jest kretem. To on ma na rękach krew tych ludzi. I to on, jako wspomniany przez mnie Mózg, pociągał za sznurki. Nie wiem, kto był jego mocodawcą, ale na pewno się dowiem. Znasz mnie Plaskowitz. Jestem uparty. Nie mogę odmówić ci jednego, inteligencji. Najpierw udało ci się zwabić mnie do Villi Helena, a potem „uratować” przed niechybną śmiercią. Dobrze to wymyśliłeś. Nie podejrzewa się osoby, która uratowała ci życie... I to słówko *zojne* w jidysz, które miało mnie naprowadzić na fałszywy żydowski ślad. Naprawdę, zręczne.

Plaskowitz spoglądał na niego ironicznie, jakby chciał powiedzieć: „Czego chce ode mnie ten czubek?”

– Kazałeś zamordować Saula, potem Adele. Być może sam odcinałeś jej

głowę. Byłbyś do tego zdolny, nieprawdaż? Szukałeś obrazów, a jednocześnie starałeś się mną manipulować. Tak, aby sterować śledztwem, a jednocześnie odciągnąć moją uwagę jak najdalej od siebie i swoich kamratów. Byłeś zawsze blisko mnie. Dzieliłem się z tobą swoimi myślami. Wspólnie analizowaliśmy sprawę. Brałeś udział we wszystkich kluczowych naradach poświęconych postępowaniu śledztwa. Ale po śmierci Chaima zacząłem coś podejrzewać. Zrozumiałem, że w Kripo jest wtyka. Tylko tak mogłem wytłumaczyć fakt, że Chaim zginął w kilka godzin po mojej rozmowie z Charlottą Monk. Długo podejrzewałem pana, komisarzu Kellerman.

Wywołany starał się zachować spokój, ale widać było, że targają nim skrajne emocje.

– Dziękuję za zaufanie, Abell – mruknął.

– Muszę pana przeprosić, ale grono podejrzanych było niewielkie. Zauważyłem pana na wiecu wyborczym Alberta Forstera, siedział pan obok Bromkego. Wydało mi się to podejrzane.

– Byłem tam służbowo na polecenie komisarza Mohla – powiedział zgryźliwie Kellerman.

– To prawda – potwierdził Mohl.

– Miałem też wrażenie, że sceptycznie podchodzi pan do sposobu, w jaki prowadziłem dochodzenie. Ostrzegł mnie pan, abym kontaktując się z przemytnikami, nie wylądował na dnie Wisły z kamieniem u szyi. W tydzień później ktoś próbował mnie utopić w taki właśnie sposób. To mnie zmyliło. Ale potem sprawy nagle przyspieszyły. Pojechałem do archiwum, a ty Plaskowitz, wiedziałeś, że jestem wreszcie na właściwym tropie. Czekałeś tylko na nazwisko i adres, które miałem przywieźć. Rozpoczął się wyścig z czasem, bo uświadomiłeś sobie, że popełniłeś błąd, jeden, jedyny raz. Wiesz kiedy, prawda?

Plaskowitz wykonał nagły ruch, jakby sprawdzając czujność Kukulki, ale wachmistrz był na miejscu. Żelaznym prętem ostrzegawczo uderzył w poręcz krzesła. Plaskowitz zrezygnował.

– Oczywiście, że wiesz. – Abell nie spuszczał z niego swoich szarych, teraz nagle pociemniałych oczu. – Wtedy, kiedy zapytałeś mnie o Gabrielle Morel. Zdziwiłem się, skąd o niej wiesz, a ty powiedziałaś, że od Kukulki. To było głupie. Wystarczyło powiedzieć cokolwiek, na przykład, że mnie z nią widziałeś na ulicy. Zabrakło ci refleksu. Wiesz, Kukulka ma wiele wad. Potrafiłby na przykład zmiażdżyć komuś głowę żelaznym prętem. Całkowicie bezrefleksyjnie, tak na rozkaz. Ale jest bardzo dyskretny. Nigdy nie powiedziałby czegoś takiego. I nie zrobił tego, sprawdziłem. Złapałem cię na kłamstwie, ale nie byłem jeszcze w stanie ocenić wagi ani znaczenia tego łgarstwa. A potem ktoś mnie wyprzedził w Steegen, uprowadzając Henryka Dragona. Pospieszyłeś się. Nikt poza mną do godziny dziewiątej rano tego dnia, do momentu narady u komisarza Mohla nie znał

nazwiska tego Polaka. Z jednym wyjątkiem – wyjawilem je Gabi.

– Kim do cholery jest ta Gabi? – komisarz Mohl wyglądał na dezorientowanego i oszołomionego tym nieoczekiwanym przedstawieniem, jakie odbywało się na jego oczach.

– Moja... była narzeczona – odpowiedział po namyśle Abell. – I wtedy skojarzyłem wszystkie fakty. Musieliście do niej dotrzeć. A ty przecież wiedziałeś o jej istnieniu. Wysłałeś do niej swoich zbirów. Zaszantażowaliście ją. Albo życie jej ojca, albo nazwisko, które przywozłem z Berlina. Podała je wam... Mogłeś podejrzewać, że prędzej czy później domyślę się wszystkiego. Ale to pewnie było już nieistotne. Liczyło się tylko Steegen. Byłeś pewien, że tam odnajdziecie kolekcję. Twój ludzie już tam jechali, gdy my jeszcze konferowaliśmy w tym pokoju... Poza tym pewnie już wtedy zdecydowałeś, że gra się skończyła, koniec maskarady. Trzeba było uciszyć mnie na zawsze. Byłem niebezpieczny. Mogłem cię zdemaskować. Kazałeś komuś ze swoich ludzi podszyć się pod Petersa i zwabić mnie do Neufahrwasser. Mieli utopić mnie w morzu z kamieniem u szyi. Byłem już prawie trupem, Plaskowitz. Ale to „prawie” robi różnicę. Podwójna porażka, były kolego. Nie znalazłeś obrazów w Steegen. A ja żyję i będę zeznawał w twojej sprawie.

– Wysłuchałem tej baśni, bo jestem dobrze wychowany. Nie masz żadnych dowodów. Wszystko to tylko stek pomówień i domysłów.

– Zrobiłeś to dla pieniędzy? Przecież lubisz luksus, prawda? Wynajął cię jakiś krezus z Rzeszy? To tak cienko przedzie nasza arystokracja?

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz, żydowski pomagierze. Czytałem twoje akta, mam je w swoim biurku. Nawet nie jesteś prawdziwym Niemcem, tylko pokurczem po jakichś holenderskich włóczęgach. – Plaskowitz miał teraz w oczach czystą nienawiść.

– Zapomniałeś jeszcze o jednym. – Abell wziął do ręki pistolet z parapeku. – Powiedziałeś, że to komisarz Mohl przydzielił cię do tej sprawy, abyś mnie wspierał. Podejrzewam, że było dokładnie odwrotnie. Komisarzu?

– Jeśli tak twierdził, to skłamał. – Mohl spojrzał na Plaskowitza ciężkim wzrokiem. – Sam przyszedł do mnie i to zaproponował. Powiedział, że jest pan dobrym śledczym, ale w gorącej wodzie kąpanym.

– To nic nie znaczy. – Plaskowitz wzruszył ramionami.

– Myli się pan, Plaskowitz – odezwał się niespodziewanie mocnym głosem komisarz Mohl. – Usłyszałem wystarczająco dużo, aby pana zawiesić w wykonywaniu obowiązków służbowych. Do czasu wyjaśnienia zarzutów radcy Abella zostanie pan zatrzymany. Kellerman, niech pan się tym zajmie.

Jego zastępca zadzwonił i po chwili do pokoju weszło dwóch oficerów z bronią.

– Odprowadźcie go do aresztu – polecił im.

– Mam wpływowych przyjaciół, rodzinę. Nie ujdzie wam to na sucho. Łapy przy sobie! – Plaskowitz szarpał się przez moment z jednym z przybyłych oficerów. – Wyjdę na wolność prędzej, niż ci się wydaje – skierował palec w stronę Abella. – A wtedy zapłacisz mi za wszystko.

– Pójdę z nimi – zaoferował się Kukulka. – Na wypadek, gdyby temu gnojowi przyszło coś głupiego do głowy. Nawet bym chciał, abyś spróbował.

Po wyprowadzeniu Plaskowitza w pokoju zapadła martwa cisza. Przeciął ją dźwięk syreny alarmowej dobiegający z portu. Milczenie przerwał komisarz Mohl.

– Co teraz? – zapytał trochę bezradnie.

– Trzeba jak najszybciej postawić formalne zarzuty Plaskowitzowi – odpowiedział Abell. – Do jego mocodawców musi pójść mocny sygnał, że zabawa się skończyła...

– Kogo ma pan na myśli? – zapytał Kellerman.

– No właśnie. Jeśli Plaskowitz jest winny – powiedział ostrożnie Mohl, tak jakby dopiero teraz dotarło do niego, co się stało – rodzi się pytanie, dla kogo pracował? I jakimi pobudkami się kierował? Robił to wszystko dla pieniędzy? Przecież pochodzi z majątnej, arystokratycznej rodziny...

– Mam pewne przypuszczenia, ale na razie brakuje mi dowodów – Abell dopiero teraz poczuł, że schodzi z niego napięcie. – Obecnie chciałbym skupić się na odnalezieniu obrazów.

– Ma pan jakiś pomysł, jak to zrobić? – zapytał Kellerman, z którego twarzy zniknęły już bordowe plamy.

– Pojadę jeszcze raz do Berlina. Mam wrażenie, że poprzednim razem szukałem nie tam, gdzie trzeba.

## 2.

Słońce było już wysoko. Stał przed sklepem Godsuckera i ujrzał swoje odbicie w witrynie. Dopiero teraz zauważył, jak głębokie ma cienie pod oczami. Nie wyglądał zdrowo. I tak też się czuł.

– Abell, na Boga! Wygląda pan jak zjawa! – przywitał go Godsucker.

Bokserki gdzieś zniknęły. Abell z wdzięcznością przyjął poczęstunek: filiżankę kawy i angielskie biszkopty podane na porcelanowym spodku. Uświadomił sobie, że nic nie jadł od ponad doby. Godsucker słuchał w skupieniu jego opowieści o fotografii Saula z towarzyszem broni, opatrzonej dziwnym podpisem, o wizycie w berlińskim archiwum i rozczarowaniu przeżytych w domu Henryka Dragona w Steegen. Od czasu do czasu marszczył tylko swoje krzaczaste brwi, nadające mu wygląd biblijnego patriarchy. Szczególnie zainteresowała go – sądząc po cichych okrzykach – nić wiążąca ferraryjskiego księcia sprzed blisko pięciu wieków z leutnantem o urodzie efeba. A także historia



o Jowiszu, mecenasie artystów ze starego obrazu, który zszedł na ziemię i kroczył po skrwawionych polach Verdun. I o niezwykłym rebusie, którego rozwiązanie zwodniczo prowadziło do Steegen, na manowce.

– Pan się marnuje w Kripo, panie radco, z takimi talentami – powiedział wreszcie starzec, strząsając z palców resztki okruszków. – Jeśli będzie pan potrzebował zajęcia, u mnie zawsze znajdzie się miejsce. Rudi, jak się okazało, miał drugą twarz. Zbyt mroczną i brutalną, nawet jak na mnie. Musieliśmy się pożegnać.

– Dziękuję. Ale lubię swoją pracę.

– Mam wrażenie, że to przywiązanie dużo pana ostatnio kosztuje – antykwariusz wskazał ręką na sińce Abella. – Mam nadzieję, że to nie robota Petersa. Był mi winien przysługę, ale nie taką...

– Nie, to nie on. Obracam się w różnym towarzystwie. Czasami zdarzają się nieporozumienia.

– Rozumiem.

– Wracając do celu mojej wizyty. Wspomniał pan podczas naszej rozmowy, że służył w jednej dywizji z Saulem Rottenbergiem. Czy rozpoznałby pan oficera na tym zdjęciu?

Marszand założył okulary i długo wpatrywał się w fotografię. Pokręcił głową.

– Nie jestem w stanie pomóc. Nie rozpoznaję go. To było szesnaście lat temu.

– Obejrzałem w berlińskim archiwum akta osobowe wszystkich żołnierzy ze Sturmtruppe, w której służył Saul. Nie znalazłem żadnego żołnierza o inicjałach HD. Poza Henrykiem Dragonem. Ale teraz już nie jestem taki pewien, że to o niego chodzi.

– W jakiej dokładnie formacji służył Saul?

– W V Armii pod wodzą następcy tronu. W 4 dywizji, Sturmtruppe II.

Godsucker pokiwał swoją nastroszoną siwą czupryną, niczym lwia grzywą.

– Sturmtruppe II, mówi pan? No to rzeczywiście, chyba szukał pan nie tam, gdzie trzeba.

– Jak to? – Abell zmarł z biskopem przy ustach.

– Służyłem, jak pan wie, w tej samej dywizji, co Saul, ale w innym oddziale. Raz nawet go spotkałem na początku wojny. Był taki pełen entuzjazmu... – machnął ręką, jakby chciał odgonić bolesne wspomnienia. – Ale pamiętam, że po straszliwych bojach pod Haumont-Caures-Herbebois, w lutym tysiąc dziewięćset szesnastego, mówiło się, że Sturmtruppe II została zdziesiątkowana. Poniosła ciężkie straty. Dlatego jej stan osobowy został uzupełniony żołnierzami z III Sturmtruppe z 240 dywizji piechoty. Zdjęcie, które mi pan pokazuje, sądząc z podpisu, zrobione zostało w sierpniu tysiąc dziewięćset siedemnastego. Możliwe,

panie Abell, że ten leutnant z fotografii dołączył do grupy Saula właśnie w ramach tego uzupełnienia. Dlatego nie ma go w aktach jego nowego oddziału. Powinien pan raczej poszukać go w ewidencji Sturmtruppe III, z 240 dywizji piechoty.

– Jeśli to prawda – Abell był poruszony tym, co powiedział Godsucker – to dlaczego wraz z przeniesieniem tego oficera jego akta nie powędrowały za nim do nowego oddziału?

– Była wojna panie Abell, taka, jakiej świat nie widział. Pod Verdun zmasakrowano sześćset tysięcy młodych ludzi. Proszę pomyśleć: ilu było wśród nich nowych Rembrandtów, Hegłów czy Marconich? Kto by wtedy zaprzętał sobie głowę tym, żeby akta się zgadzały? Nic dziwnego, że w ewidencji jest wiele luk i braków. A sama Sturmtruppe II, z tego, co pamiętam, została rozwiązana zaraz po bitwie pod Verdun. Nikt nie miał wtedy głowy do wypełniania papierków.

– Dziękuję. Nie wiem, czy będę w stanie się panu jakoś zrewanżować.

– Proszę mi znowu przynieść jakiś ciekawy obrazek czy książkę. Ma pan do tego oko.

– Może kiedyś. Teraz muszę odnaleźć obrazy Saula.

– Czy zastanawiał się pan kiedyś, kto na nie poluje?

– Owszem, niejednokrotnie.

– I do jakich wniosków pan doszedł?

– Nie mam jeszcze pewności. Może jakiś wpływowy kolekcjoner albo bogaty handlarz sztuką z Berlina czy Hamburga. Albo naftowy bogacz z Ameryki. Pieniądze nie mają ojczyzny. Równie dobrze jednak może to być ktoś spoza tego kręgu, ktoś wpływowy i potężny... Mam pewne przypuszczenia, idące w tym kierunku. Jeszcze nie wiem, ale dojdę prawdy. Jestem to winien Adele...

– Nie wątpię, że się pan nie podda. – Marszand spojrział na sińce i zadrapania Abella. – Ale proszę pamiętać, że może pan to przypłacić życiem. Ci kabalistyczni malarze, o których mi pan tyle opowiadał, mieli rację. Czasami najczęściej mówią nam postacie i szczegóły z drugiego planu. Ci zza kulis, którzy nie zawsze wychodzą z cienia.

– Dziękuję za cenne wskazówki. Proszę pozdrowić żonę. Jak z jej zdrowiem?

– Dziękuję, na pewno przekażę jej Trudi. Już nie rozmawia nawet z Bogiem. Pogniewała się na niego. Ona chce odejść, a on jej nie pozwala. Wie pan, co teraz sobie ubzdurzała?

– Zamieniam się w słuch, panie Godsucker.

– Twierdzi, że z tego miasta nie zostanie kamień na kamieniu. Pan sobie wyobraża podobne bzdury? Gdańsk przetrzymał Krzyżaków, Rosjan, Francuzów i Polaków, ale to moja Trudi go unicestwi. Zawsze była dziwna. Miewała widzenia. Jak ja mam wytrzymać z tą kobietą? Do tego ciągle oszukuje w wista.

Dopiero wychodząc ze sklepu, Abell zauważył, że koń na bursztynowych

płozach już się nie porusza. Przyrzekł sobie, że zapyta o to Godsuckera przy następnej wizycie. Ale coś mówiło mu, że to nie nastąpi prędko.

### 3.

Wieczorny pociąg do Berlina przedzierał się przez zatopione w ciemności Pomorze. Abell nigdy nie potrafił zasnąć w podróży. Ale tym razem zapadł w głęboki sen, niemal natychmiast po zajęciu miejsca w przedziale. Obudził go dopiero konduktor przed samym Kreutz[51]. Na dworcu, korzystając z kilkuminutowej przerwy, wyskoczył na peron i kupił parę gazet. Gdy pociąg wyruszał z Gdańska, oprócz niego w przedziale zajęła miejsce tylko jakaś kobieta z dzieckiem i milczący pastor z koloratką pod szyją. Ale w Kreutz kobieta wysiadła, a dosiadło się dwóch hałaśliwych żołnierzy. Jechali na przepustkę w swoje rodzinne strony.

– Zobaczysz Joseph, wystarczy pięć lat i znowu rzucimy się im do gardła – powiedział grubszy z nich, ciągle wycierający czoło chustką wielką jak ręcznik.

– Gówno prawda, Hans. Dopóki Hitler nie pozbędzie się tych starych przyków z monoklem w oku, zawsze będziemy dostawali w dupę – polemizował jego towarzysz wyglądający na chłopskiego syna. – Przegrali w osiemnastym, przegrają każdą kolejną wojnę. Brakuje im charakteru, nie mają jaj.

– Błźnisz, człowieku. Hindenburg zasługuje na szacunek. Pod Tannenbergiem zmasał plamę z tysiąc czterysta dziesiątego roku<sup>[34]</sup>. Pokazał tym słowiańskim pokurczom, gdzie ich miejsce.

– Hindenburg może tak – niechętnie zgodził się jego oponent. – Ale ci za jego plecami nic się nie zmienili. Junkierskie maminsynki! Hitler musi z SA uczynić nową armię! Ludową, narodowosocjalistyczną z krwi i kości<sup>[35]</sup>!

– A ty, głąbie, będziesz w niej dowodził, co? Mamy najlepszy sztab generalny na świecie. Hitler może odbudować armię tylko z nimi, a nie przeciwko nim.

– To nie jedyny problem, jaki mamy – nie ustępował drugi. – Anglia i Francja nie pozwolą nam podnieść się z kolan. Ktoś już kiedyś powiedział, że Niemcy są za duże, aby pogodzić się ze swoją obecną pozycją w Europie, a jednocześnie za małe i zbyt słabe, aby ten stan rzeczy zmienić.

– Tu akurat się zgadzamy. Żabojady i Anglicy doją Niemcy jak mleczną krowę. Zawsze próbowali nas zamknąć w żelaznej klatce. Ale to się tym skurwysynom nie uda! – grubas wzniosł do góry zaciśniętą pięść. – Właśnie dlatego potrzebujemy wielkiej armii, jak kiedyś – rozmarzył się. – Już Hitler sobie z tym poradzi. Odzyskamy należną nam pozycję. Jeszcze będą skomleć o litość, parszywe żabojady!

Abell mocniej wtulił głowę w palto wiszące przy oknie. Do Berlina było

jeszcze wiele godzin jazdy. Potrzebował wypoczynku. Po chwili znowu zapadł w sen, ukołyszany rytmem kół, stukających o tory.

Urzędnik w berlińskim archiwum nie skrywał zaskoczenia jego ponowną wizytą. Miał na końcu języka pytanie o cel tak częstych odwiedzin oficera Kripo z dalekiego Gdańska, ale wrodzona dyscyplina przeważyła. W milczeniu przyjął zamówienie i szurając nogami, oddalił się do przepastnych magazynów, w których – w kartonowych pudłach – zewidencjonowanych było kilkaset tysięcy żołnierzy i oficerów Deutsches Heer. Powrócił po półgodzinie, dźwigając wielkie pudło z krzywo przyklejoną nalepką: Sturmtruppe III.

Abell czuł dławiące go napięcie. To była jego jedyna szansa. Jeśli Godsucker się mylił, kwestia odnalezienia tajemniczego mecenasa w mundurze leutnanta odsunie się w nieokreśloną przyszłość. Być może nigdy nie trafi na jego ślad. Miał świadomość, że potrzebuje wymiernego sukcesu. Przymknięcie Plaskowitza nie zamykało sprawy. Na pewno nie wszystkim w mieście się ono spodobało. Miałby zdecydowanie mocniejsze karty w ręku, gdyby wrócił do Gdańska i mógł wskazać miejsce ukrycia kolekcji.

Uważnie przeglądał kolejne kartki, odkładając przejrzone dokumenty na stos po lewej ręce. Dopiero teraz zauważył, jak wielu Polaków służyło w cesarskiej armii. W ewidencji nieustannie pojawiały się polskie nazwiska. Serce zabiło mu mocniej, gdy natrafił na pierwszego żołnierza o pasujących inicjałach. Ale Hermann Dremmler nie mógł być poszukiwanym mecenasem Saula. Miał ciemne włosy i długi orli nos, asymetrycznie wystający z pucułowatej twarzy. Poza tym był zwykłym szeregowcem.

Abell spojrział na zegarek. Siedział nad aktami już ponad dwie godziny. W pomieszczeniu było duszno. Zdjął marynarkę i obrzucił wzrokiem niewielki stos akt, jakie zostały mu jeszcze do sprawdzenia. Chciał sięgnąć po wodę do picia, gdy nagle jego wzrok zatrzymał się na karcie leżącej na samej górze. Heinrich zu Dohna. HD! Poczł nagłe uderzenie gorąca. Nie było wątpliwości. To musiał być człowiek, którego szukał. Ze zdjęcia patrzył na niego przystojny blondyn o regularnych rysach twarzy. Drżącymi rękami sięgnął po jego kartę osobową.

„Leutnant Heinrich zu Dohna, ur. 1882 w Prusach Wschodnich. Zmobilizowany w czerwcu 1917 roku. Wysłany na front francuski. Służył w sztabie 240 dywizji piechoty. W stopniu feldwebelleutnanta”.

Abell poczuł, jak zalewa go fala radości. To na pewno on! Stary Godsucker miał rację! Szybko przeskakiwał wzrokiem po liniach tekstu.

„31 lipca 1917 skierowany na front, brał udział w III bitwie o Ypern. Na własną prośbę odkomenderowany do Sturmtruppe III, a następnie w ramach uzupełnień do Sturmtruppe II. Wyróżnił się odwagą podczas walk. Przedstawiony do odznaczenia”.

To, czego szukał, znalazł na samym spodzie karty.

„7 sierpnia 1917 pod Passchendaele, z narażeniem własnego życia wyciągnął rannego w nogę towarzysza spod ognia piechoty francuskiej. Ciągnął go kilkaset metrów przez ziemię niczyją do okopów własnych. Awansowany na leutnanta 15 września. Zdemobilizowany 3 grudnia 1918”.

Nie mogło być mowy o pomyłce! Oficer sfotografowany w sierpniu 1917 roku z Saulem był w mundurze leutnanta. A uratowanym przez niego towarzyszem broni mógł być tylko Saul Rottenberg. Wszystko pasowało. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki brakujące elementy wskoczyły na swoje miejsce. Był bardzo blisko. Potrzebował jeszcze tylko adresu. Z bijącym sercem odwrócił kartę. Heinrich zu Dohna na wojnę poszedł z Finckenstein, Prusy Wschodnie.

Abell odłożył akta. Wiedział, gdzie to jest. Ogromny pałac, w którym zatrzymał się kiedyś Napoleon. Wspaniała siedziba rodu wschodniopruskich arystokratów. Wypełniona po sufit dziełami sztuki zbieranymi przez wieki.

Odnalazł mecenasa.

#### 4.

Gdy pociąg z Berlina wtoczył się o świcie na dworzec główny w Gdańsku, miasto spowite było jeszcze w ciemności. Noc niechętnie ustępowała pola dniowi. Przed dworcem za kierownicą adlera czekał na niego Kukulka. Krótko zrelacjonował Abellowi, co działo się w gmachu policji po jego wyjeździe z berlińskiego archiwum.

– Zatrzymanie Plaskowitza chyba nie wszystkim się spodobało – zaczął wachmistrz. – Szczególnie awanturował się Bromke. Podobno były telefony od ważnych osobistości z miasta.

– Od kogo konkretnie?

– Tego nie wiem. Ale Mohl przez całe popołudnie nie wyściubił nosa ze swego gabinetu.

– A Kellerman?

– Odwrotnie. Wyjechał o szesnastej z gmachu i już do niego nie wrócił.

– Co z Plaskowitzem?

– Zapuszkowany w areszcie. Ale chyba nie brakuje ludzi główkujących, jak go stamtąd wyciągnąć.

Zajechali pod dom Abella i zaparkowali od strony podwórza. Na klatce schodowej Abell kilkakrotnie, ale bezskutecznie, próbował zapalić światło. W ciemności wspinali się na piętro. Gdy doszli do jego mieszkania, Abell poczuł niepokój. Coś tu było nie w porządku. Nie sięgając po klucze, ostrożnie pchnął drzwi swojego mieszkania. Nie mylił się. Wejście było otwarte.

Wyciągnął pistolet z kabury. Szeptem rozkazał Kukulce zostać w progu. Wślizgnął się do środka i zamarł w oczekiwaniu na jakiś ruch czy szelest. Ale

niczego nie usłyszał. Włączył światło – i doznał szoku. Pokój wyglądał jak po przejściu kataklizmu. Wybebeszone szuflady, porozrzucane książki, obrazy, ubrania, a nawet kuchenne naczynia, wszystko leżało w bezładzie rozrzucone po całym mieszkaniu. Nawet doniczki opróżniono z ziemi, która mieszała się na podłodze z rozsypanym cukrem i odłamkami szkła. Poczul, jak zalewa go fala bezsilnej wściekłości. Po raz pierwszy, od kiedy był policjantem, zaatakowano jego prywatny teren. Czul się tak, jakby ktoś wypróżnił się na środku jego salonu. Miał nieproszonych gości podczas swego pobytu w Berlinie. Czego szukali? Skąd wiedzieli, że będzie poza domem? Plaskowitz, odcięty od świata, siedział przecież w areszcie. Ale jego mocodawcy ciągle pozostawali w cieniu. Jedno nie ulegało wątpliwości. Ci ludzie pokazali mu, że gra się jeszcze nie skończyła.

Obszedł ostrożnie całe pobjowisko. Mieszkanie było puste. Podszedł do przymkniętego okna. Prawdopodobieństwo, że włamywacz czy włamywacze czają się na gzymsie budynku, było minimalne. Zapewne weszli i wyszli przez drzwi wejściowe. Mieli wystarczająco dużo czasu. Mieszkał na drugim piętrze, wysoko nad wybrukowanym podwórzem. Wychylił się z okna. Na dworze dniało. Nie zauważył niczego podejrzanego. I już miał się cofnąć, gdy usłyszał jakiś szelest nad głową. Spojrzał w górę i przez ułamek sekundy zobaczył od spodu coś, co wyglądało na szybko cofającą się ludzką nogę. Włamywacz był na dachu!

Wybiegł na korytarz i wskazał Kukulce klapę wiodącą na górę. W ciągu kilku sekund tam byli. Pobiegli w lewo. Tylko tam kamienica Abella stykała się z kolejnymi domami, ciasno stojącymi w tej części Langfuhr. Przebiegli kilkanaście kroków i ujrzeni ciemną postać włamywacza. Właśnie przeskakiwał na dach kolejnego domu. Na tle bladego nieba wyglądał jak czarny ptak z rozpostartymi skrzydłami. Abell pobiegł za nim. Dobiegł do krawędzi i zrozumiał, że skok będzie ryzykowny. Przepaść otwierająca się pomiędzy dwoma domami miała co najmniej cztery metry. Skoczył i wylądował na samej krawędzi dachu. Zachwiał się do tyłu. Przez ułamek sekundy miał wrażenie, że runie plecami w dół, ale wyćwiczone ciało podolało wyzwaniu. Po chwili usłyszał sus wachmistrza. Kukulka upadł ciężko obok, ale szybko się pozbierał.

Stracili zbiega z oczu. Zadaszenie starej podłużnej kamienicy pokryte było dziesiątkami mniejszych i większych kominów, ograniczających widoczność. Abell biegł, rozglądając się dookoła i lawirując pomiędzy kominami. Dobiegł zdyszany do krawędzi i ujrzał, jak czarny ptak ląduje na dachu kolejnego domu. Skoczył za nim i zorientował się, że tym razem lądowanie będzie twardsze. Dach był dobrych kilka metrów niżej. Upadł i przetoczył się po śmierdzącej smołą papie. Poczul ostre igły w piersiach. Serce dudniło mu jak kowalski miech. Pot zalewał mu oczy. Jeszcze nie doszedł w pełni do siebie po ostatnich wydarzeniach w Neufahrwasser. Pomyślał, że skrócił dystans do zbiega, ale w tym samym momencie stracił go z oczu. Kukulka widocznie został z tyłu. Wytężył słuch, próbując uspokoić oddech.

Gdzieś z prawej strony usłyszał cichy trzask opuszczanej kłapy. Pobiegł w tamtym kierunku i w tej samej sekundzie usłyszał odgłos wystrzału. Poczul świsł pocisku.

Kula minęła jego skroń o milimetry. Odczekał chwilę i pobiegł w kierunku, z którego słyszał wystrzał. Po chwili znalazł się nad otwartym włazem. Zbiegł po żelaznej drabince. Znalazł się w niewielkim korytarzu u szczytu kamienicy. W lewo biegły kolejne schody w dół w stronę klatki schodowej. Po prawej widniało małe półotwarte okno na zewnątrz budynku. Wahał się przez ułamek sekundy. Miał pięćdziesiąt procent szans na dokonanie prawidłowego wyboru. Wybrał okno na zewnątrz. Wyjrzał w dół i zobaczył schody przeciwpożarowe. Kilkanaście metrów poniżej ujrzał głowę szybko schodzącego zbiega. Podwórko na dole przypominało ślepią studnię. Nieomal naprzeciwko schodów znajdował się dach niewielkiej przybudówki. Tuż za nią była już ulica. Pomyślał, że jeśli uciekinier wybierze podwórko i wbiegnie w którąś z bram wiodących do kolejnej kamienicy, to już go nie dopadnie. Ale istniała także niewielka możliwość, że skusi go bliskość ulicy. Ułożył się w pozycji do strzału. Wycelował w kwadrat nieba nad przybudówką. Ciężko dyszał. Podczas upadku musiał naruszyć stare rany, bo z czoła zaczęła mu lecieć krew. Starł ją rękawem i czekał. W tym momencie ujrzał zbiega. Wdrapywał się na dach przybudówki. Był schylony. Mógł już skoczyć na ulicę, ale postanowił obejrzeć się za siebie. Wyprostował się i zastygł na ułamek sekundy w bezruchu. Abell wstrzymał oddech i pociągnął za spust. Padł suchy strzał. Stado przestraszonych gołębi wzbiło się w powietrze. Abell pomyślał, że chybił, ale po sekundzie, która wydawała mu się wiecznością, uciekinier zgiął się wpół i runął jak kamień na bruk.

W tej samej chwili z tyłu usłyszał zdyszane Kukulkę.

– Zaplątałem się na dachu w jakieś sznury od bielizny, szlag! Zaraz sprawdzę, co z tym gnojem.

Abell odłożył broń i usiadł na podłodze. Przyłożył rozpalone czoło do muru. Kamień był przyjemnie zimny.

Kukulka wrócił po kilku minutach.

– Żyje – powiedział krótko. – Oberwał w obojczyk. I złamał kulasa, nogę znaczy. Nie ucieknie.

– Wezwij naszych. Przypilnuj, żeby dobrze zbadali, co to za skoczek. Przebiorę się tylko i wyjeżdżam do Finckenstein, to na południu. Jak wrócę, chcę wiedzieć, kim on jest. A Mohlowi powiedz, jak było. Gość miał broń, strzelał do policjanta.

– Ten strzał biorę na siebie. Pan ma dość problemów, szefie – powiedział Kukulka.

– Nie proszę cię o to.

– Wiem.

5.

Abell podjechał pod bramę pałacu. Jej podpory łączyły u góry kute w żelazie zdobienia, w które wpleciona była finezyjna litera F. Takie same litery znajdowały się na wieńczących słupy kamiennych wazonach. Nie ulegało wątpliwości, że to wielkopańska siedziba.

Wyłączył silnik. Widok, jaki się przed nim rozpościerał, był imponujący. Zaraz za bramą rozpoczynała się stara lipowa aleja. Wiodła przez zadbane dziedziniec, aż do wejścia do pałacu. Ogromny budynek w kształcie prostokątnej podkowy wyłaniał się powoli z porannej mgły. Jego dach przykryty był zieloną glazurowaną dachówką, ponad którą wyrastał rząd symetrycznie rozstawionych kominów. Wyglądał jak górny pokład wielkiego transatlantyckiego wycieczkowca, wyruszającego w rejs.

Abell ponownie uruchomił samochód i wolno podjechał pod pałac.

Po szerokich granitowych schodach zbiegł do niego lokaj. Jego czarno-biała liberia pachniała lawendą.

Abell przedstawił się i poprosił o widzenie z grafem. Lokaj uprzejmie zaprosił go do wnętrza pałacu. Wchodząc, spojrzał w górę. Frontowy ryzalit zwieńczony był tympanonem, w którego centrum znajdował się herb Finckensteinów, w otoczeniu dwóch pionowo stojących lwów. Na herbie widniał łaciński napis: *Ex duris gloria*[52].

Przez olbrzymie drzwi frontowe został wprowadzony do holu. Posadzka wykonana tu była z glazurowanego kamienia. Usiadł na fotelu przy rzeźbionym kominku. Na przeciwległej ścianie zauważył czyjś portret, zresztą wysokiej próby. Podniósł się i podszedł do obrazu. Z ciemnego tła wyłaniała się szczupła arystokratyczna twarz mężczyzny z bokobrodami.

– To jeden z poprzednich właścicieli pałacu, Ernest Fink von Finckenstein – doleciał go głos z tyłu. Odwrócił się. Przed nim stał wysoki szczupły mężczyzna w ciemnym garniturze. Na pewno był podobny do postaci ze zdjęcia Saula. Ten sam orli arystokratyczny nos, regularne rysy. I to samo, przenikliwe spojrzenie.

– To on zbudował ten pałac. A potem o mało nie zbankrutował. Witam, jestem zu Dohna. Obecny pan na włościach – przedstawił się graf. Miał mocny uścisk dłoni. – Powiedziano mi, że trudził się pan tu aż z Gdańska. – Proszę pozwolić, że najpierw pokrzepimy pana specjałami z naszej wiejskiej kuchni. Przejdźmy do Sali Chińskiej.

Abell przedstawił się i powiedział:

– Książę, prowadzę śledztwo w bardzo skomplikowanej sprawie. Mam wrażenie, że mógłby mi pan pomóc...

Ale zu Dohna przerwał mu bezceremonialnie.

– Zdażymy, radco. Najpierw herbata.



Przeszli parę kroków i usiedli przy małym stoliku z marmurowym blatem. Sala zasługiwała na swoją nazwę. Ściany wyłożone były tapetą ze skóry. Odcisnięto na nich chińskie motywy na złotym tle: kwiaty, ptaki, bażanty, krajobrazy i małe postacie ludzkie. W rogu stał piec z fajansowymi kaflami w niebieskie wzory. Drzwi z tej sali prowadziły do ogrodu po wschodniej stronie pałacu.

– Czy pan wie, że w naszym pałacu w roku tysiąc osiemset siódmym zatrzymał się Napoleon? Podobno na jego widok zakrzyknął „*Enfin chateau!*”<sup>[53]</sup> Planował tu kolejne podboje i romansował z panią Walewską. Zanim zdradzi mi pan cel swojej wizyty, proszę spróbować ciasta naszej Rosie i napić się jaśminowej herbaty.

Zgięty w pół lokaj ułożył na stoliku zastawę z miśnieńskiej porcelany. Podał srebrne widelczyki i łyżeczki, wszystkie z herbem Dohnów wybitym na rękojeści. Herbata miała rzeczywiście niezwykły smak.

Przez kilka minut graf bawił go uprzejmą rozmową o swoich planach budowlanych.

– Nie wiem, czy pan wie, że zezwolenie na budowę pałacu wydał sam król Fryderyk Wilhelm Pierwszy. Monarcha, zezwalając na budowę, nałożył na naszych poprzedników, Finckensteinów<sup>[36]</sup>, obowiązek wydzielenia w nowo zbudowanym pałacu osobnego skrzydła przeznaczonego na rezydencję dla siebie i swej małżonki. Od tej pory pałac zaliczano do tak zwanych królewskich<sup>[37]</sup>. Para monarsza wykorzystywała go w czasie swoich podróży z Berlina przez Malbork do Królewca.

– Król korzystał z pałacu?

– Wielokrotnie. Zresztą czyż można nie zachwycać się naszymi Prusami Wschodnimi? To niemiecki geniusz ucywilizował te dzikie tereny. Wydarliśmy ziemię puszczy. Pobudowaliśmy drogi, zamki, mosty i pałace. Założyliśmy parki. Przekopaliśmy kanały i przepusty wodne. Niech pan pomyśli, jak tu będzie pięknie za pięćdziesiąt lat.

Abell obserwował swojego rozmówcę. Próbował go sobie wyobrazić, jak ciągnie rannego Saula Rottenberga przez ziemię zbryzganą krwią i pokrytą ludzkimi wnętrznościami. Żyd i wschodniopruski graf. Dziwna para. Jakie jeszcze sekrety wiązały tych ludzi?

Przez duże drzwi wyszli do rozległego parku. Urządzony był na modłę francuskiego Wersalu: wszędzie równo przycięte żywopłoty, fontanny i punkty widokowe. Także sama budowla od tej strony nic nie traciła na urodzie. Abell roziskrzonymi oczami wpatrywał się w ciąg okien widoczny we wschodniej elewacji pałacu. Czy za którymś z nich znajduje się kolekcja Saula? Czy dotarł wreszcie do celu swej wędrówki? Czuł narastające napięcie.

– Ogromny ten pański pałac – powiedział i spojrzął Dohnie prosto w oczy.

– Idealny na schowek. Można by ukryć tu coś, czego inni nie znaleźliby przez dziesiątki lat.

– Sądzi pan? – Dohna nie podjął tematu.

Jest czujny, ostrożny? Wszystkiemu zaprzeczy? – przez głowę Abella przelatywały pytania i przypuszczenia.

Spojrzał w górę, by zebrać myśli, i jego uwagę przyciągnęła attyka pałacu. Na jej gzymsie umieszczone były cztery rzeźby figuralne naturalnej wielkości.

– To alegoria czterech pór roku w postaci Jowisza, Junony, Herkulesa i Wenery[54] – powiedział Dohna, widząc jego zainteresowanie. – Właśnie je oczyściliśmy. Czekają nas wielkie wydarzenia.

– A mianowicie? – zapytał uprzejmie Abell, przyglądając się niewielkiej budowli na końcu parkowej ścieżki, którą książę nazwał Grotą. Pomyślał, że też świetnie nadawałaby się na schowek.

– Proszę sobie wyobrazić, że oczekujemy w lecie wizyty naszego Führera i kanclerza Rzeszy Adolfa Hitlera.

Abell zastygł w bezruchu. W pierwszej chwili pomyślał, że to nie dzieje się naprawdę.

– Hitler będzie pana gościem? – wydusił z siebie wreszcie.

– Widzę, że jest pan zaskoczony. Nie dziwię się. Człowiek, który odbuduje wielkie Niemcy, będzie gościł w naszym wschodniopruskim zaścianku. Mogę panu zdradzić, że towarzyszyć mu będzie szef SS, Heinrich Himmler i jego adiutant, a mój serdeczny kolega szkolny, Karl Wolff.

– Musi pan być osobą wpływową, panie Dohna – powiedział, aby zyskać kilka sekund na czasie.

– Tak, znam osobiście Hitlera z dawnych lat<sup>[38]</sup>. Popieram go i bardzo w niego wierzę. A przede wszystkim cieszę się, że będziemy go mogli tu ugościć wraz z jego świtą. Naszą główną siedzibą jest Schlobitten, ale zdecydowałem, że kanclerza przyjmujemy właśnie tutaj.

Abell miał mętlik w głowie. Coś się tu nie zgadzało. Zaczęło w nim kiełkować koszarne przecucie, że rozmawia z niewłaściwym człowiekiem.

– Panie hrabio, czy zna pan niejakiego Saula Rottenberga? – zapytał wprost.

Arystokrata wyglądał na zaskoczonego.

– Pierwszy raz słyszę to nazwisko. To w jego sprawie pan tu przyjechał?

Abell miał wrażenie, że za chwilę Jowisz, Junona, Herkules i Wenera razem zwałą mu się na głowę. Pierwszy raz słyszy to nazwisko? Czyżby kłamał? Ale szczerze mówiąc, wcale na to nie wyglądało.

– I nie służył pan z Saulem Rottenbergiem na froncie zachodnim podczas ostatniej wojny?

– Służyłem w Rosji, pod Kurskiem. To jakieś nieporozumienie. Chyba że...

– w oczach hrabiego pojawiły się iskierki zrozumienia.

– Chyba że? – Abell czuł suchość w ustach.

– Chyba że mnie pan pomylił z moim wujem, Heinrichem. Ja nazywam się Aleksander zu Dohna, panie radco. Powiniennem się panu przedstawić z imienia i nazwiska. Ale szczerze mówiąc, wszyscy tu wiedzą, kim jestem. To Heinrich służył we Francji, z tego, co pamiętam, walczył w 240 dywizji piechoty. Pod Ypres...

– Zaszło nieporozumienie, panie zu Dohna – Abell poczuł uderzenie gorąca.

– Przepraszam, ale w aktach wojskowych pana wuja jako adres podano właśnie Finckenstein. Stąd zapewne moja pomyłka.

– Teraz rozumiem. Tak się złożyło, że Heinrich przed mobilizacją przebywał u nas, w Finckenstein. Zapewne dlatego taki adres wpisano w akta. A tak w ogóle łatwo nas pomylić, panie Abell. My, Dohnowie, jesteśmy do siebie tacy podobni...

– Gdzie znajdę pana wuja?

– W Tolkenen, to kawał drogi stąd. Niedaleko Rastenburga[55]. Czego właściwie chce pan od mojego wuja?

– Szukamy czegoś, co należało do jego dawnego towarzysza broni. Sądzimy, że pana wuj mógłby nam pomóc.

– Rozumiem – graf nie wyglądał na przekonanego. – Może zostanie pan na obiedzie?

– Bardzo dziękuję, ale mam mało czasu. Służba to służba.

Wyjeżdżał z Finckenstein w ponurym nastroju. Gdy zobaczył pałac, był pewien, że gdzieś tam spoczywa skarb Rottenberga. Tym razem intuicja go zawiodła. Ale los dał mu jeszcze jedną szansę. Tolkenen, co to za nazwa? I gdzie to jest do cholery?

## 6.

Po trzech godzinach jazdy znalazł się kilkanaście kilometrów od Heilsbergu[56]. Poczł głód, więc zatrzymał się we wsi Schmolainen[57]. Zjadł pospieszny obiad w przydrożnej gospodzie. Pulchna właścicielka pilnie śledziła, czy smakują mu podane zepeliny. Zamiast kawy, o którą poprosił, zaproponowała domowe kwaśne mleko. Miało przyjemny, orzeźwiający smak. Zapytał o Tolkenen.

– To posiadłość zu Dohnów. Wielcy panowie – wykrzywiła tłuste wargi.

– Ale ten Heinrich to podobno porządny gość. Nie wywyższa się. Jak był pożar we wsi, gasił własnymi rękami. Nie oszczędzał się. Wie pan, to całe gadanie o błękitnej krwi... Każdy kiedyś zdechnie, duży i mały, bogacz i żebrak.

Gdy minął Heilsberg, zaczął uważnie wyglądać drogowskazu. Słońce zaszło, powoli zmierzchało. Na niebie pojawiła się purpurowa poświata. Zawsze uważał, że w tej części Prus jest za mało światła. Tak jakby ginęło w zakamarkach leśnych

ostępów. Nie chciał przegapić wioski. Po kilkunastu kilometrach zauważył wreszcie przekrzywioną tablicę z napisem Tolkynen. Skręcił w prawo i znalazł się na brukowanej alei, obrośniętej ulubionymi przez junkrów lipami. Dojechał do bramy wjazdowej i zatrzymał samochód.

Nad bramą zauważył herb Dohnów. Był u celu. Jak kilka godzin wcześniej w Finckenstein. Czy teraz będzie miał więcej szczęścia?

Po chwili ruszył i zatrzymał samochód na podjeździe przed okazałą rezydencją Heinricha zu Dohna. Była zauważalnie mniejsza niż pałac Finckenstein, ale bez wątpienia stanął przed bramą wiodącą do domu wielkiego pana.

Spodziewał się, że przywita go jakiś lokaj w liberii pachnącej naftaliną. Ku jego zaskoczeniu uczyniła to młoda kobieta, która nagle pojawiła się na podjeździe na koniu. Była olśniewająco piękna. Podobnie jak jej arab, łapiący powietrze rasowymi chrapami.

– Pan pewnie do księcia? – zapytała, zeskakując z połyskującego potem konia. – Jestem Betty von Karnow. Z kim mam przyjemność?

– Radca kryminalny Abell z prezydium Kripo w Gdańsku.

– Mam nadzieję, że pan nie aresztuje naszego gospodarza. Przynajmniej nie dzisiaj. Jestem tu na krótkich wakacjach, jak co roku.

– Obiecuję, panno Karnow.

– Skąd pan wiedział, że panna, a nie pani von Karnow?

– Jesteśmy w Kripo specjalnie szkoleni w tych kwestiach – zażartował Abell.

Jeszcze przez chwilę patrzyła na niego badawczo, po czym odeszła. Była w obcisłych bryczesach. Odwrócił wzrok. Na jakiś czas miał dość pięknych blondynek.

7.

Heinrich zu Dohna patrzył na niego taksującym wzrokiem. Lekko łysiał. Miał wydatny nos. Rzeczywiście Dohnowie byli do siebie podobni fizycznie.

Graf przyjął Abella w sali kominkowej pałacu. Szybko zapadała ciemność. Służba nie zapaliła jeszcze światła. Policjant czuł się jak w muzeum. Wszystkie ściany obwieszane były obrazami. Część z nich przedstawiała przodków grafa: poważnych mężczyzn w pruskich mundurach i pikielhaubach. Niektórzy sztywno trzymali zdobne hełmy z purpurowymi pióropuszcami. Inni dali się sportretować w myśliwskim stroju albo na tle romantycznych ruin. Ale nie brakowało też niderlandzkich pejzaży i scen ukazujących życie prostych ludzi: w karczmie, na lodowisku czy na rybnym targu. Abell poczuł, że ma gęsią skórę. Czyżby był u celu? Na komodach stały rzeźby z brązu i marmuru. Nad nimi wisiały poroża upolowanych jeleni. Rzucały niepokojące cienie na ściany. W tym pałacu kabaliści Saula Rottenberga czuliby się jak w domu. Po chwili nastrój prysł. Służba włączyła

wreszcie światło elektryczne.

– Dlaczego Saul Rottenberg uważał pana za swojego mecenasa? – Abell postanowił nie zwlekać ani nie kluczyć.

– Nie powiedziałem, że go znam – odpowiedział zu Dohna. Miał nieruchomą twarz. Nie drgnęła mu nawet powieka.

– Ale też pan nie zaprzeczył.

Graf pokiwał głową.

– Czego pan ode mnie oczekuje, panie Abell?

– Przede wszystkim prawdy. Saula okrutnie zamordowano. Odcięto głowę jego żonie Adele – policjant miał wrażenie, że przez ułamek sekundy źrenice jego rozmówcy się gwałtownie powiększyły. – A to nie koniec listy. Zginął także bratanek Saula.

– Żyjemy w okrutnych czasach, panie radco. Wielu zbrodniarzy chodzi po ulicach. Coraz częściej bez jakiegokolwiek maski. Z przemocy uczynili nową religię.

– Zdemaskowałem mordercę Saula i Adele. Siedzi.

– Kto to był?

– Aleksander von Plaskowitz. Oficer policji jak ja.

– Znam to nazwisko. To wpływowa rodzina w Prusach. Jest pan odważny, panie Abell.

– Nie przyjechałem tu po komplementy. Doszedłem do końca tej historii. I to pan jest u kresu tej opowieści, Heinrichu zu Dohna.

Graf milczał przez dłuższą chwilę.

– Wiedziałem, że wreszcie przyjdzie ktoś taki jak pan – powiedział w końcu tak cicho, że Abell musiał wyteńczyć słuch.

– To znaczy jaki?

– Człowiek godny poznania tajemnicy. Wykazujący niezbędną determinację i upór w dochodzeniu do prawdy. Saul wspomniał, że ktoś taki może się kiedyś u mnie pojawić. Nie spodziewałem się tylko, że nastąpi to tak szybko. Jak pan do mnie dotarł?

– To nie było łatwe, długo błdziłem. Saul nie ułatwił mi zadania. Ale wreszcie odczytałem wskazówkę w pozostawionym obrazie. Znalazłem zdjęcie z frontu. Skojarzyłem oba te fakty.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza. A potem popłynęła rwana opowieść grafa, na którą Abell tak długo czekał.

– Saula znałem jeszcze sprzed wojny. Spotkaliśmy się w Paryżu u jakiegoś marszanda. Mieliśmy podobne zainteresowania. Obaj kochaliśmy sztukę. Powiedział mi, że zbiera arcydzieła według niezwykłego klucza. Kabaliści... To brzmiało tak niewiarygodnie, że mnie zaintrygowało. Odwiedziłem go. Mówił prawdę. Już wtedy miał kilka niezwykłych dzieł. Dzięki swoim koneksjom pomogłem mu kupić płótno Holbeina.

– De La Toura też?

– Tak, potem de La Toura. Kochał ten obraz. Obaj byliśmy przekonani, że ten malarz dołączy kiedyś do panteonu największych, takich jak Vermeer van Delft czy Rembrandt. Był mi bardzo wdzięczny za ten zakup. W żartach nazywał mnie swoim mecenasem. A potem wybuchła wojna. Los zetknął nas pod Ypres. To była masakra... Zaczęliśmy przegrywać. Poprosiłem o przeniesienie ze sztabu do jednostki liniowej, najlepiej do Sturmtruppe.

– Dlaczego właśnie tam?

– Mieliśmy specjalny status. Nie siedzieliśmy w okopach. Operowaliśmy na przedpolu, za linią wroga. Kochałem cesarza, chciałem się bić i ratować kraj.

– I tam spotkał pan ponownie Saula.

– Tak było. Przenieśli mnie do Sturmtruppe II. Stara znajomość odżyła. Byliśmy sobie nawzajem potrzebni, panie Abell. A to, co się tam działo, przechodziło wszelkie wyobrażenie. Śmierć zbierała obfite żniwo... To, co napisał Remarque w *Na zachodzie bez zmian*, było prawdą. To była rzeźnia... Czy wie pan, że Remarque także walczył pod Passchendaele?

– Nie wiedziałem.

– W pierwszym dniu bitwy odniósł pięć ran postrzałowych i już nigdy nie wrócił na front. My mieliśmy mniej szczęścia. Ale wracając do Saula... Troszczyliśmy się o siebie wzajemnie. Saul był odważny. Przynajmniej raz uratował mi życie. Zrewanżowałem mu się właśnie pod Passchendaele. Wracaliśmy z wypadu za linie francuskie. Byliśmy o kilkaset metrów od własnych okopów, gdy nakrył nas ogień artyleryjski. To było piekło... Saul oberwał w udo. Bardzo krwawił. Krzyczał z bólu. Błagał, by go zostawić. Ale udało mi się go dociągnąć do naszych linii...

– Widywaliście się po wojnie?

– Rzadko. Ale pisywaliśmy do siebie. Wiedziałem, że dobrze mu się powodzi. Słyszałem, że jego kolekcja się powiększa. Dlatego tak się zdziwiłem, gdy zadzwonił w sprawie obrazów.

– Kiedy to było?

– Dokładnie dziesiątego lutego. Był przestraszony. Poprosił o pomoc. Miał do mnie zaufanie. Był przekonany, że ktoś poluje na jego obrazy. Tak mówił, poluje. Chciał je wywieźć z Sopotu i dobrze ukryć.

– I zwrócił się z tym do pana?

– Tak. Powiedział, że u mnie nikt ich nie będzie szukał, że niby Żyd i pruski arystokrata... Nazwisko zu Dohna nadal tu coś znaczy. Nikt nas ze sobą nie połączy... Wahałem się, ale nie mogłem mu odmówić. Po tygodniu wysłałem samochód z moim kierowcą. Kazałem szoferowi zabrać broń, na wszelki wypadek. Ale wszystko przebiegło bez żadnych przeszkód. W nocy załadowali obrazy do auta. Szło dobrze, jednak w drodze powrotnej, w porcie, samochód się zepsuł.

Szoferowi pomagał jakiś podejrzany typ, chyba szmugler. Miałem później związane z tym faktem obawy, ale nic się nie wydarzyło. Aż do dzisiaj...

– Nikt inny przede mną do pana nie dotarł? Żadni niespodziewani goście o mało wykwinnych manierach?

– Na szczęście nie. Saul miał rację. Nawet jeśli prowadzili poszukiwania tych obrazów, to nie przyszło im do głowy, aby szukać w pałacu zu Dohny.

– Wiedział pan o śmierci Saula i Adele?

– Dowiedziałem się z opóźnieniem, ale oczywiście tak. Tolkien to nie koniec świata. Byłem wstrząśnięty, Saul miał rację...

– Przepowiedział własną śmierć?

– Poniekąd. Już wtedy, gdy mnie przekonywał do ukrycia swoich obrazów, mówił, że ci ludzie są zdolni do wszystkiego. Twierdził, że go zabiją, jeśli nie odda im swoich arcydzieł. Miał rację...

Abell wstał z miejsca. Był napięty jak struna. Doszedł prawie do celu.

– Gdzie teraz są obrazy? – zapytał cicho, jakby nie wierząc, że zaraz je zobaczy.

Graf wskazał mu ręką drogę. Przechodzili przez amfiladę pokoi, oświetlanych zza okien tylko blaskiem księżyca. Potem skręcili w przejście wiodące do bocznego skrzydła zamku. Schodami z szorstkiego kamienia weszli na półpiętro. Dopiero teraz graf zapalił światło elektryczne. Abell rozejrzał się zdezorientowany. Korytarz, na którym się znajdowali, był krótki i wyglądał na ślepy. Nigdzie nie było widać żadnych drzwi. Tylko na wprost, na przeciwległej ścianie stała ogromna szafa gdańska. Dohna podszedł do niej i się schylił. Widocznie nacisnął jakąś ukrytą dźwignię, bo szafa drgnęła i zgrzytając niemiłosiernie, zaczęła się przesuwać wraz z fragmentem ściany.

– Ten mechanizm zamontował któryś z moich przodków. – Dohna precyzyjnie się przez małe drzwi, odsłonięte teraz w ścianie. – Ma ponad sto pięćdziesiąt lat, a działa bez zarzutu. Legenda głosi, że pomieszczenie było kryjówką moich przodków przed agresorami. Podobno w tysiąc osiemset dwunastym Francuzi wracający spod Moskwy nocowali na zamku, nie wiedząc, że Dohnowie skrywali się w tej samotni z całym swoim skarbem. W każdym razie solidnie go zaprojektowano i dobrze ukryto. Dlatego, gdy zadzwonił Saul, od razu pomyślałem o tym schowku. Zaraz sam pan zrozumie, dlaczego.

Abell z bijącym sercem przeszedł przez drzwiczki. A więc to tutaj czekali na niego „bracia, których się nie rozdziela”?

Pomieszczenie miało kształt rotundy. Zapewne stanowiło dolny trzon jednej z zamkowych wież. Podłoga przypominała spękane lodowisko z ogromnych powycieranych przez czas kafli. Ich wyslizgane powierzchnie lśniły niczym nagrobne płyty z jednego z pruskich kościołów. Kamienne ściany wykonane były z dużych dobrze spasowanych granitowych ciosów. Widać było na nich jeszcze

ślady dłuta rzemieślnika sprzed dwóch wieków. Nie było tu okien, jedynie kilka oszklonych szczelin strzeleckich, wpuszczających do środka światło księżyca. Komnata przypominała teraz swoistą kapsułę czasu. Na ścianach w rzędzie wisiało tu dwadzieścia osiem arcydzieł kabalistycznej kolekcji Saula Rottenberga. I tyle samo świadectw niezwykłego talentu malarzy tak różnych jak ogień i woda, których łączyła tylko pasja do sztuki i wiara w magiczną moc Kabały.

Abell był poruszony. Czuł się tak, jakby odnalazł wreszcie zaginionych, bliskich przyjaciół. Najbliżej progu witała go Maria Magdalena de La Toura, skąpana w złotym świetle świecy. Badawczo spoglądał na niego także alchemik mistrza Bruegla. Wiązka światła ze szczeliny padała na drugi obraz wielkiego mistrza. Wisiał tuż obok. Brueglowski śnieg zaśnieżył w księżycowej poświacie. Podszedł bliżej do następnego obrazu, szkicu Caspara Davida Friedricha. Ale tajemniczy podróżnik, wędrujący po morzu chmur, także teraz nie zamierzał się odwrócić. Z roziskrzonymi oczami podziwiał rysunek Albrechta Dürera. Wielki mistrz patrzył na niego spod misternie wyrysowanych pukli. Dotknął palcami spękanej powierzchni płótna Hansa Holbeina. Zadumał się przed zatopionym w światłocieniach obrazem wielkiego Rembrandta. Spoglądał na dzieła Johna Everetta Millaisa, Johanna Heinricha Füsslego, Marca Chagalla i innych, których geniusz rozświetlał teraz tę kamienną rotundę. Przy każdym zatrzymywał się na chwilę i składał hołd tym zabłąkanym wędrowcom. Czuł ulgę i wzruszenie. Odnalazł „braci” Saula.

Heinrich zu Dohna milczał. Chyba domyślał się, jakie emocje targają tym dziwnym policjantem o podkrążonych oczach. Ostatecznie Abell do niego dotarł. Okazał się godny rozwiązania węzła, który splótł Saul. Nie zamierzał mu przeszkadzać w tym misterium. Na pewno nie teraz.

Na środku sali stały tylko dwa proste krzesła. Zasiedli na nich wpatrzeni w obrazy.

– Czasami tu przychodziłem w nocy, zapalałem światło i podziwiałem arcydzieła Saula – powiedział graf.

– Drugie krzesło czekało na niego?

Nie odpowiedział.

– Stoi pan przed trudną decyzją panie radco – powiedział Dohna.

– Co pan ma na myśli?

– Odnalazł pan obrazy, ale one nie mają już domu.

– Wróć do Gdańska tam, gdzie ich miejsce. Zamelduję moim zwierzchnikom, że je odnalazłem.

– W Gdańsku wpadną w ręce tych, którzy na nie od początku polowali.

– Ma pan na myśli nazistów?

– A kogóż by innego? Być może zleceniodawcą był sam Hermann Göring. Słynie z nieposkromionego apetytu na dzieła sztuki i cenne przedmioty. Najlepiej



cudze.

– Też mi to przyszło do głowy.

– Domyślał się pan, że stoją za tym wszystkim naziści?

– Od pewnego momentu. Mordercy mieli wojskowy sznyt, działali zbyt sprawnie, jak na zwykłych bandytów. Znali wszystkie moje ruchy. Ich człowiek w Kripo zdradził nie dla pieniędzy. Miał ich wystarczająco dużo. Służył im z innego powodu. Musiało chodzić o ideę. O obłąkańczą ideologię Adolfa Hitlera.

– Ten Plaskowitz? Gdy pan wróci, nie zastanie go już w areszcie.

– Nie wierzę. W Gdańsku panuje jeszcze sprawiedliwość. To nie Rzesza.

– A jeśli okaże się, że miałem rację?

Abell nie odpowiedział. Tak naprawdę wcale nie miał pewności. Zaklinał rzeczywistość. Kellerman był na wiecu służbowo? I w takiej też roli oklaskiwał Forstera? Czy aby na pewno? A Bromke, a dziesiątki innych policjantów, coraz bardziej manifestacyjnie popierających nazistów?

– Saul bał się Hitlera – powiedział hrabia. – Twierdził, że Żydzi pod jego rządami nie mają przyszłości. Był przekonany, że kanclerz wyzuje ich z wszelkich praw i wszelkiej własności. Zabierze im wszystko: godność, majątek, a na koniec być może życie. Dlatego niejako a priori, zdecydował się ukryć kolekcję. Nie mylił się. Skontaktowali się z nim przez jego kuzyna, jakiegoś szulera. W miesiąc po objęciu władzy przez Hitlera.

– Kim byli ci ludzie?

– Nie przedstawili się. Ale on był pewien, że byli z NSDAP albo z otoczenia gauleitera Forstera.

– Skąd mógł to wiedzieć?

– Żydzi wyczuwają wroga nawet przez ścianę. Wykształcili w sobie ten szczególny instynkt, który wielokrotnie pozwolił im przetrwać. Mają ten gen we krwi, kształtował się przez dwa tysiące lat diaspory, ucieczek i pogromów. Ale było coś jeszcze. Saul podsłuchał, jak jego prześladowcy wspominali coś o rozkazie człowieka, którego nazywali „Żelaznym”.

– Wie pan, kogo mieli na myśli? – zapytał Abell.

– Saul twierdził, że chodziło o samego Hermanna Göringa, premiera Prus i prawą rękę Hitlera[58].

– Czego ci ludzie od niego chcieli? – Abell zaczął uświadamiać sobie, że jego dotarcie do pałacu w Tolkenen wcale nie musi oznaczać końca tej ponurej historii.

– Obrazów, wyłącznie obrazów. Nie interesowały ich pieniądze, nieruchomości czy jego firma. Ci hitlerowcy dokładnie wiedzieli, z jakich dzieł składa się kolekcja. Może chcieli utworzyć w Gdańsku galerię z dzieł zabranych Żydom? A może rzeczywiście, jak podejrzewał Saul, obrazy miały wylądować na ścianach w prywatnej rezydencji Hermanna Göringa? Ale ci bandyci spóźnili się

o dwa tygodnie. Tego dnia Saul zadzwonił do mnie bardzo podekscytowany. „Miałem rację! – Już mnie dopadli!” – krzyczał w słuchawkę. Potem już nie dzwonił. Bał się, że go podsłuchują.

Abell zamilkł. To wszystko układało się w czytelny, ale właściwie przerażający wzór.

– Dlaczego pan mi pomaga? Mógł pan nie pokazać mi tych obrazów? – zapytał.

– Saul by tego chciał. Odczytał pan przesłanie ukryte w płótnie Dossiego. Odnalazł pan też fotografię i prawidłowo połączył oba te fakty. A potem, mimo przeszkód, dotarł aż tutaj. Jestem pewien, że droga była wyboista.

– Można tak powiedzieć. Dość trudno mnie jednak zniechęcić.

– Wierzę. Saul kochał zagadki i rebusy. A pan rozsupłał skomplikowany węzeł, tak przemyślnie przez niego zaplątany.

– Dlaczego tak bardzo zależało mu na ukryciu tych arcydzieł przed nazistami? Z miłości do sztuki?

– Nie tylko. Te obrazy miały być w jego zamyśle swoistą legitymacją ubezpieczeniową dla całej jego rodziny. W zamian za ujawnienie kolekcji mógłby na przykład domagać się glejtu bezpieczeństwa. Być może także prawa do emigracji dla Rottenbergów. Ale ci ludzie nie chcieli negocjować...

– Chyba miał rację. Słyszałem, że coraz więcej Żydów wyjeżdża z kraju, ale muszą zapłacić za zgodę na wyjazd.

– Właśnie. Ale zapowiedział mi również, że być może pewnego dnia pojawi się u mnie ktoś taki jak pan. Dlatego pomagam...

Graf wyprostował nieistniejące fałdy na sztuczkowych spodniach.

– Ale z pana strony spodziewałem się raczej pytania, czy nie mogłem zrobić więcej – podniósł na niego zbolące spojrzenie. – My, arystokraci, wcale nie jesteśmy tacy wpływowi. Stanowimy wymierający gatunek. Aleksander, u którego był pan rano w Finckenstein, szczerze wierzy w Hitlera. Jest czystym patriotą. Marzy o odbudowie wielkich Niemiec, takich jak za kajzera. Ale on także kiedyś przejrzy na oczy... Ja nie mam co do Hitlera złudzeń. To potwór w ludzkiej skórze. Musimy się go pozbyć jak najszybciej. Na tym poprzestańmy. Przenocuje pan w pałacu. A rano przekaze mi pan swoją decyzję odnośnie do obrazów. Zostają w wieży czy wracają do Gdańska...

## 8.

Po dwóch dniach nieobecności miał wrażenie, że wjeżdża do innego miasta. Tyle się ostatnio wydarzyło. Spieszył się. Chciał wiedzieć czy Heinrich zu Dohna miał rację. Od tego zależało jego miejsce nie tylko w tym gmachu, ale także w mieście, które niegdyś pokochał, a które teraz odpychało go od siebie.

Kazał się zameldować u komisarza Mohla. Jego zwierzchnik nie wyglądał najlepiej. Białka oczu oplotła mu pajęczyna popękanych naczynek. Miał nieświeżą koszulę. I poobgryzane paznokcie, które chował pod blatem biurka.

– Wszelki duch, Abell! – powitał go zmęczonym uśmiechem. – Niech pan spocznie. Jak poszło? Mam nadzieję, że przywozi pan dobre wieści. Nie ma pan pojęcia, jakie odbieram telefony...

– W sprawie obrazów czy Plaskowitza? – zapytał krótko.

– I jednej, i drugiej.

– Zacznijmy od zdrajcy. Postawiliście mu już formalne zarzuty? – zapytał i wstrzymał oddech.

– Zaszły nowe okoliczności. Ja panu wierzę, Abell. Ale musi pan zrozumieć... – Mohl uciekał wzrokiem.

– Nie bardzo rozumiem.

– Za Plaskowitzem bardzo orędownął radca Bromke. Strasznie się rzucał, że to żydowski spisek. Tak, wiem, co pan o nim myśli. To łapówkarz i człowiek pozbawiony morale. Ale interweniowały też osoby z bardzo wysokiego szczebla. Sam Albert Forster... Prokurator nie zdecydował się jeszcze na postawienie Plaskowitzowi zarzutów. Były poważne przesłanki, ale brakowało twardych dowodów. Zostało wdrożone służbowe śledztwo. Pana też będą chcieli przesłuchać. Na razie musieliśmy go zwolnić... Chcieliśmy uniknąć skandalu w Kripo.

– Wypuściliście go? Gdzie teraz jest? – Abell czuł, jak ogarnia go fala wściekłości.

– Jeszcze w Gdańsku. Ale wkrótce ma wyjechać do Rzeszy. Dostał bezterminowy urlop. Dał oficerskie słowo honoru, że wróci w razie potrzeby. On i tak przegrał, Abell.

– Naprawdę pan tak myśli?

– Zawiódł swoich mocodawców. Oni nie lubią przegranych. Ostatecznie nie dostarczył im obrazów. A w swoim środowisku na zawsze już będzie czarną owcą.

W tym momencie, krótkim jak rozbłysk magnezji, Abell podjął decyzję. I poczuł, jak wraca do niego spokój. Nie było już nic do dodania.

– Wiem, że teraz jest pan wściekły, rozumiem to nawet. – Mohl odebrał jego milczenie, jako akt pogodzenia się z losem. – Ale to minie. I jest ważniejsza sprawa. Odnalazł pan obrazy?

Abell podniósł głowę i spojrział w oczy człowieka, któremu służył wiernie i którego nie okłamał przez tyle lat. Już w Tolkenen podjął decyzję. Nie dostaną tych obrazów. Nie od niego. Nie dopuści, aby po tylu wysiłkach i po tej rzece krwi trafiły w ręce morderców. A tak na pewno by się stało. Wolne Miasto przypominało przejrzałą gruszkę wiszącą na uschniętej gałęzi. Prędzej czy później spadnie do nazistowskiego koszyka. A wtedy, nie miał co do tego złudzeń,

gauleiter Forster położy łapę na mieście i jego skarbach. Dlatego obrazy muszą pozostać tam, gdzie je odnalazł, w sekretnej wieży pałacu w Tolkynen. Tam, gdzie nikt ich nie będzie szukał. Przynajmniej tyle mógł zrobić dla Saula i Adele.

– Nie odnalazłem obrazów, panie komisarzu. Nie było ich tam. I nawet nie wiem, gdzie miałbym ich szukać. Zapewne są już gdzieś za granicą. Może nawet za oceanem u jakiegoś amerykańskiego miliardera – powiedział z takim przekonaniem, jakby sam w to wierzył.

Nie czekał na odpowiedź, podniósł się ciężko i ruszył ku drzwiom. Był już w proggu, gdy doleciał go głos Mohla.

– Aha, Abell, jeszcze jedno. Odnalazł się Henryk Dragon. Cały. Tylko go poturbowali i porzucili niedaleko granicy.

Za drzwiami czekał już na niego Kukulka.

– Już szef wie? Wypuścili gada. Nic nie mogłem zrobić...

– Wiem. Co z włamywaczem?

– Nic mu nie będzie, ale do końca życia będzie kulał. Zaprzecza, by włamał się do pańskiego mieszkania. Twierdzi, że uciekał, bo przestraszył się człowieka z bronią.

– Kto to?

– Niejaki Helmut Ahrens. Sprawdziłem, jest z SA. Ma stopień SA-Scharführera[59]. Już jest na wolności.

– Dlaczego mnie to nie dziwi, Kukulka? Ahrens to tylko płotka. Ale dlaczego takie kanalie jak Plaskowitz czy Bromke pozostają bezkarne i nadal mogą plamić mundur?

Kukulka wzruszył ramionami.

– Takie czasy, szefie.

– Posłuchaj – Abell podniósł wzrok na wachmistrza – zawsze byłeś w porządku. Wiesz, że krucho u mnie z wyrażaniem uczuć. Ale dzięki za wszystko. I bywaj!

Uścisnął dłoń Kukulki na pożegnanie i wyszedł z budynku.

Wachmistrz długo jeszcze spoglądał za odchodzącym Abellem. Nigdy jeszcze nie widział go tak przybitym. I wtedy podjął decyzję, w tej jednej brzemiennej w skutki sekundzie. Zrobił to pierwszy raz całkowicie na własny rachunek, bez rozkazu, czy choćby sugestii człowieka, którego uważał za swego przewodnika i któremu ufał bezwarunkowo. Uznał, że pomysł, który zrodził się w jego głowie, jest trudny, ale wykonalny. Musi być tylko wystarczająco sprytny i bezwzględny. Jeśli chodzi o spryt, wiele się przecież nauczył, terminując u Abella. A brak skrupułów nigdy mu nie przeszkadzał. Wachmistrz odwrócił się na pięcie i ruszył ku wyjściu. Jak to szef czasami mawiał? Że najlepiej jest upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu? Czy nie tak to szło? Wiedział, co robić. Miał mało czasu, a nie mógł popełnić żadnego błędu. Dwie pieczenie, jeden strzał.

Gdy Abell wyszedł z gmachu, przez chwilę oślepiło go wiosenne słońce. Szedł przed siebie. Mijał spieszących się gdzieś przechodniów. Słyszał metaliczne pomruki samochodów i głuchy gwar ludzkich głosów. Nie był pewien, co było bardziej donośne: odgłosy miasta, które go zdradziło, czy szum jego własnej krwi.

## 9.

Ogromny gabinet pogrążony był w ciemności. Tylko lampka stojąca na biurku kierowała snop światła w dół, wydobywając z półmroku dwie bogato upierścienione dłonie. Siedzący za meblem zwalisty mężczyzna, rzucał wielki cień na ścianę. Zanurzył palce w stojącej przed nim srebrnej czaszy. Wypełniał ją kopczyk drogocennych kamieni. Bawił się nimi pieśczołliwie, napawając się blaskiem, który bił z brylantów, rubinów i szmaragdów wielkich jak orzechy włoskie.

Po chwili do gabinetu wszedł bezszelestnie sekretarz.

– Mam złe wieści, panie premierze.

– Mów.

Olbrzym z uwagą wysłuchał lakonicznego meldunku. Tylko raz dał upust emocjom, gwałtownie ściskając jeden z brylantów.

– I nie znaleźliście tych obrazów? – zapytał głosem, przyzwyczajonym do posłuchu.

– Niestety, nie.

– Przypomnij, jak się nazywał ten partacz, który mnie zawiódł?

– Niejaki von Plaskowitz z komendy głównej Kripo w Gdańsku. To on kierował całą akcją. Nasi ludzie, na rozkaz Forstera, właśnie wydobyli go z policyjnego aresztu.

– I dobrze. W więzieniu mógłby zacząć gadać. Ale teraz ma zniknąć z pola widzenia. A potem pomyślimy, co z nim zrobić. Czy to jasne?

– Oczywiście, panie premierze. Ale zaszły pewne nowe okoliczności – sekretarz ściszył głos i wytarł ukradkiem spocone ręce o poły marynarki.

– Jak to? – mężczyzna podniósł swoją głowę znad klejnotów.

– Dzisiaj rano znaleziono go w opuszczonym magazynie portowym na peryferiach stoczni Schichaua. Lewą dłoń miał przybitą wielkimi hufnalami do stołu, prawą zdruzgotaną wielkim młotem. Podobno niezbędną będzie amputacja. No, miazga, po prostu. Twierdził, że został w nocy ogłuszony i uprowadzony z własnej sypialni przez jakiegoś zakapturzonego zbira. Odnaleziono go po wielu godzinach. Musiał straszliwie cierpieć. Rodzina już wywiozła go z Gdańska.

– Kogo podejrzewacie?

Sekretarz poruszył się nieswojo.

– Szczerze mówiąc, nie wiemy. Gdańsk to nie Prusy. On sam bełkotał coś

o żydowskim spisku. Bardziej prawdopodobne, że łączyły go jakieś ciemne łapówkarskie interesy z innymi oficerami Kripo. Ktoś mógł wykorzystać okazję, że Plaskowitz spadł z piedestału i porachował mu kości.

– Skąd ten pomysł?

– Za podszewką marynarki miał zaszytą kartkę. Widniały na niej jakieś sumy i nazwisko Bromke. Plaskowitz oczywiście twierdził, że nie ma pojęcia, skąd się te łapówkarskie rejestry u niego wzięły.

– Kto to taki ten Bromke?

– Oficer gdańskiej Kripo, nasz sympatyk zresztą.

– Wywalić na zbity pysk bez prawa powrotu do policji! Führer nie cierpi łapówkarzy, ja zresztą też!

– Tak jest! A co w sprawie napaści na Plaskowitza? Mamy szukać sprawcy?

Odpowiedź zza biurka padła po kilku sekundach ciszy.

– A po co? Ktoś rozliczył go zamiast nas. Tym lepiej. Ważne, aby to gównu nie przykleiło się do naszej podeszwy. Gdzie teraz jest ten Plaskowitz?

– Podobno rodzina wywiozła go na leczenie do Norwegii, mają tam krewnych.

– Odczekaj kilka miesięcy, a potem zadbaj o to, by Plaskowitz zniknął. Bezszerelemnie i na zawsze. Zrozumiano?

– Tak jest! Nigdy więcej pan o nim nie usłyszysz!

Drzwi zamknęły się równie bezgłośnie, jak się otworzyły. Hermann Goering zamknął powieki. Kochał dzieła sztuki bardziej niż zwierzęta. A zwierzęta – bardziej niż ludzi. Tylko ci ostatni sprawiali mu notorycznie zawód.

– Szkoda tej kolekcji – powiedział sam do siebie i poruszył leniwie lwią głowę. Najbardziej bolesna była strata Rembrandta, Holbeina i Dürera. Z tego, co mu przekazano, ten Żyd zgromadził prawdziwe arcydzieła. – Co za partacze! – ponownie zalała go fala wściekłości. Miał już przecież w głowie plan swojego nowego wspaniałego domu na jeziorze Doln See, w lasach Schorfheide. To będzie pałacyk myśliwski w nordyckim stylu. Nazwie go Carinhall, na cześć swojej zmarłej żony. Jego marzeniem było, by w Carinhall znalazło się wszystko to, co najlepsze<sup>[39]</sup>. Te płótna dodałyby blasku nowej siedzibie. Upatrzył dla nich główną ścianę w zaprojektowanym salonie. Te wszystkie prezenty, jakie mu znoszą pruscy poddani, są z reguły gównu warte. Nie mógł już patrzeć na papierońnice z wrytymi dedykacjami, makatki wyhaftowane przez dzieci i figurki jeleni odlewane w brązie. Drobnomieszczański szajs, którego tak z Adolfem nienawidzili!

Mężczyzna ponownie zanurzył dłoń w brylantach. Zawsze działały na niego uspokajająco. Przyjdzie czas, kiedy jego otoczenie zrozumie, czego naprawdę potrzebuje premier największego kraju Rzeszy[60]. Potrzebuje obrazów wielkich mistrzów, prawdziwych arcydzieł i cymeliów. Antycznych posągów i rzeźb

średniowiecznych Madonn. Złota i drogocennej biżuterii. Teraz się nie udało. Ale będą inne okazje.

## 10.

Czekała na niego na molo. Nie chciał umawiać się w kawiarni. To byłoby zbyt zobowiązujące. Już z daleka dostrzegł jej postać. Zmizerniała, nie była umalowana. Jakby chciała mu przekazać sygnał – żadnego fałszu, Christian. Już nigdy.

– Jednak jesteś – powiedziała cicho. Zrobiła ruch w jego stronę, być może chciała się przytulić, ale wycofała się, widząc chłód w jego oczach.

– Powiedziałem, że przyjdę.

– Nie byłam pewna. Niczego już nie jestem pewna.

Widział, jak kurczowo zaciska powieki, aby się nie rozpłakać.

– Żałuję, że tak się stało. Zraniłam cię.

– To już teraz nie ma znaczenia. Pewnych rzeczy się nie odwróci.

– Wiem... Przeżyliśmy razem coś pięknego?

– Byłem z tobą szczęśliwy.

– To musi mi wystarczyć, prawda? Ty dla mnie byłeś całym światem. Jesteś...

– Gabi...

– Wiem, wiem, robię się sentymentalna. Nie lubisz tego.

– Ten człowiek – zawahał się – Henryk Dragon, żyje. Nic mu nie jest. Chciałem, żebyś wiedziała.

– Boże – w jej oczach zapalił się blask. – Tak się cieszę. Modliłam się o to codziennie, co noc.

– Twój ojciec powinien wyjechać. Tu nie jest bezpiecznie.

– Już to zrobił. Wyjechał do Polski, do Torunia.

– A ty?

– Ja zostaję. – Podniosła nagle głowę i spojrzała mu prosto w oczy. – Powiedz mi, to koniec? Przyszedłeś tu tylko po to, by powiedzieć mi o Dragonie, prawda?

Milczał przez dłuższą chwilę, która wydała się jej wiecznością. Miała wrażenie, że zaraz rozpadnie się na tysiąc odłamków. A wraz z nią te obrazy, które ją trzymały przy życiu przez ostatnie dni. Pierwszy pocałunek, poruszenie serca, czułe zakłęcie wyszeptane do ucha. Jego dotknięcia, spojrzenia, którymi ją obrzucał, gdy myślał, że ona tego nie widzi.

– Nie tylko dlatego – odpowiedział wreszcie.

W pierwszej chwili nie zrozumiała. Rodziło się w niej radosne przecucie, ale bała się, że je spłoszy.

– Próbuję ci to powiedzieć od początku. Zależy mi na tobie. Z nikim nie było mi tak dobrze. Przemyślałem kilka spraw. Rozmawiałem z twoim ojcem, to mądry człowiek. Wiem, że nie miałaś dobrego wyboru. Ale proszę, daj mi trochę czasu. Wiele się dzisiaj zdarzyło...

To było więcej, niż się spodziewała.

– Będę czekała – powiedziała cicho.

Wyciągnęła rękę na pożegnanie, a on niespodziewanie przytulił ją do siebie. Czuł, jak mocno bije jej serce.

Obserwował Gabi odchodzącą w stronę Seestrasse. Wiatr owijał jej sukienkę wokół bioder. Jakiś mężczyzna obejrzał się za nią taksującym tęsknym spojrzeniem.

Popatrzył na mewy, lądujące na grzbietach fal. Wyglądały jak białe papierowe stateczki, które puszczał jako dziecko na wodzie. Przeszłość była nostalgiczną czarną dziurą. Teraźniejszość – koszmarnym rozczarowaniem. W świecie, który nadchodził, nie widział dla siebie miejsca. Musiał o tę przyszłość walczyć. Jej załączki były wszędzie. W powietrzu i zapachach. Na niebie o barwie bladego anemonu. W radościach, małych i dużych, które mogły dopiero nadejść. A przede wszystkim w postaci tej kochanej kobiety, która właśnie zniknęła w tłumie. Musiał tylko pamiętać, co jest naprawdę ważne. A ważne były uczucia i zasady, które trzymały go przy życiu.

To z nich musiał czerpać nadzieję.



## Epilog

24 września 2016 r.

Depesza Agencji AP

W dniu dzisiejszym sąd w Wiedniu wydał prawomocny wyrok w sprawie tzw. kolekcji Saula Rottenberga. Obejmuje ona dzieła twórców tak uznanych, jak Pieter Bruegel Starszy, Hans Holbein, Albrecht Dürer, Georges de La Tour, Rembrandt, Caspar David Friedrich, Marc Chagall i wielu innych.

Po wieloletniej batalii kolekcja ta powróci do rąk prawowitych właścicieli – rodziny Rottenbergów. Pozasądowe szczegóły porozumienia nie są znane. Reprezentująca rodzinę Rebeka Rottenberg, prowadząca znaną szkołę Kabały w Wiedniu, oświadczyła na konferencji prasowej, że z satysfakcją przyjmuje wyrok sądu. Widzi w nim wyraz sprawiedliwości i naprawienie krzywd, wyrządzonych w okresie nazistowskim jej stryjowi i jego żonie Adele.

Oboje zamordowani zostali przez nazistów w 1933 roku w Gdańsku. Czas wojny zbiór dwudziestu ośmiu bezcennych obrazów przetrwał w ukryciu w pałacu Tolkenen (Prusy Wschodnie), który został kompletnie spalony przez wkraczającą na te tereny w 1945 roku Armię Czerwoną. Powojenne losy kolekcji są słabo rozpoznane, ale na pewno mogłyby stanowić kanwę filmu sensacyjnego. Właściciel pałacu w Tolkenen, graf Heinrich zu Dohna, był uczestnikiem spisku Stauffenberga, mającego na celu zgładzenie Hitlera i z tego powodu został rozstrzelany już we wrześniu 1944 roku.

Podejrzewa się, że w powojennym zamieszaniu obrazy trafiły do Betty von Karnow, przyjaciółki właściciela pałacu. Fakt posiadania obrazów przez rodzinę von Karnowów wypłynął dopiero w roku 2013, gdy w prowincjonalnym domu aukcyjnym w Salzburgu próbowała ona sprzedać na aukcji jedno z płócien należących do kolekcji.

Od tej pory pełnomocnik rodziny Rottenbergów toczył sądowy spór z rodziną von Karnowów o odzyskanie obrazów. Dzisiejszy wyrok sądu kończy ostatecznie tę batalię, śledzoną z dużym zainteresowaniem przez środowiska muzealne i domy aukcyjne na całym świecie. To kolejne tego typu rozstrzygnięcie sądu w Wiedniu – po udanej rewindykacji w 2005 roku słynnego obrazu Gustava Klimta *Portret Adele Bloch-Bauer* przez Marię Altman<sup>[40]</sup>.

Jednocześnie Rebeka Rottenberg oddała hołd Christianowi Abellowi, oficerowi policji z Wolnego Miasta Gdańska z lat trzydziestych ubiegłego stulecia. To dzięki niemu obrazy nie trafiły w ręce nazistów i jak stwierdziła enigmatycznie Rebeka Rottenberg, „bracia powrócili do domu”.



**Indeks nazw topograficznych wraz z odpowiednikami nazw współczesnych**

**SOPOT**

Annestrasse – ul. Ceynowy  
Cecilienstrasse – ul. Czyżewskiego  
Ernststrasse – ul. Poniatowskiego  
Grosse Katzenstrasse – ul. Malczewskiego  
Heimstrasse – ul. Małopolska  
Kameradschaftweg – ul. Junaków  
Nordstrasse – ul. Powstańców Warszawy  
Parkstrasse – ul. Parkowa  
Roonstrasse – ul. Dąbrowskiego  
Schulstrasse – ul. Kościuszki  
Seestrasse – ul. Boh. Monte Cassino  
Strandweg – ul. Traugutta  
Südstrasse – ul. Grunwaldzka  
Wäldchenstrasse – ul. Chrobrego  
Wilhelmstrasse – ul. Haffnera

**GDAŃSK**

Breitgasse – ul. Szeroka  
Broschkischerweg – ul. Wiślna  
Fleischergasse – ul. Rzeźnicka  
Grosse Gerbergasse – ul. Garbary  
Hochstriess – ul. Słowackiego  
Holzgasse – ul. Kładki  
Hundegasse – ul. Ogarna  
Jagowstrasse – ul. Derdowskiego  
Karrenwall – ul. Okopowa  
Lange Markt – Długi Targ  
Melzergasse – ul. Słodowników  
Neufahrwasser – Nowy Port  
Olivaerstrasse – ul. Oliwska  
Pommerscherstrasse – al. Niepodległości  
Rennerstifgasse – ul. Gdyńskich Kosynierów  
Salzstrasse – ul. Solec  
Schießstange – ul. Kurkowa  
Töpfergasse – ul. Garncarska

## Vorstädtischer Graben – Podwale Przedmiejskie

## Przypisy

<sup>[1]</sup> Friedrich Basner (1869–1936) był znanym sopockim kolekcjonerem sztuki. Pod koniec lat dwudziestych XX w. na skutek kłopotów finansowych zmuszony był wystawić swoją kolekcję na sprzedaż.

Na podstawie: Aleksandra Tarkowska, *Sopot. Między wojnami. Opowieść o życiu miasta 1918–1939*, Dom Wydawniczy Księży Młyn, Łódź 2011, str. 87.

<sup>[2]</sup> Wilhelm Lippke (1869–1933) – absolwent Akademii Budowlanej (*Bauakademie*) w Berlinie. Najbardziej znany sopocki architekt z przełomu XIX i XX w., który zaprojektował i zrealizował ponad sto budowli. Do najbardziej znanych należą: Hotel Carlton przy Parkstrasse 25–27, obecnej ul. Parkowej, Hotel Kaiserhoff przy Seestrasse 23, obecnej ul. Monte Cassino 37, i dom towarowy Otto i Ernsta Fastów przy obecnym placu Konstytucji 3 Maja. Lippke był też biegłym sądowym miejscowego sądu (*Vereidigter Sachverständiger für den Amtsgerichtsbezirk Zoppot*).

Źródło: wikipedia.pl

<sup>[3]</sup> Paul Puchmüller (1875–1942) – wybitny sopocki architekt z przełomu XIX i XX w. Absolwent Wydziału Architektury w Akademii Budowlanej (*Bauakademie*) w Berlinie. W latach 1901–1922 pełnił funkcję budowniczego miejskiego (*Stadtbaumeister*). Miał duży wpływ na współczesną architekturę Sopotu. Zaprojektował m.in. Łazienki Północne i Południowe. W marcu 2008 r. Muzeum Sopotu poświęciło mu specjalną ekspozycję pod tytułem: „Paul Puchmüller. Architekt, który przemienił Sopot w miasto”.

Źródło: wikipedia.pl

<sup>[4]</sup> J. Stankiewicz, „Rozwój przestrzenny Sopotu do końca XIX wieku” [w:] „Rocznik Sopocki 1976”, Sopot 1976, str. 33–36.

<sup>[5]</sup> Policja kryminalna II Wolnego Miasta Gdańska. W jej skład wchodziły: specjalna grupa prezydium policji, policja obyczajowa z siedzibą przy Fleischergasse, specjalny wydział do spraw kradzieży grupowych (Diebstahlgruppe) z siedzibą w prezydium policji, grupa do spraw zwalczania lichwy z siedzibą przy Fleischergasse, służba rozpoznawcza i służba kontroli cudzoziemców (wywiad i kontrwywiad II WMG).

<sup>[6]</sup> „Zoppoter Zeitung” – ciesząca się dużym powodzeniem gazeta o charakterze lokalnym. Nakład wynosił od 3 do 5 tys. egzemplarzy. Adresowana

była głównie do mieszkańców Sopotu i letników. Redaktorem naczelnym w latach trzydziestych XX w. był Erich Guschke. Gazeta nie miała wyraźnego charakteru politycznego.

Aleksandra Tarkowska, *Sopot. Między wojnami. Opowieść o życiu miasta...*, wyd. cyt., str. 53.

<sup>[7]</sup> Synagoga reformowana przy Roonstrasse funkcjonowała w Sopocie od 1914 r. Żydzi ortodoksyjni modlili się w domach modlitwy przy Seestrasse 51 i przy Pommerscherstrasse 809. Na początku lat trzydziestych gmina żydowska w Sopocie liczyła już powyżej 4 tys. osób – na ponad 23 tys. mieszkańców ogółem (wg spisu mieszkańców WMG z 1929 r.).

Tamże, str. 89.

<sup>[8]</sup> Eugene Doenicke – radca budowlany Sopotu, profesor Wyższej Szkoły Technicznej Wolnego Miasta Gdańska (*Technische Hochschule der Freien Stadt Danzig*). W 1933 r. wraz z burmistrzem Erichem Lauem został oskarżony przez Urząd do Walki z Korupcją przy senacie gdańskim (*Senate der Freien Stadt Danzig*) o malwersacje finansowe związane z budową ówczesnego Kasino Hotel.

Źródło: wikipedia.pl

<sup>[9]</sup> Lokal ma wielowiekową tradycję. Jego historia sięga 1598 r., kiedy to Ambroży Vermollen (lub Vermoolen) założył tu gospodę oraz wytwórnię likierów i zaczął wytwarzać słynną Goldwasser. Restauracja mieściła się przy Breitgasse 51/51.

<sup>[10]</sup> Hitler wprowadził bojkot towarów żydowskich 1 kwietnia 1933 r. Wielu Żydów wyjechało wtedy z kraju, ale równie wielu łudziło się, że ten program nie jest wymierzony w nich. Jak napisał John Toland w swoim dziele *Hitler. Reportaż biograficzny* (wydawnictwo Albatros 2014, str. 359): „W ciągu wieków Żydzi przeżyli wiele podobnych dekretów, płynąc wraz z prądem. Cóż złego może ich spotkać w kraju, który wydał Goethego i Beethovena? Przecież prawdziwym celem ataków Hitlera byli Żydzi ze Wschodu”.

<sup>[11]</sup> Gottfried Alexander Maximilian Walter Kurt Freiherr von Cramm (1909–1976) – słynny tenisista niemiecki, dwukrotny zwycięzca międzynarodowych mistrzostw Francji i trzykrotny finalista Wimbledonu w grze pojedynczej, wieloletni reprezentant Niemiec w Pucharze Davisa.

Źródło: wikipedia.pl

<sup>[12]</sup> Kamienica, zwana w niektórych źródłach kamienicą Mimosa, wzniesiona

została na początku XX w., na miejscu, w którym jeszcze w 1844 r. znajdował się dworek oraz ogród ozdobny Bahra. W latach trzydziestych XX w. w kamienicy otwarto kawiarnię i cukiernię Greya. Posiadaczem kamienicy był sam właściciel kawiarni Hugo Grey. Pozostała część kamienicy spełniała funkcję czynszową. Po drugiej wojnie światowej budynek zmienił adres na ul. Morską 35. Znajdował się tu sklep rybny, mały bar oraz pizzeria.

Źródło: [www.dawnysopot.pl](http://www.dawnysopot.pl)

<sup>[13]</sup> Kościół Świętej Trójcy w Gdańsku – późnogotycka świątynia wzniesiona dla osadzonych w 1419 r. franciszkanów na terenie Starego Przedmieścia, południowej części historycznego Gdańska. Kościół stanowi część dawnego zespołu klasztornego Braci Mniejszych Konwentualnych, w którego skład wchodzi kaplica św. Anny, dom ryglowy i przylegające do kościoła od strony południowej zabudowania klasztorne z wirydarzem. Po reformacji w 1522 r. założono tu Gdańskie Gimnazjum Akademickie oraz bibliotekę. Po 1872 r. siedziba Muzeum Miejskiego, obecnie oddział Muzeum Narodowego. Cenne dzieło późnogotyckiej architektury ceglanej, z charakterystycznymi schodkowymi szczytami elewacji korpusu nawowego i prezbiterium oraz niewielkimi wieżyczkami kontrastującymi z masywną bryłą kościoła.

Źródło: [wikipedia.pl](http://wikipedia.pl)

<sup>[14]</sup> Fakt ten ujawnił historyk sztuki Karel van Mander (1548–1606?) w swoim epokowym dziele *Het Schilder-Boeck* (Księga o malarstwie) – zbiorze biografii najwybitniejszych malarzy niderlandzkich, flamandzkich i niemieckich działających w XV i XVI w. Książka została wydana po raz pierwszy w 1604 r. i zawiera informacje na temat stu siedemdziesięciu pięciu malarzy, w tym Pietera Bruegla Starszego, stanowiąc przez stulecia cenne źródło informacji na temat życia artystycznego Europy Północnej.

*Wielcy malarze. Ich życie, inspiracje, dzieło. Bruegel Starszy*, zeszyt nr 56, wyd. Eaglemoss Polska 1999.

<sup>[15]</sup> Słownik wiedzy o religiach, pod red. Kazimierza Banaka, Wyd. Szkolne PWN, Warszawa 2010, str. 216–217.

<sup>[16]</sup> Więcej w tekście Magdaleny Pytkowskiej pt. „Na czym polega Kabała chrześcijańska”. [www.polka.pl](http://www.polka.pl).

<sup>[17]</sup> Hans Gustav Adolf Gross (Groß, Grosz) – (1847–1915) – austriacki sędzia śledczy, kryminolog, założyciel Instytutu Kryminalistycznego w Grazu, uznawany za twórcę kryminalistyki.

Źródło: wikipedia.pl

<sup>[18]</sup> Założycielami i ojcami sukcesu sopockiego kasyna byli dwaj byli oficerowie armii niemieckiej – Linke i Ratzloff. Kasyno otwarte zostało 6 czerwca 1920 r. Początkowo wyglądało bardzo skromnie, gdyż składało się jedynie z dwóch stołów do gry w ruletkę. Grało się tam za pomocą specjalnie wyprodukowanych porcelanowych żetonów. Personel lokalu stanowili w znacznej większości byli wojskowi. Po wojnie mieli oni spore trudności z odnalezieniem się w nowej rzeczywistości i napotykali na problemy ze znalezieniem nowej pracy. Oferta z nowo powstającego kasyna była dla nich wybawieniem z kłopotów. Na podstawie: historia.org.pl, Filip Jaskulski, „Kasyno w Sopocie, czyli europejskie małe Las Vegas”.

<sup>[19]</sup> Utracjusz Chaim Rottenberg przepuszczał naprawdę duże sumy. Dla porównania: pod koniec lat 20. średnie wynagrodzenie robotnicze w Gdańsku wynosiło netto 214 guldenów 66 fenigów. Koszt utrzymania pięcioosobowej rodziny wynosił zaś statystycznie średnio 211 guldenów 66 fenigów. Najlepszy był rok 1931, tuż przed gospodarczą katastrofą. W styczniu tego roku średnie wynagrodzenie było takie jak w poprzednich latach, ale ceny były niższe – średni koszt utrzymania pięcioosobowej rodziny wynosił już tylko 183 guldeny 87 fenigów. Na podstawie: Rebelya.pl Gospodarka Wolnego Miasta Gdańska. „Niechciana symbioza z Polską”, 22.11.2014.

<sup>[20]</sup> Więcej na ten temat w interesującej rozmowie z Łukaszem Kozakiem, mediewistą i redaktorem portalu Polona, cyfrowego archiwum Biblioteki Narodowej – na łamach „Gazety Wyborczej” z 26 sierpnia 2016 r.

<sup>[21]</sup> *Wielcy malarze. Ich życie, inspiracje, dzieło. Caspar David Friedrich.* Zeszyt nr 22, Eaglemoss Polska 1999, str. 6.

<sup>[22]</sup> Narodowi socjaliści kultywowali święto ludzi pracy, ustanowione w 1890 r. przez socjalistów. Uroczystość opiewająca ludzi pracy pasowała idealnie do systemu, który czerpał z ideologii klasowej i robotniczej. Hitler wykorzystywał często tę okazję do wygłaszania wielkich mów do narodu. W związku z 1 maja (1927 r.) Joseph Goebbels wspominał: „*Jest Hitler. [...] wygłosił przed audytorium w przepelnionej sali jedno ze swoich największych przemówień. O przestrzeni i narodzie. Rzadko go takim widziałem i słyszałem. On jest wodzem! Chwilami łzy napływały mi do oczu, ale się ich nie wstydziłem*”. Joseph Goebbels. *Dzienniki*, tom I: 1923–1939, Wyd. Świat Książki, 2013,



str. 95–96.

<sup>[23]</sup> Forsterówka – zabytkowa rezydencja gauleitera i obergruppenführera SS Alberta Forstera zlokalizowana była w Orlu, 17 km od centrum Gdańska, na Wyspie Sobieszewskiej, przy obecnej ul. Lazurowej 3 i 4. Obiekt przekazano Forsterowi 26 lipca 1933 r., jako prezent od führera i miejscowej komórki NSDAP z okazji jego trzydziestych pierwszych urodzin. Rezydencja była jego prywatną własnością. Przebywał w niej okresowo do 27 marca 1945 r. To tu zapadały najbardziej zbrodnicze decyzje w historii Pomorza.

Źródło: wikipedia.pl

<sup>[24]</sup> Słynne organy z katedry oliwskiej zaprojektował i zbudował w latach 1763–1788 o. Johann Wilhelm Wulff na zlecenie opata Jacka Rybińskiego. Gotowy instrument miał 83 głosy (5100 piszczałek), 3 manualy (Hauptwerk, Oberwerk, Kronwerk) i pedał, trakturę mechaniczną oraz 14 miechów klinowych. Organy ozdobiono rzeźbami w stylu rokokowym i wyposażono w czynne do dzisiaj ruchome elementy (aniołowie z dzwonkami i trąbkami, gwiazdy, słońca, czyli tzw. orkiestra anielska). W tym czasie były to największe organy w Europie i prawdopodobnie na świecie. Christian Abell nie mógł jednak ocenić oryginalnego brzmienia organów mistrza Wulffa, ponieważ w latach 1863–1865 organy wielkie w duchu romantycznym przebudował Friedrich Kaltschmidt, organmistrz ze Szczecina, a w czasie I wojny światowej część małych piszczałek została zarekwirowana przez pruską armię i przetopiona.

<sup>[25]</sup> Willem van den Blocke (1550–1628) – rzeźbiarz i architekt pochodzenia flamandzkiego, reprezentant stylu manierystycznego. Jego największym dziełem była Brama Wyżynna w Gdańsku, a także liczne epitafia i nagrobki, w tym wspaniałe nagrobek rodziny Kosów w oliwskiej katedrze.

Źródło: wikipedia.pl

<sup>[26]</sup> Na podstawie: „Brescia, renesans na północy Włoch Muzeum Narodowe w Warszawie”, Warszawa 2016, str. 105–108.

<sup>[27]</sup> *Jowisz z motylami* z kolekcji Karola Lanckorońskiego wcześniej przypisywany był Giovanniemu Francesco Penniemu (1496–1528), jednemu z najlepszych uczniów Rafaela. W czasie II wojny światowej obraz ten został zarekwirowany przez Niemców, a następnie odzyskany przez Amerykanów i przekazany do Kunsthistorisches Museum w Wiedniu. W roku 1999 r. sąd austriacki uznał roszczenia Lanckorońskich i obraz został przez nich odzyskany. W 2002 r. dzieło to zostało podarowane przez Karolinę Lanckorońską i Fundację

Lanckorońskich Zamkowi Królewskiemu na Wawelu. Dzieła Dossa Dossiego (1487–1542) znajdują się dzisiaj m.in. w Galleria degli Uffizi we Florencji, w Galleria Borghese w Rzymie i w Detroit Institute of Arts. Tamże, str. 105–109.

[28] Bracia Dossi zostali nadwornymi malarzami na dworze księcia Alfonsa I w roku 1514. Niewiele było w ówczesnej Italii ośrodków, które pozwalałyby artystom na taką swobodę twórczą, a także ironię i dystans w transponowaniu mitów poezji starożytnej czy współczesnej. Tamże, str. 107.

[29] W źródle archiwalnym, którym jest pismo Królewskiej Wyższej Administracji Sądowej z 1900 r., jest mowa o tym, że gmina Glettkau już wówczas słynęła z czystego, krystalicznego i nasyconego jodem powietrza. W dokumencie podkreślono także optymalne dla kurortu położenie, o czym przesądzała bezpośrednia bliskość ośrodka miejskiego. Z pisma wynika również, że już 150 m od brzegu morza budować można było tzw. Luftkurorty. Źródło: <http://historia.trojmiasto.pl/Gdy-w-Jelitkowie-bylo-jeszcze-molo>

[30] W czasie I wojny światowej Niemcy w wyniku doświadczeń wyniesionych z walk pozycyjnych na froncie zachodnim stworzyli oddziały szturmowe (niem. Stoßtruppen lub Sturmtruppe). Pierwsza eksperymentalna jednostka powstała w marcu 1915 r. Żołnierzy tej formacji szkolono w zdobywaniu terenu taktyką polegającą na przenikaniu, a nie atakach falowych. Na szczeblu armii formowano baon nazywany w wojsku niemieckim Sturmbataillon. Powstawały też kompanie w ramach dywizji, plutony w pułkach. Podobne, uznawane za elitarne, pododdziały zaczęto tworzyć w innych armiach. Źródło: wikipedia.pl

[31] Pod Ypres alianci podejmowali kilkakrotnie próby przełamania frontu niemieckiego. Tzw. trzecia bitwa pod Ypres rozpoczęła się w dniu 31 lipca 1917 r. i zakończyła się 6 listopada 1917 r. zdobyciem wsi Passchendaele. Walki były bardzo zażarte. Alianci stracili pod Ypres 325 tys. ludzi, Niemcy około 260 tys. Źródło: wikipedia.pl

[32] Świątynia ewangelicka w Steegen (w Stegnie) została wybudowana w 1688 r. Jej wyposażenie pochodzi głównie z XVIII w. Cały strop, o powierzchni 450 m<sup>2</sup>, oraz część ścian bocznych pokrywa malowidło na płótnie z 1688 r., które prawdopodobnie jest dziełem Reinholda Schneidera z Gdańska. Centralny motyw dekoracji stropu ukazuje Zmartwychwstanie Chrystusa. Nad prezbiterium został

ukazany Sąd Ostateczny. Obecnie kościół katolicki pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa.

Źródło: wikipedia.pl

<sup>[33]</sup> Szaniec Mewi (niem. Möwenschanze) – dzieło fortyfikacyjne w Gdańsku, wzniesione w latach 1844–1846 i 1874–1876 przez Prusaków na miejscu wcześniejszego (niezachowanego) obiektu z epoki napoleońskiej. Leży na terenie portu gdańskiego u nasady Półwyspu Westerplatte, przy Zakręcie Pięciu Gwizdków, na północ od Twierdzy Wisłoujście.

<sup>[34]</sup> Armia niemiecka pod dowództwem Hindenburga pokonała tam w sierpniu 1914 r. armię rosyjską.

<sup>[35]</sup> Część radykalnie nastawionej czołówki SA, na czele z jej szefem Ernstem Röhmem, rzeczywiście miała takie aspiracje. Oczekiwania te uciął sam Hitler, rozprawiając się z Röhmem i jego zwolennikami w czerwcu 1934 r. podczas tzw. nocy długich noży. Zaniepokojona armia mogła odetchnąć. John Toland, *Hitler. Reportaż biograficzny*; wyd. Albatros A. Kuryłowicz, Warszawa 2014, str. 384–400.

<sup>[36]</sup> Pałac stał się własnością von Dohnów po ożenku z siostrą Finckensteinów i wykupieniu go w 1782 r. przez marszałka wielkiego Prus Aleksandra zu Dohna, syna Fryderyka Aleksandra zu Dohna. W rękach margrafów zu Dohna von Schlobitten skoligaconych wielokrotnie z grafami Finck von Finckensteinami Kamieniec pozostawał do 1945 r., a jego ostatnim właścicielem był Aleksander zu Dohna. Po zajęciu tych terenów przez armię radziecką pałac nazywany Pruskim Wersalem został ograbiony i spalony. Zachowały się jednak, szczególnie w archiwach niemieckich, liczne opisy i fotografie tej imponującej budowli.

Źródło: <http://www.kamienie-wilhelma.net.pl/rod-von-dohna>

<sup>[37]</sup> W posiadaniu Dohnów były dwa z czterech pałaców klasy królewskiej: Słobity (Schlobitten) oraz Kamieniec (Finckenstein). Oprócz nich do „królewskich pałaców” zaliczano także: Friedrichstein nad Pregołą (20 km na wschód od Królewca, dzisiaj Kamienka w obwodzie kaliningradzkim) i Drogosze (Dönhoffstädt) w powiecie kętrzyńskim, w gminie Barciany na Mazurach. Tamże.

<sup>[38]</sup> Aleksander zu Dohna spotkał się z Hitlerem trzykrotnie. Jako członek Heimatbundu, pertraktował z nim w Monachium na przełomie 1922 i 1923 r. jako

przywódcą NSDAP. Ponownie spotkał się z Hitlerem jesienią 1932 r., gdy jego wujek Hermann Dohna obwoził wodza nazistów po Prusach Wschodnich, a po raz trzeci latem 1933 r., gdy Hitler zawitał m.in. do Kamieńca (Finckenstein) k. Susza. Wśród dużego orszaku Führera był m.in. Reinhard Heydrich, Heinrich Himmler i jego osobisty adiutant – Karl Wolff, dawny kolega szkolny Aleksandra (uczyli się razem w gimnazjum w Darmstadt). Dohna osobiście odwiózł Hitlera swoim samochodem do Malborka i później do granic Wolnego Miasta Gdańska. Historię ostatniego księcia ze Słobit szczegółowo opisał Lech Słodownik z Elbląga i została ona opublikowana na łamach „Głosu Pasłęka” oraz na stronie internetowej [www.glospasleka.pl](http://www.glospasleka.pl). Autor skorzystał także z internetowego wydania książki Andrzeja Czaplińskiego: *Kamienie Wilhelma*.

Tamże.

[39] Oto jak opisywał siedzibę Goeringa autor jego biografii, David Irving: „W salach i pokojach zawieszono arcykosztowne kryształowe żyrandole, ściany przyozdobiono flamandzkimi gobelinami oraz bezcennymi płótnami dawnych mistrzów. »Wspaniale, entuzjazmował się później Goering (...) Jestem prawdziwym człowiekiem renesansu. Kocham bogactwo i przepych!«”.

David Irving, *Marszałek Rzeszy Hermann Goering 1893–1946. Biografia*, Muza, Warszawa 2001, str. 146.

[40] Portret Adele Bloch-Bauer I, zwany też *Złotą Adelą*, autorstwa Gustava Klimta (1862–1918) uważany jest za jedno z najważniejszych dzieł Klimta i austriackiej secesji. Po kontrowersyjnym procesie, w wyniku międzynarodowego arbitrażu, obraz powrócił w 2005 r. do spadkobierczyni małżeństwa Bloch-Bauer, Marii Altman. W kilka miesięcy później został sprzedany za rekordową cenę 135 milionów dolarów amerykańskiemu miliarderowi Ronowi Lauderowi.

[1] Psalm 38, 1–4 (w przekładzie Izaaka Cyłkowa).

[2] Od 1924 policja kryminalna w Wolnym Mieście Gdańsku była podzielona na okręgi (Kriminalbezirke). Ich liczba, a w konsekwencji także numeracja okręgów, nieustannie ewoluowała (wszystkie przypisy pochodzą od autora).

[3] Erich Laue – burmistrz Sopotu (1919–1923), następnie nadburmistrz (1923–1930).

[4] Ernst August Claaszen (1853–1924) – znany sopocki przedsiębiorca, broker i kolekcjoner sztuki.

[5] Dom kuracyjny – pierwszy powstał w Sopocie już w 1824 roku.

[6] Odmiana okularów trzymających się na nosie dzięki specjalnie wygiętemu sprężynującemu elementowi łączącemu oba szkła. Powszechnie używane przez mężczyzn z niemieckiej klasy wyższej i średniej.

[7] Nazwiska najzamożniejszych rodzin żydowskich mieszkających w Sopocie w latach 20. i 30. ubiegłego wieku.

[8] Dyrygent światowej sławy, kilka razy występował w latach 30. w Operze Leśnej podczas dorocznych festiwali poświęconych twórczości Richarda Wagnera.

[9] Wcześniejsze wydarzenia opisane zostały w pierwszym tomie *Czarny manuskrypt*, Muza 2017.

[10] Gueridon – mały, najczęściej okrągły stolik pomocniczy.

[11] Wzór wersalski – wzór układania parkietów zamykający mniejsze elementy w większych geometrycznych ramach. Zastosowany po raz pierwszy przez Ludwika XIV w pałacu w Wersalu.

[12] Autor opisał je w książce *Czarny manuskrypt*, Muza 2017.

[13] Przytulny, miły (niem.)

[14] „Niemcy, obudźcie się! Naprzód, naprzód! Dzwonią dzwony od wieży do wieży!” (niem.) – slogan propagandowy nazistów zaczerpnięty z wiersza

Dietricha Eckarta.

[15] Popularny samochód osobowy produkowany przez niemieckie przedsiębiorstwo motoryzacyjne DKW od roku 1931.

[16] Miejska kostnica przeniesiona została z Ołowianki do dawnego obiektu wojskowego na Górze Gradowej w 1926 roku.

[17] Autorem tej sentencji z czasów I wojny światowej jest francuski premier Georges Clemenceau (1841–1929).

[18] Paul Johnson *Historia Żydów*, wydawnictwo Platan, Kraków 1993, str. 364.

[19] Żydzi precz! (niem.)

[20] Komunistische Partei Deutschland – partia komunistyczna w Niemczech.

[21] Psalm 147,5 (przekład Izaaka Cyłkowa).

[22] Tajemne imiona Boga używane w pismach kabalistycznych.

[23] Jedna z metod gematrii polegająca na sprowadzaniu wartości numerycznej całego słowa do liczby jednocyfrowej. Dodaje się wartości liczbowe liter, a gdy przekroczą 9, sumuje się poszczególne cyfry, aby sprowadzić je do liczby jednocyfrowej.

[24] W kalendarzu żydowskim rachuba lat zaczyna się od dnia stworzenia świata, co wedle ustaleń żydowskich autorytetów religijnych nastąpiło 7 października 3761 p.n.e. – stąd w roku 1933 trwał żydowski rok 5693/5694.

[25] Drzewo Jessego – artystyczne wyobrażenie drzewa genealogicznego Chrystusa. Temat bardzo częsty w sztuce europejskiej od XI do XVII w. Źródłem nazwy i motywu jest prorocтво z Księgi Izajasza, które głosi nadejście Mesjasza: Wyrośnie różdżka z pnia Jessego, wypuści się odrośl z jego korzeni. Chrześcijanie odnoszą ten fragment właśnie do osoby Jezusa Chrystusa.

[26] Potoczne określenie Fryderyka II Wielkiego, króla Prus w latach 1740–1786. Pod jego rządami Prusy stały się jednym z najpotężniejszych państw

europejskich.

[27] Wilhelm Furtwängler (1886–1954) – wybitny niemiecki dyrygent i kompozytor. Związany z Berliner Philharmoniker i słynący z interpretacji utworów symfonicznych, w szczególności autorów niemieckich.

[28] Dewkut – stan całkowitego zjednoczenia duszy z Bogiem osiągnany przez chasydów podczas modlitwy i ekstatycznych tańców.

[29] Gabinet osobliwości – kolekcja dzieł sztuki, numizmatów, zabytków starożytnych, egzotycznych przedmiotów i innych osobliwości, charakterystyczna dla czasów nowożytnych, zwłaszcza XVI i XVII wieku. Często spotykane w domach zamożnych kolekcjonerów i wielbicieli sztuki także w wieku XX.

[30] Renomowana wytwórnia francuskich zegarów kominkowych, działająca od połowy XVIII wieku. Niezawodność, bogate zdobnictwo oraz liczne złocenia sprawiały, że zegary Japy miały charakter bardzo dekoracyjny i cieszyły się wielkim powodzeniem wśród Europejczyków.

[31] Dzieci, kuchnia, kościół (niem.) – popularny w Niemczech slogan odnoszący się do tradycyjnej roli kobiety w społeczeństwie i rodzinie. Autorem tego hasła był prawdopodobnie cesarz Wilhelm II.

[32] Cinquecento – okres w historii sztuki renesansu włoskiego przypadający na XVI wiek; nazwa związana z rokiem 1500, będącym początkiem cinquecenta.

[33] Koniec obstawiania! (franc.) – komenda krupiera oznaczająca, że przestaje przyjmować zakłady.

[34] Nareszcie! Dobry chłopczyk! (ros.)

[35] Sotto voce (wł.) – określenie wykonawcze: półgłosem, stłumionym głosem.

[36] Gulden był od 1923 roku oficjalną walutą WMG. Wartość guldena odpowiadała 1/25 funta brytyjskiego.

[37] Cytat z autentycznego przewodnika, wydane w 1923 roku.

[38] Bar micwa – uroczystość żydowska, podczas której chłopiec żydowski

staje się pełnoletni wobec prawa. Pierwszego dnia po trzynastych urodzinach chłopców uznaje się za dorosłych, czyli zdolnych do przestrzegania przykazań Prawa Mojżeszowego.

[39] Chodzi o słynny obraz Johna Everetta Millaisa *Ofelia* z 1852 roku, inspirowany sceną z Hamleta Williama Szekspira.

[40] Neufahrwasser – dzielnica Gdańska położona przy ujściu Martwej Wisły. Obecnie Nowy Port.

[41] Wydatki na cele lubieżne (wł.)

[42] Chodzi o Wita Stwosza, niem. Veit Stoß (ok. 1448–1533) – niemieckiego rzeźbiarza, grafika i malarza, twórcę słynnego ołtarza w kościele Mariackim w Krakowie.

[43] Maultaschen – tradycyjne danie kuchni niemieckiej: kwadratowe pierogi z ciasta makaronowego z nadzieniem mięsnym.

[44] Ka De We (Dom Handlowy Zachodu) – luksusowy dom towarowy w Berlinie w dzielnicy Schöneberg, otwarty w 1907 roku.

[45] Feldwebelleutnant – od 1877 roku najniższy stopień oficerski w armii Cesarstwa Niemieckiego.

[46] Przeciwskarpa – ziemna zaporą przeciwpancerna wykonywana na stokach wzgórz, brzegach rzek i wąwozów w postaci stromej ściany zwróconej w kierunku wojsk własnych.

[47] Gefrajter – jeden z najniższych stopni wojskowych w armii cesarskiej.

[48] Zgodnie z traktatem wersalskim, ograniczającym liczebność i uzbrojenie Reichswehry, Niemcy mogli mieć na stanie jedynie 189 armat 75 mm i były to najcięższe działa, jakie wolno im było posiadać.

[49] Junkeracker, Pasewark, Nickelswalde, Steegen – wsie nad Zalewem Wiślanym, obecnie: Junoszyno, Jantar, Mikoszewo, Stegna.

[50] Laubzekin – drewniany element dekoracyjny w starych domach z końca XIX w. spotykany na Żuławach umieszczany w szczytach budynków.



[51] Kreutz – niemiecka nazwa stacji kolejowej w Wielkopolsce (Krzyż).

[52] Z trudu chwała (łac.)

[53] Nareszcie (porządny) pałac! (franc.)

[54] Obecnie (od 1975 r.) rzeźby można oglądać w Iławie w parku przy ulicy Niepodległości.

[55] Obecnie Kętrzyn.

[56] Obecnie Lidzbark Warmiński.

[57] Obecnie wieś Smolajny.

[58] Bliski współpracownik Göringa, gen. Ernst Udet, który popełnił samobójstwo w roku 1941, na wezgłowie swojego łóżka napisał oskarżycielsko pod adresem marszałka Rzeszy: „Żelazny, dlaczego pozostawiłeś mnie bez pomocy i oparcia?”. (Raymond f. Toliver, Trevor J. Constable, *Adolf Galland. General lotnictwa myśliwskiego*, wydawnictwo Oskar, str. 141).

[59] Paramilitarny stopień podoficerski w SA.

[60] Hermann Göring był premierem Prus od 1 kwietnia 1933 roku aż do upadku III Rzeszy w roku 1945.

